

The background of the poster is a dark, industrial setting. A large, glowing metallic structure, possibly a piece of machinery or a large pipe, dominates the upper half of the frame. A small silhouette of a person is visible in the distance, standing in a brightly lit area. The overall atmosphere is mysterious and dramatic.

MIGNIENIE

MARCEL WOŹNIAK



MGNIE

MARCEL WOŹNIAK



Copyright © Marcel Woźniak, 2017

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Bartosz Ludkiewicz

Korekta: Słowne Babki

Projekt okładki: Jakub Chwieszczenik

Fotografia na okładce: Łukasz Breitenbach

Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-805-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Jeżeli będziesz długo siedział na brzegu rzeki,
możesz zobaczyć,
jak przepływa nią ciało twojego wroga.*

Przysłowie chińskie

WYSTĘPUJĄ:

W ROLI GŁÓWNEJ

LEON BRODZKI – detektyw sekcji kryminalnej, podkomisarz

W POZOSTAŁYCH ROLACH

Gromosław Halicki – komendant policji

Jacek Nowak – sierżant

Maks – archiwista policyjny

Ronald Bryk – policjant z Darłowa

Marta Gradowska – psycholog policyjna

Zapaśnik – podejrzany

Daniel – ścigany o pseudonimie „Heraklit”

Kosma – osadzony o pseudonimie „Heraklit”

Dagmara Brodzka – była żona Brodzkiego

Sara Brodzka – porwana córka Brodzkiego

Ignacy Kulwicki – ojciec Dagmary, dziadek Sary

Wanda Kulwicka – matka Dagmary, babcia Sary

Paulina – wychowanka z Włocławka

Siostra Klementyna – zakonnica z ośrodka

Henryk – taksówkarz, ostatni Mohikanin

Kobieta w Czerni – emerytka

Jurek – dziewczynka
Łukasz Grotowski – barman
Marek Bener – dziennikarz z „Echa Torunia”
Natalia Kaklińska – lekarz
Filip – dyspozytor z centrali 112
Piotras – strażak
Grzegorz Giedrys – dziennikarz
Szlomo – lichwiarz
Symfonian – ochroniarz
Nalewski – prezydent Torunia
Zofia Halicka – komendantowa
Sergiusz Iwan – patomorfolog
Bogumiła Bogusz – sąsiadka Sary
Jan – księgarz
Grażyna Sędzimir – dziennikarka
Natasza – prostytutka
Chyży Nowak – brat Jacka Nowaka
Paweł – ksiądz
Laura Mostowicz – ofiara
Hanna Krosny – ofiara
Franciszek Brodzki – ojciec Leona
Tomasz Żółtko – aspirant
oraz

CZŁOWIEK W KAPELUSZU

Wydarzenia przedstawione w utworze mają charakter fikcyjny.
I nie mają go jednocześnie.

Rodzicom

5 WRZEŚNIA 2016

– Będę zabijał, dopóki mnie nie złapiecie – powiedział do telefonu długowłosa, brodaty, chudy mężczyzna. Na obudowie urządzenia pulsowała czerwona dioda, a człowiek trzymał je w cienkich, szponiastych palcach. Za równo przyciętymi paznokciami dostrzec można było zaschniętą krew.

Było ciemno. Most lekko oświetlały jedynie nocne latarnie, rzucając na jego powierzchnię snopy światła, niczym teatralne reflektory rozpraszające ciemność na scenie w finałowym akcie szekspirowskiego dramatu. Aktorzy byli na miejscu.

Mężczyzna podszedł do bladopistacjowej barierki. Przy metalowych żerdziach, na środku mostu leżało skrępowane ciało dziewczyny w czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym.

Mimo wzmagającego się wiatru, którego zawodzenie uderzało w kiepski mikrofon smartfona, dało się posłyszeć ciche westchnięcie ofiary. W dźwięku tym zapisane zostało całe ludzkie życie. Było to swoiste wybrzmienie. Koda.

– Nazywam się Heraklit. Wszystko płynie, a najbardziej krew niewinnych – zawiesił głos i przykucnął, by pogłodzić dziewczynę po mokrych skroniach. Przysunął kamerę tak, że teraz było widać fragment jej twarzy i zaklejone taśmą usta. Posadził ją i oparł o balustradę.

Teraz także on znalazł się w kadrze, przytulając swój policzek do jej twarzy. Uśmiechnięte i beztroskie oblicze złoczyńcy

kontrastowało z przestraszonym wzrokiem wycieńczonej kobiety. Objął ją i zaśmiał się szczerze.

– Mamy dziś piękną noc. Przypominają mi się filmy, które puszczałem Laurze we Włocławku... – Dziewczyna zajęczała. – No, nie bądź zazdrosna. *Sen nocy letniej*, *Koszmar minionego lata*. Możesz sobie wybrać, który bardziej pasuje do tych okoliczności. Osobiście obstawiałbym Szekspira.

Dziewczyna była przytomna. Kasztanowe włosy lepiły jej się do twarzy, równo przycięta grzywka była posklejana krwią i potem. Miała drobną, delikatną buzię i mały, niepretensjonalny, przyozdobiony kolczykiem nos. Jej nozdrza pulsowały teraz rytmicznie, a wydechane powietrze ocierało się o taśmę, którą miała zaklejone usta, wydając cichy szum.

Ofiarę uderzał zapach stojącej wody i ryb, mieszający się z posmakiem krwi i chemikaliów, jakie czuła na ciele. Nie wiedziała, gdzie jest. Wiedziała tylko, że jej bycie, samo w sobie, może nie potrwać długo. Dlatego w otchłani jej umysłu nie było miejsca na czysty strach. Emocje oddzieliły się bowiem od rozumu niczym skóra oddzielająca się od ciała, które długo przebywa w wodzie. Trzeba wiedzieć, że strach ma różne fazy, tak jak różne fazy ma żaloba. Najpierw dziewczyna krzyczała ile sił. Było to tuż po tym, kiedy zorientowała się, że grozi jej niebezpieczeństwo. Najpierw zagrażające jej wolności, potem zdrowiu, a na końcu – życiu i fizycznej integralności. Unieruchomienie i zniewolenie jej przez napastnika, zaklejenie ust sprawiły, że strach i związany z nim

traumatyczny stres gotowały się w niej, skacząc po całej skali smutku, wściekłości i przerażenia. Kiedy etap emocjonalnego wybuchu minął, umysł porwanej przeszedł do fazy drugiej – zaprzeczania. Przestała reagować na niektóre bodźce, zapadła się w sobie. Zapomniała o najistotniejszym problemie, jakim było zagrożenie życia. Nie zrobiła tego oczywiście świadomie. To mózg szukał dróg ucieczki od szaleństwa, zmniejszając zainteresowanie życiem. Pojawiły się luki w pamięci. Strach odebrał nie tylko rozum, ale i spowodował u niej częściową, psychogenną amnezję. W tak traumatycznym stresie racjonalizowanie można włożyć między bajki. Człowiek staje się wtedy zwierzyną łowną, która wpadła w sidła i czeka na kolejny ruch oprawcy. Wtedy porwana dziewczyna przeszła w kolejną fazę – wdzierania się. W jej umyśle, niczym w akceleratorze elektronów, zaczęły przepływać niekontrolowane uczucia i impulsy. Adrenalina zaczęła wyrzucać do krwi kolejne cząsteczki, stymulujące panikę i stres. Zmysł przetrwania wyszedł na pierwszy plan, a mózg nie potrafił przestać myśleć o chęci ucieczki i ratunku. Doprowadziło to do fizycznego i psychicznego wycieńczenia ofiary, która czuła nasilony przestraszenie przy najmniejszym bodźcu: szmerze, szumie, tykaniu zegara. Umęczone ciało i psychika zaczęły wówczas powoli przechodzić do kolejnego etapu, czyli przepracowania tematu. Dziewczyna zaczęła odróżniać fantazje i lęki od rzeczywistości. Myśli przepływały przez jej synapsy jasno, z większą uwagą. To właśnie wtedy zrozumiała, że istnieje jeszcze ostatnia, piąta faza strachu i stresu. Jest nią

gotowość na zakończenie.

Zamiast tej jednej, wyrazistej emocji umysł dziewczyny wypełniła seria pytań – tych z natury ostatecznych: o byt, sens, życie po śmierci, egzystencję samą w sobie. „Czy będzie bolało – myślała – i czy zobaczę światło w tunelu? Czy poczuję obecność bliskich, którzy dawno umarli i czekają teraz po drugiej stronie?”.

Mężczyzna wstał.

– Niech zgadnę – zaczął, schylając się do jej ucha, na którym były ślady krwi i kleju. Podniósł ją na nogi. Dziewczyna chybotwała się, jej kostki związane były taśmą izolacyjną. – Pomyślałaś, że ktoś czeka na ciebie po drugiej stronie rzeki? Już to niedawno przerabiałem. Sceneria jakże inna, hala rzeźni... ale duch pozostał ten sam. Duch miejsc przeszłych. No i zaiste, czeka cię śmierć.

Dziewczyna zajęczała, a jej oddech przyspieszył.

– Przed tobą piękny rejs, Hermiono. Choć bardziej pasowałaby Ofelia. Zielona otchłań, podwodny świat rodem z *Hamleta* albo powieści Juliusza Verne’a. Prawda, Leon? – zaśmiał się do kamery i ponownie zwrócił do dziewczyny. – Nie jestem tylko pewien, czy utrzymasz się na wodzie tak pięknie jak ona. No, dalej, daj z siebie wszystko – zachęcał człowiek. – To twój ostatni moment, żeby pożegnać się ze światem. I to z jaką pompą! Idę o zakład, że pęknie milion wyświetleń, jak tak dalej pójdzie. Szekspir byłby zazdrosny.

Spojrzał jej w oczy z bliska. Wzrok dziewczyny był rozbiegany, widać w nim było błaganie o litość.

– Do kamery, nie do mnie.

Dziewczyna zaczęła wierzgać, a jej oczy zaszyły łzami. Spoglądała to na chłopaka, to na kamerę. Raz na szalony błysk jego oczu, a raz na diodę pulsującą niczym na ładunku wybuchowym. Jęczała rozpaczliwie całą siłą płuc i gardła, a jej atak paniki wzrastał się proporcjonalnie do skupienia, jakie przyjęła twarz porywacza.

Mężczyzna położył ją związaną na barierce.

– Proszę państwa – powiedział, przekładając telefon do drugiej ręki, po czym wsadził go w kijek do selfie, który rozwinął. Jednocześnie oparł dziewczynę o swoje biodro. – Teraz nas widać w całej krasie. Nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki. Ale można do niej wpaść.

Dziewczyna w wyniku stresu dostała hiperwentylacji. Jęczała teraz głośniej niż przedtem. Najwidoczniej z fazy zakończenia cofnęła się do fazy wdzierania się. Plaster na jej ustach wybrzuszał się i wklęsał, ale klej nie puszczał.

– Oszczędzaj tlen. Pod wodą jest go... – posłał uśmiech w stronę kamery. – No, jakby to powiedzieć. Jest go mniej. Chyba że bardzo, bardzo mocno wyobrazisz sobie, że jesteś bohaterką książki. W książkach tlenu nie potrzeba.

I zsunął ciało z barierki, nie odrywając wzroku od smartfona.

Zamknął oczy. Za jego uśmiechniętym, prezentującym się w kamerze obliczem rozległ się głośny plusk.

Gdyby ktoś stał na nabrzeżu, zobaczyłby niewyraźny, podłużny kształt, który spada do wody. A po chwili znika pod jej powierzchnią.

Daniel kliknął czerwony kwadrat w swoim smartfonie. Urządzenie wydało ciche piknięcie, oznaczające koniec nagrywania. Spojrzał na swoje brudne paznokcie, wyciągnął dłonie pod bijące ze szczytu łukowatego przesła światło.

– Kompletny amator ze mnie. Muszę popracować nad charakteryzacją bardziej, niż myślałem. Że też nie pomyśleliśmy o transmisji za pierwszym razem, bracie...

Przechylił się przez barierkę i wyszeptał w stronę wody:

– „Lecz wreszcie suknia, nasiąkła wilgocią, ucina słodki śpiew, ciągnąc nieszczęsną na dno, w mulistą śmierć”¹. – I ruszył mostem w dół. – Słodkich snów, Saro.

¹ William Szekspir, *Hamlet*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

2

Kilka godzin wcześniej, na starym moście drogowym w Toruniu, mimo siąpiącego deszczu, uwijały się służby. Most był duży, długi, trzypasmowy – stanowił bardzo ważny element infrastruktury drogowej miasta, przepoławiając je w centralnej części tak, jak grzbiet przepoławia książkę.

Zator tworzył się po obu stronach Wisły. Z powodu zamknięcia przejazdu korki ciągnęły się na lewym brzegu aż do ulicy Łódzkiej, zaś na prawym – do skrzyżowań przy ulicy Odrodzenia i Szosie Chełmińskiej. Jeden trup spowodował paraliż niemal całego miasta – w korkach stali kierowcy zmierzający na Łódź, Poznań, Warszawę.

Deszcz ostrzeliwał most ze wszystkich stron. W zrzucanych z nieba ładunkach kropel, niby w pryzmacie, rozszczepiało się niebiesko-czerwone światło kogutów. Na środku konstrukcji stały trzy wozy strażackie, cztery radiowozy i karetka. Mediów nie dopuszczono. Tylko jeden reporter, który dotarł tutaj jeszcze przed niebieskimi, został na miejscu. Był to Marek Bener.

– Komendancie, czy to koniec? – spytał dziennikarz o przemoczonych, długich włosach.

– To początek, Bener. Początek. Tylko nie wiem czego.

Dołączył do nich sierżant Jacek Nowak.

– Nowak, sprawdzisz monitoring i korporację, z której była taksówka. Jechał nią detektyw Brodzki. Okazało się, że kierowca

był w zмовie z porywaczami, zostawił Leonowi wskazówkę i zwiął.

– Jaką wskazówkę? – spytał Nowak.

– Detektyw Brodzki jechał na dworzec kolejowy. Na moście był korek. Gdy wyszedł z taksówki, otrzymał paragon z napisem „powtórka”. Prawdopodobnie uprowadzono córkę detektywa, Sarę Brodzką. Kierowca taxi zniknął. Porywacze mają telefon Sary. A on... – Komendant wskazał na ciało wiszące w górze. – Jak go tam wciągnęli? Przecież on był w szpitalu, leżał z raną postrzałową.

– Świadkowie twierdzą, że przejeżdżała tędy jakaś ciężarówka – zauważył Bener. – Stała chwilę. Ale była taka mgła, że z dołu trupa i tak nie było widać.

Straż pożarna ściągała z górnego przesła zwłoki mężczyzny. Po chwili, przy pomocy kosza na wysuwanej drabinie, zwiozła ciało na ziemię. Sylwetki strażaków, ratowników i policjantów otoczyły ciało kordonem. Wszyscy zdjęli nakrycia głów. Ich twarze ciążyły ku ziemi, a grochy deszczu ciosały na ich obliczach iskry. Nikt nie mógł wydobyć z siebie choćby słowa. Stali, jakby przyspawani, wykrzywieni w grymasie żalu i trwogi, ze wzrokiem skierowanym na ciało tego, który poniósł okrutną, niesprawiedliwą i niespodziewaną śmierć. W stronę aspiranta Tomasza Żółtki.

Nowak z trudem powstrzymywał łzy. Znał Tomka krótko, ale jeden weekend wspólnej służby wystarczył, by zaczął darzyć go szacunkiem i szczerym, męskim podziwem. Chuderlak w okularach, przezywany Harrym Potterem, okazał się być prawdziwym gliną z powołania, który nie wahał się ruszyć na

pomoc Brodzkiemu. Który przyczynił się do rozwiązania zagadki Heraklita, za co przyszło mu zapłacić wysoką cenę.

Nowak nie należał do osób przesadnie gmerających w palecie wewnętrznych emocji. Nie psychologizował, nie dokładał do tej znajomości epickiej narracji. Widział ją raczej jako kilka jasnych, mocnych punktów, za które rewanżował się kilkoma jasnymi przemyśleniami na temat kolegi. Po wzburzeniu i złości pewna myśl – niczym błyskawica – przeszła umysł sierżanta o orlim nosie: złapać sprawcę. Nowak przetarł nos i odchrząknął, tak po męsku, jak to mężczyźni odchrząkują po chwili słabości.

Halicki rzucił okiem na ciało i skinął do ratowników, by zapakować je do worka.

– Komendancie, nie czekamy na prokuratora? – spytał Nowak.

– Prokurator jest tak zajebany w trupach, że mu tylko uszy wystają. Nie będzie się do breloczka fatygować w pierwszej kolejności. Mamy blokować most cały dzień? W mieście lada moment wybuchnie panika, musimy podjąć szybkie działania, żeby opanować tę hekatombę.

– Do breloczka? – spytał znad notesu Bener, zasłaniając kartki przed deszczem.

– Tak mówią u nas na wisielców. Pół biedy, że to nie w lesie, po miesiącu, bo jakby pociągnęli za nogi, to by odpadły od korpusu. Z dwojga złego lepiej, że Żółtko się nie oddzielił...

– Komendancie! – warknął Nowak. – Z całym szacunkiem, ale on jeszcze nie ostygł.

Mundurowi byli zniesmaczeni poziomem żartu komendanta. Z Halickiego wyszła maniera człowieka zbyt długo piastującego ważny urząd. W krytycznym momencie górę wzięła u niego buta, może trochę zmęczenie. Niemniej nie ugryzł się w język i wypowiedział słowa, na które nie pozwoliłby sobie żaden z obecnych – mimo ich młodszego wieku, mniejszego doświadczenia, niższych stopni. Szacunek to wartość, którą wyznaje się niezależnie od tych rzeczy. Albo się go ma do innych, albo nie. Tak po prostu jest.

Mundurowi odprowadzili wzrokiem wózek z workiem, który zapakowano do karawanu. Doktor Natalia Kaklińska spojrzała wymownie na Halickiego, zatrzasnęła drzwi pojazdu i ruszyła do erki. Dźwięk wstrząsnął Nowakiem, który dopiero co po raz pierwszy w historii swojej pracy pozwolił sobie na podniesienie głosu na komendanta, a teraz gorączkowo myślał nad kolejnymi krokami, jakie należy podjąć, by śledztwo ruszyło naprzód.

Karawan odjechał, powolnym tempem tocząc się w kierunku Placu Rapackiego. Bo zapakowany w folię wisielec, zidentyfikowany jako aspirant Tomasz Żółtko, nigdzie się już nie musiał spieszyć.

3

Leon Brodzki nie mógł wiedzieć, że trzymać będzie wkrótce w rękę swoją własną twarz. Póki co biegł przez osiedle Bydgoskie Przedmieście, zabytkową dzielnicę Torunia, będącą skrzyżowaniem piękna zabytkowych willi i – drastycznych w skutkach – posttransformacyjnych przemian społecznych, objawiających się patologią i ubóstwem. Ciało Brodzkiego przemieszczało się w przestrzeni miasta niby działo samojezdne, a detektyw miał wrażenie, że nie należy ono do niego. Uczucie to znane jest zawodowym sportowcom, złodziejom oraz żołnierzom piechoty. To właśnie oni potrafią całkowicie podporządkować się biomechanice ciała, by – w celu pokonania dystansu – za pośrednictwem nóg i ramion przenosić się do punktu destynacji. Detektyw czuł, jakby podróżował w zbroi tytanowego humanoida, siedząc w jego wnętrzu swoim umysłem i sercem, ale z nogami będącymi tak daleko, jak daleko znajdują się koła w wielkim aucie, stery w aeroplanie czy śruba napędowa w torpedowym okręcie.

Z kolei serce Leona pompowało krew, która transportowała tlen do komórek tego czterdziestodziewięcioletniego organizmu, ale serce to było pęknięte. Nie wiadomo, jakim cudem mogło działać i spełniać swoje funkcje. Może Brodzki przemieszczał się siłą woli, której jedynym dysponentem było w tym momencie właśnie ciało. Naprężone. Spięte. Gotowe złapać krtań porywacza i zmiażdżyć ją jak niewydrylowaną czereśnię. Może na tym zasadzał się cud

ojcowskiej miłości, która przemieniała zrozpaczonego ojca w żołnierza piechoty, który nie zatrzyma się dopóty, dopóki jego córka nie wróci bezpiecznie do domu.

Brodzki był wysokim, postawnym, przystojnym mężczyzną. Miał gładką twarz o mocnych rysach, teraz naprężoną i zwartą. Skronie pokrywała gdzieniegdzie siwizna, ale zaczesane na bok, równo przycięte włosy miały wyrazisty kolor ciemnego blondu. Na nogach miał dzinsy i wygodne półbuty, zaś silne ramiona opięte były granatowym t-shirtem, na który narzucił sportową kurtkę Henriego Lloyda w tym samym kolorze.

Biegł równo. Przed siebie. Lewa noga naprzemiennie z prawą, dekada palców ogarnięta symetrią ciała. A daleko, wiele kondygnacji i pięter dalej, za wieloma zakamarkami i pokojami, w jednym z pomieszczeń ciała, tak, właśnie tam, tliło się blade światło świadomości. To tam Brodzki przetwarzał na gorąco ostatnie minuty mijającego dnia.

Bo nie wiedział, ani gdzie jest Sara, ani gdzie jest Daniel.

Dopiero co zobaczył Słońce nie większe od stopy, jak pisał prawdziwy Heraklit, filozof, w swoich rozprawach. Dopiero co zakończył śledztwo i żegnał miasto, jadąc na Dworzec Główny. Miał tylko przekroczyć Wisłę, nad którą stoi Toruń i w której tafli – „gładkiej jak pamięć lustra” – odbija się to miasto. Miał przejechać przez most, który przecina rzekę niby krótsze ramię krzyża, prostopadłe do ramienia długiego, niekończącego się. I uciec z Torunia, razem z córką, uciec z miasta, nad którym wciąż krążą

ciężkie szelfowe chmury. Do Darłowa, do Dagmary. Czy nie zasłużył na odrobinę miłości i spokoju?

Jeszcze kilka dni temu był o krok od zakończenia kariery policyjnej, a znalazł się znów na jej początku. Dopadł Heraklita, który terroryzował miasto. Pożegnał swojego ojca Franka. A przed chwilą znów znalazł się na polu startowym planszy, kiedy zobaczył ciało przyjaciela Tomka Żółtki.

Stał wówczas na toruńskim moście drogowym imienia Józefa Piłsudskiego i gorączkowo rozmyślał. „Jeśli wszystkie te zbrodnie miały być powtórką tych, które były już raz popełnione, jeśli te zbrodnie miały być przechytrzeniem mnie i popełnieniem zbrodni doskonałych... To oznacza, że to nie koniec”.

Spojrzał wtedy jeszcze raz na telefon, odblokował go, wszedł w książkę telefoniczną, wybrał z listy Dagmarę, była żoną. Jediną kobietę, z którą chciałby być najbardziej, i tę właśnie, z którą najbardziej być nie mógł. Zmarszczył mocno czoło, tak mocno, że zmarszczka je przecinająca wryła się jeszcze głębiej w skórę, jak dolina śmierci na planecie życia. Stojąc wówczas na moście, nabrał kilka wdechów i wcisnął zieloną słuchawkę.

– Co wiesz, Leon? – powtórzyła Dagmara.

– Wiem, że bardzo cię kocham, Dagmaro, ale na razie nie przyjadę – odparł.

– A gdzie jesteś? – zadzwieczał z troską znany mu głos. – Zawsze wiedziałam, że żyjesz z poczuciem wiecznie nierozwiązanych spraw. I dlatego wiecznie o ciebie drżałam. Nie uratujesz całego

świata. Gdzie jesteś? Gdzie Sara?

– Jakby wszystko zaczynało się od nowa. Jak powtórka – powiedział do siebie, patrząc w stronę hipnotycznego cyferblatu.

– Leo? – spytała Dagmara

– Tak – odpowiedział nieobecny.

– Gdzie jesteś?

Opuścił powoli słuchawkę. Zebrał się w sobie. Zacisnął mocno powieki, po czym przyłożył telefon do ucha tak blisko, jakby chciał wyszeptać te słowa prosto do uszu Dagmary.

– Cokolwiek się stanie, zachowaj spokój. Wkrótce się do ciebie odezwę. Nie odbieraj telefonów, nie zostawaj sama – powiedział trochę do niej, a trochę do siebie.

Dagmara była żoną policjanta dostatecznie długo, ażeby wiedzieć, kiedy zbliża się moment niebezpieczeństwa.

To był właśnie taki moment.

– Gdzie jest Sara? Gdzie jesteś ty?

– Jestem... Jestem w Toruniu – odparł i zawiesił głos. Wspólne milczenie rozpostarło się w umownej przestrzeni, łączącej Toruń i Darłowo. Wymowna pauza ustalała nowy porządek rzeczy i dlatego żadne z rozmówców nie odezwało się już ani słowem.

Brodzki usłyszał wtedy w słuchawce ciche łkanie.

Po czym ruszył biegiem w stronę prawego brzegu gotyckiego miasta, a za nim pobiegł jego pies. Sylwetka samotnego wędrowca malała, aż w końcu zupełnie zlała się z pęczniącym tłumem na Placu Rapackiego. Leon Brodzki nie wiedział wówczas, że wyrusza

na spotkanie ze swoim przeznaczeniem.

4

Mgła utrudniała rozpoznanie obiektów na kiepskiej jakości nagraniu z kamer miejskich.

– Daj mi to jeszcze raz – poprosił sierżant Jacek Nowak.

Do siedziby strażników miejskich na ulicy Grudziądzkiej pojechał zaraz po zakończeniu czynności na moście. Bardzo chciał się dowiedzieć, do czego tam doszło. Znajomy strażnik, misiowaty w czapce, włączył nagranie od początku.

– Powiększ mi tu obraz – rzucił policjant.

Na obrazie widoczna była mgła oplatająca stary most drogowy gęściej i gęściej. Wreszcie, w krytycznym momencie, pośrodku kadru zatrzymała się okazałych rozmiarów wywrotka.

– Nie dasz rady powiększyć mi tablic?

– Takie mleko wisi w powietrzu, że ledwo można rozpoznać, że to ciężarówka, a nie czołg.

– No dobra. Podjeżdża ciężarówka i co? – Nowak pytał siebie na głos. – Przewiń.

– Już mówiłem. Po chwili odjeżdża. To wszystko.

– Nic nie widać?

– Kabina tira jest za mgłą. Jedno, co można powiedzieć, to to, że ciężarówka olbrzymich rozmiarów. Dałoby radę wejść na jej dach i...

– I przymocować trupa.

– Słyszałem, że niebieski. Przykro. – Strażnik klepnął Nowaka

po ramieniu i poszedł po sypaną kawę. – Nie można mordować glin.

Sierżant patrzył tymczasem chwilę na nagranie. Dotknął palcem swego orlego nosa, zmarszczył czoło.

– Możesz mi to jeszcze raz puścić?

– Przecież mówiłem, że nie ma tam nic.

– Jeszcze nie ma, ale może być.

Chwilę później obaj mundurowi oglądali zapis raz jeszcze. Faktycznie, z początku nic istotnego się nie działo. Aż do czasu, kiedy na pogrążonym we mgle moście pojawił się tajemniczy człowiek w kapeluszu.

Nie nakrycie głowy decydowało o tym, że człowiek ten sprawiał wrażenie tajemniczego. Chodziło o to, w jakim momencie i gdzie się pojawił.

– Co ten człowiek robił na moście? – spytał strażnik.

– Tego jeszcze nie wiem. Wiem natomiast, że o ile z jednej strony mostu wchodzi w kadr, tak po drugiej stronie tego, co łapie monitoring, nie wychodzi nikt.

– Chcesz powiedzieć, że facet rozplynął się w powietrzu?

– Albo w wodzie.

– Albo znał kierowcę wywrotki. Gdy zrównuje się z pojazdem, znika.

– Nie posuwałbym się tak daleko... – Nowak stopował zapał rozmówcy. – Wiem tylko, że za dużo tu przypadków. Samochód widmo i człowiek w kapeluszu. Będzie trzeba się temu przyjrzeć.

5

W czwartym akcie *Hamleta* królowa Gertruda i Laertes rozmawiają o dotkniętej obłędem Ofelii. To wtedy dowiadujemy się o tragicznej śmierci dziewczyny, która miała wpaść do strumienia, zrywając kwiaty pokrzywy i stokrotki.

Tym razem jednak, inaczej niż w napisanym na przełomie XVI i XVII wieku dramacie, ciało zaczęło po prostu opadać na dno. W rzeczywistości utonięcie jest mniej książkowe, niż opisał to brytyjski dramaturg. Następuje w wyniku odcięcia dopływu tlenu do mózgu przez płyny. Najczęściej – wodę.

Dziewczyna zrzucona brutalnie z mostu zdążyła jeszcze zobaczyć kilka świateł halogenów, kiedy – obracając się wokół własnej osi – spadła z hukiem w otchłań kanału. Jej pięćdziesiąt kilogramów wagi, napędzone grawitacją i przyspieszeniem ziemskim natychmiast wyparło wodę, w którą uderzyło, a ona od razu znalazła się pod jej powierzchnią. Zdawało się jej, że mignęła jej w górze niewyraźna sylwetka, ale co z tego? Jakie znaczenie miało jedno mgnienie?

Uderzenie o wodę było tak silne, że taśma zaklejająca usta pękła, odrywając naskórek z warg. Dziewczyna nie zdążyła niestety krzyknąć.

Czerwony strój pod szaroniebieską taflą wody wyglądał niczym żyjąca w oceanie egzotyczna ryba, zanurzająca się coraz głębiej i głębiej, coraz mniej widoczna z powierzchni tafli.

Tonąca nie mogła poruszyć żadną z kończyn. Nie tylko z powodu ich unieruchomienia. Chodziło także o wstrząs, spowodowany siłą uderzenia oraz różnicą temperatur. Gdy więc dziewczynie wróciła świadomość, to tylko na chwilę. Naraz zaatakował ją paniczny strach, który – ze skutecznością wysokiego napięcia elektrycznego – sparaliżował ciało.

Organizm przypominał batyskaf z uwięzioną w środku duszą akwanautki. Czerwony okręt podwodny. Działały tylko płuca, rozpaczliwie próbujące doprowadzić do mózgu tlen, którego w wodzie jest niestety o wiele mniej niż w powietrzu.

Zrobiła kilka odruchowych oddechów. To zimna woda działała na końcówki nerwowe i odruch był silniejszy od zdrowego rozsądku. Po łyknięciu cieczy zakrztusiła się i natychmiast ją wypluła. Trwało to około dziesięciu sekund.

Teraz próbowała utrzymać powietrze, które zabrała z powierzchni ziemi w swoją podwodną podróż. Tutaj ciało i mózg działały wspólnie. W takich wypadkach plan jest zawsze jeden: nie udusić się. Ale to niestety złudne. Po około pół minuty ciało przekroczyło próg pobudliwości ośrodka oddechowego. Było to spowodowane nadmierną ilością dwutlenku węgla we krwi.

„Chyba jestem martwa” – zdążyła pomyśleć.

Przed jej oczami przelatywały obrazy z minionych dni. A może działo się to za oczami? Z której strony wizualizują się ludzkie myśli? Tak jak w kinie, kiedy projektor rzuca obraz od strony widowni? A może tak jak w kineskopowym telewizorze, czyli z

wnętrza obudowy? Wszak maszyny optyczne i zwierciadła budowano na kształt ludzkiego oka... Te przemyślenia były jednak dziewczynie obce. Podobnie jak możliwość przeżycia.

W tym czasie płuca dokonywały już silnych wdechów i wydechów, a woda dostawała się do dróg oddechowych i płuc, a w wyniku połykania – do żołądka.

Według filozofii tai chi woda pokonuje wszystkie żywyoty. Gasi ogień, przekształca się, dociera w każdy zakamarek. Woda, pełna sprzeczności, potrafi splukać miękką ziemię i ominąć skały, ale kiedy trzeba – wydrążyć je. Sprawia, że ustaje wiatr. Przenosi statki. Jak głoszą mędrcy, woda pokonuje przez ustępowanie. Nigdy nie atakuje, lecz zawsze wygrywa ostatnią bitwę.

Dziewczyna, zgodnie z przekazami znanymi różnym wierzeniom i religiom, zobaczyła plamę świetlną. Czy były to wyładowania elektryczne w mózgu? A może podróż poza ciało? Kolejna faza strachu? Zakończenie?

Na powierzchni wody pojawiała się coraz mniej bąbelków powietrza. Tonące ciało przestawało wierzgać. Była to martwica – efekt ustania czynności oddechowych – i utrata przytomności. Potem nastąpiły nieregularne oddechy i drgawki toniczne, krótkie skurcze. Prawdopodobnie w tym momencie Ofelia umarła, w słonej wodzie. Takiej samej, z której na świat kiedyś przyszła.

Pewien historyk z Oxfordu, nazwiskiem Stephen Gunn, odkrył swego czasu, że śmierć książkowej Ofelii mogła być zainspirowana prawdziwymi wydarzeniami. W spisany po łacinie raporcie

koronera z 1569 roku, a więc jeszcze za dynastii Tudorów, Gunn odkrył szczegóły zgonu niejakiej Jane Shaxpere. Mająca dwa i pół roku dziewczynka miała się utopić, kiedy zbierała kwiaty nagietka koło młyna w rodzinnym mieście pisarza. Autor *Hamleta* miał wówczas pięć lat.

Pewnym jest, że bez względu na inspiracje samego Szekspira, jego dzieła natchnieniem stały się dla innych. Zwłaszcza dla wrażliwych na sztukę. Jak Daniel. I dlatego znana z malowideł prerafaelitów Ofelia musiała umrzeć raz jeszcze. Podobieństwo tkwiło w bezsensownej śmierci pięknej, młodej kobiety. Różnica polegała zaś na tym, że zamiast zielonej sukni przetykanej srebrną nicią teraz topielec miał na sobie czerwony płaszcz przeciwdeszczowy, przypominający właściwie worek.

Zupełnie jak Dziewczyna w Czerwonym Płaszczu, zamordowana trzydzieści lat temu.

6

Było wiadomym, że komendant Halicki podejmie zaraz odpowiednie kroki. Przecież to właśnie obiecał, mówiąc, że zrobi wszystko, by Brodzki odnalazł córkę.

„Tak, na pewno tak zrobi. Jest przecież komendantem... Choć znam się z Halickim od lat, nie do końca mu wierzę. W miniony czwartek, 1 września Komediant zegnał mnie z wielką pompą, gdy szedłem na emeryturę. Wręczył mi dyplom za wzorową pracę na rzecz bezpieczeństwa mieszkańców.

Dzień później, 2 września w piątek, włączył mnie do śledztwa, choć wcale się o to nie prosiłem. Jak powiedział Halicki, miał to być jeden, ostatni raz. Już to, kurwa, widzę, ten ostatni raz... «Ten ostatni raz» okazywał się być raz za razem. Jeden trup po drugim.

Ale po kolei... Zaczęło się od tego, że odwiódł mnie od pomysłu pójścia na obiad do córki. Powodem były zwłoki dziewczyny.

– Sara poczeka. Laura nie. Martwe ciała dość szybko rozkładają się w ciepłym – powiedział wtedy Halicki.

Tak bardzo mu zależało, żebym się tym zajął... Naprawdę mu zależało. Jak szła dalej ta piątkowa rozmowa w parku...?

– Powiedziałeś: ciało było podwieszane? – spytałem.

– Tak.

– A czy nie miało przypadkiem odciętego palca?

Spojrzeliśmy wtedy na siebie wymownie. Po tylu latach rozumieliśmy się bez zbędnych słów i zbędnych gestów. Skurwysyn

w sekundę wiedział, że złapałem trop. Że połączę sprawę tego palucha ze sprawą sprzed lat. Ze sprawą Dziewczyny w Czerwonym Płaszczu.

W starej hali Żółtko znalazł obok trupa dziewczyny noworodka. Dzieciak przeżył, ale na jego ciele odkryto napis. Jak to szło? Że «Brodzki jest winny»? Staliśmy wtedy w szpitalu jak kołki.

No i od tamtego momentu zaczęła się między mną a Halickim gra. On z jakiegoś powodu cisnął, by rozwiązać sprawę, ja z kolei zacząłem zastanawiać się nad przeszłością i błędami, które popełniłem. Kto, u licha, chciałby się na mnie mścić? Co to znaczy, że Brodzki jest winny? Ja czy mój ojciec, też były glina? Tymczasem Halicki przekonywał, że sprawa jest priorytetowa ze względu na bezpieczeństwo mieszkańców, ale czułem, że kryje się za tym coś jeszcze.

W sobotę, 3 września, wyszło na jaw, że Halicki znał pierwszą ofiarę, Laura Mostowicz była jego daleką rodziną. Ustalił to Tomek Żółtko, świeżak z komendy. Też miał swoje przeczucia i intuicja go nie zawiodła.

Fakty zaczęły składać się w całość. Ktoś wyciąga trupa z szafy dzień po moim odejściu na emeryturę. Adresuje do mnie przesyłkę w postaci niemal martwego dzieciaka. Okazuje się, że musiał wiedzieć, że to mnie przydzielą do tej sprawy. A przydzielić mnie mógł tylko Halicki, który z kolei zrobił to ze względu na osobiste zaangażowanie w poszukiwania Laury Mostowicz. Wszystko wyglądało na zmyślny plan.

W niedzielę, 4 września, Halicki niespodziewanie odsunął mnie od sprawy. Ot tak. Śmiech na sali, kurwa. Oficjalnym powodem była śmierć Remigiusza Śniega, pseudonim „Szary”, który – niedługo po przesłuchaniu – znaleziony został w celi, gdzie dyndał na prześcieradle. Że podobno to ja podjudzałem strażników, a ci puścili po kiciu informacje o pedofilskiej przeszłości Szarego... Od kiedy to słowa mają taką wielką moc? Może i coś tam powiedziałem... A potem sprawę przejął prokurator. Halicki nie miał skrupułów, by do sprawy dopuścić media. To one zaczęły się w niedzielę pastwić nade mną i nad moim ojcem Frankiem. Przez całe przedpołudnie wyciągano na antenie stare sprawy: śmierć kibica na meczu, który dostał ode mnie kiedyś kulkę. Gumową, żeby nie było. Ale zmarł. Sprawę Szabańskiego – że niby nie sprawdzono wszystkich dowodów. Z prokuratorem w telewizji, to była czysta pokazówka. Chodziło o to, żeby prezydent miasta odpuścił, a Halicki przestał się na chwilę martwić o swoją emeryturę... Ale zaraz potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie: porwanie Franka, pościg, śmierć Franka, śmierć Janki i złapanie Heraklita. Z persona non grata znów stałem się postrachem bandytów i gliną numer jeden w Toruniu. Nie na długo... Dziś nastąpił drugi finał – śmierć Tomka Żółtko i porwanie Sary. I co? I znów, kurwa, prokuratura zdecyduje o kolejnych ruchach. Co oznaczały zapewnienia Halickiego, że zrobi wszystko, by Sarę odnaleziono? Nie zostawię tak tego. Jestem w tym cyrku wystarczająco długo, by wiedzieć, kiedy trzeba wziąć sprawy w

swoje ręce...”

Rzeczywiście Brodzki był psem dostatecznie długo, żeby zgadnąć, kiedy zmienia się aura. Nie bez powodu zwierzęta wyczuwają zbliżającą się burzę i zatrutą wodę. Nie bez powodu też policjantów przyrównywano do tych czworonogów – strażników, wiernych przyjaciół człowieka. Czujnych, gotowych do obrony. A zatrutej wody w Toruniu nie brakowało – właśnie w niej odbijała się gotycka panorama miasta.

Po jedenastu minutach Leon był już na ulicy Broniewskiego, przy Osiedlu Sztuk Pięknych. Okna mieszkania Sary były otwarte, w powietrzu unosił się zapach duchoty i pary wodnej.

Rozejrzał się na boki i naraz obraz miasta zastygł. Podrywające się do lotu ptaki zawisły w miejscu, niby w *Maszynie do ćwierkania* Paula Klee.auta, przechylone na zakręcie, ciążyły ku ziemi w nienaturalnym kształcie. Absolutna cisza przepełniała przestrzeń dookoła Leona Brodzkiego, tak jak absolutny smutek przepełniał jego pęknięte serce. W całym niewzruszonym obrazie tylko Szarik, pies rasy border collie, zdawał się nie przejmować pauzą, jaka stała się udziałem percepcji detektywa. Przysiadł, przechylił swój obficie przystrojony łatami pysk i posłał swemu panu troskliwe spojrzenie.

Brodzki zmarszczył brwi i wszedł do przedsionka budynku.

Ulica na powrót odżyła – auta ruszyły, a ptaki wzbiły się w powietrze. Tego Brodzki już nie zobaczył. Tylko pies spojrzał z zaciekawieniem na świat, który dopiero co spał. I odprowadził wzrokiem swojego pana.

– Grażyna Sędzimir. To jest program *Nasze sprawy*. A gościem jest pani Marta Gradowska, psycholog policyjny. Dobry wieczór.

– Dobry wieczór pani, dobry wieczór państwu.

– Czy w Toruniu jest bezpiecznie? O tym już za chwilę.

W studiu telewizyjnym, na tle nocnej panoramy Torunia siedziały dwie kobiety. Prowadząca była krótko obciętą brunetką po czterdziestce. W prawej ręce trzymała długopis, której włącznikiem nieustannie się bawiła. Gościła w studiu dziewczynę przed trzydziestką, w burzy loków opadających na smukłą twarz o wyrazistych kościach policzkowych, wąskich ustach i prostym nosie. Pierwszą z kobiet znali wszyscy, którzy oglądali toruńską kablówkę, podpiętą w niemal każdym bloku w mieście. Druga – dopiero niedawno zaczęła pracę w służbach. Przy prowadzącej wyglądała jak jej córka.

„Mogłam nie zakładać tej dzinsowej kurtki, wyglądam jak studentka...” – pomyślała Marta. Dziennikarka poprawiała papiery. Przed blatem stał ekran z podglądem tego, co emitowane jest na antenie. Telewizja pokazywała przebitki z mijających dni. Obrazom spod Ratusza Staromiejskiego i z mostu drogowego, gdzie odcinano wisielca, towarzyszyła dramatyczna muzyka. Marta spojrzała w stronę kabiny reżyserskiej. Prowadzący dyrygował w powietrzu rękoma, jakby przyjemność sprawiało mu podkładanie muzyki pod relacje z miejsc zbrodni. Utwór zbliżał się do końca.

Wydawca pokazał w kierunku studia podniesioną dłoń i wyszeptał, zginając kolejne palce:

– Trzy, dwa, jeden... – I dał znać wskazującym palcem, że program leci znów na żywo. Nad okienkiem zapaliło się czerwone światło z napisem „ON AIR”.

– W ostatnich dniach o Toruniu głośno było nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie – rozpoczęła prowadząca. Długopis w jej ręce pracował jak metronom, a głowa chodziła na boki jak u Elżbiety Jaworowicz w *Sprawie dla reportera*. – Głośne morderstwa, służby postawione w stan najwyższej gotowości – wszystko to wprawiło mieszkańców naszego miasta w duży niepokój. Pani psycholog, czym właściwie jest przemoc?

– Cóż...

– W dwóch słowach. Niedługo szansę pytań dostaną telewidzowie, ale mamy chwilę. Pani Marto, czym jest przemoc?

– Przemoc to tak zwany czyn bezprawny. Rzeczywiste użycie siły lub jej groźba.

– Co robią służby, jeśli do przestępstwa dojdzie? – dopytywała dziennikarka, próbując zyskać zaufanie gościa i pokazać widzom, że wie, o czym rozmawia.

– Służby natychmiast przystępują do rozpoznania, nadzoru nad podejrzanymi środowiskami. Poszukują osób ukrywających się, wykonują też czynności na miejscu zdarzenia...

– Pani Marto – przerwała jej prowadząca, poprawiając słuchawkę w uchu. Zrobiła strapioną minę, złożyła ręce jak do

modlitwy. – Mam na myśli, tu zwracam się w imieniu naszych widzów, jaką mamy gwarancję, że przestępstwa się nie powtórzą, a zbrodniarze zostaną ukarani?

– Służby robią co w ich mocy, by przywrócić bezpieczeństwo mieszkańcom.

– Czy ma pani na myśli detektywa Leona Brodzkiego?

Pytanie zaskoczyło Martę.

– Detektyw Leon Brodzki był tym, który zatrzymał grasującego po mieście przestępcę.

– Nie powstrzymało to jednak fali zbrodni.

– Sprawa jest rozwojowa, ale ciężko powiedzieć, jestem tylko psychologiem...

– Kto jest najbardziej zagrożony? – Prowadząca nie odpuszczała. Różnica wieku i wyglądu dawały jej przewagę. Prowadziła ten program od lat i wiedziała, na co może sobie pozwolić. Czyli niemal na wszystko.

– Służby robią, co w ich mocy, by sytuacja się nie powtórzyła...

– Ale co, jeśli będzie inaczej? Jest pani psychologiem, ma pani wgląd w statystyki. Proszę nam powiedzieć, kto jest najbardziej zagrożony? Podpowiem pani. – Tu prowadząca złapała się znów za tak zwane uszko, małą słuchawkę, w której słyszała głos wydawcy programu. Po chwili powtórzyła to, co jej powiedział: – Stopień ryzyka wiktymogenne. Wie pani, co to jest, prawda?

Marcie spociły się ręce. Wcale nie chciała przychodzić do programu – wysłał ją tu komendant Halicki.

„Sam, owszem, lubi błyszczeć w świetle reflektorów i kamer, ale tylko wtedy, kiedy mówi to, co chce. Dziwnie jest w tym mieście... W zasadzie komendant wchodzi w tyłek prezydentowi miasta i komendantowi wojewódzkiemu, choć jednocześnie wojewódzkiego chętnie by zastąpił. Czuje respekt przed prezydentem, prezydent z kolei chce mieć w mieście spokojny elektorat, który zagłosuje na niego w kolejnych wyborach. Umiejętnie szafuje poczuciem zagrożenia i poczuciem bezpieczeństwa. Gdy pojawia się zagrożenie, zapewnia, że przed nim ocali. Gdy czuć bezpieczeństwo, przypomina, że bez niego sielanka może się wkrótce skończyć. Do tego potrzebuje aparatu manipulacyjnego w postaci dyrektorów urzędów, instytucji, służb, a także mediów – telewizji kablowej w tym przypadku. Lokalna stacja spełnia dokładnie tę samą rolę, co tuba propagandowa polskiego rządu na antenie Telewizji Polskiej. Kabłówka jest podległa spółdzielni mieszkaniowej, której prezydent miasta sam był kiedyś prezesem. To telewizja, w której bodaj tylko raz w historii zdarzyło się, żeby wyemitowano materiał uderzający w jego decyzje. Telewizja, która w samej czołówce programu informacyjnego pokazuje prezydenta pięć razy. Zarządzanie ryzykiem to wspaniały biznes. Dwójmyślenie, jak u Orwella w *Roku 1984*. Ignorancja to siła...”

– Jaki jest stopień ryzyka wiktymogennego? – powtórzyła prezenterka.

– Jeśli pani dopytuje, odpowiem. Proszę państwa. –

Spojrzała na prowadzącą chłodnym wzrokiem. – Ryzyko zwiększa

młody wiek, poniżej trzydziestki. Im wyższy status społeczno-ekonomiczny, tym gorzej. Znaczenie ma także miejsce zamieszkania. Im większe miasto...

– Toruń nie jest znów aż tak dużym miastem... – prowadząca próbowała stonować wypowiedź Marty, która wyraźnie nabrała rezonu.

– Mam na myśli miasto powyżej stu tysięcy mieszkańców. Czyli na przykład Toruń, liczący dwa razy więcej. Kluczowy jest również wyjściowy styl życia i przynależność do grup mniejszościowych.

– Nie jestem pewna, czy nasi widzowie mogą teraz czuć się bezpiecznie. Na pewno jednak służby i pan prezydent zrobią wszystko, żeby...

– Ryzyko spada powyżej pięćdziesięciu pięciu lat. To zdaje się elektorat pana prezydenta?

– Słucham? Pani domniemanie...

– To badania sporządzone w czternastu krajach.

Prowadząca przełknęła głośno ślinę.

– Ryzyko spada przy niskim statusie społeczno-ekonomicznym, w małym mieście, przy domatorskim stylu życia. Innymi słowy – nikt nam nie zagrozi, jeśli nie wychylimy się sprzed telewizora do końca życia.

– I tu postawimy kropkę, a o pytania prosimy naszych telewidzów. – Kobieta poprawiła słuchawkę. – Dzień dobry, kto się do nas dodzwonił?

W słuchawce długo słuchać było tylko szum.

– Halo? Śmiało, jak panu, pani na imię? – Prezenterce nie schodził z oblicza przyklejony uśmiech.

– Daniel.

Marta pobladła. Złapała się za poręcz fotela i niepewnie spojrzała w stronę wydawcy. Pokręciła w jego kierunku głową, ale ten nic sobie z tego nie robił. Pokazał ręką, żeby kontynuować. Dziennikarka się uśmiechała, światło „ON AIR” się świeciło, a operator jeszcze bliżej podjechał z kamerą w stronę Marty, która mimowolnie spojrzała w obiektyw.

Dzwoniący na antenę człowiek widział teraz jej twarz bardzo dokładnie.

– Chciałbym pozdrowić panią Martę – rozbrzmiało w telewizyjnym studiu.

– Dziękujemy, panie Danielu, przekazujemy. – Prowadząca wskazała gestem na gościa, machając w jej stronę długopisem niczym batutą. – A jakie ma pan pytanie? Co pan sądzi o bezpieczeństwie w Toruniu?

Głos zaśmiał się do słuchawki. Wydawca programu wyraził zdziwienie i pokazał na zegarek.

– Sądzę... – zaczął rozmówca spokojnie. W słuchawce gwizdał wiatr, człowiek musiał stać na otwartej przestrzeni. – Sądzę, że wkrótce bezpieczeństwo znacznie się zmniejszy.

– Dlaczego pan tak uważa, panie Danielu? – ciągnęła dziennikarka, a jej twarz wciąż uśmiechała się jak oblicza znane z TV Mango.

– Zmniejszy się, ponieważ to ja jestem przemocą. A ciebie ktoś zerznie. I nikt nawet tego nie usłyszy.

Na antenie rozległ się pisk rozłączonego połączenia. Wydawca podskoczył jak oparzony. Wskazał gwałtownym gestem, że ucinają natychmiast transmisję. Plastikowy uśmiech nie schodził z twarzy dziennikarki, która zamarła, patrząc tępo w kamerę.

– No to ma pani odpowiedź – ucięła Marta.

Czerwone światło transmisji zgasło.

8

Osadzony w areszcie śledczym Kosma Górecki siedział spokojnie na pryczy, nasłuchując krzyków za oknem.

Wieczorową porą bardzo często w ten sposób komunikowano się z więźniami, ponieważ budynek mieścił się w centrum toruńskiej Starówki, tuż przy uliczkach, z których można było krzyczeć o każdej porze dnia i nocy. Rytuał trwał przez cały rok: ludzie krzykiem informowali o dacie procesu, terminie wizyty, narodzinach dziecka. Areszt ulokowany był w bezpośrednim sąsiedztwie wydziałów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika: Collegium Maius i Collegium Minus. To dlatego tę – podległą Okręgowemu Inspektoratowi SW w Bydgoszczy – jednostkę potocznie zwano Collegium Rotundum.

Zbudowany na planie panoptikonu walcowaty budynek mieścił obecnie stu trzydziestu dwóch więźniów. Przebywali tu aresztowani tymczasowo oraz skazani wyrokiem młodociani, odbywający karę po raz pierwszy oraz recydywiści penitencjarni. Żaden z nich nie był mordercą. Żaden oprócz Heraklita, wczoraj policjanta – dziś zabójcy.

Trafił tu zaledwie wczoraj, w niedzielę 4 września, po tragicznym finale na wieży Ratusza Staromiejskiego, w wyniku którego spadł na rozstawiony na ziemi skokochron strażacki, a następnie został aresztowany. Daniel, jego brat, pozostał na wolności.

Dziś popołudniu Kosmę przesłuchiwała psycholog policyjna Marta Gradowska.

– To koniec Heraklita – oznajmiła.

– I tak, i nie – odparł, uśmiechając się, a Marta nie wiedziała jeszcze wtedy, co to znaczy.

Gdy odprowadzono go do drzwi, strażnicy nie odmówili sobie kilku mocniejszych ciosów i uderzeń łańcuchem, które morderca przyjął ze spokojem. Trefni gliniarze w więzieniu mieli podwójnie gorzej – dorwać chcieli ich i mundurowi, i współosadzeni. Po zamknięciu celi słychać było, jak Kosma Górecki nuci melodię znaną z reklamy coca-coli:

– Święty Mikołaj przybywa, by spełnić te wszystkie cudowne sny...

Teraz osadzony czekał spokojnie na rozwój wypadków. Każdy odgłos policyjnej syreny za oknem napawał go szczęściem. Bo to oznaczało, że Daniel i jego pomocnik działają. Pozostawało trwać w celi, aż depesza nadejdzie.

Nie pomylił się.

– Worek z prezentami zapakowany. Elfy ruszyły do Laponii – krzyknął niski, ochrypły głos, niosąc się echem po Fosie Staromiejskiej, Piekarach i Franciszkańskiej. Niewyraźny cień stał na wysokości wejścia do budynku uniwersytetu.

– A nie chcesz, żeby zapakować ci w komin? – krzyknął ktoś z drugiego piętra. Z okien na wszystkich czterech kondygnacjach rozległ się diabelski rechot recydywistów.

– Worek z prezentami zapakowany. Elfy ruszyły do Laponii – powtórzył głos.

– Wora to mi możesz wylizać, cwelu! – zaśmiał się cienki głos z drugiej strony aresztu.

– Odsunąć się od okien! – ryknął strażnik z kołchoźnika. – Powtarzam, odsunąć się od okien.

Śmiechy powoli ucichły. Kiedy strażnik w wieżycze wartowniczej skierował reflektor na bruk ulicy Fosa Staromiejska, w cieniu drzew nie było już nikogo.

Kosma złożył ręce jak do modlitwy, po czym z całą siłą rąbnął głową w kant pryczy. Krew bryznęła po celi, jak sok ze zgniecionego pomidora.

– Strażnik! – wołał rozpaczliwym głosem i dreptał jednocześnie bosymi stopami po umazanej posadzce. –

Pomocy! – I uderzył głową raz jeszcze. Tym razem wstrząs był tak silny, że zachwiał się i rąbnął o ziemię. Ale przytomności nie stracił.

Po chwili w wizjerze pojawiło się oko strażnika. W pomieszczeniu rozległ się szczęk zamka i w drzwiach ukazali się dwaj pracownicy służby więziennej.

– No i masz. Dwa tysiące sto pięćdziesiąt złotych na start i dwadzieścia pięć lat służby w tym psychiatryku. Bez możliwości szybkiego awansu – zzymał się niedokładnie ogolony, niski, kwadratowy strażnik.

– Starczyłoby oddziałowym dać stopnie oficerskie –

odrzekł z fasonem jego kumpel, obcięty na trawnik służbista o ładnej cerze. – Jak tym, co nigdy celi nie widzieli, a ponoć są funkcyjni. Lepsza płaca powinna być za pierwszą linię. To my pilnujemy takich pojebów jak ten, nie ci z za biurka.

– Niby jo, ale na stopień oficerski trzeba się przyuczyć. Lekarzem też nikt nie jest po liceum – zastanawiał się kwadratowy, patrząc na Kosmę bez troski.

– Znajdzie się jakiś Misiewicz, poczekaj tylko – zaśmiał się służbista.

– Co z nim robimy? A jak kojtnie w celi? – dopytywał kwadratowy.

– Nie kojtnie. Sam sobie ożenił kosę.

– Bierzemy do ambulatorium?

Służbista wrócił na korytarz, kwadratowy również cofnął się o krok.

– Po moim trupie, że będę zdechłego psa targał. – Rzucił na ziemię rulonik bandażu i zatrzasnął drzwi z hukiem. – O ósmej będzie lekarz, to mu da ibuprom.

– Jebał was pies – syknął pod nosem Kosma.

Mieszkanie Sary było otwarte jak wieko trumny.

Uchylone drzwi, niczym w starych filmach sensacyjnych, już z półpiętra informowały o złamaniu odwiecznego prawa nienaruszalności przestrzeni prywatnej.

Kiedy ludzie po raz pierwszy postawili ściany, a następnie zamknęli przestrzeń wrotami, przyszedł czas na rygle, a potem zamki. Tak oto przez tysiące lat człowiek przyzwyczał się do odwiecznej opozycji zamknięte–otwarte oraz do terminów, które sam stworzył: „teren prywatny”, „wstęp wzbroniony”. To na ich kanwie reżyserzy filmowi i twórcy kryminałów zbudowali napięcie w słynnych scenach, gdzie drzwi do czyjegoś mieszkania były uchylone. Zawsze w takiej sytuacji należało zadać sobie pytanie: „Czy złoczyńca jest w środku?”.

„Nikogo tam nie ma – pomyślał Brodzki. – Nie po to cała szopka, żeby wyłożyć się na takim szkolnym błędzie. Oczywiście moja pewność może mieć źródło w konstatacji, że nawet nie mam ze sobą broni. Idee są podobno kulo odporne, ale wolę tego dziś nie sprawdzać na sobie”.

Tego dnia naruszona została przez intruzów ogólnie przyjęta zasada miru domowego. Gwałt na prywatności był tym bardziej dotkliwy, że dotyczył lokalu zamieszkiwanego przez córkę tego, który przybył tu po złoczyńcy.

„Ostatnio byłem tu w piątek popołudniu. Sprzeczailiśmy się z

Sarą o coś, chyba o papierosy... Są ślady włamania? Hmm, zamek nienaruszony, niewyszczerbiony. Drzwi – ciężkie, markowe, dobrze naoliwione, cicho szurają przy otwieraniu. Deweloper się postarał o bezpieczeństwo najemców. Włamywacz miał po prostu klucz. Dostać go mógł tylko od Sary...”

Brodzki przyjrzał się dołowi drzwi. Zamontowany był tam filc, wygłuszający i chroniący podłogę przed zarysowaniami. Spojrzał na tył.

„Normalnie filc zbiera kurz. Tu go nie ma. Podłoga jest wymyta. Gdzie jest mop albo sprzęt do mycia?”

Nie mógł go znaleźć. Zauważył za to, że w pokoju jest dość ciemno – słońce nie wpadało już tu o tej porze, ale i rolety były w części przysłonięte. Sięgał już po przycisk, mieszczący się zaraz przy framudze, ale zawahał się.

„Odciski do zdjęcia – przycisk światła, rolety, spłuczka... Czy to ma sens? Po pierwsze: czy tak skrupulatny zbrodniarz zostawiłby jakieś odciski? Po drugie: co mi po nich? Jednym ze śladów, jakie naprowadziły mnie na trop porywacza, Daniela, był włos rudego kota. Gdy byłem tu w piątek, zauważyłem, że Sara miała taką sierść na ubraniu. Wspominała między słowami o kimś, z kim się spotyka, na stole były też dwa brudne talerze. Sztućców nie pamiętam. Kota w takim kolorze spotkałem w sobotę koło domu przy Drodze Trzeposkiej, gdzie odwiedziłem wdowę po Szabańskim, Izabelę Otwinowską. Tam cudem uniknąłem śmierci. Z krzaków wyjechało auto, sunęło jak oszalałe. Najpewniej bym zginął, gdyby

w ostatniej chwili spod kół pojazdu nie wyciągnął mnie Żółtko. Tomek...” – Brodzki przerwał strumień świadomości, a przed oczami stanęła mu postać młodego policjanta, którego nazwał Cyrenejczykiem. – „Tam widziałem kota i ten kot właśnie pozwolił mi połączyć fakty: to, że moja córka spotykała się z przestępcą. Daniel jest skrupulatny. Wrócił tu, by pozbyć się śladów. Skoro jednak znana jest policji jego tożsamość, po co tuszować ślady? Dlatego że ma coś na sumieniu? Czy kartoteka z odciskami palców by coś o nim powiedziała? Czy tak metodyczny zbrodniarz nie pozbyłby się odcisków na opuszkach?”

Brodzki sięgnął do kieszeni swojej sportowej kurtki po zdjęcie z fotoradaru, jakie wręczył mu dziś komendant Halicki, i przyjrzał się uważnie postaci kierowcy. Była to fotografia dość oryginalna – zrobiona autu, które przekroczyło prędkość podczas... ucieczki przed policyjnym pościgiem.

– Mam cię, gagatku. Po co ci lateksowe rękawiczki? – powiedział pod nosem, wskazując na ręce porywacza na fotografii. – A więc jest szansa na odciski.

Po czym kontynuował rozmyślenia:

„A może zabrał coś należącego do Sary? Coś, co będzie kartą przetargową, dowodem na to, że dziewczyna żyje? Albo mylnym tropem, rozrzuconym na końcu Polski dla zmylenia pościgu? Nie oszukasz mnie, gnojku! Myśl, Brodzki. Skup się na śladach, nie myśl o córce. Emocje potrafią wyostrzyć zmysły, kiedy walczysz o przetrwanie i unikasz ciosów nożownika. Wtedy strach napędza

błądźnik. Ale tu potrzebna jest chłodna analiza. Falsyfikacja, sprawdzanie wszystkiego pod światło tak długo, dopóki inna wskazówka nie okaże się precyzyjniejsza”.

Pierwszy od wejścia był aneks kuchenny z wyspą. Brodzki schylił się, złapał za spód drzwiczek i otworzył szafkę z koszem na śmieci – wiadro było opróżnione. Za blatem znajdował się podłużny salon. W jego centralnym miejscu, nad kanapą wisiała reprodukcja obrazu Caspara Davida Friedricha *Wędrowiec w morzu mgły* w antyramie.

Brodzki zauważył, że w mieszkaniu coś się nie zgadza.

„Nie zgadza się ten porządek. Sara nie była bałaganiarą, ale przestrzeń jej życia odpowiadała osobliwemu łaadowi w jej głowie – nieregularnym, przestawialnym elementom, źródłom inspiracji, detalom. Pozorny chaos Sary zawsze dało się wytłumaczyć jej percepcją. Tymczasem tu... Tu wszystko jest na miejscu, zwyczajnie poukładane. Łącznie z...”

Na stojącym przy oknie dużym blacie Leon dostrzegł zdjęcie. Stało w ramce, dokładnie w tym samym miejscu co ostatnio, gdy tu był. Było to zdjęcie dwójki dorosłych ludzi i dziecka – Leona i Dagmary oraz Sary. Wykonane dziesięć lat temu nad kanałem w Darłowie. Z mewami w powietrzu, przepływającymi kutrami, elewatorami zbożowymi w tle.

„Z uśmiechami na twarzach, które mówią: to jesteśmy my, nasza rodzina. Nasze trio, nierozzerwalny team Brodzkich. Czy aby na pewno? Już wtedy wszystko się psuło. Już nie mieszkaliśmy razem,

ale dla małej Sary robiliśmy wiele, by czuła się kochana”.

Brodzki przeszedł przez salon i chwycił ramkę. Uchylił balkon, wyjął zdjęcie, zbliżył je do oczu. Blask latarni ulicznych niemrawo dochodził do wyższych kondygnacji budynku.

Oczy detektywa zaszklily się.

Patrząc na twarze dwóch kobiet, które kochał najbardziej na świecie, nawet nie zauważył, że ruch na ulicy znów zamarł. Tak jakby sekundy rozciągnęły się do godzin, a godziny do dni.

Przypomniał sobie obrazy, jakie śnił w minione noce. Z czwartku na piątek była to Sara topiąca się w Wiśle.

Tato, tato, ratunku! – krzyczała w jego śnie, gdy jej głos niósł się po tafli gładkiej jak lustro.

Już biegnę, utrzymaj się na powierzchni!

Teraz, gdy był kilkanaście metrów od niej, skoczył do wody. Punkcik się oddalał, ale Brodzki nie dawał za wygraną. Kiedy go w końcu dopadł, w ręku zostało mu tylko ubranie córki.

Obudził się wtedy z krzykiem.

„Weź się w garść. Musisz znaleźć córkę. To twój obowiązek jako ojca. To twoja wola i twoje serce. Krew z krwi. I oko za oko”.

Gdy cofnął się do mieszkania, spostrzegł na kanapie oprawioną w antyramę kartkę formatu A4.

„Pamiętałaś...”, przypomniał sobie i zrobiło mu się ciepło na sercu. Dopiero co przyniósł Sarze dyplom, jaki otrzymał na zakończenie służby. Wiedział, że córka jest artystką, zna się na oprawianiu, obrazach, tłach i tych wszystkich rzeczach, o których

on nie miał bladego pojęcia. Ale rozstali się w kłótni. Gdy widzieli się w sobotę u Franka Brodzkiego w ośrodku, nie było lepiej. Te same wyrzuty, ta sama tęsknota za ojcem, dla którego zawsze praca była ważniejsza od rodziny. W niedzielę spotkali się na jej wernisażu. Był z niej dumny, a ona z dumą szła z nim pod rękę przez galerię. Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie: porwanie Franka, pościg. Dzień później Sara zniknęła.

– Pamiętałaś – powtórzył na głos Leon, ale gdy wziął dyplom do ręki, naraz pobladł. Pod pięknie oprawionym papierem, na którym napisano: „Za wzorową i oddaną służbę na rzecz mieszkańców Torunia, wykonywaną w wydziale kryminalnym komendy Toruń Śródmieście”, pod dyplomem tym widniały dwa podpisy. Pierwszy wyglądał znajomo, napisano „Komendant Gromosław Halicki”. Drugi był świeższy.

– Z poważaniem, Heraklit – wycedził Leon. – Ty skurwysynu! – I cisnął dyplomem o ścianę.

Szkló rozprysło się po podłodze. Rama została przez Brodzkiego rzucona tak niefortunnie, że jej ostry bok przebił szkló w antyramie reprodukcji obrazu *Wędrowiec w morzu mgły* i rozciął papier. Wędrowiec miał teraz odciętą głowę.

Brodzki zacisnął mocno oczy w skupieniu. Gdy wreszcie powoli wypuścił powietrze, z oczu spłynęła mu jedna łza. Przemknęła policzkiem, ominęła łukiem usta, zawisła na brodzie jak linoskoczek, po czym siłą grawitacji oddzieliła się od skóry i runęła ku podłodze. Słona ciecz spadła na dyplom, pokrywając mokrą

obwódką złożony na papierze podpis „Heraklit”.

10

Daniel poprawił talerz odbiornika satelitarnego i oparł się o metalową wieżyczkę. Wiatr omiatał niespiesznie jego długie, kruczoczarne włosy, a chuda sylwetka tylko nieznacznie odznaczała się swoim konturem na tle ciemniejącego nieba.

Na telefonie pojawiło się połączenie przychodzące. Dzwonił obcy numer.

– Mikołaj wie o prezentach – powiedział niski głos.

– Ho, ho, ho... – mruknął pod nosem Daniel. – Wypadałoby wypić jakiś toast za śmierć. Może napar z nagietka?

– Nie za pedalskie? – spytał niepewnie człowiek w słuchawce.

– Jak ty mało rozumiesz. – Daniel się rozłączył.

Rzucił okiem na pion schodów i nadstawił uszu. Z głębi nie dochodził żaden odgłos. Stał przodem w stronę jaśniejszej części nieba, gdzie niedawno zaszło słońce. Błękit przechodził tu w granat wolniej niż gdzieindziej.

Ziarno niepokoju, zasiane kilka dni wcześniej, teraz przynosiło plon strachu. Spokojny był tylko siewca.

Brodzki zabrał rodzinne zdjęcie ze stołu i pognął na dół. Było już zupełnie ciemno, gdy wybiegł z bloku o przeszklonych balkonach, nazywanego kąśliwie „akwarium”. Detektywa przywitało szczekanie Szarika.

Latarnie rozświetlały ulicę Broniewskiego mlecznym blaskiem, w powietrzu roznosił się zapach z pobliskiej pralni. Brodzki przeszedł bramą na tyły bloku i zanurkował w kontenerze na śmieci.

Dochodził z niego niesamowity fetor. Taki, jaki w upalne dni daje się czuć w okolicach smażalni ryb i warzywniaków. Zapach zgnilizny.

Brodzki wyskoczył z kontenera, nie znalazłszy nic, co przykułoby jego uwagę.

– Co tak dziwnie patrzysz? – spytał psa, który przechylił głowę i zaszcekał. – No co? – Schylił się, by go pogłaskać, ale pies odskoczył.

Dopiero teraz Brodzki zauważył, co tak wystraszyło psa.

Jego buty były umazane krwią.

Stał w półcieniu migającej żarówki, zastygły w tej pozie, i przypatrywał się rubinowej plamie, która wypływała spod jego podeszw.

„Brodzki, myśl. To na pewno nie jest krew Sary. Jesteś detektywem, falsyfikujesz, szukasz dowodów i sprawdzasz je pod

światło jak lichwiarz dukaty. To jeszcze nic nie znaczy. Weź się w garść!”

Ręce mu drętwiały. Po nich także plecy i kark. Miał wrażenie, że zastyga w podłożu, jak te ciała z Herkulanum i Pompejów po wybuchu wulkanu. Zatrzymane w pozie krzyku i przestachu. Był to ten moment, kiedy mózg nie może dłużej oszukiwać ciała. Świadomość gorączkowo szukała racjonalnych argumentów. Podświadomość odczuwała niepokój.

Decydującym graczem była superświadomość. Superkomputer w głowie detektywa. Ten wielki serwer z olbrzymim procesorem, który zrozumiał sytuację już w piątkowe południe, kiedy znaleziono napis „Brodzki jest winny”. Superświadomość Brodzkiego łączyła fakty dużo szybciej. Sterowała również fluktuacją związków chemicznych, od adrenaliny i oksytocyn, po dopaminę i serotoninę.

W tym momencie nastąpiło w niej zwarcie i Brodzki zatrzymał się jak maszyna bez dopływu energii. Nie było to jednak zatrzymanie takie, jakie stało się udziałem aut i ptaków, które przed kwadranssem obserwował na ulicy. Ciało po prostu odcięło dopływ prądu po to, by nie uszkodzić organizmu. Maszyny.

„Mam tak spięte mięśnie, że byle szarpnięcie rozerwałoby je na kawałki. Czy ja mam atak paniki? Czy ja...”

– To na czerninę – krzyknęła kobieta po ondulacji. Stała z małą siatką z logotypem Żabki, w drugiej ręce trzymała worek z praniem. Miała lekko po sześćdziesiątce. – U nas to jak w *Alternatywach 4*. Niby ludzie w mieście mieszkają, ale w duszy

człowiek ciągle biega do wychodka. Brat mi nawiózł ze wsi i słoik poszedł na schodach. Nie pokaleczył się pan? Bogumiła Bogusz, do usług.

Spięcie naraz Brodzkiemu minęło.

– Brodzki... Co pani mówi? Że to czerwone to nie krew?

– Ależ krew, panie, krew. Tylko że kaczkę – mówiła, jakby roztrzaskiwanie słoików ze zwierzęcą krwią było równie częste co wizyty w McDrivie. – Mam tu papierowe ręczniki, wytrze się pan. Za dużo nie dam, bo drogie tu. Mówią „mały wielki sklep”, a powinno być „mały drogi”.

Brodzki stał jak oniemiały, powoli wracała mu świadomość.

– Dziękuję pani. – Wziął ręcznik i zaczął wycierać buty.

– Pytanie tylko, co pan robił w śmietniku? Na bezdomnego pan nie wyglądasz...

– Leon Brodzki, sekcja kryminalna komendy Toruń Śródmieście. Doszło tu do włamania.

– Matko Bosko, pod jaki numer? – spytała kobieta, składając ręce na piersiach.

– Siódemka.

– Ach, to śliczne dziecko – wzruszyła się Bogumiła.

Na te słowa Brodzkiego zakłuło w serce.

– Zna ją pani? – spytał, przecierając buty.

– Taka coś jakby malarka. Ostatnio z takim drugim artystą się prowadzali. Chudy, długie włosy... – Brodzkiego zakłuło po raz drugi. – I mówi pan, że włamanie? A kiedy?

– Prawdopodobnie dziś, niedawno.

– Ostatnio tyle się w mieście działo, że człowiekowi aż w głowie się kręci. Słyszał pan o tym mordercy? Podobno złapali zbira. Dziewczynę w ciąży zamordował, kibiców chciał żywcem spalić. Zwierzę nie człowiek. No to co tam przy tym jakieś włamanie, prawda, piesku? – podrapała Szarika za uchem.

– Rozumiem. – Brodzki kończył czyszczenie butów. –

Nie widziała tu pani nikogo podejrzanego? Bo ja właśnie dlatego tu się kręciłem przy koszu.

– Czy ja kogoś podejrzanego widziałam... A mój mąż się liczy? – zaśmiała się Bogumiła. – Bo on zawsze, kiedy wraca do domu, to wygląda, jakby coś przeszkrobał. Zwłaszcza kiedy wraca z kwiatami.

– Rozumiem, dziękuję... – Brodzki ruszył w stronę wyjścia z podwórza bloku.

– Tu to spokój. Nowe osiedle, nowe bloki, wszędzie kamery, to kto miałby się tu kręcić. Była tylko popołudniu ekipa z MPO. Śmieciarze znaczy.

Brodzki zatrzymał się.

– Śmieciarze? Popołudniu?

– Też się zdziwiłam. Właściwie to jeden człowiek, w pomarańczowym kombinezonie.

– Czy nie wyglądał jak ten chłopak, o którym pani mówiła? Chudy, wysoki? – dopytywał Brodzki.

– A nie, przeciwnie. Dobrze zbudowany. No gdzie taka chudzina do takich worków? Grzeczny chłopak, przywitał się. Także na

pewno nie tamten, co się z tą młodą prowadzał, jak mówiłam, artyści z tego pobliskiego wydziału sztuk pięknych. Zdrowy chłop, dobrze karmiony. Uszy miał tylko śmieszne. Jak różyczki.

Brodzki rozejrzał się po ścianach budynku. Naliczył dwie kamery.

– Uprzedzę pana pytanie. Kamery są i kamer ludzie się boją. No bo nie wiedzą, że nie działają. Ja widziałam na filmach, że policja sprawdza te, no, monitory...

– Monitoring – poprawił ją Leon.

– No to u nas nie działają. Także mówię, niby człowiek się do miasta przeprowadził, Osiedle Sztuk Pięknych nazwali to tu, a balkony przezroczyste, że się z sadłem człowiek rozwalić nie może ani gaci poprać, bo co ludzie powiedzą? Jedzenie w plastiki robią, w tych Żabkach i innych sklepach, co to nic z warzywniakiem wspólnego. A jak człowiek coś właśnie prawdziwego, z natury zje, jak taka kaszanka czy czernina, i nie daj Bóg słoik pójdzie, to ludziska mówią: „fetor”! Toć to sama natura. Wolę osobiście zapach nawozu na polu od tych makdonaldów. A bo to wiadomo z ilu zwierząt ten zapach? Czernina wiem z czego. Kaczucha imię nawet miała...

Kobieta w ondulowanych włosach zorientowała się, że jej wywód był zupełnie nie na temat.

– No więc, co to ja chciałam, to rzec, co następuje. Kamery, monitory te... nie działają. Przykręcili, na pokaz, no mówię, *Alternatywy 4*. Ale jedyny monitoring to takie babinki jak ja, w

oknie.

– I dzięki Bogu, że chociaż ten monitoring działa. Bardzo pani pomogła. – Brodzki ruszył z psem w stronę ulicy.

– Różyczki, pamięta pan – rzuciła z przestrogą.

W rejestrze przebywających w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym imienia Ludwika Rydygiera na toruńskich Bielanach można było w poniedziałkowy wieczór znaleźć dwie osoby, które łączyło coś więcej niż to samo imię. Były odbiciem tej samej historii, rewersem i awersem jednej rozgrywki na śmierć i życie.

Na Oddziale Intensywnej Terapii i Patologii Noworodka, w inkubatorze dochodził do siebie noworodek przywieziony w stanie krytycznym w piątkowe południe. Według doktor Natalii Kaklińskiej, która dokonała resuscytacji krążeniowo-oddechowej, chłopczyk urodził się nie *post mortem* – jak podejrzewała policja – ale w wyniku porodu naturalnego. Dano mu na imię Tomasz.

Drugi rezydent szpitala o tym samym imieniu przebywał w innej części szpitala. Był tym, który małego Tomaszka ocalił od śmierci, a jednocześnie niejako z jego powodu znalazł się w tym samym budynku co noworodek.

Pochodził spod Nakła nad Notecią. Jego ojciec zmarł, zanim on przyszedł na świat – był więc pogrobowcem. Matka odeszła trzy lata później. Wychował go dziadek, kolejarz z AK-owską przeszłością, oraz babcia, emerytowana pielęgniarka. Dawali mu dużo swobody, za którą odwdzieczył się uczciwością i sumiennością, by wkrótce ukończyć akademię i zostać aspirantem policji. Na komendę dotarł, kiedy Brodzki przechodził na emeryturę. W normalnych okolicznościach nigdy by się nie poznali, ale los chciał

inaczej. Gdy dyspozytor przekazał informację o zdarzeniu koło cmentarza przy ulicy Sportowej, Żółtko przyjął zgłoszenie i – wspólnie z sierżantem Jackiem Nowakiem – pojechali na miejsce. Tam, w zniczomacie znaleźli ludzki palec.

Zaraz potem, słuchając się intuicji, Żółtko ruszył na poszukiwania ofiary. Wkrótce odnalazł zamordowaną Laurę Mostowicz oraz wyziębionego noworodka – Tomasza właśnie. Dyndał na pępowninie, umazany krwią, dokładnie u stóp swojej zamordowanej matki. Dzięki Żółtce – przeżył.

Policjant został wkrótce włączony do śledztwa. To on dowiedział się, jak Laura zginęła z ośrodka opiekuńczego we Włocławku. To on znalazł Dżokera i nagranie, na którym widać Laurę i auto żony komisarza Halickiego. To on wreszcie nie wahał się ruszyć na pomoc detektywowi Brodzkiemu, gdy ten walczył na wieży Ratusza Staromiejskiego z Kosmą Góreckim. Został wówczas postrzelony. Stracił trochę krwi, ale zyskał nowego przyjaciela – w osobie Brodzkiego właśnie. Byli do siebie podobni: Brodzki był wzorem, którym Żółtko chciał się kiedyś stać, Żółtko był zaś pełen wiary, którą Leon dawno stracił. Byliby niezłym tandemem.

Z Sarą polubili się od pierwszego wejrzenia. Odwiedziła go jeszcze rano na oddziale, pocałowała go. Czy związek z córką najgroźniejszego gliniarza w Toruniu mógł mieć szanse powodzenia? Tego się już nie dowiedział. Intuicja go zawiodła – dał się podejść mordercy, gdy przyglądał się w szpitalu uratowanemu przez siebie dziecku.

– Biedny dzieciak, co? Jest zupełnie sam na tym świecie – rzucił Żółtko do człowieka w kitlu.

– Tak, panie Tomaszu. Sam jak palec. – I weszli do gabinetu.

Co się wydarzyło potem – to miało ustalić śledztwo.

Teraz i dziecko, i policjant przebywali na Bielanach. Różnica między tymi dwoma rezydentami szpitala polegała na tym, że policjant – w przeciwieństwie do dzieciaka z inkubatora – leżał już w chłodni i nie miał pulsu. To Leon Brodzki dostrzegł dziś popołudniu jego wiszące na przęśle ciało.

Teraz na karteczce u palucha lewej stopy denata widniało: „ŻÓŁTKO, TOMASZ”, choć ciało wciąż czekało na sekcję. Podobnie jak ciała z karteczkami „DAKTYLOWICZ, KAROL” – technik policyjny, „POKORSKA, JANINA” – nazywana przez Brodzkiego po prostu Janką i „WICHROWSKI, STANISŁAW” – pracownik stacji benzynowej przy ulicy Lelewela w Toruniu. Wszyscy zginęli z rąk duetu Góreckich.

W metalowej misce obok stołu sekcyjnego leżały strzaskane okulary. Okulary Harry’ego Pottera, jak nazwała go Sara. Cyrenejczyka, jak – co już ustaliliśmy – nazwał go Leon. Żółtka, jak przezywał go Nowak. Króla Maciusia I, jak żartobliwie tytułowała go babcia.

Dwóch Tomaszów na dwóch biegunach życia. W językach hebrajskim i aramejskim imię Tomasz oznacza bliźniaka.

13

– Rozumiem, Szczepan. Żonę pozdrów! – Człowiek o nadmuchanej twarzy odłożył słuchawkę telefonu stacjonarnego. – Musiałem się upewnić u kolegi, na słowo dzisiaj wierzyć nie zawsze można. Ale swój pozna swego, może pan wejść na wydział i sprawdzić pracownie.

– Dziękuję panu, panie... – Brodzki przyjrzał się tabliczce na biurku dozorczy Wydziału Sztuk Pięknych. – Panie Symfonianie.

– Prawda, że mi krzywdę zrobili? Matkę zawsze do sztuki ciągnęło, ale najbliżej jej było do sztuki mięsa. No i widzisz pan, wylądowałem zamiast w filharmonii to jako cieć u artystów.

– Mundur to mundur. Szczepan stróżuje w bibliotece, ja na ulicy, pan tu.

– Tak jest! – krzyknął jak szwoleżer pod Samosierrą. – Porządek musi być!

– Dziękuję, rozejrzę się.

– Tylko szafek niech pan nie rozwała jak tam...

– Szarik, idź poszukaj czołgu – zaproponował psu. – Ja pokręcę się tu chwilę.

Pies skinął pyskiem. Brodzki puścił mu oko i ruszył w głąb korytarza, zostawiając za sobą mokre ślady butów. Szarik zostawił drobne ślady łap.

Leonowi przypomniała się sobotnia wizyta w Bibliotece Uniwersyteckiej, gdzie poszukiwał dzieł Heraklita. Wpuścił go tam

przyjaciel, wspomniany Szczepan. Były gliniarz musiał potem bardzo żałować tej wizyty, kiedy Leon roztrzaskał dwie szafki, w których morderca zostawił wskazówki dla policji.

Wydział Sztuk Pięknych zajmuje piękny budynek na rogu Broniewskiego i Sienkiewicza. W roku 1945 mieścił się tu szpital wojskowy. Teraz uczelniany gmach otoczony wysokimi lipami szumiał liśćmi, które uginały się pod naporem ciepłego deszczu.

Ochroniarz Symfonian nawet nie udawał, że zamierza ruszać się ze swojej portierni. Zbyt mocno pochłonięty był wieczornym programem informacyjnym, który nadawała lokalna stacja telewizyjna. Na ekranie pokazano owalny budynek toruńskiego aresztu śledczego.

– To właśnie w tym więzieniu przebywa morderca, który w minione dni nie pozwolił torunianom spokojnie zmrużyć oczu. Były policjant o pseudonimie „Heraklit”. Trwają poszukiwania Sary Brodzkiej, studentki malarstwa na toruńskim uniwersytecie... – Symfonian przybliżył się do telewizora. Pokazywano ujęcia zakorkowanego mostu, wozy policji i straży pożarnej. W kadrze pojawił się w końcu komendant Halicki. Z dużym nosem, spoconym czołem, źle zawiązanym krawatem.

– Sprawę przejęła prokuratora, ściśle z nią współpracujemy.

– Jakie podejmą państwo działania w związku z telefonem z pogrózkami, jaki słyszeliśmy dziś na antenie? Mężczyzna imieniem Daniel groził, że...

– Daniel to takie zwierzę, panie redaktorze. Gatunek ssaka z

jeleniowatych. Bez komentarza. Z uwagi na dobro śledztwa nie możemy ujawniać szczegółów, ale ze względu na charakter sprawy odsunięto od niej tymczasowo podkomisarza Leona Brodzkiego. Jego osobiste zaangażowanie mogłoby zaważyć na toku śledztwa. Wszyscy martwimy się o detektywa, którego w minionych dniach spotkała podwójna tragedia. Najpierw śmierć ojca, teraz zaginięcie córki...

Ochroniarz wychylił się z dyżurki. Z głębi korytarza słychać było ciche echo kroków i skrzypienie prowadzących do pracowni rzeźby drzwi. Kiedy się zatrzasnęły, cofnął się do dyżurki. Zdjął słuchawkę z widełek starego aparatu i wbił numer 112.

W pracowni rzeźby pachniało gipsem i antykiem, a przestrzeń wypełniała maestria formy i piękno wyrzeźbionych w różnych tworzywach sylwetek ludzkich. Jak w gabinecie doktora Caligari.

Sala wypełniona licznymi pracami rzeźbiarskimi przywodziła na myśl dziesiątki zdjęć, reprodukcji i rysunków przedstawiających idealne w proporcjach wizerunki wodzów i filozofów. Jak Juliusz Cezar czy Heraklit. Pograżone w półmroku dzieła objawiały się w zupełnie nowym kształcie: światło i cień są tym, co powołuje do życia rzeźbę, ale także fotografię, film, malarstwo... i pogotowie elektryczne.

Brodzki nadusił włącznik światła, ale to nie zaskoczyło. Obok, przy wejściu dostrzegł jednak listę studentów, rozkład zajęć i tabelkę z rezerwacją stanowisk pracy i materiałów. Na tej samej kartce widniały dwa znane detektywowi personalia: Sara Brodzka, Daniel Górecki.

Ruszył przez salę. Miała wysoki sufit i sięgające sklepienia witrażowe okna. Piec komorowy do wypalania ceramiki, piec kręgowy, do którego prace wkłada się od góry. Dalej – walcarka, odstojnik, areograf ze sprężarką. Sprzęty w rodzaju wiertarki udarowej, szlifierki stołowej, piły tarczowej. Nieco dalej – toczki malarskie, piecyk olejowy z termostatem, narzędzia sztukatorskie, skrobaki, pogłębiacze, cykliny, szczypce, wałki, sita, pędzle, dłuta, podbijaki, cyrkle, kawalety rzeźbiarskie... Tak, zaopatrzenie

pracowni robiło wrażenie.

Obszedłszy pracownię, dotarł do stołu, który zarezerwowany był ostatnio przez Daniela. Spojrzał na spoczywające tam przedmioty... i oniemiał.

To, co zobaczył, nie mogło być prawdziwe. Przeczyło percepcji i logice. Tak jak kiedyś pociąg wjeżdżający na stację kolejową w filmie braci Lumière, przez który wystraszeni widzowie wybiegali z sali. Jak projekcje komputerowe na fasadach budynków, w trakcie których gapie mają wrażenie, że budynki zaraz się na nich przewrócą.

To wszystko mogło być punktem odniesienia dla detektywa, ale... nie było nim.

Bo Brodzki myślał racjonalnie, nie emocjonalnie. Falsyfikował, mówił „sprawdzam!” za każdym razem, kiedy czuł, że życie podsuwa mu blef. Czy tak było i tym razem?

Detektyw chwycił popiersie manekina i podszedł z nim do okna. Wysoko na niebie wisiał księżyc, który łypał teraz swym światłem porozumiewawczo w okno pracowni rzeźby, podświetlając znane z mitologii gipsowe oblicza posągów.

Leon Brodzki patrzył na swoją twarz, choć nie spoglądał w zwierciadło. Trzymał swoją twarz w dłoniach. Wrażenie było tym bardziej upiorne, że wyglądała ona jak prawdziwa. Naciągnięta na manekina, uformowana na kształt maski straszyla czarnymi oczodołami i otworem gębowym. W dotyku i wyglądzie przypominała prawdziwą skórę.

„Maska człowieka zasypanego w Pompejach” – przeszło mu przez myśl.

Wtem dało się posłyszeć szczekanie Szarika. Przez grube szkło okien zabytkowego budynku do pracowni wpadły niebieskie światła policyjnego koguta.

A wtedy, trzymając w rękach swoją zastygłą twarz, Brodzki przypomniał sobie, że podczas erupcji Wezuwiusza, która obróciła tysiące istnień w taki właśnie zastygły gips... Tak, przypomniał sobie, że ostatnim dźwiękiem przed katastrofą było właśnie ujadanie psa na łańcuchu.

Podszedł do okna wychodzącego na tyły budynku. Zawias puścił z trudem.

W alejce przed budynkiem czekali komendant Halicki i sierżant Jacek Nowak. Srebrno-błękitny radiowóz marki Kia mókł w deszczu, a niebiesko-czerwony kogut rzucał światło na pobliskie drzewa i ściany budynku.

– Wiesz, że nie możesz działać na własną rękę, Leon – rzucił na przywitanie komendant Gromosław Halicki. Był wyraźnie zmęczony, musiał aż oprzeć się o auto.

– Co nie znaczy, że masz mi te ręce związywać. A może jednak? – spytał Brodzki, podnosząc dłonie jak do skucia kajdankami. – Nie spocznię, póki nie wpadnę na trop Sary.

– Rozumiem, ale musisz mnie o wszystkim informować. Dla dobra śledztwa. Słyszysz, Leon?

– Dla dobra sprawy czy dla twojego własnego dobra? – syknął, ale zaraz pożałował tych słów. Mógł o Halickim wiele powiedzieć, ale ponieważ komendant przysiągł dziś popołudniu, że nie spocznie, póki Sara się nie znajdzie, ochłonął. – To z nerwów, Gromek.

– Prokuratora zbiera materiały, patrole posłane w miasto. Badamy wszystkie wątki. Złapiemy skurwysyna.

– Tak bardzo chciałbym ci wierzyć, przyjacielu.

– Odpocznij, stary psie. Jutro pogrzeb twojego ojca. Pochowamy go ze wszystkimi zaszczytami.

– I z całą przeszłością? – spytał zagadkowo detektyw.

– Nie rozumiem...

– Wciąż nie daje mi spokoju to, co mówił Heraklit. A w zasadzie, co mówili obaj bracia.

– To niezrównoważeni psychopaci i nie można wierzyć we wszystko, co pierdola, Leon. Tym groźniejsi, że nieprzewidywalni.

– Dopiero co mówiłeś, że wszystko będzie dobrze.

– Bo będzie. Ale najpierw załatwmy sprawy zmarłych. I wiesz, co? Jeśli prokurator się zgodzi, dopuszczę cię do Kosmy, żebyś mógł go przesłuchać. Oczywiście w obecności psychologa i strażników. Tylko muszą go najpierw pozszywać.

– Stłukli go?

– Sam się stłukł. Miał nadzieję, że go wezmą do szpitala i ucieknie. Dostał tylko bandaż.

– A co z Żółtko? Kiedy sekcja? – dopytywał Brodzki. Nowak spojrzał w jego stronę, był wyraźnie poruszony.

– Nie wiemy, w co wsadzić ręce, Leon... – Halicki opuścił ramiona.

– Kiedy w piątek znaleziono Laureę, mówiłeś, że martwe ciała nie mogą czekać.

– Dlatego nasz Harry Potter leży w chłodni na Bielanach.

– Kto go zdejmował ze sznura? Jak wyglądał?

– Kurwa, odpuść. Nie wiem kto. Strażacy. Od piątku w Toruniu było więcej trupów niż podczas epidemii hiszpanki. – Złapał Brodzkiego za ramiona. – Leon, wyluzuj, za dużo emocji.

– Dzięki, przyjacielu. – I uścisnęli sobie dłonie. Brodzki

przytrzymał rękę komendanta. – Dotrzemy do prawdy?

Długo patrzyli na siebie w milczeniu, ale twarz żadnego z nich ani drgnęła. Sytuacja wyglądała z oddali dość filmowo, przynajmniej dla ochroniarza z dyżurki.

– Zrobimy co w naszej mocy, Leon. – Halicki puścił dłoń. Poklepał Brodzkiego po ramieniu i ruszył w stronę ochroniarza.

Brodzki schylił się do okna radiowozu. Na fotelu kierowcy siedział sierżant Jacek Nowak, partner Tomasza Żółtki.

– Jacek, trzymasz się?

– Taka praca, co nie? – uciął Nowak. Zdaje się, że użył słów, którymi Żółtko zwykł kwitować jego własne pytania. – To jest po prostu nie w porządku. Takie rzeczy nie mogą się dziać.

– Zgadzam się, Jacku. I dlatego musimy trzymać się razem. Zrobisz coś dla mnie? – spytał Leon i odwrócił się, by zlokalizować Halickiego. Ten klepał właśnie po ramieniu dozorcę i ruszał w kierunku auta. – Pojedź do mieszkania Sary i zdejmij odciski, z czego się da. Wrzuć to potem na nasz bęben.

– Leon, znalazłeś tam coś ciekawego? – spytał Halicki, wsiadając do radiowozu.

– Tak, Halicki. Mam wrażenie, że w końcu odnalazłem siebie...
– Brodzki zaśmiał się pod nosem. Komendant tylko machnął ręką.

Na dachu radiowozu rozbłysło światło koguta – i ruszyli. Sygnału dźwiękowego Nowak nie włączył. Torunianie wystarczająco w ostatnich dniach nasłuchali się wycia pojazdów służb mundurowych. Mieli prawo w końcu się wyspać.

– Panie Leonie, pan sam rozumie, musiałem zgłosić, jak pan nie masz uprawnień... – mówił przeproszającym tonem Symfonian, gdy podszedł do detektywa. Krygował się, jak mógł. – Ale wszystko gra?

– Gra i buczy. Dziękuję za pomoc!

Dozorca był zdziwiony pogodnym nastrojem policjanta, jednak ulga z powodu pożegnania gości i możliwości powrotu do swojej bezpiecznej przestrzeni pustej stróżówki przeważały nad rozmyślaniami o grze słów.

Tymczasem Brodzki zaszedł na tyły budynku. Krążył chwilę po zaroślach, aż w końcu wyciągnął z nich mały pakunek.

– Cześć, Leonie – rzekł na widok manekina z maską, którego chwilę wcześniej wyrzucił przez okno. – Mamy do pogadania. I wiesz co? – Ruszył w stronę ulicy Mickiewicza. – Jedno nas łączy. Obaj nie mamy pulsu.

Szarik wtulał się w ciepłe ciało Brodzkiego, kiedy burza szalała za oknem. W mieszkaniu na drugim piętrze kamienicy na rogu ulic Mickiewicza i Konopnickiej szyby dzwoniły jak kieliszki. Wiatr na Bydgoskim Przedmieściu dmuchał w najlepsze – woda wciskała się przez okiennice wszystkimi szczelinami, sącząc się na wyłożone na parapecie ściereczki. W pokoju o wysokim suficie pachniało wilgocią i świeżo zaparzoną kawą. Była noc.

– Już dobrze, futrzaku. My, psy, musimy trzymać się razem – mówił, drapiąc domownika za uchem. Szarik miał ciepłe futro, pachniał tym miłym zapachem młodych psiaków.

Gdy piorun uderzył gdzieś w oddali, zwierzę spojrzało mądrymi oczami na swojego pana i, tuląc uszy, zaskomlało niepewnie.

– Nie, chłopie, gorzej już nie będzie – uspokoił Szarika i pocałował go w pysk.

Spojrzał na stojący pod ścianą stół. Na krześle wisiały przygotowane na pogrzeb ubrania. Na blacie stało popiersie z twarzą Leona Brodzkiego.

– Posąg godny Juliusza Cezara. *Ave* ja! – bąknął pod nosem.

Przesunął Szarika, który zaskomlał z dezaprobatą, i wstał. Podeszedł do starego gramofonu, podniósł wieko urządzenia. Zdarzało mu się nie opuścić klapy od sedesu, ale gramofon zamykał zawsze – żeby laser się nie kurzył. Wybrał krążek *Samurai* mało znanego brytyjskiego zespołu Grand Prix. Ustawił prędkość 33 i 1/3

obrotu na minutę, wcisnął „start” i wyszedł z pokoju.

Mieszkanie miało trzy wysokie izby, przylegające do siebie dłuższymi bokami, przez które można było przejść zabytkowymi drzwiami. Sypialnia znajdowała się na końcu wysokiego, ciemnego korytarza. Gdy się z niej wychodziło, skręcało się w lewo. Mijało się z prawej drzwi wyjściowe, następnie kuchnię. Na wprost była łazienka, do niej kroki skierował detektyw.

W mieszkaniu rozbrzmiewały słowa tytułowego utworu z albumu.

The final hero stands alone, he never will give in. The mighty are themselves destroyed, like dust before the wind. The sword is your soul. The sword is your soul... Samurai.

Brodzki wylał resztki kawy z kubka do zlewu i odkręcił wodę. Ta, tańcząc wirowym ruchem, znikła ze zlewu jakby dłużej niż zwykle.

Kilka minut później zasnął na łóżku kamiennym snem.

W tym samym czasie gdzieś przy nabrzeżu, pod osłoną nocy, na tafłę wody wypłynął podłużny kształt. Jego czerwień nie przebijała się w ciemnościach swą barwą. Widoczny był ledwie zarys obiektu, który wielkością na pierwszy rzut oka mógł odpowiadać rozmiarom ludzkiego ciała.

W cichej przestrzeni nabrzeża wiatr szumiał niegłośną melodię, podchwytywaną przez wolno przemieszczające się prądy wodne. Na ich zwierciadle kształt obrócił się teraz wokół własnej osi. Wpadając w blade światło księżyca, odsłonił skrawek swojej tajemnicy. Były to zwłoki topielca.

Unosiły się chwilę na powierzchni, po czym znów zniknęły w otchłani.

I naraz woda znów stała się nieprzenikniona. A wraz z nią także niebo, księżyc i gwiazdy.

6 WRZEŚNIA 2016

1

W mieszkaniu detektywa pachniało wilgocią i smutkiem. Burzowy nokturn zostawił ślady w postaci nasączonych wodą ścierek pod przykrytym roletami oknem i w osobie Leona Brodzkiego, który na niezaścielonym

łóżku zasnął w ubraniach. A może w okno nocą uderzał nie deszcz, a jego sny?

W śnie Brodzkiego Toruń nie stał nad wodą gładką jak pamięć lustra. Mimo to w nocnej peregrynacji pobrzmiwały dedykowane temu miastu wersy Zbigniewa Herberta.

*teraz wargi Poety
są pustym horyzontem
ptaki dzieci i żony nie mogą mieszkać
w żałobnych skorupach miasta
w ostyglych puchach popiołów
miasto stoi nad wodą
gładką jak pamięć lustra
odbija się w wodzie od dna
i leci na gwiazdę wysoką
gdzie pożar pachnie odlegle
jak karta Iliady²*

Stali we trójkę na nabrzeżu, ale nie był to toruński bulwar. Było to gdzieś indziej... Gdzie? Tego detektyw nie mógł ustalić, gdy jego powieki gorączkowo poruszały się przez sen. Sara wyciągała w stronę Leona rękę, Franek wskazywał palcem w górę. Siedzieli we trójkę pod nocnym niebem, uśmiechali się do siebie i wszystko wydawało się być sielanką. Ale gdy jednak ojciec Leona otwierał usta, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Gdy Leon próbował chwycić skierowane ku niemu ręce Sary, te robiły się przezroczyste.

Chmury nadciągnęły nisko nad miasto i oblekły je niby karmazynowa membrana, napięta grubą warstwą szelfowych obłoków. Ciemniało w górze, a zrywy wiatru raz po raz przypominały o niepewności tego co za chwilę. Wtedy ziemia zaczęła się rozstępować, a trójka bohaterów – niby na fantastycznych blokach skalnych –

poczęła dryfować, każdy w przeciwnym kierunku. Postaci malały tym bardziej, im bardziej wzmagął się wiatr, znikając ostatecznie na horyzoncie. Wydawało się, że sen powoli dobiega końca.

Wtedy jednak z wód Wisły zaczęły wyłaniać się martwe ciała – kolejne i kolejne, tak samo ubrane i tak samo niepokojąco nieruchome. Przepływały po wodzie zgodnie z kierunkiem rzeki, z twarzami zwróconymi ku jej lustru. Z każdej potylicy sączyła się krew, a ponieważ panował półmrok, czerwień cieczy przeszła w czerń. Frenetyczną i przerażającą, jak na dawnych malunkach przedstawiających śmierć.

Brodzki zorientował się nagle, że jest w tym śnie sam, choć co do

tego, na jakiej płaszczyźnie onirycznej się znajduje – nie miał pewności. Poczuł na twarzy zimny wiatr, niebo pociemniało o kolejne kilka odcieni, a gdzieś w oddali migotliwe światło powędrowało po nieboskłonie, niby sygnał latarni morskiej lub neonowy zeppelin.

Kiedy zmrużył oczy, poczuł piasek – najpierw pod powiekami, a potem na ustach.

Był teraz na plaży. Linie wydm niewyraźnie odznaczały się na tle czarnego nieba. Nie było wiatru, nie było zapachów, nie było też cieni. Piaskowe wzgórza obniżały się w ciemnościach, a w dolinie pomiędzy nimi – otoczonej teraz zewsząd jak lej po asteroidzie – Leon dostrzec mógł ciemny, prostokątny dół w ziemi.

Choć czuł, że nie chce w tym miejscu przebywać, wiedział, że musi się do niego zbliżyć i zajrzeć w głąb. Niczym pielgrzym w antycznej wyroczni w Delfach.

Schylił się nad dołem i powoli zajrzał w jego otchłań. Początkowo widział tylko czarną pustkę. Po chwili zaczął wyłaniać się z niej niewyraźny kształt. Brodzki rozpoznawał powoli oczodoły i usta, potem nos i szczękę.

A wówczas zdjął go strach, bo poznał tę twarz.

Była to jego twarz, choć nienależąca do niego. Mroczna. Trupioblada. Nieprzewidywalna i zadziwiająco prawdziwa, przez co tym bardziej groźna.

Przemożna siła ruchomych piasków poczęła ciągnąć go ku dołowi. Posępne oblicze z czarnymi źrenicami zbliżało się,

spotkanie Leona z przeznaczeniem było nieuniknione.

Ciało leżące na łóżku reagowało konwulsjami – takimi jak wtedy, gdy śni się o spadaniu lub kiedy mamy ten śmieszny odruch w dolnej kończynie. Szarik patrzył na swojego śpiącego pana ze zdziwieniem. Nie podobał mu się grymas na twarzy detektywa ani zapach, który od razu wyczuł. Był to zapach strachu.

Leon w sennym widzeniu zmierzał na spotkanie ze swoją mroczną stroną, gdy wtem – dotknąwszy mrocznej twarzy czubkiem nosa – obudził się z krzykiem. Poderwał się z łóżka gwałtownym ruchem, zaciągnął się powietrzem jak po wypłynięciu z głębin wody. Odruchowo dotknął ust – nie były pokryte piaskiem.

Westchnął ciężko, zacisnął oczy, uspokoił oddech. Powoli wracał do rzeczywistości. Gdy uniósł powieki, dokładnie naprzeciwko niego stał na stoliku manekin z jego twarzą.

– Aaa! – wzdrygnął się znowu. – Czego ode mnie chcesz!? Czy to ty, czy to ja?!

Szarik zaszczeakał. Brodzki wypuścił powoli powietrze i opadł na łóżko.

W mieszkaniu nie było wiele mebli. W pokoju stały dwa stoliki w stylu biedermeier, dwuskrzydłowa szafa, nocny stolik z lampką, która pamięta jeszcze lata osiemdziesiąte, gramofon, głośniki. Beżowe tapety na ścianie, dwie rolety w dwóch szybach, świąteczne lampki ciśnięte w kąt. Pozostałe dwie izby stały puste. Teraz do wystroju sypialni doszło popiersie Leona Pierwszego.

Brodzki mrugał jak człowiek wybudzony z długiego snu. Spojrzał

na psa.

– Trzeba będzie pomyśleć o jakimś kojcu dla ciebie. Chyba nie wypada, żeby kumple spali ciągle w jednym łóżku, hm? – wymamrotał Brodzki, przejeżdżając dłonią po kilkudniowym zaroście.

Na te słowa Szarik wskoczył na niego, zamruczał przyjacielsko i nakrył uszy łapami.

– Wiem, smutno ci... Mi też jest smutno. – Brodzki zamyślił się. – Jest mi cholernie smutno, wiesz? A mówiąc dokładniej: jestem smutkiem. Czuję go w twarzy, w zagryzanych nerwowo ustach, w szczęce zaciskającej się bez uprzedzenia, w spiętych mięśniach... Zrobię wszystko, żeby znaleźć Sarę. Ale jestem smutkiem. Tak to już chyba jest z ludźmi, którym pękło serce.

Szarik wdrapał się wyżej i położył głowę na klatce piersiowej Leona. Przechylił pysk w jego stronę i wystawił język.

– Powiesz mi, jak serce zabije, ok? Ono albo ja.

Dopiero kiedy stanął przed lustrem w korytarzu, zorientował się, że ma na sobie garnitur pogrzebowy. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy te ubrania założył. Z prostego rachunku wynikało, iż stało się to we śnie.

Niektórzy twierdzą, że sen i śmierć to bliźniacy. Jeśli to prawda, Leon Brodzki znalazł się w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji.

² Zbigniew Herbert, *Trzy wiersze z pamięci*.

2

– C501, C501, odbiór – zaszumiało w kabinie policyjnego radiowozu, mknącego po autostradzie A1. Prowadził barczysty, łysy funkcjonariusz Robert Karolak. Na prawym fotelu podróżowała jego partnerka, krótko obcięta brunetka.

– Tu C501, sierżant Andżelika Szarmach, zgłaszam się. – Kobieta odebrała zgłoszenie na częstotliwości policyjnej.

– Jest prośba, żebyście zjechali na MOP-ie w Nowej Wsi z kolumną.

– Konwojujemy dwa autokary kibiców Elany z meczu, do Torunia już blisko, na pewno mamy zjeżdżać?

– Tak, zjeżdżajcie.

– Przyjąłem, bez odbioru.

– Bez odbioru.

Policjantka otworzyła okno, wystawiła lizak i zasygnalizowała kierowcy jadącego za nimi autokaru zjazd na najbliższy parking. Ten włączył kierunkowskaz.

Chwilę później srebrna kia oraz dwa autokary turystyczne wjechały w Nowej Wsi na MOP, czyli miejsce obsługi podróżnych.

– C501, zgłóście się, tu eskorta z Łodzi – zaszumiało w radiu.

Policjanci spojrzeli po sobie. Kobieta podniosła mikrofon.

– Tu C501, o co chodzi? – Z radia ponownie dobiegł szum.

– Czy wy zjechaliście właśnie z autokarem kibiców Elany na parking przy autostradzie?

– Tak, w czym problem?

– Parking przy autostradzie w Nowej Wsi?

– Tak... – Policjantka spojrzała na partnera. Rozejrzała się po parkingu i i przygryzła nerwowo usta. – Coś mi tu nie pasuje. Jedziemy. – Wyciągnęła lizak i dała znać autokarom, że ruszają. Kierowca rozłożył bezradnie ręce, wrócił do wozu i odpalił silnik.

– C501, obawiam się, że mamy problem.

– A to dlaczego? – Radiowóz prowadzący kolumnę dwóch autokarów zbliżał się już do końca parkingu. Andżelika spojrzała przed siebie i z wrażenia otworzyła szeroko usta.

– A to dlatego, że zaraz dostaniecie wpierdol. – W głośniku zaczęło sprzęgać.

– Spierdalamy stąd – krzyknął Robert.

– Będzie z tym problem. – Policjantka wskazała obiekt przed nimi. – Autokary z drugiego konwoju zatarasowały wyjazd z parkingu.

– Kto nimi jedzie? – spytał i w tym samym momencie zobaczył za boczną szybą hordeę zamaskowanych kiboli z kijami bejsbolowymi i flagą ŁKS-u Łódź. – O kurwa. Ich jest chyba setka!

W tylnym lusterku pojawili się kibice Elany, którzy wysiedli z dwóch swoich autokarów. Pojazdów z kibolami z Łodzi było sześć.

– Musimy wezwać posiłki, Andżela.

– Chyba, kurwa, kawalerię – syknęła policjantka i wyciągnęła broń.

Po przestrzeni parkingu rozniósł się krzyk przebywających tam

kobiet, mężczyzn i dzieci.

3

Cienie nad dołem w ziemi poruszały się jakby w rytm menueta, a wraz z nimi – ręce pracownika zakładu pogrzebowego. Pogłębiał grób, w którym spoczywała Salomea Brodzka. Na pomniku zapisana była data: 4 września 1987.

Leon Brodzki stał obok kwatery, wpatrując się w czubki tui zasadzonych wzdłuż alejki. Do uroczystości były jeszcze dwie godziny. Chciał się przygotować, pobyć tu chwilę, zanim zjedzie policyjna orkiestra i wszyscy oficjele.

„Czy czubki drzew są po to, żeby poruszać się na wietrze, kiedy ludzkie dusze ulatują?”

– Te tuje to długo nie postoją – dobiegł Brodzkiego głos z grobu. Za głosem pojawiła się łopata wyrzucona na kopczyk piasku, ręka chwytająca szczebel drabiny, głowa i wreszcie cała sylwetka grabarza, szerokiego w ramionach człowieka o krótkiej szyi i siwiźnie porastającej potylicę. Miał czerwoną twarz i krótkie palce u rąk.

– Słucham? – spytał niepewnie Brodzki.

– Te tuje, panie, to porąbią. I nie ten Szyszkin, minister, tylko służby. Korzenie rozsadzają grobowce pod ziemią. Płacze się to to nie wiadomo dokąd.

– Drzewo zapuszcza korzenie. Tak jak człowiek. Nie sądzi pan, że to symboliczne?

– Czy że... co? Panie – zaśmiał się grabarz. – Do kogo ta mowa

wiązana? Ja jestem prosty chłop od trupów.

– No to jest nas dwóch. – Leon znów zadarł głowę ku czubkom drzew.

– Na wszelki wypadek zostawiłem w grobowcu więcej miejsca – rzekł mężczyzna, otrzepując ręce.

Brodzki spojrzał niepewnie.

– Jak to „na wszelki wypadek”?

– Na przykład na wypadek śmierci kolejnego z Brodzkich.

Główka pracuje!

– Ojca chowam... więcej pogrzebów w rodzinie nie planuję.

– W to nie wątpię. Ale nie mówię, że miałbyś pan kogoś znowuż chować.

– No to jak?

– No... Pana mogą, na przykład, pochować, prawdaż? I wtedy nie będziesz się pan chował, tylko ja pana. Taka zabawa w chowanego, rozumiesz pan.

Brodzki nawet nie miał siły się zaśmiać.

– W każdym razie śmierć ojca, przykrość, kondolencje. Mój ojciec na przykład niedaleko leży.

– Dawno mu się zmarło?

– A tfu, wypluj pan. Żyje przecież Bohdan.

– Mówił pan, że leży...

– Tam, o, leży! – Mężczyzna wskazał na wierzby za pagórką i zarechotał, ukazując klawiaturę kawowych zębów w stanie spoczynku. – Obaj w tym biznesie zakopaliśmy się dawno temu.

Chowamy z dziada pradziada. Ale teraz to przerób jak na makdonaldzie. Ruch na cmentarzu dziś jak przy Wszystkich Świętych i staruszek musiał spasować. Nie wiadomo, w co ręce wsadzić. Pakowanie trumien jedna po drugiej. Poumierało się ludziom w dniach ostatnich.

– Przypadek?

– Klątwa! – rzekł bogobojnie grabarz. – Powiedziałbym coś temu, co za to wszystko odpowiada, ale bluźnierstwo.

– Nie robi wam różnicy, kogo chowacie? – Leon wrócił wzrokiem z wierzchołków drzew i patrzył teraz z uwagą na pracownika zakładu pogrzebowego. Rozmowa z tym pogodnie nastawionym człowiekiem dziwnie go koiła, rozrzedzając śmiechem śmiertelną maź, w której teraz tonęła jego dusza. Tak jakby człowiek ten – który na Charona nie wyglądał – był łącznikiem między światem żywych i umarłych. Kimś, kto rozumie śmierć.

– Drewno tylko robi. Zależy z czego trumna. Im lepsza deska, tym ciężej. Kręgosłup w tej robocie trzeba mieć podwójnie silny.

– A emocje? Większość ludzi blednie na widok zwłok – dopytywał detektyw.

– A widzisz, panie filozof, może dlatego większość grabarzy ma twarze czerwone.

– Przy takiej robocie też bym nie stronił.

– To nie od flaszek – uciął grabarz i założył kaszkiet. –

To od zapomnienia. W całej tej robocie chodzi o zapominanie. Nic więcej. Dlatego mówię, że kręgosłupy dwaj muszą być. Ten nad

dupą i ten w duszy – powiedział, przesypując piasek przez palce, po czym chwycił drabinkę, łopatę i ruszył przed siebie. Zatrzymał się jednak dwie kwatery dalej i spytał niespodziewanie: – Masz pan chusteczki?

– Chce pan ręce wytrzeć? – zdziwił się Leon.

– Nie dla mnie. Dla niej. – Grabarz wskazał na kobietę idącą w ich stronę. – Chusteczki w męskiej kieszeni na pogrzebie to podstawa. Żeby damom dać w momencie słabości.

Po czym wyjął nienapoczętą paczkę i rzucił detektywowi ponad grobem. Przedmiot przelatujący z rąk grabarza w ręce osieroczonego syna tuż nad świeżo wykopanym dołem, w którym miało być za chwilę złożone ciało jego ojca – wszystko to było widokiem osobliwym.

– Nie od dziś robię w trupach, panie kolego. – Grabarz zasalutował i oddalił się, znikając za pagórkiem przy wierzbach.

Leon odwrócił się w stronę zbliżającej się kobiety. Była to Dagmara.

Gdy podeszła, objął ją bez słów. Stali w milczeniu bardzo długo. Dość długo, by poruszane wicherą cienie gałęzi zmieniły swoją pozycję o kilka metrów.

Uświęcona instytucja małżeństwa ma w sobie coś z drzew, które wrastają w ziemię długimi korzeniami. Jeśli nawet dwoje ludzi przygniatać będzie ciężar życia, to pozostając razem, będą silni, a więc w tym nieszczęściu poszczęści im się. Tak jak drzewom, które – według Seneki – wyrosną silne i zdrowe tylko, gdy są smagane

wiatrem.

Może dlatego splecione ramiona Leona i Dagmary, rodziców zrozpaczonych zaginięciem córki, układały się do wiatru podobnie jak konary drzew. Zaplecione blisko siebie, witalne, odporne na niepogodę. Leon chronił głowę Dagmary, zakrywając jej uszy i włosy, a ona trzymała jego kurtkę, by zimne powietrze nie dostało się pod ubranie.

Była od niego o kilka centymetrów niższa. O tyle, że gdy ją przytulał, czuł zapach jej prostych, jasnych włosów, które opadały na śliczną twarz w typie Moniki Bellucci. Gdy w przeszłości liczył piegi na jej małym nosie, śmiała się, że od zadzierania głowy w stronę jego twarzy boli ją szyja.

Dziś Dagmara się nie uśmiechała. Leon także nie.

Jeśli jama ustna człowieka jest tym, czym rezonatory instrumentów muzycznych, to Brodzki miał na końcu języka tysiące dramatycznych dźwięków, które chciał wygrać. O ich córce, o bólu, o tęsknocie, zemście i miłości. Miał przygotowany cały rezerwuar zapewnień, cały ładunek emocjonalny wiary i nadziei, których nie mógł jednak teraz dobyć. Usta jego drżały, nie mogąc pokonać bariery dźwięku – jak leżący długo w wilgoci instrument dęty czy rozstrojone wysoką temperaturą naciągi instrumentu strunowego. Może to przez płuca, które teraz przypominały miech bez powietrza. Może to przez rozstrojenie.

– Ja wiem – wyszeptała Dagmara. – Ja wiem. Znajdziesz ją, Leo. Czuję, że ona żyje. Musisz tylko znaleźć w środku tę moc, a wiem,

że ją masz. Musisz być tym Leonem Brodzkim, który jest prawdziwy, odważny. I kochający. Jeśli coś by się jej stało, to i ja umrę. Wiem, że do tego nie dopuścisz. Patrz uważnie, a rozwiążesz tę zagadkę. Bo jeśli tylko mocno wierzysz, to zawsze to robisz. Zawsze je rozwiązujesz. – Wtuliła się w jego szyję i cicho zapłakała.

4

Dyżurny w Centrum Zarządzania Kryzysowego w Toruniu odebrał około godziny jedenastej serię telefonów, które dotyczyły tego samego zdarzenia. Na parkingu przy autostradzie na wysokości Nowej Wsi doszło do rozróby pomiędzy setkami kibiców przeciwnych drużyn. Dziesiątki wypoczywających na przystanku podróżników zaczęło uciekać na widok maczet i kastetów.

– Rozumiem, przyjąłem zgłoszenie. Wysyłamy tam posiłki! – potwierdził Filip, starszawy dyspozytor w welwetowym golfie z wywiniętym kołnierzem. Łysy, z niedogoloną, owalną twarzą. Wiele dziwacznych zgłoszeń już przyjmował – o znalezionych w podajnikach urwanych palcach włącznie – ale pierwszy raz słyszał o rozróbie na autostradzie.

– Tu kryzysowe, tu kryzysowe – zaszumiało w radiostacji, gdy zaczął nadawanie. – Rozróżba pseudokibiców na MOP Nowa Wieś po stronie wschodniej, kierunek Toruń. Powtarzam, rozróżba pseudokibiców na MOP Nowa Wieś po stronie wschodniej, kierunek Toruń.

– Tu centrala. – Po drugiej stronie zgłosił się dyspozytor z komendy policji. – Na pewno chodzi o MOP Nowa Wieś? Autokary obstawiali niebiescy.

– Od nas? – dopytywał Filip.

– Nie, komendant wojewódzki przyjął zapotrzebowanie na zabezpieczenie i wysłał. Mieli jechać w osobnych kolumnach.

– No to ktoś zmienił rozkaz, bo kibole ŁKS Łódź i Elany Toruń są na jednym parkingu.

– Wysyłamy wsparcie. – W głośniku zaszumiało, słysząc było komendę w tle. – Do wszystkich jednostek, potrzebne posiłki na MOP-ie w Nowej Wsi, wschodnia flanką.

– Niech jadą przez osiedle Na Skarpie i Leśny Trakt – zauważył przytomnie Filip. Miał przed sobą dużą, interaktywną mapę regionu, na którą jednym kliknięciem nanosił miejsca interwencji i zgłoszeń. – Wyjadą pod autobanem, zajadą od bramek bezpieczeństwa. Powiadomię Straż Autostradową.

– Jedźcie przez Leśny Trakt – zaszumiało w tle. Dyżurny przełączył na rozmowę z Filipem. – Bez odbioru.

Ten natychmiast połączył się z dyżurnym węzła Lubicz.

– Straż Autostradowa A1 Lubicz, słucham ciebie uważnie.

– Niebiescy jadą na zdarzenie, MOP Nowa Wieś, wschód. Potrzebna ścieżka dostępu i wsparcie.

– Przyjąłem. Mamy monit ze stacji benzynowej.

– Jak to tam wygląda?

– Rzeź niewiniątek. Autokary zastawiły wyjazd z parkingu. Niech się pośpieszą, bo nie będzie co z radiowozów zbierać i wrócić do polonezów.

– Zrozumiałem, A1. Bez odbioru. – Filip przetarł pot na czole i rzekł pod nosem: – Szczeniaki kontra wataha wilków.

5

Ceremonia pogrzebu byłego policjanta Franciszka Brodzkiego odbyła się bez asysty honorowej. Nie przysługiwała ona bowiem tym z niebieskich, którzy zginęli śmiercią samobójczą. A tak zaklasyfikowano skok z wieży Ratusza Staromiejskiego. Skok człowieka, który poświęcił się, by ocalić syna.

Nad wykopem ustawiono zielony namiot. Nie zabrakło ławek ani pomocy ze strony pracowników zakładu pogrzebowego. Znany Leonowi grabarz podawał kwiaty, a człowiek wyraźnie od niego starszy, ale podobny z fizjonomii – ojciec – trzymał statyw mikrofonu, który w każdej chwili mógł zostać porwany przez nieprzewidywalny wiatr. Starszy z grabarzy miał wyraźne problemy zdrowotne, chwiał się na nogach. W pewnym momencie syn stanął za nim, podtrzymując go. Tylko Leon zauważył ten drobny gest. Drobna więź łącząca ojca z synem. Spojrzał porozumiewawczo na mężczyznę o krótkiej szyi i przeniósł wzrok na jego rodzica. Nie ulegało wątpliwości, że spotka ich ten sam los. Sztafeta pokoleń. Nieuchronne wahadło bytu.

Wokół dołu zgromadziło się około sześćdziesięciorga gości. Przeważali wśród nich emerytowani policjanci i urzędnicy. Byli wojskowi, celnicy. Delegację wysłała nawet Służba Leśna. W drugim rzędzie wśród gości stali: taksówkarz Heniek – z ręką na temblaku, sierżant Jacek Nowak – z zagryzionymi ze złości ustami, barman Łukasz Grotowski – w okularach przeciwsłonecznych,

Marta Gradowska – spoglądająca kątem oka na Dagmarę, Natasza – zapięta pod samą szyję ciemnego płaszcza, Amelia – z piękną hortensją w ręku, ochroniarz Szczepan – łysy, barczysty, opierający ciężar ciała na zdrowej nodze. Nie zabrakło pracowników komendy, dziennikarzy: Marka Benera, Grzegorza Giedrysa, delegacji z urzędu miasta. Całość kołyszącego się w czerni tłumy dopełniali liczni znajomi Franka i Leona, którzy wiedzieli, jak olbrzymim heroizmem wykazał się w minionych dniach i jak wielka strata spotkała go w tej heroicznej walce.

Brodzki odwrócił się do nich i skinięciem głowy podziękował. Wszyscy odwzajemnili pozdrowienie. Rozejrzał się za kompanią reprezentacyjną policji, ale nie było ani drzewca, ani orkiestry, ani kiru.

– Nie daruję im tego – syczał, kiedy stali z Dagmarą w pierwszym szeregu. – Ojciec zasłużył chociaż na cholerną flagę

– Masz rację, Leo. Ale co możesz teraz zrobić? – pytała kojącym głosem jego była żona.

Na przyciszoną rozmowę nie pozostał obojętny komendant Halicki. Przecisnął się dyskretnie między gośćmi, zrównując się z detektywem. Z głośników pobrzmiwały słowa: „Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci...”. Wielu powtarzało je na głos, inni – jak Grotowski – poruszali ustami bezdźwięcznie, nie znając słów modlitwy. Nieco z tyłu, kilka kwater dalej, z dużym przejęciem słowa księdza powtarzał pewien mężczyzna w kapeluszu. Niedługo później

wycofał się za drzewa i zniknął z cmentarza niezauważony.

– Przykro mi, Leon. – Halicki nie ukrywał niezręczności. – Wystąpiłem do komendanta wojewódzkiego z wnioskiem, ale odmówił. To są jakieś wyższe grupy nacisku, kiedyś to ukróczę i zrobię porządek jak trzeba!

– Wydawało mi się, że byliście przyjaciółmi. Że Franek zasłużył na tę cholerną salwę chociażby przez wzgląd na to.

– Wiem, ale co możemy zrobić w kraju, w którym „Misiewiczów” generałowie witają na kolanach?

Tłum gości patrzył z zaciekawieniem na rozmowę Leona z Halickim, ale słów księdza nie zakłócił nawet jeden szmer.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie... – kontynuowali zgromadzeni.

Ceremonie pogrzebowe tym różniły się od wszystkich innych, że nie miały nic z zaklinania rzeczywistości, jak w przypadku chrztów, komunii, bierzmowań czy ślubów. Podczas ceremonii pogrzebowej zaklinano bowiem śmierć. Ostateczną ostateczność. Toteż – bardziej niż gdziekolwiek – liczyły się tu symbole i magiczne formuły, jakimi od tysięcy lat wyprawiano w ostatnią podróż.

Brodzki nie miał zamiaru wdawać się w utarczki słowne i udowadnianie, co i w czyjej gestii leżało przy załatwianiu pochówku zasłużonego gliniarza. Sam powiadomił kogo trzeba – nawet swojego brata Łukasza, który przyjechał z dalekich Bieszczad i stał teraz w ostatnim rzędzie. Załatwił też stypę i księdza – wybór padł na ojca Pawła z kościoła Świętych Janów. Tego samego, który w

piątkowy wieczór tłumaczył mu znaczenie scen pasyjnych.

Nie, Leon nie był wzburzony ani zdenerwowany. Przeciwnie, ciepła dłoń Dagmary, która nie puszczała go ani na chwilę, wyostrzała mu zmysły i dodawała jasności umysłu, który działał bardzo racjonalnie. I który wiedział, że może zrobić tylko jedno.

– Czy rodzina chciałaby zabrać głos? – spytał odprawiający ceremonię duchowny.

– Halicki – wyszeptał Leon. – Daj mi broń.

– Co?! – Komendant po wypowiedzeniu tego zaimka pytającego zorientował się, że odezwał się zbyt głośno. Obniżył głos do szeptu.

– Co ty kombinujesz? Po moim trupie. Nie dam ci b...

– Nie kracz. – Leon jednym ruchem odbezpieczył kaburę Halickiego i wyciągnął pistolet. – Ani słowa. Jesteś mu to winien.

Tłum gości poruszył się niepewnie.

– On ma broń... – szepnął ktoś z tyłu.

– Co on robi? Czy młody Brodzki oszalał? – dodała kobieta.

Detektyw podszedł do mikrofonu. Ksiądz Paweł usunął się na bok. Stojący przy grobie znajomy grabarz potarł białą rękawiczką po swojej czerwonej twarzy i uśmiechnął się znajomym zestawem klawiszy w szczęce.

Leon długo nic nie mówił. Wiatr – kosząc szczyty tui – gwizdał w górze, gdy chmury przemykały powoli nad nekropolią, po której roznosił się zapach wieńców i świeżej ziemi

Podniósł wreszcie wzrok i omiół nim gości, którzy patrzyli, czekając w napięciu.

– Drodzy goście, przyjaciele Franka i moi. Spotkaliśmy się tu dziś, by wysłać mojego ojca w ostatnią podróż. Mamy go pożegnać, by mógł przepłynąć na drugi brzeg rzeki. Jego dusza nie zazna spokoju, póki nie pożegnamy go w sposób godny. Towarzysze broni, zwracam się do was. Wiecie, co oznacza wyjeżdżanie w patrol. Wiecie, co oznacza całowanie ukochanej żony przed wyjazdem na poranną odprawę. Nie muszę wam mówić, co oznacza służenie ojczyźnie i jej mieszkańcom. Wiecie, co macie zrobić.

Goście patrzyli po sobie pytająco. Leon Brodzki podszedł do grobu. Podniósł wysoko brodę i nabrał nosem powietrza.

– Kompania! – krzyknął.

Na reakcję mundurowych nie trzeba było długo czekać. Od zbitego, czarnego tłumu gości oderwały się pojedyncze sylwetki funkcjonariuszy policji. Niektórzy byli w cywilu, inni w galowych mundurach. Wszyscy stanęli po drugiej stronie wykopanego w ziemi dołu. Wśród nich sierżant Jacek Nowak o orlim nosie. Brodzki kontynuował:

– Kompania – baczność! Na ramię – broń! Do nogi – broń! Salwa honorowa! – Tłum gości wstrzymał oddech. – Spocznij.

Mężczyźni rozluźnili szeregi, zwiększając między sobą odstęp.

– O co tu chodzi? – spytała Natasza.

– O honor – odparł dumnie Heniek i zdjął kaszkiet. –

O honor, moje dziecko.

– Do salwy honorowej trzema – ładuj!

Na te słowa zgromadzeni frontem do Leona policjanci wyjęli z

kabur pistolety, skierowali je w ziemię, przeładowali i podnieśli ku niebu. Leon spojrział w wykopany dół. Nie dojrzał tam twarzy ze snu. A wówczas również przeładował walthera P-99 i wznosił rękę. Nabrał powietrza, po czym krzyknął:

– Salwą – pal!

Żałobnikami wzdrygnęło. Siła wyprowadzanych z krótkich luf pocisków była olbrzymia. Po cmentarzu przeszedł huk kilkunastu jednoczesnych wystrzałów przecinający niebo.

– Salwą – pal!

Huk poniósł się tym razem jeszcze dalej.

– Salwą – pal!

I znów. Było coś hipnotyzującego w symultanicznych ruchach mężczyzn, którzy na jedną komendę, z pełnym skupieniem i oddaniem wykonywali te same, symboliczne ruchy.

– Po salwie honorowej. Kompania – spocznij! – krzyknął Leon.

Stojący w drugim rzędzie policjanci zbliżyli się do swoich kolegów stojących przy grobie.

– Kompania – baczność! Na ramię – broń! Prezentuj – broń! Na ramię – broń! Prezentuj – broń! Na prawo – patrz!

Ceremonia pogrzebowa przybrała nieoczekiwany obrót. A może właśnie jedyny możliwy? Nie było na cmentarzu przy ulicy Grudziądzkiej w Toruniu człowieka, którym nie targałyby dreszcze. Wzruszenie i przejęcie przybrały najwyższe tony diapazonu emocji, którym nie oparli się ani ksiądz, ani grabarze, ani żałobnicy. Tylko jeden komendant Halicki kipiał czerwony ze złości, gdy Brodzki

stanął przy nim, zabezpieczył pistolet, odwrócił go do siebie, złapał za lufę i podał komendantowi.

– Masz jeszcze dwanaście nabojów – rzekł z dumą Leon.

– Co ty sobie myślisz! Kto rozliczy teraz użycie broni przez... – zaczął Halicki, ale detektyw nie dał mu dokończyć.

– Jest źle wyważony. Chyba dawno go nie używałeś. – Tu spojrzał komendantowi prosto w oczy. – Wszyscy strzelali. Ty też, jak widzisz. Jak to mówiłeś? Że zrobisz porządek? Zaczynaj od raportu z użycia broni po służbie. Na pewno coś wymyślisz.

Grabarze stali z rozdziawionymi gębami, podobnie jak ksiądz, który pierwszy ocknął się z szoku wywołanego niezaplanowaną strzelaniną. Wskazał ruchem ręki, że mogą zakopać dół.

Dagmara złapała Leona mocno za rękę, szklily się jej oczy.

– Zrobiłeś jak trzeba, Leo.

– Zrobię jak trzeba, kiedy odnajdę naszą córkę.

Dagmara skinęła, patrząc na przesypującą się ziemię.

6

Pewien starszy człowiek jak co dzień zamknął drzwi swojego mieszkania na trzy zamki, po czym przeszedł kilka kroków, ciągnąc za sobą dwukołowy wózek z warzywami. Przystanął i nacisnął przycisk windy. Gdy ta nadjechała, z kabiny przywitał człowieka niezwykle uprzejmy głos.

– Dzień dobry – rzekł napotkany mężczyzna i zdjął kapelusz.

Żałobnicy, jeden po drugim, składali Leonowi kondolencje. Heniek, Natasza, Grotowski. Marta złożyła wyrazy współczucia Leonowi, przy Dagmarze natomiast spuściła wzrok. Amelia położyła piękną hortensję. Kopczyk wieńców rósł, a detektyw czekał na słowa człowieka, który nie stał w kolejce, a po drugiej stronie dołu.

– Franek przewraca się w grobie. Ale żeś odstawił cyrk. – Ubrany w mundur Służby Celnej Łukasz Brodzki otrzepał wojskowe buty, uderzając jedną podeszwą o bok drugiej. Był podobny do brata wzrostem i nosem. Spojrzenia mieli jednak inne.

– Nie sędzę.

– A to niby czemu?

– Bo jest skremowany. Może się najwyżej przesypać – uciał detektyw. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział brata. Obaj nigdy nie byli wobec siebie wylewni.

– Niech cię diabli, Leon – rzucił Łukasz i podszedł do Dagmary. Przywitali się całusem w policzek. – Miło cię widzieć, siostra. Przykro mi z powodu Sary. – I poszedł, klnąc pod nosem.

– Przesypać jak klepsydra... – powiedział do siebie Brodzki i przysięgłby, że słowa te, przybrane w ledwo dostrzegalne litery, uleciały z jego ust ku czubkom drzew. Te jednak stały nieruchome. Spojrzał w ich kierunku, a później znów na grób. – Co teraz, tato?

– To sobie porozmawialiście, nie ma co. – Dagmara kiwała głową z niedowierzaniem. – Wiesz, że śmierć ojca zaboląła go jeszcze

bardziej niż ciebie? Widać miał więcej niepozałatwianych spraw. Ty chociaż pożegnałeś ojca.

– No. W locie.

– Leo! – Dagmara szarpnęła go za ramię.

– Najlepiej dogadywaliśmy się z Łukim tylko na boisku piłkarskim. Jedyne udane wspólne akcje mieliśmy tam. Reszta braterskiego życia to porażka.

– Obok grobu idzie gruby korzeń drzewa, wiesz? – Dagmara wskazała na ziemię obok świeżo zasypanego dołu. – Któregoś dnia rozsadzi grób twojej rodziny od środka.

Nie było w jej słowach przytyku ani utyskiwania na rodzinne relacje Brodzkich. Przez wiele lat była częścią tej rodziny, mimo waśni akceptowała panujące w niej zasady i żyła z nimi w umownej zgodzie, jako synowa Franka. Nie znaczyło to jednak, że godziła się na wszystko, co w tej rodzinie się działo. O ile bowiem w jej domu zwykło się rozwiązywać problemy, o tyle u Brodzkich sprawy zamiatano pod dywan. Gdyby przez ostatnie trzy dekady żyła matka Leona i Łukasza, być może byłoby inaczej. Zabrakło kobiety – zabrakło rozsądku. Rodzina rozpadła się pod ciężarem męskiego ego.

Nie minęła chwila, gdy nad grobem zostali we dwójkę. Goście udali się na parking, a stamtąd – na uroczystość pożegnalną.

– Leo – powiedziała Dagmara, kryjąc twarz w dłoniach.

– Jestem tu.

– Żadnych pogrzebów więcej. Obiecuj mi to.

– Obiecuję.

Miał przed oczami dół, który widział w swoim śnie. Spoglądały z niego oczy przeznaczenia.

Tymczasem na tablicy nagrobnej, obok napisu „SALOMEA BRODZKA, zm. 4.09.1987”, widniał drugi, świeższy: „FRANCISZEK BRODZKI, zm. 4.09.2016”.

Dopiero teraz detektyw zauważył koincydencję dat.

„Powtórka?”

8

Stypy w Polsce to półmiski sałatek z marchewkowymi rozetkami, waza z rosółem wlewanym chochlą do głębokiego talerza z koperkiem, schabowy z kulką ziemniaczanego puree, tłusta wuzetka i kawa w szklance, podawana z brzęczącej tacy przez przesadnie umalowaną praktykantkę z gastronomika.

Uroczystość po pogrzebie Franka Brodzkiego nie złamała tej tradycji. Od innych imprez pożegnalnych różniła się tym, że rodziny zmarłego nie było wiele, a większość gości stanowili smutni panowie w ciemnych ubraniach. Sporo z nich było grubo po siedemdziesiątce, na ich pooranych bruzdami twarzach odciskały się przemiany ustrojowe i echo ZOMO-wskiej przeszłości.

„Czy znałem mojego ojca? Coś bardzo dziwnego dzieje się ze mną od piątku. Cała ta decyzja o przejściu na emeryturę była o kant dupy. Kogo ja chciałem oszukać? Że będę inny niż mój stary, która latał z pukawką, dopóki nie zaczął sikać do kaczki i zapominać o włączonym żelazku? Cała ta, jak to nazwałem, powtórka... Mam wrażenie, że jestem pacynką czy inną kukiełką w jakiejś morderczej grze. A w puli nagród jest tylko śmierć. Od piątku wiem tyle, że dalej jestem gliną, że moje ciało musiało jeszcze raz wskoczyć w rytm, że mój umysł musiał naoliwić się bardziej niż za starych czasów. Wiem też, że mam przeciwnika, który chce skrzywdzić Sarę, i nie spocznę, póki człowiek ten nie zapłaci za swoje winy, a moja córka nie zaśnie bezpiecznie pod moim okiem.

Czy ona zna swojego ojca? Czy wie, że jej szukam? Biedne dziecko... Moja mała dziewczynka. Dlaczego musiało coś się jej stać właśnie wtedy, kiedy zrozumiałem, jak parszywym starym dla niej byłem? Dlaczego jesteśmy skazani na zbyt późne refleksje?

Dlaczego jesteśmy jak poeci, którzy dopiero po latach odkrywają, że należeli do jakiejś epoki? Nowej lub starej? Czemu etapy naszego życia widzimy dopiero tuż przed metą? I dlaczego jest to ledwie jedno mgnienie? Powstrzymam to szaleństwo. Śmierć Franka uruchomiła we mnie dziwne zapadnie i mechanizmy, które chyba dobrze, że w końcu ruszyły. Nie umiem ocenić, czy mój ojciec był dobrym, czy złym człowiekiem jako peerelowski milicjant. Jeśli umocowani jesteśmy w społeczeństwie i historii, to jak, do cholery, żyć? Czy komuna była winą ludzi, czy systemu? Jeśli system zabiera ludziom kolejne szczeble z piramidy moralności i potrzeb, to jak przetrwać? Komunizm niszczył w ludziach naturalne odruchy. Władza została opresją. Milicja – mordercami. Ktoś z pieniędzmi – złodziejem. Odwaga – głupotą. Żeby załatwić zwykłą rzecz, trzeba było robić niezwykle rzeczy. Co Heraklit miał na myśli, mówiąc o grzechach mojego taty? Mama nigdy nic nie mówiła... To dziwne, ale dziś pamiętam ją słabiej niż zwykle. Tylko te ostatnie chwile, jej ostatnie tchnienia po tej strasznej chorobie. Jak to jest przeżyć swoją żonę o trzydzieści lat i umrzeć tego samego dnia roku, tato? Jak to jest przeżyć swoje...”

Tu Brodzki urwał myśl. Od zniknięcia Sary zauważył, że miewa takie momenty, kiedy siła wyższa od niego zabiera mu głos lub

oddech. Jakby zagubione życie jego córki zabierało życie z jego własnego ciała.

– Nie przeżyję swojego dziecka – wyszeptał, patrząc na ponure twarze żałobników. – Ją uratuję, tato. Teraz ja jestem najstarszym z Brodzkich. Pierwszym w kolejce do śmierci. A kolejki nie można omijać.

Z kuchni dochodziły zapachy znane klientom szkolnych i zakładowych stołówek. W sali pachniało mięsem, przyprawą maggi, bulionem. Duszny aromat bił także od wytartej, wiśniowej wykładziny i ciężkich, szmaragdowych firan.

Ustawiony w literę „u” ciąg stołów pomieścił wszystkich gości. Talerze brzęczały, a przez pomieszczenie przechodził szmer emocji, wywołanych dość niespodziewanym zachowaniem syna zmarłego gliniarza, znajdującego się teraz w centrum uwagi.

Z tyłu sali siedział zniesmaczony poziomem obsługi Łukasz Grotowski. Był to barman z klubu na ulicy Szerokiej, gdzie w piątkową noc ucięli sobie z Brodzkim długą rozmowę na temat *teatrum mundi*. Przeskakiwanie z tematu na temat nigdy nie sprawiało im problemu. Sprawy kryminalne, prostytutki, pedofile, poezja, beza z owocami, wyniki meczów Ligi Mistrzów – na wszystko zawsze mieli czas. Zawsze też rozstawali się w kłótni. Właśnie z tych wszystkich powodów barman przyjście na pogrzeb i stypę uznał za swój obowiązek. Teraz siedział w ostatnim rzędzie, wyglądem przypominając przedwojenną gwiazdę kina, którą jednak nie bywał nawet w myślach.

– Kurwa mać. – Grotowski, widząc ślamazarne ruchy dziewczyny w białej bluzce, która nieumiejętnie porcjowała pieczeń, wstał i ruszył w kierunku bufetu. –

Pokażę ci, jak to się robi. Nagraj w zwolnionym tempie i ucz się krok po kroku.

Rozłożył sprawnie pięć talerzy, chwycił widelec z łyżką, po czym układając je w jednej dłoni, metodą szczypcową nałożył mięso i warzywa z patery. Przyozdobił sałatą, dołożył ziemniaków i – gdy zestaw był gotowy – ułożył talerze na lewym przedramieniu. W prawą rękę chwycił ścierkę i ruszył, lawirując między krzesłami jak akrobata. W dwadzieścia trzy sekundy obsłużył czworo żałobników.

– I tu, młody człowieku! – Piąty z gości, emerytowany leśnik, uniósł rękę, by wyrazić chęć otrzymania posiłku.

– Z łapkami to pod kościół – odparł z rozbrajającą szczerością Grotowski.

– Ale panie kelner...

– Kurwa, nie jestem kelnerem, tylko barmanem. Ta porcja jest dla mnie. Bazanty i przepiórki dwa pomieszczenia dalej.

Starszy człowiek ściskający w rękę kapelusz myśliwski nie dosłyszał tej uwagi i rozejrzał się bezradnie na boki. Grotowski tymczasem, wciąż w ciemnych okularach, włożył serwetkę za kołnierzyk czarnej koszuli i zabrał się za posiłek.

– Smaczne mięso? – spytał Brodzki, przysiadając się.

– Zrobiłbym lepsze, ale to stypa.

– A widziałeś te szczury za winklem?

– Kurwa mać – zaklął Grotowski z pełnymi ustami, po czym przetarł je chusteczką. – Nie obrażę cię tylko dlatego, że zostałeś dziś sierotą. Ale dziękuję za odebranie apetytu.

– Czy są grabarze, którzy nie palą? – spytał filozoficznie detektyw.

– Są. Ci, co nie pracują w krematorium, tylko chowają ciała w formie niespopielonej.

– Morderca bawi się ze mną w chowanego.

– No. To tak jak ci grabarze. To twoja eks? – Grotowski spojrzał w kierunku Dagmary. Rozmawiała z żoną komendanta, Zofią Halicką, która ją pocieszała.

– No słucham, Grotowski, powiedz coś głupiego, jestem na to przygotowany.

Grotowski długo jednak nie mówił nic. Gdy zaś odwrócił się do kompana i otworzył usta, Brodzkiemu poszło w pięty.

– Nie daj jej uciec drugi raz. Ona cię ucłowiecza. Bez niej jesteś dzikim psem. Samotnym wilkiem. – Po czym wstał i odszedł, rozstając się z Brodzkim bez sprzeczki. Zatrzymał się koło bufetu i powiedział coś na ucho młodej kelnerce. Ta zarumieniła się i ścisnęła nogi jak zawstydzone dziecko.

Leon długo patrzył na Dagmarę. Wyglądała pięknie i dostojnie. Nie widać było po niej, że przeżywa tragedię znaną z największych greckich dramatów – matczyny ból i tęsknotę za dzieckiem. Przyjechała z Darłowa i jeszcze raz weszła w znaną sprzed lat rolę. Rolę żony Leona Brodzkiego. Uważną, empatyczną, dobrą i

cierpliwą. Co się jednak kryło za warstwą pudru?

Na krześle obok pojawił się Heniek. Przyjaciel taksówkarz, który w minioną niedzielę wziął udział w pierwszym pościgu w życiu. Ceną tego szalonego czynu był rozbity fiat 125p i przestrzelona dłoń. W tej kolejności.

– Jak się trzymasz, byku? – spytał Heniek, łapiąc Brodzkiego za bark. Jego małe, błękitne oczy, niczym szklane kulki, świeciły spod cienkiej, pomarszczonej skóry powiek. – Dużo na tych barkach, przyjacielu. Ciągle myślę o Sarze. Biedne dziecko. – Heniek pokiwał głową i westchnął, dzwoniąc sztucznymi zębami. W pewnym wieku ludzkie tragedie nabierają zupełnie innego wymiaru, niż gdy jesteśmy młodzi.

Detektyw spojrzał z sympatią na starszego o dwadzieścia lat towarzysza.

– Co ja bym bez ciebie zrobił, Heniu? – spytał Leon, na co taksówkarz poklepał go po dłoni tak, jak dziadkowie klepią wnuków.

„Dziwna i osobliwa to przyjaźń”, myślał Leon. „Obaj jesteśmy dorośli, ale Heniu jest w wieku mojego świętej pamięci ojca. Znamy się masę czasu, a wciąż traktuję go jak mentora. Jednocześnie wiem, jak kruchy i drobny jest Heniek. Z tą drobną twarzą i drobnymi palcami. Drobny. To słowo pasuje do niego. Do jego pracy, marzeń, do jego potrzeb, które też są drobne. Sznytka chleba, pasztetowa, mleczna kawa –

żywi się tym na śniadanie od lat. Ma drobne życie, ale jest zawsze

obok. Ile osób o ilu ludziach może tak dziś powiedzieć? Że zawsze są? Bo założę się, że każdy chciałby mieć takiego anioła stróża. Anioła z miasta aniołów”.

– Nie wiem, czy chcesz to wiedzieć, ale komendant gdzieś wyszedł. Dostał telefon i czmychnął razem z kilkoma gliniarzami. Coś wisi w powietrzu – wyszeptał Heniu.

– Jadę.

– A ja z tobą! – zerwał się staruszek.

– Przyjacielu. Czy nazywasz się Henryk Jankowski?

– Od urodzenia.

– Więc jesteś jedyną osobą, w której ręce mogę powierzyć moją żonę.

– Czy my się właśnie dzielimy zadaniem? – spytał zaaferowany Heniek.

– Tak, przyjacielu.

– Na mnie jak na Zawiszy. Jedź.

Leon wstał od stołu. Heniu złapał go za rękę.

– Dobrze dziś zrobiłeś, Leon. Franek zasłużył na taki gest.

Heniek mrugnął swoimi „kulkowymi” oczami. Detektyw uśmiechnął się i odszedł.

– Daga, muszę jechać na komendę. – Leon wziął ją pod rękę i skinął Zofii Halickiej, że musi zamienić słowo z byłą żoną. – Dziękuję, że przyjechałaś. Trzymasz się jakoś? To wszystko wydaje się być bardzo paskudnym snem.

– Ja jestem taka spokojna tylko dzięki prozkom, Leo. Nie

jestem już taka silna jak kiedyś, ale bardzo się staram.

Dopiero teraz detektyw zauważył grymas na twarzy Dagmary. Na pogrzebie była dla niego oparciem, ale teraz jednak uspięne lęki wróciły. Matczyny ból ogarniętej strachem o losy swojego dziecka kobiety rysował się na jej pięknym obliczu z całą mocą.

– Spójrz na mnie, Daga. No, spójrz. – Brodzki podniósł jej brodę ku górze. Patrzyła teraz na niego smutnymi oczami. – Znajdę ją. Przysięgam na wszystko, co kocham.

Dagmara zmusiła się, by przytaknąć i wykrzywić kąciki ust w uśmiechu. Ale Leon widział, jak trzęsie się jej broda.

– Nikogo i niczego nie kocham bardziej na świecie niż Sarę. I ciebie. – Brodzki spojrzał na nią przenikliwie. – Ona żyje. Wiem to.

– Idź już. – Dagmara pocałowała go w usta. – Pa.

Leon Brodzki wyszedł z restauracji. Bardzo się starał, żeby nie zapłakać, ale woda – wypełniająca jego ciało w siedemdziesięciu procentach – była silniejsza od niego. Woda, która pokonuje człowieka przez ustępowanie.

I wtedy Brodzki zapłakał jedną łzą.

Na komendzie panował gwar. Tłum dziennikarzy przeciskał się do sali konferencyjnej, a sytuacji przyglądali się inni funkcjonariusze, rozmawiając w aneksie kuchennym ściszonymi głosami.

– To się stary teraz wbije na stołek, co nie? – mruknął pod nosem sierżant Jacek Nowak. Był przez cztery dni partnerem Żółtki. Śmierć Tomka go odmieniła. Z bezmyślnego służbisty przeistoczył się w policjanta słuchającego również serca. – Powinniśmy coś zrobić, szukać Brodzkiej, szukać mordercy. Zamiast tego mamy pozować do zdjęć, bo Halickiego szykują do komendy wojewódzkiej, a prezydent miasta wymyśla temat zastępczy, żeby uspokoić mieszkańców. Czyli niezawodnych kiboli.

– Nie takie rzeczy żem tu widział, kolego. – Zasuszony archiwista Maks stał niewzruszony, porcjując sobie biszkopt, czym doprowadzał Nowaka do szewskiej pasji. – Koronki zrobiłem. Gryźć nie mogę. Zestarzejesz się, to też zjesz zęby na życiu.

– Nie to mnie drażni, tylko komendant. Ma krótką pamięć, co nie?

Maks przytaknął.

Nad kuchennym blatem dudnił stary, kineskopowy telewizor z nastawionym programem informacyjnym. Na ekranie trwały przygotowania do konferencji, którą zorganizowano na tym samym piętrze komendy. Pierwszy raz wpuszczono tu tyle ekip telewizyjnych i reporterów. Na pasku u dołu ekranu przewijały się

informacje o ustawce kiboli, którą udaremнили funkcjonariusze z toruńskiej komendy.

– Co się dzieje? – spytał zasapany Brodzki, kiedy dołączył do kolegów.

– Twój przyjaciel właśnie zostaje bohaterem zbiorowej wyobraźni – rzekł niewzruszony Maks. Przy Leonie i Nowaku wyglądał jak ulotkarz.

– Nowak, co z paluchami? Sprawdziłeś odciski?

– To Daniel. Na bębnie nic nie ma, ale baza nie uwzględnia starych spraw.

– Pytanie, jak daleko chcesz szukać i czego chcesz szukać? – zauważył przytomnie Maks o krecich oczach.

– Coś mi każe sądzić, że odpowiedź jest gdzieś w papierach – rzekł zagadkowo Brodzki.

– Tych, do których nie masz dostępu, Brodzki? – spytał Nowak.

– Tak, bystrzacho. Co z Żółtkiem?

– Czeka na sekcję. – Nowak zagryzał usta przy każdym wspomnieniu o partnerze.

– Otwinowska?

– Czeka na sekcję.

– Janka?

– Też.

– Kurwa, co oni robią z tymi trupami w chłodni? Przesłuchują ich? – zżymał się detektyw. – Co z taksówką z mostu? – Brodzki miał na myśli pojazd, z którego wysiadł w poniedziałek, a którego

kierowca zostawił mu informację z numerem Sary oraz zdjęcie. Gdy Leon wrócił do pojazdu, kierowcy nie było.

– Korporacja twierdzi, że auto ktoś podprowadził ze słupka, kiedy drajwer stał na postoju pod galerią Copernicus.

– Monitoring? – nie odpuszczał Leon.

– Tyle, o ile było widać, co nie. Mgła, ciężarówka bez widocznych tablic, przypadkowy przechodzień.

– Kurwa, i po kiego chuja wszędzie trąbią, że żyjemy w świecie Wielkiego Brata, skoro żadne kamery na nic się nie przydają – wybuchnął detektyw.

Nowak zmilczał tak retoryczną wypowiedź.

– Może to nie o kamery chodzi, tylko o Jarka Kaczyńskiego – zaśmiał się Maks.

– Muszę dostać nagrania ze szpitala i zobaczyć Żółtkę.

Nowak i Maks spojrzeli na Brodzkiego niepewnie.

– Co się tak patrzycie?

– Wątpię, czy to teraz wypali. Halicki gra na czas, rozgrywają ten kryzys politycznie, co nie? – Nowak naprawdę przechodził samego siebie.

– Pierdolę politykę. Zaginęła moja córka. Muszę pogrzebać we wszystkich dowodach i to w trybie „now!”.

– Bez uprawnień to możesz grzebać, ale w nosie, kolego. A czasem, jeżeli ma się pecha, to i grzebiąc w nosie, można złamać palec – zauważył przytomnie Maks. – Ale jeśli chodzi o stare sprawy, bo jak rozumiem, mamy tu kilka wątków, zacząłbym od

pogadania z takim jednym facetem. Bojarski się nazywał, był prokuratorem za czasów Franka. Emeryt, pietruszkę ponoć na Rubinkowie sprzedaje. Choć sprawy, które rozstrzygał, o pietruszkę nie były. Pękalskiego na przykład.

– Nowak, sprawdzimy to.

Sierżant przytaknął, ale nic na to nie odpowiedział, bo z głębi sali dobiegły pytania natarczywych dziennikarzy. Właśnie zaczynała się konferencja prasowa.

Rozbite auta wyglądają jak bokserzy po walce. W ich ukruszonych reflektorach i wygiętej blasze ujawnia się cała ich dusza. Jeśli taki samochód jedzie dalej, wygląda jak walczący byk, który mimo wbitej weń lancy ciągle atakuje torreadora.

Tak właśnie prezentował się beżowy fiat 125p Henryka Jankowskiego, mknący przez zatłoczone ulice Torunia. Z rozbitym łukiem brwiowym, przetrąconymi żebrami, ukruszonym zębem i rozszarpaną skórą. Na jego dachu próżno było szukać neonu z napisem „Taxi”. Przeznaczenie auta zdradzał tylko obdrapany numer boczny 02.

Auto podskakiwało ze swadą na wybojach, wydając co jakiś czas piski dochodzące z piasty prawego przedniego koła i buczenie łożysk z tylnej osi. Motor też nie pracował równo.

– Wszystko przez tę gonitwę, co to była w niedzielę – próbował zagaić Heniek. Siedzącą na tylnej kanapie Dagmarę widział w lusterku. Była pogrążona w smutku, a na jej twarzy odbijały się cienie kropli spływających po szybie – to do góry, to na dół, w zależności od pędu pojazdu i siły wiatru, który kroplami tymi sterował.

– Czyli auto się spisało... – rzuciła nieobecna.

– No ale! – skwitował Heniek. Słowo „ale” oznaczało w jego żargonie „a jakże”. Język ma jednak tę właściwość, że każdy używa go po swojemu, i nie inaczej robił Heniu. – Panienska tak nie

markotnieje. Może czekolady? – Podał tabliczkę gorzkiej. Kobieta podziękowała. Heniu, jako zawodowy taksówkarz od niemal półwiecza, był znawcą ludzkich dusz. Wiedział o ludziach wszystko tuż po tym, jak wsiadali do auta. Wiedział, kiedy uciekają, a kiedy za czymś gonią. Kiedy planują, a kiedy zapominają. Po Dagmarze od razu było widać, że jest zawieszona między tymi biegunami. Heniek wiedział jednak o ludziach jeszcze więcej. A mianowicie, że nie zawsze troski można wytłumaczyć, zrozumieć lub uargumentować. Jako człowiek zaawansowany w sztafecie pokoleń – bardziej niż inni z jego otoczenia – rozumiał, na czym polega wpływ czasu i jego magiczna moc. Wiedział, że zarówno w wymiarze całego życia, jak i krótkich chwil, czasem najlepsza jest obecność i trwanie. Że prawdą nie zawsze jest tylko to, co widzimy i czujemy tu i teraz, ale że ujawnia się ona w trwaniu. Choćby taka miłość – czym jest, kiedy mówimy o kimś po miesiącu czy tygodniu, że go kochamy, a czym po trzech dekadach małżeństwa? Czym jest nienawiść w odwecie za jeden głupi gest, kiedy relacja z danym człowiekiem składa się już z tysięcy minionych gestów? „Zawsze chodzi o trwanie”, myślał Henryk. Tak jak czas nie składa się tylko z sekund i minut, ale też lat i stuleci, tak i myśli nie składają się wyłącznie z pojedynczych wniosków, ale z wielkich całości, powstałych na przestrzeni życia. Jak słowa i książki. Jak pojedyncze dźwięki i suity. Jak kadry i filmy. Jak westchnienie na pierwszej randce i westchnienie na łożu śmierci.

Tego wszystkiego Heniek nie przemyślał w tym jednym

momencie. Wiedział to po prostu i czuł. Wszystko to składało się na osobę, którą był. Razem z poranną kawą zbożową, oliwieniem drzwi w aucie, telefonem do syna, kwiatami na grobie żony.

Z całym tym ładunkiem doświadczenia życiowego zerkał teraz we wsteczne lustro w kabinie auta i bardzo źle było mu widzieć pograżoną w smutku Dagmarę, którą znał równie długo co Leona. W tym momencie objawiła się właśnie magiczna moc trwania. Heniu ubrał tę moc w drobny gest, jaki często jest udziałem osób starszych i mądrzejszych.

Tym gestem była stara, dobra i zawsze niezawodna... rozmowa o pogodzie.

– Wie panienka, czemu to tak pada? – spytał, kiedy wycieraczki z trudem zbierały wodę z przedniej szyby. Mijali właśnie most drogowy. Dagmara pokręciła głową.

– W latach siedemdziesiątych, które oboje pamiętamy, choć ja trochę lepiej... a w zasadzie gorzej, przez wiek... No więc był taki dowcip. Chce panienka usłyszeć?

Dagmara, skrywając twarz w dłoniach, przytaknęła. Heniek patrzył na nią uważnie. Niczym inżynier majstrujący przy złożonej konstrukcji ludzkiej duszy.

– Był taki dowcip. Gierek wysłał Jaroszewicza do świętego Piotra, żeby zapytał, czemu tak ciągle pada. Gierek to ten, co przywiózł do Polski pomarańcze. Jaroszewicz...

– Był premierem w peerelu. Zamordowano go, razem z żoną.

– Nie o to do końca chodziło... – Heniek mimo wszystko ucieszył

się, że Dagmara włączyła się w rozmowę. – No więc, Jaroszewicz przyszedł do świętego Piotra. Piotr otwiera swoje księgi, szuka, szuka po mapach. W końcu znajduje: „Polska!” Wtedy Jaroszewicz dopytuje, skąd ten deszcz, dlaczego u nas tak leje. Wie panienka, co mu odpowiedział? – Heniu spojrzał w lusterko. Dojeżdżali już Kujawską pod Dworzec Główny.

– Nie wiem, Henryku. – Dagmara dalej się nie uśmiechała, ale patrzyła teraz w lusterko i czekała na puentę.

– „No i co, jak, skąd ten deszcz?”, dopytywał Jaroszewicz. A na to Piotr czyta... mówi mu. – Auto zatrzymało się. Heniek zgasił motor i odwrócił się do Dagmary. – Gówniany ustrój często zalewać wodą.

Oboje patrzyli na siebie chwilę w zastanowieniu. Nie wiadomo, czy dowcip był dobrej próby, czy może zadziałała zasada rykoszetu, często spotykana przy tak zwanych „sucharach”, ale kąciki ust Dagmary się wygięły. A po nich usta i cała twarz. Heniek również odpowiedział uśmiechem i tak oto oboje rozrzedzili ciężką atmosferę nieśmiałym śmiechem, który niekoniecznie wynikał z jakości przytoczonej przez taksówkarza anegdoty, ale którego bardzo oboje potrzebowali.

– Dziękuję, Henryku.

– Ależ panienko, to mój obowiązek odwieźć panienkę na dylizans do Darłowa.

– Wiesz, o czym mówię... – Pocałowała go w policzek i wysiadła z pojazdu.

– Wiem, wiem... – powiedział do siebie. – O drugiego człowieka.

Po czym odprowadził wzrokiem wchodzącą do odnowionego budynku dworca Dagmarę.

Czekał dziesięć minut. Kiedy zobaczył, jak kobieta wsiada do pociągu, a ten odjeżdża, sam również ruszył.

Stojący na postoju, tłący papierosy taksówkarze pomachali mu serdecznie. Heniek zasalutował do kaszkietu. Wydające niepokojące dźwięki auto zniknęło po chwili za zakrętem.

– Komendancie, jak to się stało, że autokary dwóch zwaśnionych ekip, mimo obstawy, zatrzymały się na tym samym parkingu? – spytał dziennikarz, zajadając kanapkę.

Sala konferencyjna w budynku komendy Toruń Śródmieście wypełniona była po brzegi.

– Autokary zatrzymały się, ponieważ miały sprawne hamulce. To dobrze świadczy o przewoźniku. – Impertynencja Halickiego nie znała granic. Nalał z dzbanka wody z cytryną i miętą tak, że dzwonienie szkła słychać było przez mikrofon. – Z jakiej pan jest redakcji?

– TVN 24. Nie odpowiedział pan na pytanie.

Przez salę przeszedł szmer. Dziennikarze przeżyli się i niemal wstawali z siedzeń, by zadać pytanie. Wiedzieli, że czas konferencji jest ograniczony, a dobrze wygląda i brzmi w relacji, kiedy najważniejsze pytanie zadaje dziennikarz tej właśnie, a nie innej stacji. Było to pewnego rodzaju napięcie zawodowe, na które godzili się wszyscy. Rywalizacja, w której stawką są przedruki i cytaty. Największą nobilitacją dla reportera była aprobata ze strony kolegów z branży, w rodzaju „aleś mu powiedział”, „dobre pytanie”, „pocisk”.

– Cisza – uciął komendant i wziął łyk napoju. Odstawił szklanekę z maestrią. – Wyjaśnijmy sobie coś. Są tutaj państwo gośćmi. Przekąski smakują? – spytał, rozkładając ręce jak hojny gospodarz.

Dziennikarze spojrzeli po sobie i przytaknęli niepewni. Niezręczność wynikała z faktu, że nie było osoby, która nie miałaby jakiegoś prowiantu w ręku. Organizatorzy konferencji nie od dziś wiedzą, że przez żołądek do... sedna.

– A zatem. Agenda jest taka: ja mówię, państwo zadają pytania, ja ewentualnie odpowiadam. Jesteśmy kulturalni, nie wchodzimy sobie w słowo. Telewizowie patrzają, nie mam zamiaru strzępić ich nerwów, wszystkim nam zależy na bezpieczeństwie w tym mieście, w tym regionie i kraju. Taka jest nasza misja. – I złożył dłonie w koszyczek.

Patrzący w kuchenny telewizor Brodzki, Nowak i Maks spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

– Saint-Just na procesie Ludwika XVI powiedział, że nie można panować i być bez winy, bo szaleństwo panowania jest zbyt oczywiste – powiedział spokojnym głosem Maks.

– Jasność myśli upatruję w tym, co mówisz – rzekł prześmiewczym tonem sierżant Jacek Nowak. – Lecz nie mogę nie wspomnieć, że nastawiłeś w kuchni zupę i ona właśnie kipi.

– Cholera! – Maks podbiegł do kuchenki, z hukiem zrzucając na ziemię pokrywkę. Dźwięk doszedł do sali konferencyjnej, część widocznych w telewizorze dziennikarzy się odwróciła.

– Co się więc dzisiaj wydarzyło? – spytał Grzegorz Giedrys z lokalnego oddziału „Gazety Wyborczej”. Miał długie włosy i niewyspaną twarz. – Na parkingu przy autostradzie doszło do rozróby z udziałem kiboli i policji. Jak udało się zapanować nad

sytuacją?

– Dziękuję za to pytanie. Wydaje mi się, że w tym miejscu był błąd policjantów, wydelegowanych przez komendantów województw łódzkiego i kujawsko-pomorskiego. Pilotowali i jedną grupę, i drugą. W mojej opinii, nie powinni dopuścić do tego, żeby te dwie grupy się spotkały. Jadący dwoma autokarami kibice Elany Toruń wjechali na MOP w Nowej Wsi, gdzie nagle pojawiło się sześć autokarów z kibicami ŁKS-u Łódź. Jak wiemy, Elana zawarła pakt z łódzkim Widzewem, dla którego ŁKS jest śmiertelnym wrogiem. Tam doszło do konfrontacji, w wyniku której przez kilka godzin autostrada A1 w kierunku Gdańska była zablokowana. Wtedy ze wsparciem przybyli wysłani przeze mnie policjanci z Torunia...

– Czy jedzie mi tu czołg? – Nowak pokazał Brodzkiemu dolną powiekę.

– Tak. Bez gąsienic.

– Dzielni lokalni policjanci użyli gazu łzawiącego i broni gładkolufowej na gumowe kule – kontynuował komendant. – W wyniku starć trzy osoby zostały lekko poszkodowane. Przewieziono je do szpitala w Toruniu. Policja powinna była postąpić tak, aby nie doszło do spotkania tych dwóch grup. Istnieją przypuszczenia, że grupy prawdopodobnie porozumiewały się ze sobą.

– Co z wątkiem udziału policjantów w tej prowokacji? Marek Bener, „Echo Torunia”. – Wszyscy spojrzeli na dziennikarza w czerwonych trampkach. Znany był z niekonwencjonalnych metod

śledczych. – Czy jest możliwe, że miał z tym związek osadzony w więzieniu Kosma Górecki, pseudonim „Heraklit”, lub jego przebywający na wolności współpracownik?

– Nie bierzemy tego pod uwagę.

– To jest możliwe. – Brodzki zmarszczył brwi. – Zważywszy na to, co zrobił w niedzielę na meczu Elany. Nowak, co myślisz?

– Mało brakło, a spalilibyśmy żywcem pół sektora, kiedy w polewaczce ktoś podmienił wodę na benzynę. –

Nowak zmarszczył czoło. – Mój brat jeszcze długo będzie z tego wychodzić.

– Wydaje mi się, że to nie jest przypadek, że doszło do tego właśnie dziś i właśnie z udziałem kibiców. Ktoś zmylił eskortę i władował ich na minę. Sprawdzisz to?

– Robi się. – Nowak ruszył do wyjścia, a Brodzki spojrzał znów na telewizor.

– Mówią, że szykują pana na fotel komendanta wojewódzkiego policji. Czy potwierdza pan? – Głos tym razem zabrała Paulina, wysoka dziennikarka dziennika „Nowości”. Miała w sobie pewną odwagę, przejawiającą się w zadawaniu swoim rozmówcom niewygodnych pytań. Jak wszyscy lokalni pismacy zdawała sobie jednocześnie sprawę, że media utrzymują się z reklam. A te wykupują w głównej mierze albo przedsiębiorcy, albo samorządy. Ogłoszenia komunalne o przetargach i artykuły sponsorowane stanowiły główne źródło dochodu danego tytułu. Zadarcie z władzą zawsze oznacza uszczuplenie budżetu. Niezależność mediów jest

więc w praktyce dość wyświechtanym frazesem. Mimo to Paulina nie zastanawiała się teraz, czy naczelny puści tę rozmowę w jutrzejszym wydaniu dziennika. Miała po prostu ochotę docisnąć gościa. – Komenda wojewódzka to pana cel?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Halicki wziął łyk wody.

– Mówi się w kręgach zbliżonych do MSWiA o rychłej dymisji komendanta wojewódzkiego i pana awansie, z uwagi na skuteczną interwencję na autostradzie – stwierdziła stażystka z miejscowej telewizji. Stojący za nią operator puknął się w głowę.

– Młoda – szepnął, szarpiąc ją za ramię. – Skąd ty się urwałaś? Nie pyta się o takie rzeczy w Toruniu. Wydawca tego nie puści.

Dziewczyna nie bardzo rozumiała.

– Bardzo schlebiają mi słowa wysoko postawionych urzędników, ale my po prostu wywiązujemy się z naszych obowiązków i komendzie wojewódzkiej radziłbym robić to samo... – Halicki splótł dłonie w koszycek i zrobił tajemniczą minę.

– À propos obowiązków... Wszystko pięknie, panie komendancie, winszuję sukcesów. Jeszcze raz Marek Bener, „Echo Torunia”. Dlaczego policja nie wydała żadnego komunikatu w sprawie poszukiwań Sary Brodzkiej? Wczoraj mogliśmy usłyszeć, że prokurator odsunął Leona Brodzkiego od sprawy. Czy uważa pan to za dobry pomysł? Jakie jest *modus operandi* sprawcy?

– Panie Marku, niech pan lepiej zajmie się swoim śledztwem. Wszyscy znamy pana metody...

– Z całym szacunkiem, panie komendancie, ale proszę o

konkretną odpowiedź.

– Z całym szacunkiem, panie redaktorze, ale proszę o inne pytanie. Jak pan to sobie wyobraża, że zdradzę panu, co ustaliliśmy? Przecież morderca może nas teraz oglądać. Pragnę zapewnić, że mieszkańcy mogą czuć się bezpiecznie. Żadne nowe wątki w tej sprawie już nie wypłyną.

– Z tym, że niekoniecznie... – powiedział pod nosem Grzegorz Giedrys. Dziennikarze spojrzeli po sobie. –

Czasem warto zajrzeć do telefonów. Świat dawno wyparł epokę telewizji na rzecz internetu.

– Można jaśniej, panie redaktorze? – spytał poirytowany Halicki.

– Czy znana jest państwu fejsbukowa strona, tak zwany fanpejdz, pod nazwą „Heraklit”?

– Nie – uciął komendant.

– A powinna. Ktoś właśnie opublikował na niej film, w którym dochodzi do zabójstwa. – Giedrys wypowiedział te słowa z charakterystycznym dla siebie niewzruszeniem i spojrzął w stronę Marka Benera. – To jakby odpowiedzieć na twoje pytanie o Sarę Brodzką.

Brodzki i Maks zobaczyli poruszenie w sali konferencyjnej, telewizja przerwała transmisję. Dziennikarze pospiesznie uruchamiali swoje smartfony. Detektyw ruszył błyskawicznie w ich kierunku. Czuł, że dzieje się coś niedobrego. Krew napłynęła mu do skroni, a dłonie zaczęły się pocić.

– Leon. – Zatrzymał go Bener, który przybiegł z sali konferencyjnej, by uprzedzić detektywa, ale ten go odepchnął. – To jeszcze nic nie znaczy. Musisz zachować spokój. To by było za proste.

– O czym ty mówisz, Bener?!

– To by było za proste, chodź zapalić.

– Jakie nagranie... – Leon nie dokończył pytania, gdy na telewizorach na komendzie wyświetliła się transmisja z kanału informacyjnego. Na wszystkich ekranach widoczny był mówiący do kamery Daniel oraz ciało młodej kobiety w czerwonym płaszczyku przeciwdeszczowym.

– Dziewczyna w czerwonym płaszczu, o nie! – jęknął Brodzki. – O nie, tylko nie ona, nie, nie Sara, kurwa mać, nie! Tylko nie to! – Leon wyrzucał z siebie szereg naładowanych emocjonalnie słów.

– Będę zabijał, dopóki mnie nie złapiecie – zaczął człowiek z nagrania.

Po chwili w kadrze pojawiła się niewyraźna twarz dziewczyny z zaklejonymi ustami i jej przerażone oczy

– Leon, chodź. – Bener chciał go odciągnąć. – Nie musisz na to patrzeć, nie tutaj, nie teraz, chodź.

Ale Brodzki go nie słuchał. Patrzył w ekran jak zahipnotyzowany.

– Zielona otchłań, podwodny świat rodem z powieści Juliusza Verne`a. Prawda, Leon? – pobrzmiwał z telewizora głos mordercy. Chudy człowiek śmiał się do kamery, w której migiała twarz jego

ofiary. Zwrócił się do niej: – To twój ostatni moment, żeby pożegnać się ze światem. I to z jaką pompą. Idę o zakład, że pęknie milion wyświetleń, jak tak dalej pójdzie. Szekspir byłby zazdrosny.

Brodzki stał nieruchomo. Stan jego ducha i poczucie istnienia porównać można było do tych tajemniczych roślin, które porastają najgłębsze rejony oceanów. Tych, które nauczyły się żyć w mroku wody. Tak właśnie czuł się Leon – pogrążony w sobie, a sobą, w historii, która rozgrywała się na jego oczach. Zwarty w sobie i gotów do działania, ale jakby pęknięty, złamany. I znów zdało mu się, że obraz dookoła zastygł. Zawieszony w powietrzu kroki, otwarte szeroko oczy, spadające na ziemię kartki. Brodzki zamrugł niepewnie. Nie był pewien, co oznacza to przywidzenie i w którym zakamarku swojej głowy aktualnie przebywa. Po kilku sekundach wrócił do rzeczywistości, która teraz uderzyła ze zdwojoną mocą.

Dziennikarze wysypali się z pokoju konferencyjnego i zajmowali strategiczne miejsca na piętrze, robiąc serię zdjęć detektywowi w chwili klęski. Kadrowali wszyscy – lustrzankami, telefonami. Byleby uchwycić Brodzkiego zarówno portretowo, z głową zadartą ku górze, jak i złapać go w kadrze razem z ekranem wyświetlającym dramatyczne nagranie. „Leon Brodzki i jego córka”. „Moment prawdy”, „Finał zagadki” – w głowach żurnalistów pojawiały się już nagłówki z jutrzejszych szpalt.

Kolejne klatki nagrania poruszały się jakby wolniej. Detektyw

dokładnie widział, że mężczyzna kładzie dziewczynę w czerwonym płaszczu na barierce, a potem zrzuca ją do wody. Tak, widział dokładnie. Twarz mordercy i twarz jego ofiary. Ofiary, której na imię było...

– Sara... – wyszeptał Brodzki. – To... nie...

– Wystarczy. Powiedziałem: wystarczy! – syknął Bener i wyrwał aparat z ręki młodego fotoreportera z idealną grzywką. – Jeśli chcesz spojrzeć sobie w lustro z szacunkiem, skasujesz te zdjęcia, gnojku.

– Bener, luzuj wora, to moja robota. Jeśli nie masz dobrego kadru, znaczy: nie podszedłeś za blisko – tłumaczył się właściciel aparatu, ale Bener go nie słuchał. Szarpnął za aparat, jednym ruchem wyjął kartę SD i zdeptał ją butem. – Coś ty, kurwa, zrobił!

– Pomogłem ci zachować godność dobrego reportera. Pewne kadry zostawiasz tylko dla swoich oczu. Takie kadry jak ten. – I wskazał młodemu na Leona.

Leon Brodzki, detektyw, gwiazda toruńskiej policji, postać znana z plakatów promujących numer alarmowy 112, nieustraszony pogromca bandytów – człowiek znany pod wieloma mianami, a dla niektórych po prostu bohater, teraz nie miał w sobie nic z herosa. W ułamku sekundy osunął się na kolana, tak jakby nogi się pod nim ugięły. Klęczał przed telewizorem jak samuraj czekający na honorową śmierć z rąk przeciwnika.

I nie mówił absolutnie nic.

Na całej komendzie zapanowała nagle absolutna cisza.

Dziennikarze patrzyli po sobie, podobnie policjanci. W centrum uwagi był Leon, otoczony wianuszkiem ludzi, a nad nimi – świecący ekran plazmowego telewizora, nowszego niż ten w kuchni.

Fotoreporter gazety „Nowości” podniósł powoli aparat, ale ruchem ręki wstrzymał go inny fotograf, ten z ułożoną grzywką. Wiedzieli, że ten kadr przeszedłby do historii. I wiedzieli, że nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Po policzku Leona spływała łza. Spływała bardzo powoli. Drażyła skórę jak żrąca substancja z zatrutej duszy, jak kropla tocząca się po skale. Pod jej naporem skóra się zapadała, jakby starzejąc się w przyspieszonym tempie. Kratery zmarszczek poddawały się sile wody, skoncentrowanej teraz w pojedynczej, małej kropli, która była tak słona, jak słony może być cały ocean łez.

– Sara... – wyszeptał. – Ty musisz żyć. To niemożliwe.

– Koniec zbiegowiska, do widzenia państwu! – krzyknął Halicki i energicznie zaklaskał. – Do widzenia, wracajcie, państwo, do siebie.

Po chwili na piętrze nie było nikogo z gości.

– Leon, tak strasznie mi przykro, że Sara nie żyje. Nie wiem, co powiedzieć... – Poklepał Brodzkiego po ramieniu i sapnął swoim haczykowatym nosem. – Złapiemy skurwysyna.

– To niemożliwe...

– Rozumiem, to szok dla nas wszystkich, a dla ciebie w szczególności – potakiwał Halicki. – Myślę, że nie zaszkodziłoby

wziąć coś na uspokojenie. Najpierw pogrzeb ojca, teraz to.

Leon Brodzki nic nie mówił. Świadomość jakby mu wróciła. Oczy poczęły łypać na boki – stosunkowo wolno, jak po wybudzeniu ze snu. Wstał i podszedł do telewizora.

– To niemożliwe. Zabijając Sarę, straciłby karty do gry.

– Leon, telewidzowie w całym kraju widzieli właśnie, jak Sara wpada do rzeki. Nie uciekniesz od prawdy.

Brodzki go nie słuchał. Podszedł do pierwszego komputera PC z brzegu, odpalił Facebook i wszedł na stronę nazwaną „Heraklit”.

Zdjęcie profilowe i zdjęcie w tle przedstawiały niewyraźną sylwetkę w czerwonym płaszczu na tle toruńskiego mostu drogowego imienia Józefa Piłsudskiego.

Leon przewinął stronę i znalazł nagranie. Po kwadransie od opublikowania miało już ponad sto tysięcy wyświetleń i sześć tysięcy komentarzy.

– Ile potrwa, zanim administratorzy to usuną? – spytał detektyw.

– To zależy, jak szybko administrator serwisu rozpatrzy sprawę. Ale na fejsbuku wszystko działa wolno. Firma chce być poprawna politycznie do porzygania.

– Trzeba więc to nagranie szybko pobrać, to może być dowód w sprawie.

– Leon, o czym ty mówisz, do diabła. Jesteś w szoku, właśnie widziałeś śmierć swojej córki.

– Nie ma ciała, nie ma zbrodni. Ja po prostu w to nie wierzę. Nie

chę. Kurwa!!! – wrzasnął. – Nie mogę. To by było za proste. Poza tym co widać na tym nagraniu?

– Faceta i most.

– Faceta i most. A dziewczyna? Nagranie jest słabej jakości....

– Leon. Ty nie przyjmujesz do wiadomości najprostszych faktów.

Właśnie dlatego jesteś odsunięty od sprawy.

– To się jeszcze okaże.

Leon wybrał na telefonie numer Dagmary.

– Użytkownik, z którym chcesz się połączyć, jest obecnie poza zasięgiem sieci... – zabrzmiał zimny głos w słuchawce.

Brodzki pogrzebał w portfelu i wyszukał wizytówkę z numerem Ignacego Kulwickiego. Był to jego teść, ojciec Dagmary, mieszkający w Darłówku.

– Synu, powiedz mi. Czy to Sara? – spytał dojrzały i mocny głos po drugiej stronie słuchawki.

– Nie, tato. Nie wierzę w to... Nie wszystko jest tym, czym się wydaje. Czy Dagmara dawała znać, że jedzie do was?

– Rozmawiałem z nią kwadrans temu. Jechała pociągiem, potem straciła zasięg...

Brodzkiemu przez myśl przeszły najczarniejsze scenariusze.

– Dajcie mi znać, gdy dojedzie, dobrze? Ona nie wie... Nie pozwólcie, żeby się dowiedziała, uspokójcie ją.

– Dobrze, Leon... – Ignacy zawiesił głos, ale słychać było, że trzyma słuchawkę blisko ust i chce coś dodać. – My jesteśmy za starzy na podróże i nie mogliśmy przyjechać na pogrzeb Franka.

Moje kondolencje. Kiepsko u nas ze zdrowiem... Ale pamiętaj, że dla nas zawsze będziesz synem, a Sara najukochańszą wnuczką. Też wierzę, że ona żyje.

– Dziękuję... tato.

Nowak już drugi raz w ciągu ostatnich dni wspinał się po schodach wieżowca, w którym nie działała winda. Tym razem było to na Rubinkowie I, nazywanym „sypialnią Torunia”. Okolica pokryta była siatką wijących się ulic, które wytyczono po tym, jak uprzednio wybudowano tu kilkadziesiąt bloków. Mimo to rozbudowana infrastruktura, placówki oświatowe, punkty usługowe, sklepy wielkopowierzchniowe i dobre skomunikowanie sieci linii autobusowych sprawiały, że na „Rubińcu” mieszkało się przyjemnie.

Pod wskazanym przez archiwistę Maksa adresem Nowak byłego prokuratora Bojarskiego jednak nie znalazł.

Kierował swoje kroki w stronę klatki schodowej, kiedy jeden szczegół przykuł jego uwagę. Na ziemi obok nieczynnej windy leżały strzępki grubej, metalowej liny, takiej, jakich używa się w portach i przystaniach. Z kolei między drzwiami windy dało się zauważyć mocne zadrapania.

Nowak przyłożył linę – jej szerokość pasowała do śladów. Wyglądało na to, że ktoś poprowadził linę z windy na korytarz, zamknął drzwi, a winda pojechała.

– Wygląda na to, że ktoś poprowadził linę z windy na korytarz, zamknął drzwi, a winda pojechała... – powiedział sam do siebie pod nosem. – Tylko po co?

Klatkę schodową przeszedł młody chłopak w okularach,

trampkach i niebieskiej kurtce. Miał nasuniętą na głowę bejsbolówkę, a na szyi zwisającą na gumce maskę przeciwpyłową i okulary ochronne. Był chudy, dłonie umazane miał farbą.

– Ej ty! – krzyknął Nowak.

Chłopak się zatrzymał.

– No nie, co znowu? Mamy wszystkie pozwolenia. Nie każdy graficiarz to chuligan, panie władzo! – bronił się.

– O czym ty mówisz, chłopie? – Nowak był zdziwiony, podobnie jak jego rozmówca. – Jak się nazywasz?

– Andrzej.

– Andrzej jak.

– Andrzej Po Prostu.

– Po prostu? A nazwiska nie masz?

– Mam, ale nie używam. Andrzej Po Prostu to mój pseudonim. Jestem malarzem, tworzę murale. Jak ten na ścianie bloku.

– Znasz człowieka z tego mieszkania? – spytał Nowak, wskazując na drzwi. Nie zamierzał wdawać się w dłuższą rozmowę o dokumentach, ciągoty do bycia służbistą minęły mu w ciągu ostatniego tygodnia. Poza tym znał takich chłopaków. Sam wychował się na dzielnicy wśród kibiców i łobuzerii, znał cały przekrój społeczny.

– Nie znam.

– Jesteś z tego bloku i nie znasz?

– Szefie, nigdy nie mówiłem, że jestem z tego bloku, niestety. – Chłopak tłumaczył się rzeczowo i spokojnie. Widać, że nie raz

odbywał takie rozmowy. – Na dachu mamy sprzęt do malowania, taki projekt z pieniędzy miasta. Malujemy sceny z życia mieszkańców. Taki jakby przekrój bloku, od parteru aż po ostatnie piętro, każda scena w innej dekadzie. Od PRL-u do futuryzmu... – Chłopak zauważył, że policjant zbiera się do wyjścia. – Wiem, nie każdego to jara. Tak pan mnie puszcza bez wylegitymowania?

– No. Tak po prostu. – I Nowak wyszedł.

– No i dzięki Bogu. – Malarz wyraźnie odetchnął. Sięgnął do kreszowej, niebieskiej kurtki po skręta i go odpalił. – Przynajmniej mogę zapalić po robocie jak człowiek.

Pół godziny później Leon Brodzki był w szpitalu na Bielanach, gdzie na oddziale anestezyjologicznym odnalazł doktor Natalię Kaklińską. Wejście na teren szpitalny nie było łatwe – stojący przy szlabanie strażnik uznał, że musi zadzwonić do lekarki, nim wpuści policjanta. Nie wystarczyło okazanie odznaki.

Na korytarzu pachniało środkami czystości i chemicznym zapachem leków. Tym z rodzaju nieprzyjemnych, jakie kojarzą nam się z dzieciństwem i odwiedzinami w osiedlowej przychodni.

– Zawsze gdy pana widzę, to wiem, że będę miała więcej pracy – rzekła Kaklińska, wyjmując z automatu waniliową colę.

Miała grube włosy, brązowe oczy, mocne brwi. Na nogach nosiła klasyczne szpitalne chodaki, ubrana zaś była w kitel. Równie klasyczny.

– Poznaliśmy się przy ciele noworodka. Potem przy zwłokach Franciszka Brodzkiego i w końcu przy wisielcu na moście. Nie powiedziałabym, że to początek pięknej przyjaźni. A tylko przyjaciel prosi się o przysługi.

– Proszę, tylko ten jeden raz. To będzie nasza tajemnica. – Brodzki zdawał się być bezbronny.

– Niech mi pan uwierzy, że mam dość tajemnic lekarskich. Wszystkie muszę zabrać do grobu i nie wiem, czy zmieszczę je do trumny.

– Pozostaje kremacja.

– Niech pan już nic nie mówi, bo jeszcze zmienię zdanie.

Chwilę później w serwerowni szpitalny technik odnalazł nagranie z poniedziałkowego przedpołudnia. Znał Kaklińską i czuł do niej słabość, toteż wpuścił dwójkę gości do sali z podglądem monitoringu.

Nagranie nie było najlepszej jakości.

– Kiedy otworzą nowe skrzydło, wszystko będzie śmigać jak ta lala. Póki co mamy tu takie VHS-y, kiepska jakość. Piętro drugie, to będzie chyba tu... – mruzczał pod nosem człowiek w czerwonej bejsbolówce i granatowych, roboczych ogrodniczkach.

W obrazie kamery pojawił się człowiek w lekarskim kitlu ciągnący dziewczynę za rękę.

– Sara! – Brodzki doskoczył do monitora. Kaklińska pierwszy raz zobaczyła ludzkie oblicze detektywa. – Co jest dalej? Co jest dalej?!

– Spokojnie, majster, nie jestem komórką, żeby się rozdzwajać przez mitozę. – Technik puścił oko do lekarki, ta przewróciła oczami. Jej mina oznaczała jedno: teraz była już pewna, że człowiek od nagrań nie startował nigdy ani w olimpiadzie informatycznej, ani w konkursie na autoprezentację. – Tu mamy coś ciekawego.

Na ekranie monitora pojawił się Tomasz Żółtko.

– Tomek! – krzyknął detektyw, śledząc teraz każdy jego ruch.

Na nagraniu z poprzedniego dnia Żółtko powalił napastnika i pomógł wyswobodzić się Sarze. Wrażenie teraźniejszości było tak intensywne, a widok zaginionej dwójki tak ekscytujący, że

Brodzkiemu zdawało się niemal, że ogląda relację na żywo, czekając na zwrot akcji.

– Uciekajcie... – mamrotał pod nosem. – Córeczko, uciekaj!

Na nagraniu pojawił się teraz mężczyzna w pomarańczowym stroju. Znokautował Tomka, który upadł na ziemię, a Sarę pochwycił za włosy i wykręcił jej rękę. Chwilę potem podszedł mężczyzna w kitlu. Kopnął Tomka w brzuch, Sarę spoliczkował.

– Proszę zatrzymać. Co to jest? – Brodzki wskazał na ekran i przytknął palec do człowieka w pomarańczowym stroju.

– Ma pan na myśli ucho tego człowieka? – Kaklińska nachyliła się ku ekranowi. – To tak zwane ucho zapaśnika. Powstaje na skutek urazu chrząstki, najczęściej u ludzi uprawiających sporty walki, ochroniarzy, żołnierzy.

– Różyczka.

Brodzkiemu przypomniały się słowa sąsiadki Sary. Twierdziła, że po okolicy kręcił się mężczyzna o śmiesznych uszach.

Detektyw wyciągnął papierosa i nerwowo się zaciągnął.

– Czy mamy coś jeszcze? – spytał, nieco uspokojony wciągniętą nikotyną.

– Niewiele. Tylko nagranie z sali.

– Pokaż, Stevie Jobsie.

– Się wie. Zaraz rozprostujemy magiczne paluszki. –

I ponownie spojrzał zalotnie na lekarzkę. Ta złapała go za głowę i odwróciła ją z powrotem w kierunku monitora.

Na nagraniu widoczna była sala i leżący Tomek Żółtko.

Odwiedziła go Sara – rozmawiali chwilę, pocałowali się, wyszła. Brodzki podskoczył, czekając w napięciu na dalsze wydarzenia. Tym razem jednak oprzytomniał i zrozumiał, że wszystko, co tu ogląda, wydarzyło się ponad dobę wcześniej. Mimo to widok Sary napełniał go spokojem i wiarą, że dziewczyna wcale nie umarła.

Kiedy Sara całowała Tomka, detektyw się uśmiechnął. Po pożegnaniu Żółtko również wyszedł z sali.

– I to by było na tyle... – Informatyk wyciągnął się na krześle.

– A to? Co tak miga? – Leon wskazał na widoczny na nagraniu stolik przy łóżku.

– To był prawdopodobnie telefon pacjenta... – przerwał, widząc salową, która na nagraniu podjeżdża z wózkiem z detergentami, po czym bez żadnego skrępowania bierze komórkę z blatu i wyjeżdża.

– Telefon pacjenta przytulony przez pracownicę szpitala? – spojrzał pytająco na Natalię Kaklińską.

– Znam ją – zauważyła przytomnie.

– Wydaje mi się, że musimy złożyć jej wizytę – skwitował Brodzki i zaczął zbierać się do wyjścia z pełnego kabli pomieszczenia.

– Chwila, chwila. A co z tego będę miał? – spytał z rozbijającą szczerością technik i założył ręce za głowę.

Brodzki spojrzał na Kaklińską, ta wywróciła oczy, rozumiejąc absurd i impertynencję zawarte w tym pytaniu.

– No to jak, szefie? Co z tego będę miał?

– Co z tego będziesz miał? – powtórzył drwiąco Leon i podszedł

do mężczyzny. – Twoja matka będzie mogła się wciąż chwalić koleżankom, że jej syn jakimś cudem nadal zachowuje swoje naturalne uzębienie.

– A można mniej metaforycznie?

Brodzki nachylił się i spojrzał mu prosto w oczy.

– Czy chcesz, żeby twoja matka miała syna bez zęba?

Na słowa Brodzkiego Kaklińska wyszła z pomieszczenia.

– Ale ja mam dwóch braci. O którego chodzi?

– O najgłupszego. – Brodzki wypuścił ze zrezygnowaniem powietrze i wyszedł.

Na telefonie Brodzkiego pojawił się komunikat, że numer Dagmary jest dostępny. Brodzki wyszedł na korytarz i natychmiast zadzwonił.

– Daga?

– Leo? – spytała poddenerwowana. W tle słychać było dudnienie.

– Gdzie jesteś?! – odpowiedział pytaniem Leon i jego głos również zadudnił w przestrzeni szpitala.

Kaklińska odeszła kilka metrów, oparła się o ścianę i otworzyła waniliową colę.

– Co z Sarą, Leo? – dopytywała Dagmara.

– Na razie nic... Gdzie jesteś?

– Właśnie wysiadłam z pociągu w Koszalinie i znalazłam gniazdko na dworcu, gdzieś tu czeka na mnie tata. Mam masę nieodebranych połączeń, nie miałam dostępu do sieci ani internetu. Ty dzwoniłeś jako pierwszy, natychmiast się odzywam. Wiesz coś?

– Posłuchaj mnie uważnie...

– Nie lubię, kiedy tak mówisz.

– Ten morderca.... Ten porywacz – poprawił się Leon. – Ten człowiek gra w podstępłą grę. Myślę, że Sara żyje, i mam trop. Nie wierz w nic, co dziś zobaczysz lub usłyszysz. Dobrze?

– O czym ty mówisz?

– Obiecuj mi to. Nie wszystko jest tym, czym się wydaje.

– O czym ty... – Dagmara nie dokończyła. Na ekranie telewizora na dworcu kanał informacyjny puszczał nagranie z fejsbukowej strony Heraklita.

Przestrzeń dworca i słuchawkę telefonu przeszył przeraźliwy krzyk. Był to spazmatyczny szloch, połączony z rozpaczliwym zawodzeniem.

– Dagmara?! Dagmara!

– Leon? – W słuchawce zabrzmiał głos Ignacego. – Już jesteśmy. Zajmiemy się nią. Znajdź Sarę, na Boga. Znajdź naszą wnuczkę!

– Obiecuję! Tato, słyszysz? Powiedźcie Dagmarze, że to nieprawda!!! – Rozmowa została przerwana.

Leon Brodzki oparł się o ścianę i ścisnął mocno głowę.

– Aaaaaa!!! – wrzasnął, a echo poniosło się wszystkimi skrzydłami szpitala.

– Może chcesz jakiś lek na uspokojenie? – spytała doktor Natalia Kaklińska, która wszystkiemu przyglądała się z boku. – Jesteś pod wpływem silnego stresu. To może zaburzać twoją ocenę sytuacji.

– To jest mój lek. – Brodzki wyjął z kieszeni paczkę cameli. –

Lek i trucizna w jednym. Jak miłość. Ta z tych trudniejszych.

14

– Filip, jak to było na MOP-ie? – spytał sierżant Jacek Nowak, kiedy stali na parkingu pod remizą straży pożarnej. W tym samym budynku mieściło się Centrum Zarządzania Kryzysowego.

Ciemniało, w powietrzu unosił się zapach wody z beczkowsów.

– Słyszałeś, co komendant klepał na konferencji – kontynuował policjant.

– Bujda na resorach. Chłopaki mówią, że ktoś skrecił.

Filip odpalił papierosa i spojrzał na czubki bloków przy ulicy Lelewela. Zapadał zmrok.

– To znaczy? – Nowak oparł się nogą o ścianę i założył ręce.

– Ktoś wiedział, że kibole z obu transportów kombinują, jak się sparować po drodze.

Filip był starszy. W tym wywiniętym golfie wyglądał jak szyper. To przez jego ręce przechodziły najważniejsze komunikaty i zgłoszenia. To on decydował, które służby zawiadomić. Kogo wysłać do wypadku, a kogo do porodu.

– I? – dopytywał policjant o orlim nosie.

– I dał na radio, że trzeba zjechać.

– Ale kto? Ktoś z kolumny? Filip, przecież to strzał w kolano.

– Słuchaj dalej. – Dyspozytor zgasił peta i wziął gumę balonową do żucia. – Podobno ktoś zadzwonił do chłopaków transportujących tych drugich, z ŁKS-u, podał stopień i kazał im natychmiast zjechać na MOP, bo w autobusach miały być podłożone bomby.

Nowak stanął jak wryty. Jego szeroko osadzone oczy wyglądały w takich chwilach groteskowo.

– Ale nikt dziś nic nie mówił o bombach!

– A jak żeś to sobie wyobrażał? – Filip zrobił balona z gumy i nim strzelił. – Że będą trąbić w Polsce o terrorystach? Albo o tym, że policja nie zabezpieczyła kolumny? Kibole i środowiska narodowców to potężny elektorat i w MSWiA o tym wiedzą.

– I po prostu zaparkowali ich obok siebie...

– A potem była rzeź niewiniątek.

– To musiała być robota Daniela.

– Tak. Daniela, który robi z glin jelenie – zażartował, nawiązując do wypowiedzi Halickiego z konferencji.

Nowak wybrał na komórce numer do Brodzkiego. Dzwoniąc, przypomniał sobie, że kilka dni temu to Żółtko był partnerem Nowaka – a potem skończył „na szubienicy”.

– Pani doktor, mi się pomyliło, myślałam, że to mój... – próbowała tłumaczyć salowa o szpotawych nogach. Takich, co wyglądają jak prostowane na beczce. Miała dawno niefarbowane włosy i nierówny zgryz.

– Doprawdy, pani Aniu? I dlatego wzięła go pani ze stolika pacjenta?

– Pacjent zniknął...

– Dobra, dosyć tego słodkiego pierdzenia do basenu – przerwał im Brodzki. – Wyskakuj z komóry, piguło, i jesteście kwita.

Doktor Kaklińska nawet nie udawała, że język, jakim posługuje się policjant, w jej mniemaniu choćby minimalnie spełnia normy kultury wypowiedzi.

– Zaraz wrócę. – Lekarka oddaliła się na kilka metrów, po czym wyjęła telefon komórkowy i gdzieś zadzwoniła.

– Nie mam – odparła z rozbijającą szczerością salowa i zaparła się pod boki.

– Co, zaszyliście go komuś w brzuchu? – drwił poddenerwowany detektyw. – Ten telefon jest dowodem w sprawie o morderstwo. Niszczenie dowodów to utrudnianie śledztwa i mataczenie.

Salowa pobladła.

– Sprzedałam. Modele Philipsa to rzadko spotykana rzecz na rynku.

– Jak to pani sprzedała? – zżymał się detektyw.

– Nawet z zyskiem... To znaczy, w dobre ręce oddałam...

– Raczej nie właścicielowi. – Brodzki podszedł do niej, kipiał ze złości. – Widzi pani. Właściciel tego telefonu nie żyje. Został... powieszony! – krzyknął Brodzki. – Kiedy kogoś powiesi się za szyję, ma problemy z zaciskaniem dłoni. Pod wpływem braku dopływu tlenu robią mu się takie szponiaste palce, rozumie siostra. I wtedy taki telefon, co tu dużo mówić, za żadne skarby do tej ręki się nie przyklei! Dlatego dużo łatwiej jest go nie oddawać właścicielowi, którym w tym przypadku był młody chłopak, Tomasz Żółtko!

Brodzki nie mógł ochłonąć. Nie mógł też sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się przy kimś uniósł. Czyżby do głosu dochodziły atawizmy, które usprawiedliwiają gorszące zachowanie, jeśli rozmówca jest biedniejszy i niżej osadzony na drabinie moralności? Salowa poczerwieniała ze wstydu.

– Oddałam go do lombardu na Legionów. Naprzeciwko Pameli – rzekła cicho.

– Przywłaszczenie mienia w celu osiągnięcia korzyści majątkowych. Wie pani, ile to kosztuje?

– A wie pan, ile kosztuje życie samotnej matki? Ja tu dorabiam i jako kucharka, i jako sprzątaczką. Wstaję o piątej, żeby gotować kaszki. Nie jestem lekarzem, a muszę wiedzieć o każdym pacjencie, czy i co może jeść. Jedna pomyłka i ktoś ląduje na OIOM-ie. Potem myję podłogi i lecę do pralni. Pielęgniarki nie pomagają, bo w Polsce na tysiąc osób przypada pięć pielęgniarek. W Szwajcarii

piętnaście. Może dlatego ludzie są przemęczeni, niedocenieni i robią takie głupoty jak ja. Pracuję trzydzieści siedem lat. Leżał telefon. Wzięłam. Pan Bóg i tak przebaczy.

– To, że robią głupoty, to jest pewne jak w banku. Takim szwajcarskim – uciał Brodzki. – Co jest z tymi ludźmi...

Salowa, nie zwracając uwagi na detektywa, pchnęła wózek z detergentami i ruszyła w głąb korytarza swoimi krzywymi nogami. Mijając doktor Kaklińską, spuściła głowę.

– Nie możemy robić sekcji. Rozmawiałam z pana komendantem.

Lekarka schowała telefon do kitla i nacisnęła przycisk windy. Drzwi się otworzyły. Brodzki odruchowo wszedł. Kaklińska wcisnęła przycisk 0 i wróciła na korytarz.

– Jest wysoki wskaźnik zgonów – powiedziała. – W komendzie macie jakieś przetasowania, brakuje specjalistów. Komendant wstrzymał prace i postawił patrol policji przed wejściem do kostnicy.

– Niech to szlag! – zirytował się detektyw.

– Nie będzie mnie tu, ale jest duża szansa, że kiedy naciśnie pan po północy klamkę drzwi do kostnicy, ta ustąpi – rzekła Kaklińska, gdy drzwi kabiny zaczęły się zamykać.

– Słucham? – spytał Leon, ale lekarka już mu nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tajemniczo, a jej uśmiech odcięły wrota windy, którą detektyw ruszył w dół.

Choć zgłoszenie, jakie usłyszeli policjanci patrolujący miasto, dotyczyło ulicy Łyskowskiego na osiedlu Rubinkowo, dyspozytor dał znać o zdarzeniu Nowakowi. Mimo że ten przypisany był do komendy Śródmieście. Po wcześniejszej rozmowie w Centrum Zarządzania Kryzysowego chłopacy ze 112 byli w temacie i wiedzieli, że może to Nowaka zainteresować.

– Trup na straganie przy przystanku Rubinkowo Centrum. Mężczyzna, lat siedemdziesiąt. Karetka w drodze – zakomunikował dyspozytor Filip.

– Niech się pospieszą – odparł Nowak przez radio. –

Niedługo zamykają sklepy, a przyda im się duży, plastikowy worek.

Sierżant pognał Grudziądzką, Bażyńskich, Batorego, tam dał w prawo, w ulicę Kościuszki. Potem Curie -Szkłodowskiej, Wschodnia – i już był na Rubinkowie. Dojechał w sześć minut.

Miejsce zdarzenia znajdowało się tuż przy ruchliwej ulicy i przystanku autobusowym, w sąsiedztwie kiosku i kwiaciarni. Kilkanaście metrów dalej stał tak zwany „kwadraciak” – budynek pełen sklepów i punktów usługowych.

„Znów zbiegowisko ludzi z rynku. Znów ludzie w oknach. Tylko Tomka nie ma...” – Nowak błędził myślami.

Przechodnie przykryli zwłoki brezentem. Tym samym, którym sprzedawca przykrywał sprzedawane przez siebie warzywa. Seler, por, marchew, pietruszkę...

– Państwo znają tego człowieka? – spytał sierżant.

– Oczywiście! – wykrzyknął starszy człowiek z polipem na nosie.

– Najlepszy działkowicz. I w spółdzielni mieszkaniowej się udzielał.

– O personalia pytam. – Nowak chciał konkretów.

– Wszyscyśmy go tu znali. Pan Zieleniak!

– Tak miał na nazwisko?

– Nie, takeśmy go przezywali. Nazwisko miał Bojarski.

Nowaka zamurowało. Jednym ruchem odchylił folię i naraz zrozumiał wszystko. Cofnął się do radiowozu.

– Tu C105. Tu C105. – Dał zgłoszenie na radio. – Denat, Rubinkowo Centrum. Podejrzewane zabójstwo.

– Źle to wygląda? – spytał dyspozytor.

Sierżant rozejrzał się po ponurych twarzach gapiów, potem omiótł wzrokiem okna budynków.

– A jak źle może wyglądać facet z szyją szerokości ołówka? Uduślenie metalową liną. Nawet wiem, gdzie to zrobiono...

W gablocie lombardu na rogu Podgórznej i Legionów stał tylko jeden telefon marki Philips. Było ciemno. Ulica dudniła muzyką, docierającą spod daszku pobliskiego pubu Pamela. Choć trudno w to uwierzyć, to do tego małego i niepozornego baru, wciśniętego między bloki niby stara dacza między ogródki działkowe, od lat przyjeżdżały największe gwiazdy muzyki – gitarzystka Michaela Jacksona, muzycy The Scorpions, czołówka polskiej sceny bluesa i rocka. Innymi słowy: w lokalu zawsze było głośno. Także teraz.

Brodzki skwapliwie wykorzystał ten stan rzeczy i cisnął kamieniem o szybę, która ustąpiła od razu. Chwycił stojący w witrynie telefon i wcisnął przycisk *power*.

– Wie pan, do nas zasadniczo wchodzi się drzwiami – rzekł mężczyzna, który wyszedł drzwiami z wnętrza lombardu. Ubrany był w pizamę w cętki i wełniane kapcie. Na głowie miał szlafmycę, kompletnie nieprzystającą do epoki. Twarz jego zdobił żydowski nos, ciemne oczy i broda przycięta w podkowę. Odpalił nabitą fajkę i przekrzywił głowę jak marynarz, na którego w tej konfiguracji garderoby nie wyglądał. – Widzi pan napis u góry?

Brodzki, nieco zdezorientowany, zadarł głowę.

– Lombard „Nie wszystko złoto co się świeci 24H”...

– A wie pan, co to znaczy? – Mężczyzna pyknął fajkę. – Że jesteśmy otwarci we dnie i w nocy. Jak w modlitwie. Bo tu często ludzie przychodzą z Bogiem na ustach, modląc się o złotówki na

życie. Takie osiedle.

– Ja najmocniej przepraszam – odparł Brodzki, ale zaraz zebrał się w sobie i rzekł jak policjant rodem z dziewiętnastowiecznej powieści: – To urządzenie jest kradzione i muszę je zarekwirować!

– A pan to kleptoman, kolekcjoner czy syn szklarza?

– Lepiej. Funkcjonariusz policji.

Człowiek w szlafmocy pyknął spokojnie fajkę. Jego aparycja i osobliwy atrybut wypełniony tytoniem dość mocno kontrastowały z dźwiękami muzyki i całą okolicą. Skrzyżowanie ulic z każdej strony porastało czym innym: na jednym rogu stał billboard reklamujący przecenę artykułów szkolnych, na drugim – blok mieszkalny z lat dziewięćdziesiątych, na trzecim – ryglowana elewacja domu z muru pruskiego, a na ostatnim – koszmarek budowlany z początku XX wieku, doklejony do starego budynku. Inwestor znalazł najemców w postaci Żabki, komisur i kilku młodych małżeństw, które ochoczo wprowadziły się na wyższe piętra nieukończonego, nieotytnowanego budynku.

– Na komendę mam daleko, więc rozumiem, że u pana mogę zgłosić, że ktoś mi wszedł w szkodę? – spytał spokojnie właściciel lombardu.

– Nie, żeby mi kładł się na ołtarzu pokutnym, ale właśnie rozwaliłem panu szybę. Czemu pan jest taki spokojny?

– Bo cena ubezpieczenia jest wyższa niż cena szyby – zarechotał człowiek. – Ja w tym bizie robię prawie trzydzieści lat. Zaczynałem od ruskich zabawek.

– Panie...

– Szlomo.

– Panie Szlomo. Rzecz jest następująca. Ten telefon jest ważnym dowodem w śledztwie, które...

– Które pan prowadzi, panie Brodzki. – Leon spojrzał podejrzliwie na lichwiarza, który kontynuował: – W gazetach czytam nie tylko rubrykę z kursem walut. W moim życiu spotkałem wiele niesprawiedliwości. Wejdźmy do środka. – Wskazał drzwi.

Gdy znaleźli się w środku, opuścił elektrycznie sterowane rolety zewnętrzne i zapalił światło.

– Po pierwsze, jestem Żydem. Przez duże żet.

– A jaka to różnica?

– Jestem i wyznawcą wiary, i obywatelem narodu.

– Ach, takie buty...

– Pan wie – kontynuował – że, mówiąc delikatnie, jako naród mieliśmy przekichane. Więc dziedzictwo holokaustu mam we krwi. Druga rzecz, ludzie mówią, że Żyd to zawsze lichwiarz. A lichwiarz, bo za dzieciaka zamiast krowy doić, uczyłem się rachowania i czytałem Talmud. W wieku lat szesnastu miałem wiedzę jak student matematyki. Rzecz kolejna: Polska po transformacji, dziki rynek. Wiesz pan, że ja miałem kiedyś wielką fabrykę? Ale przepędzili mnie. Bo Żyd, bo cwańszy, bo lepiej rachuje. Polacy są tolerancyjni, póki nie idzie o liczenie dukatów. Wtedy wyciągają bosaki i kosy. Na żydków, cyganów, kogo popadnie. Dlatego moje przeznaczenie mnie dosięgło i na stare lata zostałem Żydem jak z

kawałów. Umiem liczyć i liczę na siebie. Mnie nikt nie oszuka. Oszustów nie lubię, a uczciwym dopomogę. Pan wyglądasz mi na uczciwego. Policjant i ojciec, to mi wystarczy. Co z tym telefonem?

Brodzki stał jak zaczarowany. Miał wrażenie, że przeniósł się do świata klezmerskich opowieści.

– Miał go mój przyjaciel, zamordowano go. Przed śmiercią nie zdążył przekazać mi wszystkiego, co wiedział. Być może znajdę informacje w jego telefonie.

– Problem polega na tym, że ja nowy telefon formatuję, żeby był bez przeszłości. „Liczymy się jak Żydzi”, zna pan to powiedzenie? Muszę mieć jakąś gwarancję, że tu nie przyjdą mnie zlinczować pod pretekstem, że Żyd kradzione sprzedaje albo informacje czyjeś prywatne rozpowszechnia...

– Cholera, co teraz?

– Ale znam życie i wiem, że nie ma dysku, z którego nie można odzyskać danych. Zobaczymy, czy się uda.

– Prawdziwy z pana Żyd.

Mężczyzna zaśmiał się, podpiął telefon do komputera, odpalił program do odzyskiwania danych. Czerwony pasek na ekranie wskazał liczbę plików, które zlokalizował. Po chwili wyskoczyły w folderze.

– Proszę bardzo, pana prywatna kartoteka. – Lichwiarz wskazał na pliki.

– Philips. Odkryjmy lepszy świat... – Brodzki zaczął przeglądać zawartość telefonu. Były tam pliki ze zdjęciami, pliki tekstowe z

wiadomościami, kopie zapasowe zawartości skrzynek mailowych. Po pół godziny detektyw miał przed sobą dwa istotne dokumenty.

Pierwszym był e-mail zapisany w pamięci telefonu.

Nadawca: PatrycjaEm2001@wp.pl

Dostało mi się za rozmowe z panem. Mam bana na wychodne. To niesprawiedliwe, że ludzie krzywdza innych. Nie chce tu być.

Drugi dokument stanowiła pusta wiadomość z tego samego adresu, ze zdjęciem w załączniku. Była to kiepskiej jakości fotografia Daniela, zrobiona gdzieś na parkingu, z ukrycia.

Detektywowi przemknęły przez głowę przebłyski odbytej w poprzednią sobotę rozmowy z Tomkiem Żółtką.

„Mówił, że rozmawiał z koleżanką Laury z ośrodka we Włocławku, Patrycją... Według niej Laura знаła jakiegoś chłopaka z zewnątrz, miała też jakąś daleką rodzinę... Dzieciaki były pod kluczem, zwłaszcza po śmierci Laury. Ktoś z policji był tam w czwartek. Komendant twierdził, że nikt z naszych... Policjant, a więc Kosma. A może Daniel? Czy jeździli tam obaj? Cięża Laury trwała dziewięć miesięcy, więc ci dwaj musieli opracowywać swój plan długo i wytrwale. Może wymieniali się na różnych etapach. Może we Włocławku był też Halicki, który szukał Laury”.

– Może mi pan znaleźć numer do ośrodka wychowawczego we Włocławku? Chciałbym tam zadzwonić, ale z innego numeru. Ten

telefon zaś... – Wskazał na urządzenie. – Czy mógłby pan zajrzeć do środka i powiedzieć, czy jest tam element niepasujący do obrazka?

– Na przykład pluskwa, której nie poszukają panu technicy policyjni, bo...

– Bo są poćwiartowani w beczkach – uciał Brodzki, przywołując w myślach Karola Daktyłowicza, który znalazł się wśród ofiar, a którego mylnie oskarżył o związek z poprzednią sprawą kryminalną.

Po drugiej stronie ulicy, z pubu po zakończonym koncercie wychodzili podchmieleni fani bluesa.

Brodzki odpalił papierosa przed rozbitą witryną lombardu i wybrał podany numer na dotykowym ekranie nowoczesnego telefonu. Chwilę się z nim mocował. Najpierw zablokował klawiaturę, potem popiół spadł na wyświetlacz.

– Noż kurwa, wybierz ten numer. – Telefon, jak za zaklęciem, wyświetlił zapisany przed chwilą ciąg cyfr z napisem „Włocławek”, po czym pokazała się komenda „Zadzwoń?”. – Tak, kurwa. – Telefon nie reagował. Brodzki zdenerwował się, po czym wziął oddech i powiedział spokojniej do mikrofonu. – Tak.

Telefon zaakceptował komendę i wybrał numer telefonu. Na wyświetlaczu pojawił się komunikat „Trwa łączenie”. Brodzki zaśmiał się pod nosem.

„Nie bez powodu zagadki przyrównuje się do szachów, pokera albo puzzli. Każde określenie jest tutaj dobre. Czasem pasuje także

domino, kostka Rubika. Albo gra w chowanego, jak rano na cmentarzu”.

– Siostró Klementyno? – rzekł do słuchawki, kiedy ktoś w końcu po drugiej stronie odebrał. – Tu pani ulubiony policjant, Leon Brodzki. Chciałbym z panią porozmawiać bez zbędnej zwłoki...

Zakonnica o alabastrowej cerze siedziała przy dębowym stole, zaciskając w palcach różaniec. Kiedy zadzwonił telefon, nie od razu odebrała. Lata posługi przyzwyczyły ją do precyzyjnego rytmu dnia, a także do niepodważalnych zasad i reguł, jakich należy się trzymać, by przeżyć swój ziemski żywot w cnocie. Zaliczało się do tego ograniczone korzystanie ze zbytków i zdobyczy cywilizacji, jak telefony komórkowe czy internet, do którego dostęp wychowanki ośrodka miały tylko o wyznaczonych porach. Ośrodek na Michelinie znany był z odchowywania zdolnych i ułożonych dziewcząt. Opinia ta panowała do dziś, choć na metodach wychowawczych cieniem położyła się historia zaginionej Laury Mostowicz.

– Proszę opowiedzieć mi o tym jeszcze raz – poprosił głos Leona dobiegający ze słuchawki. Siostra Klementyna знаła detektywa. Przyjechał tu kilka razy, kiedy poszukiwano Laury. – Czy wszystko w porządku? Rozumiem, że wciąż nie dociera do pani informacja o śmierci Laury Mostowicz...

– Same nieszczęścia, panie policjancie... – Klementyna ścisnęła koraliki i spojrzała na pełną zdjęć ścianę. Na kilku fotografiach dostrzegła Laurę z przyjaciółką. – Zanim zniknęła, była zdolna, mądra i ładna. Żyła w zgodzie z opiekunkami do czasu feralnego przedstawienia teatralnego. Miała grać w nim Czerwonego Kapturka.

– Ale nie zagrała.

– Nie, panie policjancie. Traktowałyśmy ją dobrze. Do wychowanek zwykłyśmy mówić, że jeśli będą słowne i szczerze, będziemy traktować je serio.

– Dlatego wychodziły na przepustki?

– Tak. Nasz ośrodek to nie więzienie. Mówiłam już to pana koledze, panu...

– Tomkowi Żółtko.

– Przemiły człowiek. Był podejrzliwy, ale dobrze mu z oczu patrzyło. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy nie wygrał konkursu o laur ulubionego funkcjonariusza. Proszę go pozdrowić. Zrobi to pan?

– Tak... Bez zbędnej zwłoki. – Brodzki nie mógł odmówić sobie uszczypliwości, pod którą skrywał tak naprawdę niechęć do wymawiania imienia tego młodego chłopaka. Za dużo emocji go to kosztowało.

– A zatem, panie policjancie, wychowanki wychodzą na zewnątrz. Laura poznała chłopca. Miły, artysta. Nie pamiętam imienia.

– Też wolałbym go nie pamiętać.

– Słucham?

– Daniel.

– Ach tak. Spotykali się. Któregoś razu Laura wróciła z tatuażem. Na nadgarstku ktoś ją przyozdobił w zjadającego własny ogon węża! – Siostra przeliterowała ostatnie słowo i powtórzyła jeszcze kilka razy bezgłośnie. – Boże miły, przeżegnałam się wtedy

tyle razy, że niemal ramię zwichnęłam od ruchów...

– I co było dalej, siostró Klementyno? – dopytywał Brodzki. – Czy przedstawienie się nie odbyło?

– Odbyło się, ależ. Tylko zmieniliśmy obsadę.

– Kto zagrał rolę Laury?

– Patrycja, jej najlepsza przyjaciółka.

– Rozumiem. – Brodzki zapalił się do rozmowy. – Rozmawiał z nią, jak sądzę, mój kolega, wspomniany...

– Tomasz Żółtko! – powiedziała jakby głośniej. – Nie pamięta pan imienia swojego kolegi?

Brodzki przygryzł wargi.

– Czy Patrycja przebywa w ośrodku? Chciałbym z nią zamienić słowo.

– Pytał pan, czy wszystko w porządku... Niestety nie. Patrycja zniknęła dwa dni temu, zaraz po swoich osiemnastych urodzinach.

– O nie... – jęknął Brodzki. Pot spłynął mu po czole. Jeszcze nie wiedział, jak ta informacja wpasuje się w proces dedukcyjny w jego głowie. – Tak bez uprzedzenia?

– Zupełnie. Miała prawo jako osoba pełnoletnia, ale zwyczajowo...

– Pożegnała się? Zostawiła jakiś list? – dopytywał, próbując poskładać elementy puzzli w całość. Powoli wyłaniał się ich kształt, superświadomość detektywa – jak to bywa z puzzlami – zaczęła od układania boków.

– Nie, zupełnie nic. Zdążyłam tylko zobaczyć, jak odjeżdża z tym

Danielem. Nic z tego nie rozumiem. Wygląda na to, że dziewczęta ze sobą rywalizowały. O rolę, o chłopca. Bardzo smutna historia...

– Tak, coraz smutniejsza. – Brodzki po drugiej stronie słuchawki dalej pograżał się w myślach, ale zapadki w mechanizmie jego detektywistycznego umysłu zaczęły wskakiwać już na właściwe miejsce. Plansza puzzli zapełniała się kolejnymi elementami.

– Jak pan sądzi, co Patrycja może robić? Czy spotka ją zasłużona miłość? – dopytywała zakonnica, choć w jej pytaniach pobrzmiwała nie tyle ciekawość, ile wola potwierdzenia tezy o nieuchronności boskich praw i boskiej sprawiedliwości. – To straszna strata. Tak jak Laury.

– Ja też kogoś straciłem, siostrze. Kogoś bardzo bliskiego.

– Kogóż pan stracił, jeśli można spytać?

– Córkę.

– Maryjo najśłodsza. Pomodłę się za jej duszę.

– Poproszę również za ciało. Mam nadzieję, że ona żyje, czuję to.

– Rodzicielska intuicja ma boską moc, tak jak boskim synem był Jezus Chrystus.

– Dziękuję, siostrze.

– Co może robić Patrycja?

– Jeśli pojawi się gdzieś na... horyzoncie naszych poszukiwań, powiadomię siostrę.

I rozłączyli się. Brodzki zaciągnął się dopalonym camelem i zgniótł niedopałek obcasem buta.

– Chociaż znając życie, to zalicza właśnie kurs nurka

głębinowego – mruknął trochę do siebie, a trochę do ulicy.

Ta – nie odpowiedziała.

W oddali zegar na wieży ratuszowej wybił północ. Brodzki wiedział, że zbliża się moment, w którym wyrusza na spotkanie z prawdą. Do ułożenia obrazka brakowało jednego kawałka. Był na nim człowiek, którego imienia nie chciał wymawiać.

Żyd z lombardu wyszedł przed sklep. Miał na nosie wielki, specjalistyczny binokl.

– Gdzie jesteś?

– Tu. – Brodzki stanął przed nim.

Szlomo podniósł wzrok i odskoczył z wrażenia.

– Nie skradaj się tak, człowieku! – wrzasnął, zdejmując okular.

– Muszę. Z zawodu jestem detektywem. Nawet na starych obrazkach detektywi skradają się na palcach.

– A w rękach trzymają lupę? – zaśmiał się Żyd, machając szkłem powiększającym.

– I co znalazłeś w tym koniu trojańskim?

– Dybuka pod postacią chipu. – Szlomo podał mu telefon. – Ktoś cię śledził, kolego.

– Ale już nie będzie? – Brodzki obejrzał urządzenie i odruchowo sprawdził jego wagę. Tak jakby potrafił ocenić w palcach różnicę dziesięciu gram. Nie, nie potrafił.

– Nikt cię śledził nie będzie. No, przynajmniej przez telefon, bo gdzie się szlajasz i kto w ciemnym rogu własnego mieszkania cię napadnie, nie moja rzecz.

– To mi nie grozi.

Szlomo pokiwał głową bez przekonania i wskazał palcem na telefon.

– Musiał to zrobić jakiś gliniarz, bo poustawiał różne setupy, które widziałem w sprzęcie wojskowym.

– Sprzęcie wojskowym?

– Czym tu się nie handlowało w latach dziewięćdziesiątych... – Szlomo uśmiechnął się tajemniczo. – Powodzenia. Ja i mój naród od tysięcy lat walczyliśmy z niesprawiedliwościami świata. Ciągłe wierzę, że dobro może zwyciężyć.

– Ale swoją walkę prowadzisz na wszelki wypadek zza szyby?

– No... – Szlomo spojrział na rozbite przez Leona szkło. – Już nie.

Jednym z bardziej znanych obrazów przedstawiających badanie ludzkiego ciała jest *Lekcja anatomii doktora Tulpa*, namalowana w 1632 roku przez Rembrandta. Malarz uwiecznił na płótnie sekcję zwłok złodzieja imieniem Adriaan Arisz. Jak to możliwe, że Rembrandt mógł wziąć w niej udział? Na co dzień sekcje odbywały się za zamkniętymi drzwiami, ale raz do roku w Amsterdamie dokonywano tego publicznie, wykorzystując w tym osobliwym przedstawieniu ciała kryminalistów.

Leon Brodzki nie znał się na malarstwie, ale jako policjant doskonale wiedział, że oględziny zwłok nie należą do rutynowych zajęć przeciętnego obywatela. Zwłaszcza w samotności i zwłaszcza pod osłoną nocy.

Gdy wybiła północ, ruszył w kierunku szpitalnej kostnicy.

Nad Bielanami padało, deszcz ciosał mokre iskry o igliwie wysokich drzew. Parasolem ochronnym dla Leona Brodzkiego były woda i mrok.

„Odkąd ruszył remont szpitala, by się do niego dostać, trzeba minąć budkę strażników. Wszędzie maszyny i materiały budowlane. Pole do popisu mają wychowani w poprzednim ustroju służbiści, lubujący się w sprawdzaniu, wypytywaniu, niedopuszczaniu, zakazywaniu, zawracaniu, przepytowaniu. Tak, ciecie przeżywają tu ekspiację: mogą pilnować i pilnować. No to pora pograć w podchody”.

Do szlabanu podjechała stara, czerwona mazda 323.

– Co się stało? – spytał strażnik. Miał zaspane oczy, śmierdział potem i tanimi papierosami.

– Rozcięty łuk, krew leci. A pan co, lekarz?

– Proszę zostawić auto i udać się pieszo do opieki całodobowej – odpowiedział, świecąc latarką po twarzach pasażerów.

– Słucham? Jedziemy do szpitala, a nie przez most na Odrze w siedemdziesiątym piątym. Otwieraj pan ten szlaban albo go staranuję! – krzyczał kierowca.

Ochroniarz zrobił naburmuszoną minę, ale podniósł wajchę wjazd. Samochód ruszył z piskiem.

– Proszę potem odstawić auto tutaj. Tam miejsca nie ma!

– Spierdalaj pan!

Zaferowany stróż machnął ręką. Z tego wszystkiego nie dostrzegł cienia, który przesadził płot i pognał między drzewami w kierunku budynków. Stróż obrócił się bardzo powoli, kiedy Brodzki był już sto metrów dalej i drwił w myślach:

„Ziemia szybciej okrąży Słońce, niż facet obraca się wokół własnej osi. Może to kwestia zaćmienia?”

Brodzki skrył się w cieniu. Twarz ociekała mu wodą, pojedyncze krople zatrzymywały się na brwiach i ustach, pęczniały, po czym spływały niżej.

Przy głównym wejściu do SOR-u kręcili się ratownicy z nocnego dyżuru. Z kłębow papierosowego dymu wylatywały pojedyncze słowa, zagłuszane spadającymi hektolitrami wody. Nieco dalej na

lewo znajdowała się chirurgia, a na końcu budynku – oddział patomorfologiczny.

„Taka ścieżka zdrowia. Izba przyjęć, łamanie kołem, plastikowy worek. Czego oni tak pilnują?”

Przy narożniku budynku stał radiowóz. Dwóch funkcjonariuszy oglądało w kabinie filmy na telefonach.

– No to zabawimy się w podchody. Czego by tu użyć zamiast kredy? – Leon krzątał się chwilę przy materiałach budowlanych. Podniósł kawałek gumowej uszczelki, zebrał parę kamieni. – Jeszcze tylko odpowiedni patyk. O, jest. – Przysiadł w zaroślach i zaczął montować uszczelkę na ramionach gałązki. – Podobno każdy kij ma dwa końce, ale twórca tego powiedzenia najwyraźniej nie znał się na procach. Pora uszczuplić budżet gminy Toruń.

Detektyw stanął naprzeciwko radiowozu, wsadził kamień w siodełko, naprężył gumę, przycelował, wystrzelił. Po mniej niż sekundzie usłyszał trzask plastiku przedniego reflektora.

– Ale to było dobre. – Zacytował klasyka. – Co jest, kurwa?

Policjanci nawet nie zorientowali się, że auto właśnie uległo uszkodzeniu. Tak bardzo byli pogrążeni w seansie filmowym. Z kabiny pojazdu dochodziła muzyka.

– To ja tu wymyślam durne strategie, gry wojenne, a oni co? – mruknął pod nosem. – Założę się, że tego też nie zauważą. – Po czym po prostu ruszył ku wejściu do budynku, przechodząc niedostrzeżonym. Gdy minął wóz, cofnął się jeszcze, przechylił głowę, ale dla niebieskich wciąż był niewidzialny.

„Ja pierdolę. Oni mają pilnować porządku w tym mieście? Halicki, skąd ty bierzesz takie posiłki... Normalnie bym im coś powiedział. Nie zrobię tego tylko dlatego, że chwilowo łamię prawo. Powód nie powód, ale mam ważniejsze rzeczy na głowie niż szkolenie dzieciaków z mlekiem pod nosem”.

Gdy nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły.

– Dziękuję, pani doktor. – I wślizgnął się do środka.

Puste wnętrza mają w sobie coś magicznego. Za dnia tętnią życiem, używa się ich każdego metra kwadratowego, wykorzystuje wszystkie moce przerobowe w postaci mebli, wind, urządzeń łączności, korytarzy. Są pełne życia i energii. Zaś nocą? Uśpione, tak jak olbrzym, którego ciało śpi. Właśnie nocą cały ten ruch ukrywa się w bezruchu. Kto nie chciał jako dziecko zostać zamkniętym na noc w szkole albo kinie? Kto nie marzył o zaśnięciu na regale w sklepie z dywanami albo zabawkami? Kto nie lubił wykorzystywać miejsc w sposób inny, niż przewidziano? Siedząc na parapecie, śpiąc w samochodzie, jeżdżąc rowerem po terenie szkoły w wakacje, pijąc piwo na nieczynnym targowisku? Jeżeli któreś z tych skojarzeń linkuje się w pamięci i emocjach, to co dopiero mówić o miejscu tak skrajnie nieczynnym jak miejska kostnica? Jeśli bowiem tętni ona życiem za sprawą patomorfologów, prokuratorów, laborantów i denatów, to co dopiero nocą?

I właśnie nocą zjawił się tu detektyw Leon Brodzki. Zakłócił sterylną przestrzeń miejsca będącego...

„No właśnie, będącego... czym? Purgatorium? Węzłem

przesiadkowym? Peronem na podmiejskiej stacji, skąd pociągi jadą do nieba i piekła?”

Było to stare skrzydło szpitalne, niewyposażone w monitoring ani dodatkową dyżurkę.

– No bo kto miałby włamywać się do trupów? – zastanawiał się na głos Brodzki. – Nekrofile?

Przechylił się przez ladę portierni, zabrał pęk kluczy i ruszył na spotkanie ze śmiercią.

W kostnicy pachniało niebytem i pumeksem. Nafreonowane, zimne powietrze wdzierało się do ciała detektywa wszystkimi otworami w głowie. I tak jak zimą czujemy, że chłód próbuje nam się dobrać do dupy, tak tutaj do dupy próbowała dobrać się śmierć. Pod przykrywką chłodu.

Brodzki przeszedł przez bladą, kafelkowaną salę z metalowymi stołami sekcyjnymi i przeszedł do drugiego pomieszczenia. Po lewej stronie znajdowały się w ścianie komory chłodnicze. Wsadzone do nich zwłoki przywieziono w specjalnych kapsułach.

„Zabawne, że nazywa się to kapsułą. Tak samo mówi się na obiekty, w których wysyła się ludzi w kosmos. Albo w książkach – gdy podróżują między wymiarami. Kapsuła czasu... Albo bezczasu. Głupie te moje przemyślenia. Czemu pomyślałem, że cokolwiek jest tu zabawne? Pułapki ludzkiego umysłu. Przetrawanie poprzez śmiech. Przybyłem tu w konkretnym celu. Refleksje i przemyślenia to znów próba oszukania umysłu i ucieczka od zagadki śmiertelności, która zastanawia mnie tym bardziej, im bliżej

człowiekowi do... kapsuł. Co innego śmierć Tomka – nagła, niesprawiedliwa i okrutna, ale jednak w pewnym sensie odległa. Co innego śmierć mojego ojca – dokonana na moich oczach, ale w ułamku sekundy. Co innego śmierć mojej matki trzydzieści lat temu. Byłem obok, gdy stopniowo ulatywało z niej życie. Widziałem grymas na twarzy, zmieniający się kolor skóry, czułem oddech śmierci. Patrzyłem na jej konwulsje i w jej gasnące oczy. Widziałem bezgraniczną miłość, której blask powoli przygasał, by w końcu rozpląnąć się w niebycie. Tak, śmierć ma wiele twarzy, ale rzadko patrzymy prosto w oczy którejs z nich...”

– A najczęściej... – powiedział głośno, by dodać sobie odwagi. – A najczęściej po prostu odwracamy twarz. – Na te słowa wysunął ciało z pierwszej komory. Zagryzł usta, zacisnął mocno powieki, otworzył. Energicznym ruchem spojrzał na karteczkę identyfikacyjną. – Janka... – Brodzkiemu głos uwiązł w gardle. Przypomnił sobie sobotnie spotkanie z piękną kobietą, która kiedyś była obiektem jego westchnień, a w niedzielne popołudnie wykrwawiła się w centrum miasta.

Byli sobie bliscy w odległych czasach. Bliscy w dość osobliwy sposób, bo jak inaczej określić relację łączącą policjanta i ekskluzywną prostytutkę? Nie można było nazwać tego romanssem, ale stanowili coś na kształt niedobranej pary, w której jedno było uzależnione od drugiego. Janka dostarczała Leonowi informacji. Leon Jance – ochrony, kiedy wpadała w tarapaty. Po latach kobieta zmieniła tożsamość, przeszła kilka operacji plastycznych. Została

żoną, matką, przewodniczącą rady rodziców w jednej ze szkół. Gdy tym razem Brodzki poprosił ją o przysługę, nie odmówiła. I przyszło jej zapłacić za to wysoką cenę – morderca ukarał ją za dawne grzechy, sadzając ją na zabytkowym pręgierzu. Rzeźba symbolizująca osła, wyposażona w ostry grzbiet, rozcięła kobiecie genitalia. Janka się wykrwawiła.

Detektyw odkrył powoli płótno przesłaniające jej twarz.

Miała zawsze wyraziste rysy. Zabiegi plastyczne podkreśliły linie nosa i podbródka. W tej scenerii i z tą temperaturą ciała wyglądała jak królowa lodu. Z jasnymi włosami opadającymi na ramiona, sinymi ustami, wciąż wywiniętymi rzęsami. Brodzki uczył, jakby w pomieszczeniu zrobiło się zimniej niż wcześniej. Rozejrzał się niepewnie. Tak. Był jedynym na tym oddziale człowiekiem o temperaturze ciała powyżej 4 stopni Celsjusza.

– Żegnaj, laleczko. – Brodzki przytknął palec do jej ust. – Byłaś dobrą dziewczyną. Jakkolwiek mętnie i bezbarwnie to zdanie dziś brzmi. – Miał już przykrywać ciało płótnem, gdy zatrzymał je tuż pod brodą kobiety. – Co to...

Pod naciskiem opuszków spod wargi wysunął się dziwny kształt.

Brodzki się nachylił. Gdyby spojrzeć teraz na profil Janki, to zza jej ułożonej poziomo głowy wystawały oczy Brodzkiego, patrzące uważnie na usta kobiety. Brodzki zniknął na chwilę w sąsiedniej sali. Wrócił, ponownie się nachylił, ponownie jego oczy oglądały profil Janki. Z jej ust wystawała pomarańczowa drobinka.

Detektyw miał na prawej dłoni lateksową rękawiczkę, buchniętą

z pojemnika stojącego przy stole sekcyjnym. Z szafki z instrumentami zabrał też małe kleszcze zaciskowe. Odchylił palcami brodę denatki. Żuchwa nie ustąpiła jak podczas ćwiczeń resuscytacyjnych na fantomie, policjant musiał użyć sporo siły. Gdy chrupnęły kości w szczęce, Brodzki pogmerał kleszczami w ustach, po czym wyjął z nich...

– Nagietek? – Obejrzał kwiat pod światło. Listki były pomarszczone i zabarwione na czerwono. – Raczej od niego nie wyzdrowiałaś, co? To sprawa dla biegłych. Jakby co, mnie tu nie było, dobrze? No, to buzia na kłódkę.

Włożył kwiat na swoje miejsce, domknął żuchwę.

– Już po wszystkim, dziewczyno. Już cię nikt nie skrzywdzi. Przepraszam. – Zakrył ciało płótnem, jednym ruchem wsunął je do komory i zamknął drzwiczki z hukiem.

Cofnął się do sali sekcyjnej, wrzucił rękawiczkę do kosza, kleszcze odłożył do szufladki, zasunął ją. Wrócił przez drzwi do sali z komorami, podszedł do kolejnych drzwiczek. Nagle mocny ból skroni zdjął Brodzkiego tak, że ścisnął rękami głowę niczym w imadle.

– Co to ja miałem... – wymamrotał. Często, kiedy przechodził przez jakąś futrynę, zapominał, co miał zrobić. Teraz jednak konfuzja wynikała z czego innego. Leon stał przed tą ścianą śmierci, a w głowie dudnił mu głos jego córki. Przypomniał mu się sen, w którym miała niewidzialne ręce. A potem zaraz sen, w którym tonęła.

– Nie! – wrzasnął. – Po moim trupie!

Werwa, która przed chwilą uleciała za futryną, teraz wróciła, wstępując w jego ciało ze zdwojoną mocą. Brodzki zaczął otwierać kolejne komory chłodni. Wysuwał z nich na metalowych suwnicach przykryte prześcieradłami ciała, szukał czegoś, zamykał z powrotem.

– NN. – Zamknął drzwiczki z hukiem. – Trzecia. NN. – Brodzki mówił na głos. Trup wjechał w ciemny otwór. – Otwinowska, Izabela. – Tu Leon spojrział przez sekundę. – Co żeś za dzieci spłodziła, kobieto. – Drzwiczki się zatrzęsęły. Brodzki z impetem otworzył ostatnią komorę w dolnym rzędzie. Spojrział na wystające spod białego płótna stopy. Na lewym paluchu przyczepiono specjalną karteczkę identyfikacyjną.

– Żółtko, Tomasz – wypowiedział zasapanym głosem. Serce biło mu jak szalone. – Po co żeś chłopaku jechał na to zgłoszenie? Po co byłeś taki dobry w tej robocie? Nie powinno było spotkać cię takie kurestwo. Powiesili cię jak psa na łańcuchu.

Oparł palce wskazujące na biodrach, bębniąc z tyłu palcami. Przygryzł wargi. W końcu nachylił się i zdjął płótno.

Oblicze detektywa Leona Brodzkiego zmieniło się gwałtownie. Mięśnie jego twarzy musiały wykonać jedną z szybszych wolt w historii swojej mimiki.

Brodzki znów pochylił się nad ciałem, tym razem jeszcze niżej, łypiąc na denata niczym oczy krokodyla wynurzone z rozlewiska.

– Zastanówmy się – zaczął zmienionym głosem. – Lekarz musiał

stwierdzić zgon. Pielęgniarka wypełniła kartę skierowania do chłodni. Zwłoki powinny były być przewiezione najwcześniej po dwóch godzinach od czasu zgonu wpisanego w papiery. Mieli dużo roboty, trupów w mieście przybywało. Taki mały, kurwa, Smoleńsk. Byle jak, na szybko. Twój dziadkowie może nawet cię nie identyfikowali, zrobił to ktoś z funkcjonariuszy. Lekarz klepnął, pojechałeś do chłodni i zamienili cię w rożek Algidy.

Podobnie jak doktor Tulp Brodzki również nie miał pomocnika w osobie preparatora, który przygotowałby ciało. Nie licząc martwych zwłok, był tu sam. Rembrandt, chcąc dodać dramatyzmu i dynamiki, na obrazie pokazał, jak doktor Tulp zaczyna badanie ciała od ręki, choć w rzeczywistości pierwszy był badany brzuch. Brodzki zaczął od twarzy. Wrócił do sali sekcyjnej, wziął rękawiczkę i mały chwytak. Zatrzymał się przed futryną drzwi, policzył do trzech, przeskoczył.

– No chłopie. Dzisiaj twarze inwigilują wszystkim, ale ty masz szczególne przywileje... Mogłem zostać tanatopraktorem – mówił pod nosem, przykładając chwytak do policzków denata.

Wtem Brodzki podskoczył jak oparzony.

– O ja cię, kurwa, pierdolę – wyszeptał, choć nie było w tych słowach nawet cienia wyznania nekrofila. –

O ja cię, kurwa, pierdolę.

Kwadrans później policjanci z radiowozu prawdopodobnie dłużej oglądaliby filmy w samochodzie, gdyby pewne zdarzenie nie zakłóciło im projekcji. Siedzący na prawym fotelu posterunkowy

miał zamiar wysiąść z pojazdu, kiedy zorientował się, że coś blokuje jego drzwi.

– O kurwa, o kurwa, o kurwa! – zaczął krzyczeć i miotać się w samochodzie jak po ataku węża. – Spierdalamy, kurwa!! – I rzucił się w stronę drzwi kierowcy. Obaj policjanci wyskoczyli ze srebrnego radiowozu, spadając jeden na drugiego. Złapali za broń, zerwali się na równe nogi i powoli obeszlą samochód. Przy jego prawym boku, na szpitalnym wózku, leżały zwłoki z karteczką NN na paluchu. Na prześcieradle czerwonym flamastrem napisano:

Jeśli zginę drugi raz, to przez was. Nie opierdalać się na służbie.

Na widok sinego ciała policjant z prawego fotela zwymiotował. Drugi, trzymając się za brzuch, pobiegł między drzewa.

Wówczas z drzwi wejściowych oddziału patomorfologicznego wyszedł Leon Brodzki. Wyciągnął miękką paczkę papierosów, wsunął jednego do ust, odpalił, zaciągnął się i syknął pod nosem.

– Nie ma ciała, nie ma zbrodni.

Cicho nastawione radio pykało w kuchni dźwiękami audycji. Stara podziałka ustawiona była na samym początku częstotliwości – toruńskie Radio GRA łapało na 88,8 fm.

– Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej podaje, że na Kujawach i Pomorzu wystąpi wzrost zachmurzenia kłębiastego do dużego, z przelotnymi opadami deszczu nawet do czterdziestu litrów na metr kwadratowy. Możliwe burze z gradem. Wiatr powieje z kierunków zachodnich, okresami silny, w burzach osiągnie prędkość do stu trzydziestu kilometrów na godzinę...

Choć za oknem szalała wichura, nowe, drogie okna skutecznie oddzielały dźwięki żywiołów natury od czystego wnętrza domu państwa Halickich. Nienagannie złożone kraciaste ścierki, słoiki z przyprawami, lśniące sprzęty na przyciętym na zamówienie blacie – wszystko to składało się na obraz idealnej kuchni Zofii Halickiej. W idyllicznym zestawie nie pasował jedynie kapiący kran. Spadające równo srebrniki kropel wybijały rytm niczym tykanie zegara.

Dbanie o armaturę wodną – podobnie jak o trawnik, podjazd, lampki solarne w ogrodzie, piec i kominek – należało do obowiązków pana domu, Gromosława Halickiego. Jeśli coś z tej listy nie działało, znaczyło to, że komendant jest zapracowany. Wpisywało się to w znaną powszechnie teorię, iż w każdym polskim domu jest przynajmniej jedna niepowieszona półka. Nic dziwnego,

skoro zamiast zakładać nowe uszczelki w baterii, Halicki musiał zdejmować trupy z mostów. Ot, taki dysonans.

Halicy spali w najlepsze, kiedy ciszę ich domu w podtoruńskich Łysomicach przeszył dźwięk zatrzas kiwanych drzwi.

– Gromek, słyszałeś? – Małżonka złapała go mocno za nadgarstek.

– Może zadzwonię na policję.

– Przecież ty jesteś policją! Gromek, ktoś jest w naszym domu.

– Zosiu, to pewnie wichura.

Ale żona ani myślała ustępować.

– Sprawdzę – powiedział wreszcie.

Gdy Halicki wszedł powoli do salonu, nie od razu zobaczył to, co zobaczył. Jak wiadomo, oczy stopniowo przyzwyczajają się do plam światła, zderzenia ciemności i jasności, detalu i ogółu. Wiedział o tym Tomasz Żółtko, który w piątkowe południe nie od razu zobaczył w hali na ulicy Sportowej to, co zobaczył. Nie wiedział o tym Gromosław Halicki, który przetaił oczy ze zdumienia. Złapał się za serce i przyłgął do ściany.

– Wiem, co zrobiłeś minionego lata – zabrzmiał niepokojąco głos. Dobiegał ze środka pokoju. W domu państwa Halickich w Łysomicach pod Toruniem w bladym świetle lampki nocnej stał człowiek.

– To niemożliwe! – krzyknął Halicki.

– Spodziewaj się niespodziewanego – dodał głos.

– Przecież ty...

– ...nie żyjesz?

– Tak!

– Abrakadabra! – zaśmiał się głos.

Halicki odkleił się od ściany i ruszył na uginających się nogach ku postaci. Zrobił kilka kroków, zmarszczył brwi. Przypatrzył się postaci, znów zrobił kilka kroków. Wzdrygnął się. Stał przed nim aspirant Tomasz Żółtko. A przynajmniej ktoś, kto wygląda jak on.

– Tomek był niższy od ciebie, Brodzki – odparł Halicki i zdjął człowiekowi połamane okulary z nosa. W jego głosie czuć był wielką ulgę.

Pośrodku salonu stał człowiek, który miał na twarzy naciągniętą maskę, jako żywo przypominającą oblicze Tomasza Żółtki. Człowiek wsadził rękę pod kołnierz koszulki i wyciągnął silikonowe tworzywo. Przylegało mocno do skóry, wydając dźwięk przypominający odklejanie grubej folii od szyby.

– Co to ma, kurwa, być? Że niby Żółtko? – syknął Halicki.

– Nie, kurwa, Ken bez lalki Barbie – odpowiedział zdyszany Brodzki, gdy udało mu się w końcu zdjąć maskę. Był czerwony na szyi, twarzy i uszach. – Chyba mamy problem. Nasz Heraklit nie jest już tylko kopistą zbrodni. To pierdolony Leonardo da Vinci.

– I co to za najście w środku nocy? Mogłem do ciebie strzelić...! Skąd to masz?

– Ty dalej nie łapiesz, co? – zaśmiał się Brodzki. – Z chłodni.

– Nie możesz tam wchodzić.

– I tu mnie masz! Wisielec z mostu miał to na gębie.

– Co?! – Halicki złapał się za głowę jakby chciał skrócić sobie kark. – Jak to: miał na gębie?!

Detektyw podszedł do niego energicznym krokiem.

– A na ile sposobów można mieć coś, kurwa, na gębie! – fuknął, wymachując maską. – Trup w chłodni to nie Żółtko! Albo ktoś podmienił ciała, albo wisielec na moście to nie był Żółtko!

– Sam go rozpoznałeś!

– Wisiał na przęśle, osiem metrów nad ziemią. Tak, miał twarz Tomka, przebity bok, okulary. Padał deszcz, było pochmurnie!

– A niech mnie.

– Czy ty masz pojęcie, co się dzieje w tym mieście? Ktoś nam gra, kurwa, na nosie, a ja nie przywykłem traktować swojej gęby jak instrument muzyczny.

Brodzki stał tyłem do okna, którego frezowana futryna okalała jego postać niczym ramka z komiksu. To przez wpadające z tarasu blade światło, które odznaczało kontur detektywa. Jego twarz pogrążona była w mroku. Wyciągnął z kurtki camele, odpalił zippo, zaciągnął się. Żar najmocniejszych na rynku papierosów zamigotał niczym dioda obcego satelity.

– Czy teraz ruszysz swój komendancki zad i zaczniesz coś robić? W sklepie rybnym jest większy ruch niż na patomorfologii. Czemu zrobili lewe sekcje? Robili w ogóle? Janka ma coś w gębie, trzeba to zbadać.

– Prezydent chce uspokoić opinię publiczną...

– Przywróć mnie, Halicki, włącz mnie do śledztwa. Muszę

znaleźć córkę!

– Musimy uspokoić... Nie jesteś gwarantem bezpieczeństwa, masz osobisty stosunek do sprawy.

– I jestem najlepszym psem w tym mieście, po śmierci Daktyla nie masz nawet, kurwa, technika i ślecie wszystko do Bydgoszczy.

– Dostaliśmy wzmocnienie.

– Masz na myśli tych pizdeuszy, którzy robią w majty na widok „en-ena”?

– Co?

– Gównem drogą szło i pytało o ciebie. Halicki, skup się.

– Nie wiemy, w co ręce wsadzić, Leon.

– Ty wiesz. Najwyraźniej najpierw marzyłeś o spokojnej emeryturce, a teraz nagle chcesz wskoczyć na stołek komendanta wojewódzkiego. Więc nie pierdol, że nie wiesz, w co ręce wsadzić, bo są tak głęboko w dupie ministra spraw wewnętrznych, że zaraz stracisz dopływ tlenu i cały się zamoczysz w czekotubce. Chyba że masz dalej zatkany nos i nie czujesz?

Komendant Gromosław Halicki podszedł do sekretarzyka. Sięgnął z niego etui okularów, otworzył je i nałożył szkła na czubek nosa. Wziął następnie maskę i stanął z nią pod karniszem. W tym świetle maska Żółtki prezentowała się jeszcze upiorniej.

– Więc? – Brodzki stał w wejściu do salonu.

Z sypialni wyszła Zofia Halicka, w satynowej piżamie i z wałkami na głowie. Usłyszała przytłumione głosy i wstała, by dowiedzieć się, o co chodzi. Nie pierwszy raz jej mąż przyjmował

pod osłoną nocy niespodziewanych gości. Zawsze w takiej sytuacji usłudźnie parzyła kawę i kroїła ciasto. W cieniu męža od dwudziestu lat.

– Zosiu, weź w kuchni... porób coś – wybełkotał komendant.

Małżonka ścīagnęła kołnierz pod szyję i podreptała z pokoju. Obaj męzczyźni odprowadzili ją wzrokiem.

– Halicki. – Leon nie odpuszczał. – Jesteś komendantem czy komediantem? Żółtko żyje. Moja córka też. Muszę ich znaleźć!

Stali w pogrążonej w mroku przestrzeni domu, jak postacie z jakiegoś nieczynnego muzeum figur woskowych. Niewidzialną, rozpiętą między nimi siatkę spojrzeń przerywały ciche odgłosy z kuchni. Halicki, stojący teraz bokiem do lampki nocnej, oświetlony miał tylko profil.

– W porządku. Możesz nieoficjalnie działać – rzekł z rezygnacją komendant i schował się w cieniu.

– Nie dosłyszałem. – Brodzki zaciągnął się.

Z kuchni dobiegł brzęk łyżki dzwoniącej w szklance. Potem w drugiej.

Detektyw nie widział dokładnie twarzy Halickiego. Gdyby w pokoju paliło się światło, dostrzegłby na niej pot i strach.

– Możesz działać.

– Żółtko oficjalnie nie żyje.

– Jak to?

– Próbuję rozgryźć *modus operandi* sprawców. Niech myślą, że są krok przed nami. Pamiętaj, szachowe powiedzenie mówi, że

groźba jest silniejsza od wykonania.

– Możesz na mnie liczyć, Leon.

Brodzki skinął i wyszedł. Choć w ostatnie zdanie Halickiego nie miał zamiaru wierzyć.

Pachniało tu mokrym igliwem i mokrą ziemią. Brodzki przeszedł przez Piekarskie Góry i zszedł ścieżką do ulicy Słowackiego, kiedy na wyświetlaczu telefonu pojawił się numer Dagmary.

Leon przystanął i sięgnął po papierosy. Paczka była pusta.

– Kurwa mać... Będzie boleć.

Wziął głęboki wdech i odebrał.

Po drugiej stronie w słuchawce słychać było cichy oddech jego byłej żony. Milczeli tak dłuższą chwilę, próbując rozpuścić w tej ciszy swój ból i strach, ale te nie odchodziły. Jak te mroczne chmury nad mrocznym, gotyckim miastem.

– Dzwonię tylko dlatego, bo wiem, że się martwisz. Jestem na silnych lekach, Leo, i nie mogę za długo rozmawiać. – Dagmara mówiła cichym, matowym głosem. – Twój głos to dla mnie jej głos.

– Rozumiem, krew z krwi.

– Proszę. Nie mów, jeśli nie musisz.

– Tak się składa, że muszę, Daga. Sara żyje. Nie wierz w nagranie. Sara żyje.

– Ja nie mogę tak dłużej. To za bardzo boli. – I rozłączyła się.

– Dagmara! – krzyknął Leon, podrywając do lotu dziesiątki ptaków, które obsiadły pobliskie drzewa.

Dopiero teraz Brodzki zobaczył niebo.

„Do niedawna patrzyłem na nie częściej. Może dlatego, że darzyłem je większym zaufaniem. Ale zawiodło mnie. Z tymi

zwalistymi chmurami, tym smutnym nokturnem i niepewną membraną dnia. Ponoć tylko głupiec patrzy na palec, gdy palec wskazuje w niebo, mówią. Cóż. Gdy mój ojciec wskazał palcem niebo, spojrzałem w niebo, jak radzili, a on wtedy runął z wieży na ziemię, żegnając się z życiem. Może więc największe mądrości mają zastosowanie tylko w teorii? Niebo zawiodło mnie, kiedy rozdarło się nad miastem w poniedziałek. Nie ufam ci, naturo. Nie słucham cię”.

Stał tak chwilę w bezruchu. Spojrzał wzdłuż ulicy – po kostkach bruku przebiegł biały kot.

– Rude fałszywe, czarne pechowe. A białe? Od picia mleka? – ironizował pod nosem.

Ścisnął skronie. Pulsowały teraz coraz mocniej. Zorientował się, że od stypy właściwie nic dzisiaj nie jadł. Napędzała go adrenalina i strach. Dopiero teraz, tutaj, na ulicy Słowackiego, z tym białym kotem za winklem i groźnym wzniesieniem Piekarskich Gór za plecami, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest z tym wszystkim sam.

– Sam jak odcięty palec... – powiedział znów do siebie. – Pamiętam taki napis ze szkolnej klasy. Jak to szło? Drzewo niesmagane wiatrem... Nie mam nic przeciwko smaganiu. Wolałbym rodzinny dom w wichurze niż bezwietrzną pustelnię, do której właśnie zmierzam. Pod osłoną nocy. Niby pies, a pechowy jak czarny kot. Taki zwierzo-człowieko-upiór.

I choć bardzo nie chciał tego robić, choć czuł, że przegrywa

trochę walkę sam ze sobą, napisał wiadomość Marcie, policyjnej psycholog.

*Musimy porozmawiać o modus operandi. To pilne. Przyjedź.
Proszę, Leon.*

Nie wiedział, o co prosi i czym się skończy tok zdarzeń, któremu nadał właśnie bieg.

A może: bzdura, wiedział doskonale? Wiedział, koniuszkami zmysłów, że Marta przyjedzie w jednej sekundzie. Znał swoją moc, widział ją odbijającą się w jej oczach. Naprawdę chciał rozmawiać o mordercach i znikających ciałach, ale czuł, że potrzebuje bardzo bliskości drugiego człowieka, bo jeszcze nigdy nie był tak samotny jak teraz. Że jest nie tylko smutny, ale jest smutkiem. Że jego mroczna twarz spogląda z ciemnego dołu, a mroczne chmury lada chwila wytoczą się całą baterią na niebo i będą szły za nim tak długo, aż upadnie. A on bardzo nie chciał upaść. Nie mógł – za dużo dźwigał teraz na swoich barkach.

Zawsze z Martą zamykali się w pałacu nocy. Nocna, umowna przestrzeń półcieni i półświatła dawała im prawo do przemiany, takiej, jaka zachodziła w znanych z mitologii opowieściach. Tych, gdzie kochankowie mieli czas tylko do świtu.

Kochał Dagmarę i chciał być przy Dagmarze, ale nie mógł przy niej być. Bardzo potrzebował drugiego człowieka, ale żadnego nie było koło niego. I dlatego pogodził się z faktem, że jest Marta. Że

zawsze będzie. I że jest tak słaby, że choć nie kocha jej, chce jej właśnie teraz najbardziej. Wiedział, że go zrozumie, przywróci balans i czujność.

Na odpowiedź nie czekał długo.

Co tylko chcesz. M.

Bardzo szybko zerwał się wiatr, a czubki drzew zaszumiały tak jak rankiem, kiedy Leon przyglądał się tujom na cmentarzu. Gałęzie grały swoją melodię, zrzucając co rusz pierwsze liście, na znak spodziewanych niedługo przemian astronomicznych w kalendarzu.

Ale detektyw nie słuchał wiatru. Zagłuszały go złość i smutek.

Może dlatego właśnie, kiedy skręcił w ulicę Konopnickiej, nie zauważył ciemnej sylwetki, która odkleiła się od ściany i zaczęła za nim iść. Leon doszedł do słabo oświetlonej klatki schodowej pod numerem piątym, kilka metrów od oświetlonej latarniami ulicy Mickiewicza, reprezentacyjnej arterii Bydgoskiego Przedmieścia. Była to charakterystyczna cecha tego osiedla – jedynie kilka kroków dzieliło tu blask od przepastnego mroku. Wystarczyło wejść w którąkolwiek bramę czy klatkę schodową, by się o tym przekonać. A Leon Brodzki do klatki schodowej właśnie wszedł. Nie zamknął za sobą drzwi – zawsze zatrzaskiwały się same, choć powoli.

Rację miała doktor Kaklińska, że stres zaburza zmysły i ocenę sytuacji. Brodzki przekręcał klucz w zamku swojego mieszkania na

drugim piętrze. Pomyślał o chłodzie pachnącego wilgocią korytarza...

Dopiero szmer cichych, stawianych na wykładzinie kroków obudził jego czujność. Ale było już za późno. Zdążył spojrzeć w bok...

Czyjaś ręka, silna jak ścisk imadła, złapała go za włosy i z całym impetem walnęła jego głową o mozaikową szybę drzwi wejściowych. Z zamkniętego salonu słychać było szczekanie Szarika, który czuł, że jego pan jest w niebezpieczeństwie.

Szkoło roztrzaskało się na tysiące drobin, a Leon runął na ziemię. Sylwetkę widział pod światło. Była monstrualna, jej kontur, doświetlony żarówką, sprawiał gargantuiczne wrażenie.

„Jak ktoś o takiej posturze mógł się tak bezgłośnie poruszać na palcach? Zawodowy bokser?”

Siła uderzenia była tak duża, że Brodzki, choć bardzo chciał się podnieść, nie mógł tego zrobić. Noga oprawcy przycisnęła jego klatkę piersiową do ziemi.

Napastnik docisnął stopę i przekręcił ją powoli na bok.

– Pozdrowienia od Rudolfa Czerwononosego – rzekł niski głos.

– Ja też... mam wiadomość... – mówił z trudem Leon.

– Tak? Jaka? – spytał monstrualny człowiek.

– Pozdrowienia od... zajaczka wielkanocnego. – Mówiąc te słowa, Leon jednym ruchem podniósł wyprostowaną nogę i kopnął mężczyznę z całych sił.

Człowiek zajęczał z bólu i złapał się odruchowo za krocze.

– Szkolny błąd, kolego. Pomóc ci wyjść? – rzucił detektyw.

Brodzki zerwał się na równe nogi i z całą siłą natarł pięścią na korpus przeciwnika, ale jego reakcja była szybka. Zrobił unik, złapał Brodzkiego za ramię i – gdy ten impetem swojego zamachu znalazł się na jego wysokości – z całej siły wbił w jego plecy prawy łokieć. Potworny ból kręgosłupa przeszył Leona, który runął na klatkę schodową.

Szarik ujadął w głębi mieszkania, słychać było, że naciera na drzwi pokoju, żeby je otworzyć.

Zadzwoił domofon.

„Marta! Nie może tu wejść!”

Odwrócił się i natarł z furją na mężczyznę. Ten, zamachując się ręką, stłukł pięścią oświetlającą korytarz żarówkę.

Leon poderwał się na nogi. Czuł w ciemnościach obecność napastnika, ale mrok nie był tym razem jego sprzymierzeńcem. Nie miał przy sobie broni – miał ją odebrać dopiero rano na komendzie. Nie miał też noża ani latarki.

Dźwięk domofonu się powtórzył.

Umysł sam wyrzucił ze swojego mechanizmu rozwiązanie. Brodzki w jednej sekundzie schylił się, wymacał w ciemnościach końcówkę wykładziny schodowej i z całą mocą pociągnął za nią. Na schodach rozległ się huk – to tajemniczy mężczyzna poleciał na stopnie.

W tym momencie dał się posłyszeć szcęk zamka sąsiedniego mieszkania. Gdy drzwi się otworzyły, na klatkę wpadł z wnętrza

snop światła.

– Co to za hałasy? – spytał barczysty chłopak bez koszulki. – Sąsiad, co tak po ciemku?

– Szybko, na niego! – krzyknął Brodzki.

– Złodziej! Łapać złodzieja! – ryknął barczysty i razem z policjantem skoczyli w dół. Ale czarna sylwetka umknęła, już było słychać otwieranie drzwi do klatki schodowej.

„Marta!”

Gdy zbiegli na dół, przy drzwiach nie było ani napastnika, ani Marty.

Brodzki rozejrzał się w obie strony. W lewo – róg ze Słowackiego. W prawo – przecięcie Mickiewicza. Pusto.

Podbiegł kilka metrów do Mickiewicza. Żabka była już zamknięta. Siedział pod nią pijany lokals w berecie i bluzie Jankesów.

– Widziałeś dwumetrowego faceta?! – Leon potrząsnął nim i naraz poczuł woń alkoholu.

– Tak, a nawet dwóch. Pobiegnął w... w... – Rozmówca miał wyraźne problemy z poczuciem kierunku.

– Walnij sobie jeszcze setkę. Rozumiem.

– Ale dama szła. – Pijak podniósł głowę i znów wskazał w oba kierunki naraz.

– Sąsiad! – krzyknął barczysty. – Pani do ciebie.

Pod klatką stała Marta. Z butelką wina, lnianą torbą, ubrana w dzinsową kurtkę, z rozpuszczonymi blond lokami i ustami

umalowanymi pomarańczową pomadką. Ubranie i makijaż wskazywały na usilne zabiegi, które towarzyszyły procesowi przygotowywania się kobiety do wyjścia – zrobiła to w taki sposób, aby efekt był zwyczajny. A taki osiągnąć najtrudniej.

– Leon! – krzyknęła Marta. – Co się stało?

– Miałem niespodziewanego gościa. Ale sąsiad pomógł.

Barczysty wziął się pod boki i zaśmiał się, wywalając zęby jak reflektory. Znali się z Brodzkim jakiś czas. Przychodził czasem po parę złotych na piwo, ale szanował Leona.

Brodzki stał w świetle ulicznej latarni i dopiero teraz zobaczył, że kapie z niego krew. Marta przeszła przez jezdnię.

– Nic ci nie jest? – spytał. – Napadł mnie jeden facet. Słyszałem, jak dzwonisz, bałem się, że coś ci zrobi.

– Kiedy nie odbierałeś, wróciłam do samochodu. Pomyślałam, że poczekam.

– Jak zawsze...

Brodzki spojrzał na nią.

„Jak spłoszone zwierzę. Odtrącona raz przeze mnie, a mimo to znów tutaj. Z tą burzą włosów, z tym winem. Trochę inna niż ostatnio. Mniej buńczuczna, a bardziej – czekająca. Czekająca, co zrobię. Jaki wykonam ruch. Boi się, a mimo to podeszła pod obozowisko”.

– Dokończysz swoje przemyślenia na mój temat na górze. Twoja twarz się skrzy.

– Nie dodawaj sobie.

- Nie, ona dosłownie się skrzy. Masz drobinki szkła w skórze.
- Co ja mam dzisiaj z tym szkłem?
- Tak to jest, jak wyważasz drzwi, których nie powinienes.
- To były akurat drzwi do mojego mieszkania, pani psycholog.
- Mówią, że jak nie drzwiami, to oknem. Może dziś trzeba było oknem? Chodź. – Wzięła go pod rękę i ruszyli w stronę kamienicy.

Barczysty dygnął na widok dziewczyny, odprowadził ich wzrokiem i poszedł do pijanego faceta spod sklepu.

- Zwracam się do szanownego kolegi z osiedla z pytaniem o możliwość wspólnej konsumpcji... – Reszty rozmowy Marta już nie słyszała, bo weszli na klatkę pod numerem piątym.

Na korytarzu przywitał ich Szarik, który najwyraźniej w końcu znalazł sposób na wydostanie się z pokoju.

– Kiedy dziecko zostaje mordercą? – spytał Brodzki, przykładając do rany woreczek lodu.

Marta zajęta była przyrządzaniem prowizorycznych kanapek, kiedy siedzieli w pustawej, męskiej kuchni Brodzkiego.

– Marta? Znasz się na tych sprawach. Pomóż mi.

Spokojny głos Leona zawsze działał na nią kojąco. Słuchając go, nałożyła na talerz posmarowany masłem chleb. Wyjęła z przyniesionej torby ser, szynkę, korniszony w słoiku i ruszyła do pokoju. Brodzki, nie bez grymasu bólu, podążył za nią.

Dziewczyna postawiła jedzenie na stole i oparła się o ścianę. Nie wiedziała do końca, co ze sobą zrobić. Jeszcze kilka dni temu biegała po tym mieszkaniu nago. Teraz, choć w płaszczu, czuła się nagą jeszcze bardziej.

Leon, nie mówiąc nic, zaczął jeść. Po pierwszym kęsie wydał jęk dużej ulgi.

Marta uśmiechnęła się pod nosem. Przespacerowała się w stronę okna, zasłoniła beżowe rolety do połowy i spojrzała na ulicę Konopnicką, biegnącą aż do linii horyzontu.

Dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, poczuła się tą drugą. Widząc Leona trzymającego za rękę swoją byłą żonę, wiedziała, że jej miejsce jest w drugim rzędzie. Że jest opcją. Planem B.

Nikt nie chce czuć się opcją i nie chciała się nią czuć także

Marta. Miała wystarczająco wiele takich doświadczeń w swoich zmaganiach z męskim światem. To dlatego została psychologiem i dlatego poszła pracować w policji. Żeby do tego świata przynależeć. Z Leonem poznali się kilka tygodni temu, połączył ich krótki romans. Uległa urokowi jego zapachu, jego głosu, jego silnych ramion i zdecydowanych ruchów, kiedy kochali się pod osłoną nocy.

Ale dziś nie przyjechała tu ze swojej słabości. Przyjechała, ponieważ wiedziała, że w tym momencie ma tylko ją. Wiedziała, że cierpi z powodu zaginięcia córki i z powodu śmierci Tomka.

Dla własnego dobra wolała tutaj nie być. Wiedziała, że jedno spotkanie nic nie zmieni, a ona będzie się czuć tylko gorzej. Jak po kolejnej porcji śmiercionośnego, magicznego pyłu. Mimo to wyruszyła na tę straceńczą misję. Jak ćma do światła.

– Marta? – spytał ponownie Brodzki, wsuwając korniszony ze słoika.

– Wszystko zaczyna się od negatywnych czynników, na które dziecko jest narażone. Z czasem...

– Odkleja się – rzucił Brodzki, przerywając jej tok myśli. Wskazał na opatrunek. – Plaster, odkleja się...

Marta zaśmiała się i wróciła do rozważań.

– Najpierw dochodzi do zaburzenia charakteru. Potem do zaburzenia zachowania, funkcjonowania indywidualnego i społecznego.

– Nie każdy społecznik musi być mordercą. Kioskarze na przykład. Albo mój sąsiad. Słyszałaś, jakie miał gadane? – śmiał się

Leon.

– Ale osoby społeczne są nimi częściej. To siedemdziesiąt procent sprawców.

– Psychopaci, schizole, paranoicy, narcyzowie... – wymieniał.

– I osoby po prostu chwiejne emocjonalnie. – Marta nie patrzyła Leonowi w oczy. Za dużo emocji ją to kosztowało. Zaopiekowała się nim, opatrzyła rany, nakarmiła, teraz wysłuchuje. Jak żona, którą nie jest.

– Co byś obstawiała tutaj? Na moje Kosma to narcyz.

– Nie robiono mu badań, ale założę się, że ma trwale niski poziom serotoniny. – Marta westchnęła i spróbowała się skupić. – Pojawia się to w wyniku traumatycznych przeżyć w dzieciństwie. Przy niskim poziomie serotoniny narcyzem się nie jest. Ale w tym przypadku sytuacja może być nieco inna. Narcyz przeglądał się w lustrze. Kiedy człowiek przegląda się w bliźniaku, w głowie dzieją się niebezpieczne rzeczy.

Stała oparta o parapet. Czowała się jak intruz. Każdy gest i każde słowo pozbawione choć cienia zainteresowania jej osobą były jak małe szpileczki wbijane pod paznokcie.

– Jak znalezienie składziku ojca, w którym trzymał krew i narzędzia zbrodni – kontynuował Leon.

– Być może tak. Być może było coś jeszcze. Na pewno nie liczy się z uczuciami innych. – Ostatnie wypowiedziane przez Martę zdanie zabrzmiało jakby w oderwaniu od poprzednich.

Leon usłyszał tę różnicę i spojrzał na Martę znacząco.

Dostrzegła to w odbiciu szyby. Ich spojrzenia się spotkały.

Leon podszedł do dwuskrzydłowej szafy. Otworzył ze skrzypieniem prawą część i zdjął poplamiony t-shirt.

– To, że to skurwieli, zauważyłem, kiedy znalazłem zamordowaną dziewczynę. Z jej uczuciami nie liczył się na pewno.

– Punkt numer dwa: niemożność utrzymania trwałych związków. – Marta patrzyła w odbiciu na nagi tors detektywa, który wciąż zmieniał ubrania.

– Ciężko utrzymać związek, kiedy mordujesz osobę z tego związku. Daniel udawał, że ją kocha. Spłodził z nią dziecko.

– Niezdolność do przeżywania poczucia winy – wymieniała dalej.

– Myślałem, że kiedy Kosma spadnie z dachu, to coś zrozumie.

– Mówisz o Kosmie i Danielu, jakby byli jedną osobą. – Marta powiedziała to głośno i wyraźnie, odwracając się z pretensją do Brodzkiego. Akurat założył świeży t-shirt. Dziewczyna zreflektowała się, że jej reakcja była zupełnie nie na miejscu i że mówiąc o mordercach, miała na myśli siebie i Brodzkiego.

– To bliźniacy... – Leon próbował łagodzić ton.

– W każdym zespole występuje dynamika napięć – rzekła i znów spojrziała za szybę. – Na pewno jednak seryjni czy wielokrotni mordercy nieczęsto działają w parach.

– Bo ciężko znaleźć drugiego pojeba do pary. Chyba że mieszkasz z tym pojebem od dziecka w jednym pokoju.

– Dlatego wydaje mi się, że Kosmie bliżej do paranoika, a Danielowi do osobowości schizoidalnej, o preferencjach do

samotnictwa, fantazjowania, życia wewnętrznego. – Marta odwróciła się do Leona. Mówiąc fachowym językiem: czuła trochę więcej gruntu pod nogami.

– No tak, artysta malarz. Aż dziw, że nie wstąpił do Związku Artystów Plastyków.

Marta zacisnęła usta, żeby się nie śmiać. Wiedziała, że ten jej śmiech napędzany jest paliwem pożądania, które czuła tym bardziej, im dłużej przebywała z Leonem w jednym pomieszczeniu. Dziwne ścieżki przebiegają nawet przez umysły psychologów.

– Kosma długo przeżywa wyrządzone mu krzywdy, przecenia siebie. To z powodu długiego nastawienia na poczucie lęku – kontynuowała.

– Wszystko, co mówisz, ma sens. Nie pasuje mi jednak jedna rzecz.

– Jaka, Leon?

– Determinacja i profesjonalizm. Nie rozumiem, jak doszli do takiej wprawy.

– Praktyka czyni mistrza.

– Czy sugerujesz, że to nie był ich pierwszy raz?

– Sugeruję, że stanowią swoistą elitę. Mordercy o podwójnym obliczu to – wbrew temu, co pokazuje się w filmach – naprawdę rzadkość. A bliźniacy o podwójnym obliczu to...

– To kwadrat.

– Brodzki! – Marta znów się uśmiechnęła. – Tak, są manipulatorami, dostosowują się. Kosma został gliną, Daniel

artystą.

– Muszą być mocni w gębie.

– Tak, sfera werbalna odgrywa olbrzymie znaczenie.

Dostosowują się do każdej sytuacji, do każdej emocji. Są nieprzeniknieni.

– A czemu katują kobiety, pani psycholog?

– Prawdopodobnie dlatego, że kiedyś krzywdziła ich matka.

Sadyzm jest eskalacją ich potrzeb seksualnych.

– To aż tak proste? – zdziwił się Brodzki.

– Kim była ich matka? – Marta odbiła piłeczkę.

– Miała katatonię i mutyzm...

– Jak zmarła? – I znów.

– Zabił ją któryś z nich.

– No to masz odpowiedź. – Zwycięstwo! Napięcie nie mijało.

– A mutylacja?

– Nie znam tego słowa, jestem tylko psychologiem, nie profilerem...

– Obcinanie części ciała. Kciuk u Hanny Krosny obciął Stanisław Szabański. Kciuk u Laury Mostowicz – Daniel.

– Myślę, że są tu dwa wątki. – Marta znów skupiła się na temacie.

– Na pewno kopiowanie i imitacja sceny zbrodni.

– Tak. Drugie, tak jak mówiłam, osiągnięcie zaspokojenia seksualnego poprzez imitowanie wnikięcia w ciało ofiary. To coś jakby metazabijanie. Powtórne.

– Powtórki mnie ostatnio za chuja nie dziwią.

Marta zaśmiała się pod nosem.

– No co?

– Przepraszam, to akurat ci się udało, Leon.

Brodzki spojrzał na nią, po czym oboje wybuchli śmiechem. Moment ten znacząco rozładował atmosferę, jaka towarzyszyła do tej pory wieczorowi. Leon był już wyraźnie zmęczony i opadał z sił. Oparł się na łóżku, głowa leciała mu w dół.

– Nie jestem jednak przekonana, czy zabili Laurę tylko z lubieżności. Był to raczej taki miks. Połączenie zemsty, fantazji i kilku zaburzeń, które w takim tandemie jak Daniel i Kosma jedynie się zmultiplikowały.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądały ich rozmowy przed snem: „Hej, Kosma, nudzi mi się. Idziemy pokopać na podwórku?”. „No pewnie Daniel, już dawno myślałem o zakopaniu tego ciała, które od tygodnia trzymamy w szafie. Ale wiesz, dół nie będzie duży, bo trochę odciąłem”. „Oj, Kosma, ciebie to się żarty trzymają”.

– Skończyłeś, Leon?

– Nie. To właściwie całkiem zabawne. „Daniel, czas na Colgate”. „Ale mam, ja jeszcze morduję”. „Pomordujemy razem?” „Spierdalaj, dziwko, nie dzielę się zwłokami”.

– Brodzki!

– Chodziło mi o to, że ciężko ustalić ich *modus operandi*. Jest ich dwóch, zmieniają się.

– Myślę, że odpowiedź miałeś gdzieś w rękach i jeszcze o tym nie

wiesz.

– Co sugerujesz? – spytał, zamykając oczy.

– Sugeruję, że archiwa nie płoną. To niemożliwe, by wyrosły nagle spod ziemi.

– Podejrzanie dużo wiedzą o moim ojcu i tych wszystkich tajemnicach...

– Czyżby zrobili coś wcześniej?

– Czuję, że muszę pogadać z archiwistą Maksem. O Rudolfie Czerwononosym też....

– Tak, Leon, o kim tylko chcesz... Ale to jutro. Teraz spróbuj zasnąć. Jesteś wykończony.

7 WRZEŚNIA 2016

Pierwszy raz zdarzyło się im spędzić noc w jednym pomieszczeniu i nie zbliżyć się do siebie. Kiedy Brodzki odpłynął, Marta długo chłonęła jego zapach i patrzyła na zmęczoną twarz. Na mocną szczękę i czoło przecięte pionową zmarszczką. Kiedy spał, masowała mu tę zmarszczkę tak długo, aż zniknęła, a czoło się rozluźniło. Chwilę potem Leon odwrócił się na drugi bok, a Marta, patrząc w cienie na suficie, także zasnęła.

Wydarzenia minionego dnia przybrały w głowie detektywa formę koszmarów. Wizje z trupami bez twarzy i ciała opadające na dno rzeki były tak silne, że Leon obudził się zlany potem. Jego umysł, wybudzony z charakterystycznych dla godziny czwartej rano fal, pracował nieregularnie. Pogładził się po czole – choć na nim zniknęło napięcie.

Marta spała koło niego. Poświata od ulicznych latarni padała dokładnie na jasne włosy dziewczyny, skrzące się teraz niby złota nić.

Wyszedł po cichu z pokoju i wziął prysznic, ale woda nie pomogła. Nie obmyła ran, bo pęknięte serce krwawi zawsze w środku. Pogrzeb ojca, film z mordowania kogoś, kto przypomina z wyglądu jego córkę, dramatyczna rozmowa z Dagmarą, wizyta w kostnicy, kłótnia z Halickim. Za dużo jak na gwiazdę toruńskiej policji. Za dużo jak na człowieka. Na mężczyznę, ojca, byłego męża.

Są takie chwile, kiedy człowiek jest bezbronnym satelitą. Jak te,

które spalają się w atmosferze pozbawione ochronnej powłoki. Jak rdzeń wyjęty z reaktora, z betonowego silosu, z całą instalacją elektryczną na wierzchu, z całą duszą rozlaną jak żółtko.

Właśnie tak czuł się detektyw Leon Brodzki, paląc papierosa w oknie swojego mieszkania. Lubił camele w miękkiej paczce. Nie dało się ich dostać w sklepach, ale policjanci mieli swoje znajomości w składach celnych.

„Muszę przesłuchać Kosmę. Zadzwoń do Dagmary. Pogrzebać z Maksym w archiwum. Przycisnąć Halickiego, żeby posłał więcej patroli... Najgorsze jest to czekanie. Przecież ona gdzieś tam jest...”

Brodzki spojrział w nocne niebo. Mroczny nokturn nad mrocznym miastem.

– Czemu nie śpisz? – spytała Marta, patrząc na Leona.

Miał mokre włosy, stał bosy. Naciągnął na siebie tylko spodnie. Poświata oświetlała mu nagi tors.

Detektyw odwrócił się do niej profilem i spojrział kątem oka. Patrzyli tak na siebie chwilę w półmroku.

Marta powoli usiadła, a po chwili wstała. Leon wiedział, co dziewczyna za chwilę zrobi, bo wiedział, jak bardzo lubiła to robić. Wtulać się w jego plecy, splatając ręce na jego brzuchu.

Nie pomylił się. Podeszła, objęła go i wtuliła się twarzą w ciepłą skórę jego ciała.

– Lubię z tobą czasem tak mądrze pogadać jak wczoraj – wyszeptała. – Pamiętasz nasze rozmowy do rana tu...?

- Pamiętam wiele rzeczy, które robiliśmy rano.
- Brakuje mi ich – rzekła cicho, poprawiając ułożenie głowy.
- Tych rozmów? – spytał.

Nocnej ciszy mieszkania nie mącił żaden szmer. Leon słyszał oddech Marty, czuł ciepłe powietrze na plecach. A ona nie słyszała nic ponad bicie jego wielkiego serca.

Pocałowała go w ramię. Jej dłonie rozplotły się i delikatnie przejechały po owłosionym torsie. Westchnęła cicho i wtuliła się jeszcze mocniej.

- Tych rozmów? – powtórzył Brodzki, dopalając papierosa.

„Co się za chwilę wydarzy, głupcze? Pamiętasz, co myślałeś, pisząc do niej? Twoja głowa wiedziała, czego potrzebuje. Twoja głowa wiedziała, że nie przeżyjesz tej nocy bez drugiego człowieka obok. Bez kobiety. Tej kobiety”.

Marta zsunęła powoli rękę na brzuch. Leon miał tu łaskotki i wiedziała o tym. Zatrzymała palce dokładnie w tym miejscu, w którym dotyku nie lubił, ominęła je. Brodzki uśmiechnął się, ręka zaczęła sunąć niżej.

Wiedział, że jakaś część niego chce tego zbliżenia, a inna nie. Godził się jednak z tym, że jego system nerwowy, przez lata wystawiony na stres, miał swoje luki i ślepe uliczki. Jedną z nich było napięcie seksualne, w którym kumulowały się często wszystkie bóle istnienia. Nie w alkoholu, nie we frustracji, jak u Halickiego, nie w narkotykach, ale w lędźwiach. Biorąc pod uwagę skalę zniszczeń, jaką poczyniłyby poprzednie czynniki,

energia seksualna wydawała się najmniej szkodliwym rozwiązaniem. Aż do teraz.

Bo jego serce, choć pęknięte, było gdzie indziej. Było przy kobiecie, która wczoraj trzymała go za rękę i przykrywała plecy, gdy wiał wiatr. Przy kobiecie, która podczas zadzierania ku niemu głowy czuła ból szyi. Przy kobiecie, która dała mu dziecko – największy skarb, którego teraz rozpaczliwie szukał.

Jego serce i dusza zamknięte były jednak w ciele, a ciało to znajdowało się teraz w tym pograżonym w mroku pokoju.

Marta wsunęła Leonowi rękę w spodnie, a on, nie protestując, zamknął oczy. Jej dotyk podziałał na niego jak prąd. Nie rozumiał tego, ale musiał godzić się na taki, niedopracowany i felerny, układ instalacji elektrycznej tego ciała. Bo dotyk kobiety, jej ciepło i delikatność, jej ruchy i ciepły oddech na skórze, wszystko to sprawiło, że jego ciało rozluźniło się, a Brodzki poddał się tej sile.

Odwrócił się, chwycił Martę i posadził ją na parapecie. Leżący na łóżku pies spojrzał swoimi mądrymi oczami na rozgrywającą się scenę, przechylił głowę i wyszedł powoli na korytarz mieszkania.

Włosy Marty mieniły się blaskiem latarni, jej pełna wątpliwości i pragnienia twarz pograżona była w cieniu. Gdy dotknęła jego torsu, podniósł jej podbródek i pocałował mocno. Martę przeszedł dreszcz. Strzał adrenaliny był tak silny, że nawet nie wiedziała, kiedy Leon złapał ją za pośladki, podniósł i przeniósł na łóżko.

– Leon, nie musimy, ja... – próbowała się bronić, choć jej ciało błagało o dotyk.

Leżał z biodrami między jej nogami, które odsłaniała kwiecista spódniczka. Opierał się na rękach, całując jej szyję i gryząc ramiona. Lubiła to.

Zsunęła mu spodnie i bieliznę, odchyliła swoje stringi i pozwoliła mu wejść. Nie czekał ani chwili.

Wszedł w nią powoli. Była w środku ciepła i wilgotna. Cała noc obok mężczyzny, którego pożądała, była katorgą. Teraz – każdy jego ruch i dotyk sprawiały niewysłowioną rozkosz.

Złapała go za szyję, on dotknął dłonią jej policzków. Były różowe, miękkie i pachnące.

Choć nie planowali tej nocy, zbieg silnych emocji i napięć sprawił, że cały ładunek uczuciowy znalazł ujście w tym ekstatycznym uniesieniu. Prąd układów nerwowych płonął od temperatury, a razem z nimi skóra, włosy, dłonie, ramiona, biodra, uda, usta i języki. Być może przez to, jak bardzo się od siebie oddalili emocjonalnie, fizyczne zbliżenie było tak bliskie. Jak siła natury, która zawsze znajdzie drogę i ujście. Nawet jeśli Brodzki twierdził, że naturze nie wierzy. Bzdura, wierzył bezgranicznie.

Nie było tym razem muzyki w tle, przebieranek, wina. Nie było obietnicy bliskości, atmosfery romansu, niedopowiedzenia. Była jedynie dwójka ludzi, których romans odszedł w zapomnienie, a którzy spotkali się raz jeszcze, by dać sobie to, czego pragną. Inne emocje, ta sama fizyka.

Marta nie mogła zapanować nad swoim ciałem. Choć Leon zawsze ją pociągał i działał paralizująco, teraz była jak w transie.

Nie wiedziała, ani co robi w jego mieszkaniu, ani dlaczego się z nim kocha. Było w tym coś więcej, znacznie więcej. Jak gdyby świat za oknem i to, co w tym świecie przez ostatnie dni się wydarzyło, jak gdyby to wszystko było bardzo daleko. Tutaj i teraz Marta była bardzo głęboko w swojej głowie, bardzo świadoma dotykających ją rąk i wbijającego się w nią członka, który doprowadzał ją do wrzenia. Czuła się w tym momencie dobrze jako kobieta, czuła się szczęśliwa i podekscytowana. Być może było to zasługą Leona – mimo dość oczywistej sytuacji, w której się znalazła, przychodząc do niego po prostu na jego prośbę. Nawet jeśli miał to być ich ostatni raz. Być może to rozmowa o psychologii i mordercach sprawiła, że poczuła się dla niego partnerem, kimś, z kogo zdaniem wielki Leon Brodzki się liczy. Być może to, że go nakarmiła i przepełniła spokojem, sprawiło, że poczuła się ważna dla tego mężczyzny. Nie w życiu, ale w tym konkretnym dniu i tej nocy. I to wystarczyło, by nie miała wyrzutów i żalu.

Zrozumiawszy to, jakby szerzej otworzyła oczy. Chwycała Leona za głowę, spjrzała mu głęboko w oczy.

– Weź mnie od tyłu – powiedziała cicho i zdecydowanie.

Takiej Marty Leon nie znał. Do tej pory była uległa, poddawała się mu, czekając na ruch, który wykona. Tym razem to ona przejęła inicjatywę, to ona wykonała szachowy ruch.

Odwróciła się, zadarła sukienkę i oparła się o ścianę.

– Zrób to mocno. Zrób mi to – powiedziała cicho i odwróciła do niego głowę. – Proszę.

Detektywa nie trzeba było o takie rzeczy dwa razy prosić. O tej godzinie, po takim dniu, w takim rozstroju emocjonalnym tym bardziej poddawał się sile pożądania, im bardziej nie chciał myśleć o tym, co czeka go po zaśnięciu, a potem – po przebudzeniu.

Łóżko było dla nich obojga jak tratwa, dlatego kochali się długo i mocno. Dłużej niż kiedykolwiek wcześniej. Pod koniec kazała mu się położyć. Usiadła na nim, wbiła palce w jego tors i tak zakończyli ten taniec.

Kiedy opadli z sił, Marta nie położyła głowy na jego torsie jak ostatnio, ale ułożyła się obok.

– Jakoś inaczej, prawda? – spytał Leon, oddychając ciężko.

– Tak. Inaczej – rzekła, patrząc w sufit i uśmiechnęła się. – Śpij. Musisz jutro złapać mordercę.

– W sumie to dziś... – powiedział Leon, przymykając oczy.

– Jutro to dziś. Tyle że... jutro.

Oboje zamknęli oczy.

2

Latarnie wciąż mrużyły powieki, gotowe pożreć z zazdrości lampiony wiszące na nocnym niebie.

Było jeszcze ciemno i mgliście, kiedy zgasły, a Trasa Średnicowa między Szosą Chełmińską a Grudziądzką pogrążyła się w mroku. Na tej konkretnej ulicy stało się to trochę wcześniej niż gdzie indziej, być może z powodu awarii. Światła osiedlowych latarni nie docierały do drogi, oddzielonej wysokimi ekranami dźwiękoszczelnymi. Z uwagi na rozmiary i spustoszenie, jakie poczyniły w lokalnym krajobrazie, mieszkańcy zwykli nazywać okolicę „Palestyną”.

Grażyna Sędzimir była w trakcie porannej przebieżki, gdy nagła ciemność spowodowana odcięciem prądu zaskoczyła ją na wąskim chodniku. Przeskok z jasności do czerni nastąpił tak raptownie, że dziennikarka straciła równowagę i stanąwszy krzywo na krawężniku, upadła z jękiem na jezdnię.

– I na cholereę biegłaś tym wąskim chodnikiem, wariatko? Niech to szlag...! – Grażyna masowała kostkę, ta zaczynała puchnąć. Znała to uczucie rozpierania, charakterystyczne dla użądlenia przez osę lub rozerwania torebki stawowej. Dotyk nie pomagał, opuchlizna robiła się coraz większa.

Sędzimir usiadła na chodniku, zwieszając nogi na jezdnię. O tej porze było tu zupełnie pusto. Po drugiej stronie widać było niewyraźne światła bloków przy ulicy Wybickiego, przebijające

przez mgłę. Niżej – ścianę dźwiękową, dwa pasy jezdni, pas zieleni, znów dwa pasy drogi. Za plecami – ogródki działkowe. Po lewej – migające w oddali pomarańczowe sygnalizatory skrzyżowania z ulicą Grudziądzką, po prawej – z Legionów. Próżno było więc szukać pomocy w tym miejscu i o tej porze.

Spróbowała wstać, ale ból był tak silny i tak promieniował na nogę, że opadła z powrotem na krawężnik. Zrezygnowana wyciągnęła telefon.

Wybierała właśnie numer taxi, gdy zza mgły dobiegł ją odgłos nadjeżdżającego pojazdu. W końcu wyłonił się kilka metrów przed kobietą. Sędzimir włączyła w telefonie latarkę, przełączyła na tryb sygnału S.O.S. i zaczęła machać nim w stronę ciężarówki.

Pojazd zatrzymał się, ale kierowca długo nie wychodził z kabiny.

– Halo? Panie kierowco? – krzyknęła dziennikarka. Patrzyła ze zdziwieniem w stronę przedniej szyby samochodu, ale nic nie było za nią widać.

Ze środka kabiny z kolei nic nie było słycać. Usta kobiety poruszały się bezgłośnie, ale szofer nie słyszał ani jednego słowa.

Drzwi zaskrzypiały. Kierowca włączył światła awaryjne i wyskoczył z kabiny, spadając na jezdnię obiema nogami jednocześnie. Obszedł wóz i oczom kobiety ukazał się w końcu tajemniczy wybawca.

– Dzięki Bogu, że pan się zatrzymał. O tej porze to żywego ducha tu nie można spotkać.

– Ma pani rację. Nie można – rzekł niski głos.

– Czy pomógłby mi pan wstać? – spytała, wyciągając rękę.

Mężczyzna był wysoki, kobieta nie mogła dostrzec jego twarzy.

– Muszę szybko dostać się do domu, potem nagranie, a jeszcze kosmetyczka, po prostu koszmar. Ale nie omieszkam podziękować panu na antenie.

Mężczyzna ukucnął przed nią i spojrzał z uśmiechem.

– Miło mi nareszcie panią poznać. Czy zawrzemy układ?

– Co tylko pan chce, jest pan dla mnie rycerzem w lśniącej zbroi

– śmiała się, gramoląc się z ziemi. – Co pan proponuje?

Dopiero teraz odwróciła się i zobaczyła jego twarz z bliska.

– Krew na sztylcie albo gówno na moim fiucie. Wybieraj.

Ciszę pogrążonej we mgle „Palestyny” przeszedł kobiecy krzyk. Zgodnie z intencją konstruktorów dźwiękoszczelne ekrany, postawione w celu separowania mieszkańców domów od hałasów ulicy, spełniły swoje zadanie.

3

– Leon, już czas. – Marta siedziała ubrana na krawędzi łóżka. Na stoliku stała kawa i jedna kanapka.

– O, dziękuję, że o mnie pomyślałaś... – Brodzki przeciągnął się.

– Nie pomyślałam. Zrobiłam sobie i po prostu zostało – odparła chłodno. Dla Leona mogło to brzmieć jak zgrywanie się, przesadna pewność siebie trzpiotki, która właśnie uwiodła starszego mężczyznę. Dla Marty było to jednak pewnego rodzaju ukojenie, jakiego zaznała. Poczucie, że już niczego nikomu nie musi udowadniać. – Dożylnie ci tego nie podam. Wyjeżdżamy za dziesięć minut.

Brodzki zwłóknął się z łóżka. Wypił kawę bez słów. Bez słów też się ubrał. Milcząc, wyszli do auta.

4

Choć Halicki dał Leonowi zgodę na śledztwo, rano na komendzie wskazywał, że oficjalnie nic się nie zmieniło. Do mediów poszły te same komunikaty, w efekcie czego lokalne i krajowe stacje huczały na zmianę o kibolach, policjantach, zabijanych dzieciach, porwaniach. A przed chwilą – o gwałcie na Grażynie Sędzimir. Kobieta trafiła do szpitala na Bielanach – doktor Natalia Kaklińska znów miała pełne ręce roboty.

Nim Brodzki, Nowak i Maks się zorientowali, tworzyli na komendzie grupę dywersyjną, drażącą w pałacu – jak mawiano czasem na komisariat – swoje korytarze. Zdawać się mogło, że tylko tej trójce zależy na ruszeniu spraw do przodu

– Uważaj! – krzyknął Brodzki i odskoczył od drzwi. Mało brakowało, a nadziałby się na ostrze nożyka do listów, trzymane przez wyprostowaną rękę. Metal zabłyś w ciemności niby srebro księżycy w pełni. – Aleś mnie wystraszył, Maks.

– I co tak krzyczy od wejścia. Te ściany nie znają dźwięków i niech tak zostanie... – zamyślił się zasuszony archiwista o kartoflanym nosie i długich, siwych włosach. – Wybacz, Leon. Ja tu się czuję jak kret. Oczywiście określenie to jest mylące, bo wiemy, kogo nazywa się „kretem” w policji. W moim jednak wypadku dobrze wykonuję swoją pracę... A co robi kret?

– Ryje?

– Tak, mordeczko! – zaśmiał się serdecznie Maks i wyciągnął

rękę na przywitanie kolegi z wydziału kryminalnego. – Cześć, Leon! Dzwoniłem do ciebie.

– Przepraszam, miałem trochę spraw z pogranicza życia i śmierci. Coś jakby spotkanie z samym sobą – rzucił tajemniczo. – Cześć, Maks, dobrze cię widzieć... –

zawahał się, bowiem Maks celował dłonią w złym kierunku. Naprawdę nie widział Brodzkiego. – Idź po głosie.

W końcu ich dłonie się spotkały – ta Maksa była sucha od kurzu i papieru, chropowata.

Zbiory znajdowały się na poziomie –2, a więc na najniższej kondygnacji komisariatu Toruń Śródmieście, na rogu ulic Polskiego Czerwonego Krzyża i Grudziądzkiej. Piwnica składała się z równych rzędów metalowych półek, pokrytych zabudową tekturowych pudeł i konstelacją fiszek. Kurz i papier dominowały w palecie zapachów, ale przebijały się przez nie także inne nuty – głównie aromat zupek chińskich i mocnej, fusiastej kawy.

– U ciebie ostatnio nie najlepiej, kolego – zaczął Maks, odnosząc plik papierów na pobliską, metalową półkę.

– McDonald's. Tylko zamiast wołowiny pakują mi do pudełek trupy ludzi. Jakkolwiek to brzmi, usłyszałem to porównanie od pewnego sympatycznego grabarza. Dawno tylu ludzi nie chował dzień po dniu.

– Mówiłem ci ostatnio, Leon, że nie chciałbym więcej teczek z aktami zgonu, ale nie ułatwiasz mi pracy.

– Wierz mi, wolałbym sączyć drinki na plaży nad Bałtykiem.

Albo na Hawajach – rzucił. Omiótł wzrokiem pobliskie kartony i dmuchnął na nie, wzbijając tumany kurzu. Wyłoniły się spod niego kaskady numerów ewidencyjnych. – A u ciebie nieźle?

– No powiedzmy, że dobrze.

– Aż za dobrze! Wyskoczyłeś z tym nożem jak samuraj z kosą.

– Kataną. Miecz samurajski to katana. Musisz się jeszcze dużo nauczyć, Obi-Wanie – zaśmiał się Maks i zniknął w czeluściach archiwum. – A co cię do mnie sprowadza?

– Podobno archiwa nie płoną.

Maks na te słowa przydreptał do niego i popatrzył z uwagą. Sięgnął po kubek kawy, wziął łyk przetarł osad z ust i syknął jak ktoś, kto dawno nie miał płynu w ustach.

– Tak. Są z papieru, a mimo to nie płoną. To stara prawda, którą przywołujesz mi teraz, ponieważ...

– Ponieważ chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę.

– Leon! – Maks podniósł ręce jak dyrygent i położył je po ojcowsku na ramionach kolegi. – Żebyś ty wiedział, ile ja lat czekałem, aż usłyszę to zdanie. Co dla ciebie? – Wskazał na półki. Ruszył między nimi, gestykułując jak sprzedawca z TV Mango. – Mamy tu niewyjaśnione zgony, Pękalskiego, ptasią grypę, tajemniczy pożar kamienicy na Mostowej, wisielców, topielców, umrzyków... Czego dusza pragnie?

– Szukam morderców działających w parach. Szukam mordujących dzieci. Szukam spraw, które ci śmierdziały, ale ktoś je zamiótł pod dywan.

– Na przykład kto?

– Na przykład Halicki... – Leon zawiesił głos i zabębnił palcami w stolik. Zrobił dwa kroki ku Maksowi i obniżył głos: – Na przykład mój ojciec.

– Leoś... – Maks opuścił ze zrezygnowaniem ręce i usiadł przy swoim stoliku. – Jeszcze ciało Franka nie ostygło.

– Ostygło razem z krematoryjnym piecem, Maks. Bardziej martwię się o Sarę. To o nią chodzi.

– A nie szukałeś sam w papierach po ojcu?

– Wszystko było w ośrodku. Czekam, aż mi to przyślą. Podałem adres komendy.

– Leon... Twój ojciec, Halicki... Sugerujesz, że jest jakiś związek? Że nie chodzi tylko o Szabańskiego, Szarego i dziewczynę w czerwonym płaszczu z 1988 roku?

– Sugeruję, że archiwa nie płoną... Chyba że ktoś bardzo chce je spopielić. Tak jak na początku lat dziewięćdziesiątych. Nie bez powodu morderca wypomina grzechy mojego starego. Hanę Krosny, sprawę tego kibica.

– Tutaj lepiej o tym nie mówić. Te ściany mają uszy.

Brodzki ściszył głos.

– Sam Halicki swego czasu mi tak powiedział, Maks. Dlatego do policji przyjęto Kosmę, mimo jego przeszłości. – Brodzki spojrzał na kurcz na palcach. Przybliżył lewą dłoń do oczu. Drobinki wniknęły w linie papilarne i załamania skóry. – Czuję, że siedzimy na wielkiej bombie. A lont prowadzi... – Otrzeptał ręce.

– Do przeszłości, Leon.

Na słowa Maksa Brodzki pstryknął.

– Szukaj podwójnych morderców, spraw... Heraklit wciąż gada o Rudolffie Czerwononosym.

– Nie znam się na bajkach, ale Rudolf to był renifer. Z zaprzęgu Mikołaja i elfów.

Brodzkiego olśniło.

– Jak ten...

– Tak, jak ten gangster z lat osiemdziesiątych. Pseudonim Elf. On i Tato, afera węglowa. Bomba na Mickiewicza i słynna strzelanina w sądzie.

– Trzeba poszukać, co łączy te sprawy, Maks.

– Nie robiłeś przy tym?

Brodzki zastanowił się.

– A wiesz, że... nie? Kiedy teraz sobie przypomnę, zawsze mnie to omijało. Rozróby gangów Elfa, Banana, zawsze dostawał to ktoś inny.

– Biorę się do roboty, ale to może potrwać.

– Lepiej nie mów staremu, co, Maks?

– Mowa. Dlatego mówię: może to trochę potrwać, Leon.

– Dzięki za pomoc. Jestem z tym wszystkim sam. Ze śledztwem, z poszukiwaniami Sary. Mam wrażenie, że niby sprawa jest w toku, ale wszystko jakby stoi w miejscu...

– Nie ma większej samotności niż samotność samuraja – zauważył Maks.

Wpatrując się w krecie oczy archiwisty, Leon Brodzki zrozumiał, że jego rozmówca wie, o czym mówi. On także był samurajem.

5

– Powiedziałaś, że na Drogę Trzeposką? – Marta wyjeżdżała z parkingu przed komendą.

– Tak, Marto. Ci młodociani mordercy nie dają mi spokoju. Chcę wrócić na miejsce zbrodni.

– Podobno to mordercy na nie wracają.

– Mam swoją teorię na ten temat – rzekł, uśmiechając się.

Ruszyli Grudziądką. Auto wypełniała poranna audycja w Radiu Pomorza i Kujaw, w której dziennikarka Iwona Muszytowska-Rzeszotek rozmawiała w studio o dziecięcych ofiarach i bezpieczeństwie dzieci, które po wakacyjnej przerwie znów poszły do szkół. Brodzki nie odzywał się, pogrążony w pytaniu, jakie zadał mu Maks.

„Dlaczego nie przydzielano mi tych spraw...? Jeśli sięgnę pamięcią... Nie, zaraz, tyle lat, tyle spraw. Wydaje mi się, że Franek wspominał o tym zabójstwie. Dlaczego dziś to tylko numer ewidencyjny sprawy, a moja pamięć szwankuje? Lata dziewięćdziesiąte nie istniały bez tego co wcześniej. Kogo ja oszukuję, przecież to oczywiste, że mój ojciec nie miał czystych rąk. To znaczy, do pewnego momentu wierzyłem, że miał. Przynajmniej dopóki mama żyła i dopóki... sam nie zostałem psem. Potem wszystko jakoś mi się zatarło. Aż dziwne, że do dziś nie usłyszałem ani razu, jak ktoś mówi do mnie, że jaki ojciec, taki syn. Mam nadzieję, że nigdy tego nie usłyszę”.

Marta rzuciła wzrokiem na Leona raz czy dwa. Jej dusza postarzała się od poprzedniego wieczora dwukrotnie. Może to zasługa Leona, starszego o ponad dwie dekady? Był to pierwszy raz, kiedy tak bardzo poczuła na swoich barkach ciężar czyjegoś życia. A życie Leona było stosem pokrytego rdzą żelastwa.

– Śmierć może spotkać każdego – rozbrzmiewał głos w stacji. – Laura Mostowicz, lat osiemnaście. Sara Brodzka, lat dwadzieścia. Wczoraj internet obiegił film, na którym oprawca wrzuca ją do wody. Mimo apeli serwis Facebook wciąż nie usunął nagrania, które w tym momencie osiągnęło już dwa miliony wyświetleń...

– Dwa miliony wyświetleń, Boże Świąty – pomstował Brodzki. – Rzymskie Koloseum to przy tym pikuś...

– Sprawa jest tym bardziej wstrząsająca, że dotyczy młodych kobiet. Nie dalej, jak w ubiegłym tygodniu znaleziono ciało noworodka... – mówiła dziennikarka.

Brodzki wyłączył radio i westchnął ciężko.

– Leon, nie fiksuj się i nie słuchaj tego.

– Media nie dają spokoju z Sarą, Laurą i tym noworodkiem. A o to właśnie chodzi temu pojebowi. Nieważne jak, ale żeby mówiono.

Brodzki odpalił camela i przetarł dłonią kark. Marta chciała go dotknąć, ale odsunął się. Pożałowała tego gestu i spoważniała. Patrzyli chwilę na siebie, jak ludzie, którzy widzieli swoje ciała nago przy wielu wschodach słońca.

– Mów. Wiem, że zaraz powiesz coś mądrego – powiedział detektyw.

Oblicze Marty się rozjaśniło.

– Każde przestępstwo, zwłaszcza łamiące konsensus moralny, jest znacznie bardziej wartościowe informacyjnie, jeśli dotyczy dzieci – rzekła.

– Już widzę programy w telewizjach śniadaniowych o pedofilach w Watykanie albo molestowaniu w hotelach sejmowych.

– To przez idealny wizerunek rodziny, Leon.

– Rzecz mi obca. – Brodzki zaciągnął się.

– Obraz powielany w przekazach stał się w końcu kanonem. – Marta mówiła rzeczowo i spokojnie. Do tego prowadziła pojazd. Dwie czynności jednocześnie, obie dające jej przewagę sytuacyjną nad mężczyzną, któremu pozostało tylko palenie papierosa. – Dlatego o wszechobecnej przemocy przez lata nikt nie mówił. Rodzina zawsze była nośnikiem wartości, podobnie jak Kościół, jeśli już o tym mówisz. Ale z czasem się to zmieniło i dziś o dzieciach się trąbi wszędzie. I to niezależnie, czy dziecko jest niewinną ofiarą, czy przestępcą.

– Dziecko przestępcą, dobre.

– Słyszałeś o Mary Florze Bell, jedenastoletniej morderczynie z lat sześćdziesiątych? Albo o morderstwie Jamesa Bulgera? Dwulatek, zabity w 1993 roku.

– Zabiło go dwóch dziesięciolatków. Skojarzenie z Kosmą i Danielem jest oczywiste. Naturalnie, że słyszałem... – Brodzki otworzył szerzej szybę i wystawił za nią rękę. Autem podrzuciło, gdy przecięli torowisko na styku Bydgoskiej i Chopina.

– To wtedy media pierwszy raz opisały dzieci jako demony, a nie aniołki. Nawet sądzono ich jak dorosłych.

– Pamiętam. Był jeden plus ich czynu.

– Mianowicie? – Marta nie odrywała wzroku od drogi. Stali teraz na światłach na Placu Rapackiego.

– W USA wprowadzono w miejscach publicznych monitoring, kamery miejskie.

– No widzisz. Jedna sprawa i taki precedens. Wszystko dlatego, że dzieci są miernikiem naszych nastrojów i uczuć.

Brodzki spuścił głowę i zamknął oczy, bardzo próbując o czymś zapomnieć. Zza okna dochodził zapach wymytego przez polewaczkę torowiska.

– W jakim sensie?

– Leon... Wiesz to lepiej niż ja. Jak się czujesz, odkąd Sara zniknęła?

– Nie chcę o tym mówić – uciął Brodzki.

– I doskonale to rozumiem. Dziecko jest złożonym konstruktem psychicznym. W XVIII wieku dzieciństwo opisywano jako wiek niewinności. Na początku XIX wieku w klasie robotniczej praca dzieci była normą, prawo zupełnie ich nie chroniło.

– Bla, bla, bla... Tak jak dziś w azjatyckich fabrykach iPhone'a i ciuchów.

– Nauki społeczne i humanistyczne dopiero się wtedy rozwijały. Paradoksalnie, dzięki rozwojowi technologii.

– Marto. Skoro już przeszliśmy od pedofilii do balonów z helem.

O ile wiem, XIX wiek to epoka romantycznych samobójców i dziadów z kałamarzami.

– A kiedy wynaleziono telegraf, kolej, aparat, silniki, kamery, panie detektywie?

– No...

– No właśnie. Nie będę robić ci wykładu z historii, ale żebyśmy doszli do tego, kto i dlaczego morduje dzieci... W dużym skrócie: dzieci dostały szansę dzięki encyklopediom. Rok tysiąc siedemset siedemdziesiąty drugi, encyklopedia Diderota. Pomyśl, taka Wikipedia ich czasów. Ludzie zaczynają łączyć fakty, katalogować wiedzę. Magowie i mędracy odchodzą do lamusa. Powstają nowe nauki, dziedziny.

– Ludzie się komunikują, rozwijają startupy...?

– Jeśli startupem nazwiesz pierwszy dagerotyp czy telegraf, to tak.

– I gdzie te dzieci, pani psycholog?

– Nauka zaczyna rozkładać człowieka na czynniki pierwsze – ciągnęła Marta. Wjechali właśnie w ulicę Bażyńskich. Gdy mijali okolice Biedronki i Lidla, zapachniało kurczakiem z różną. – Po maszynach ludzie wzięli się także za głowę. W końcu dzieci zostały uznane za byty psychiczne. No wiesz, Freud, Jung. Dziś to norma, a dzieci to świętość.

– Teraz rozumiem. – Brodzki wyrzucił niedopałek przez okno.

– Pamiętasz film *Mickey* o dzieciaku, który mordował kolejnych przybranych rodziców? Wrzucił macosze włączoną suszarkę do

wanny. Albo historię o chłopcu-szczurze, który podobno żył w kanale? Kultura masowa i mass media żywią się sensacją. I tu masz odpowiedź na pytanie, dlaczego od rana maglują w radiu temat Laury i noworodka. Mary Flora Bell. Przed rozkwitem kultury popularnej nikt o niej nie pisał, nikt nie mówił o jej mordzie.

– O Tedzie Bundym i sekcje Mansona jakoś pisano.

– Bo nie byli dziećmi!

– Pisano za to o idealnym modelu rodziny? – Brodzki jakby trochę wrócił do rozmowy. To papieros przywrócił mu jasność umysłu.

– Tak! Dzieci były wtedy świętością.

– I to się nie zmieniło.

– I tak, i nie. Dzieci się chroni, ale młodzież na przykład wchodzi w dorosłość o kilka lat za wcześnie. Mówimy o gimbazie, nastoletnich ciążach, dopalaczach. Mimo wszystko dzieci są gwarantem niewinności, czymś w rodzaju społecznego barometru. Jeśli dzieje się im krzywda albo one same ją wyrządzają, to ludzie czują, że jest źle. Może to doprowadzić do wybuchu czegoś na kształt paniki moralnej.

– Tak jak w Toruniu po zabójstwie Laury i znalezieniu jej dziecka.

Dojeżdżali właśnie do skrzyżowania z Batorego.

– Daniel powiedział na początku tego nagrania z Facebooka, że będzie zabijał, dopóki go nie złapiemy. Czy to nie brzmi jak gierka?

Przecież nikt nie chce dać się złapać. Chyba że to zagadka w rodzaju „rozwiązanie – oksymoron”.

– To znaczy?

– Że rozwiązanie jest symboliczne.

Leon się zamyślił.

– W ostatnich dniach rzygam symboliką. Kościoły, czerwone kapturki, rudolfy czerwono-nose, sny o wodzie, sny o maskach. Ja pierdołę.

– Jest teoria, według której zabójcy robią wszystko, żeby ich złapano – zastanawiała się Marta.

– Też miałem czasem takie wrażenie, kiedy zakuwałem ich w kajdanki, Marto, ale...

Psycholog nie dała mu dokończyć.

– Ale myślałeś, że byłeś od nich sprytniejszy?

– A nie byłem? – Brodzki zaprezentował twarzą pewność siebie godną detektywa Vidocq. Auto mknęło ulicą Bażyńskich.

„Co to za gierki... – rozmyślał. – Pani psycholog robi wszystko, żeby podbić swoje ego po tym, jak ją odrzuciłem? Jak to jest, że na psychologię idą najczęściej ludzie, którzy nie radzą sobie z własną głową? Dlaczego zamiast chłodnej analizy bawi się ze mną? Czy dlatego, że kilka dni temu trzymałem jej nadgarstki za głowę i pieprzyliśmy się przez pół nocy? Czy dlatego, że dziś wypięła się i oparła o ścianę, na własną prośbę? Czyżby imperatyw godności seksualnej był silniejszy od rozumu? A może jest tak, że kobiety są skazane na odwieczną walkę z mężczyznami, ponieważ to nie one,

a oni wkraczają na terytorium ich ciała i anektują je sobą? To takie szachy... W szachach – wydawać by się mogło – białe i czarne mają równe szanse na starcie, ale to nieprawda. Białe mają pięćdziesiąt pięć procent szans. Dlaczego? Ponieważ są „na ruchu”, mają pierwsze „tempo”. Jeśli białe i czarne robią te same, najlepsze ruchy, odbijając swoją pozycję jak w lustrze, to któraś ze stron ten decydujący ruch wykona jako pierwsza. Czy zmagania mężczyzn i kobiet to partia szachów...?”

I w myśl tych rozważań, kiedy chciał być rozsądniejszy i wrócić do *clou* sprawy, kiedy był już pewien, że będzie mądrzejszy i powtrzyma się od tej czarno-białej rozgrywki, niespodziewanie dla siebie samego powtórzył pytanie, niczym echo swojego męskiego ego.

– A nie byłem sprytniejszy?

– Jakby ci to powiedzieć. – Marta, stojąc na światłach na skrzyżowaniu z ulicą Wojska Polskiego, związała sobie włosy. Złapała lewą ręką kitkę, po czym prawą dłonią zsunęła z lewego nadgarstka gumkę, która była przyozdobiona dwiema małymi kostkami w szachownicę, co nie uszło uwadze detektywa. Sprawnym ruchem związała kitkę

– Oralnie.

– Słucham?

– Oralnie. Czyli w sposób związany z ustnym przekazem informacji. Kiedy nie było pisma i historie przekazywano ustnie, jak to do dziś robią Aborygeni, mówiono, że była to literatura

oralna – mądrzył się detektyw. – Sama ciągle nawiązujesz do historii. Też coś tam pamiętam.

„Kurwa, co ja pierdołę. Przyznaj, Brodzki. Wiedziałeś, że używając tego słowa, wybijesz ją z rytmu choć na jedną sekundę. Ten jej trzepot rzęs, niby reset komputera, będzie twoim małym zwycięstwem. A to wszystko, żeby odgonić myśli od prawdziwej zagadki, którą wcale nie jest Marta, a morderca. Też na M. M jak miłość. M jak morderstwo”.

– Może jesteś starym lisem, ale znam twoje gierki, Leon.

– Jakie znowu gierki...

– Przestań gadać, bo słabe jest to, co mówisz. Możemy wrócić do tematu?

– Tak. – Brodzki ugryzł się w język. Fala ciepła spłynęła mu po karku. Zupełnie jak w podstawówce, kiedy cała klasa dowiedziała się, że podkochał się w Dagmarze. – Tylko się drocę. To napięcie między nami jest czasem nieznośne, ciężko jest się od niego uwolnić.

– Myślałem, że sobie już ze mną odpuściłeś.

„Bo odpuściłem – zawahał się w myślach. – Bo odpuściłem. Ale tu do głosu dochodzą atawizmy. W momencie takiego stresu, takiego napięcia, takich emocji... Co nam wtedy zostaje? Odruchy. Zaspokajanie ośrodka nagrody. Człowiek jest tym, czym się stworzył, a więc tym, czym jest codziennie i co codziennie czyni. Jeśli więc zaspokajamy się alkoholem, papierosem w przerwie, porno przed snem, wielkim tortem bezowym, to nic dziwnego, że w

tym momencie do głosu zamiast rozsądku, dochodzi moje męskie ego. Znajduje ono ulgę w szachowej rozgrywce, w której figury są nagie. Tak jak minionej nocy”.

– Idiota ze mnie. Kontynuuj.

Marta w pierwszym odruchu poczuła zwycięstwo.

„Wielki Leon Brodzki przyznaje się przed taką szczeniarką jak ja do swojej małości?”

I wtedy, jedno mgnienie później, spoważniała, a złe emocje zupełnie minęły. I jej ego było usatysfakcjonowane.

– Miałam na myśli, że twoje śledztwo to działanie negatywne. Ale zrozum mnie dobrze. – Spojrzała na niego z uwagą, Brodzki odpowiedział tym samym. – Nie chodzi mi o negatywność w sensie zła, ale o negatyw. Czyli sprawdzanie czegoś w ten sposób, w jaki wywołuje się analogową fotografię w ciemni.

– Rozumiem chyba, o co ci chodzi. Morderca wykonuje ruch.

– Szachowy.

– Może zostawmy te szachy... Wykonuje ruch. A ja ten ruch widzę dopiero w odbiciu. Jak kręgi na wodzie.

– Otóż to, Leon. To, co dzieje się pomiędzy, to entymemat.

Brodzki zmarszczył brwi. Bardzo próbował przypomnieć sobie te mądre słowa, o których tyle razy czytał.

„Entymemat, sufrażystka, stangret, antresola...”

– Leon?

– Entymemat. Coś jak wolne miejsce w równaniu.

Marta nie była w stanie jednocześnie prowadzić tej rozmowy i...

auta. Zjechała na parking przy Polmosie, fabryce wódek smakowych.

– Skup się, człowieku, i zacznij myśleć głową. Rozumiem, że ostatnia noc była przyjemna, ale to koniec.

Brodzki wybałuszył oczy.

– Sam to powiedziałeś, ja to potwierdzam. Potrzebowałeś wsparcia, przyjechałam. Było miło, cieszę się, że przyjemnie spędziliśmy czas, a ty nie byłeś sam z tą potrzaskaną twarzą – powiedziała dość energicznie, przypatrując się draśnięciom na jego policzku. – Ale dziś jest dziś. Masz poważną sprawę do rozwiązania.

– Entymemat. Mów. – Brodzki w sekundę zmienił wyraz twarzy i skupił się na Marcie. – Rozumiem, co do mnie mówisz. Potrzebowałem tego... To znaczy tego, co teraz powiedziałaś, nie tego, co było...

– Przesłanka schematu argumentacyjnego, która została opuszczona – powiedziała mocno. – To ona skłania gracza albo widza do jej uzupełnienia.

– Jak w szachach?

– Czyli jednak szachy?

– To porównanie przychodzi mi przy tobie jakoś naturalnie... – Uśmiechnął się do siebie. „Nie mogłeś sobie odpuścić, co?” – powiedział w myślach. A potem dodał na głos: – Mów, słucham cię, Marto.

– Zabójcy uprawiają to, co dziś nazywa się grywalizacją.

- Gra i rywalizacja. – Brodzki odszyfrował słowo.
 - Brawo, szaradzisto. Dzięki temu stajesz się uczestnikiem procesu argumentacji. Czyli gry.
 - Ale kto decyduje o jej elementach, Marto?
 - Zabójca. To on dostarcza ci argumenty. Albo artefakty. Palec, łuskę naboju.
 - Płód.
 - Brodzki!
 - No dobrze. Noworodka, który cudem przeżyje pośmiertny poród.
- Marta pokiwała głową z niesmakiem i dodała:
- Chodzi o to, że masz wrażenie, że samodzielnie znalazłeś brakujący element.
 - Jak czytelnicy kryminałów...? – zażartował detektyw, puszczając oko do lusterka.
 - Otóż to. Ale to fikcja.
 - No tak, książkowe kryminały to fikcja.
 - Chodzi mi o to Leon, że fikcją jest przekonanie o swoim udziale w proces argumentacji.
 - Zaraz, zaraz. Czy ty właśnie podważasz sztukę dedukcji? Jak inaczej rozwiązać zagadkę, jeśli nie poprzez przesłanki?
 - Dalej nie rozumiesz, Leon. Tak, ty rozwiązujesz zagadkę. Odkrywasz lub nie. Jak z tym włosem kota albo skrótem imion Kosma i Daniel. Chodzi mi o to, że grę projektuje zabójca. I zakłada, że ty uzupełnisz te luki fabularne.

– Że znajdę Szarego. Wdowę po Szabańskim. Dżokera. Halickiego. Że odkryję, kim był chłopiec w odbiciu na zdjęciu.

– Tak, dokładnie. Zabójca jest architektem Matriksa. Ty jesteś Neo. On projektuje zagadki. Ty odbierasz telefon.

– To jest aż tak proste?

– Prawie. – Marta musnęła kciukiem usta. – Dochodzi jeszcze stosunek emocjonalny.

– Te wszystkie gadki o rzece, Heraklicie, sprawiedliwości, ogniu?

– Brodzki od razu przywołał w myślach scenę pojedynku z Kosmą, kiedy ten, z ogniem w oczach, opowiadał o swoich filozoficznych teoriach, którymi motywował zbrodnie.

– Tak, Leon. Zabójca zakłada, że wniesiesz do gry ładunek swoich emocji. Że będziesz się wahał, miotał jak mysz w pułapce.

– Trudno przewidzieć ludzkie emocje. Skąd zabójca ma wiedzieć, jak postąpię?

– Nie wie. Na tym polega zabawa.

„Pewnie, że nie wie. Sam nie wiem, jak zareaguję. A zatem i ja jestem pewną zmienną w jego równaniu. W jego puli śmierci...”

– Czyli tak naprawdę ma nadzieję, że go schwytam?

– Nie wie tego, Leon. Na tym polega trik. Nagrania, najścia w klatce kamienicy, mylne tropy. Jest „na ruchu”.

– To trochę tak jak... – Brodzki zawahał się, a Marta spojrzała na niego. Oboje w ułamku sekundy omietli wzrokiem swoje usta. – Tak jak z szachami?

– Coś w tym rodzaju, Leon. Jak kobieta, która w czerwonej

sukience siedzi samotnie przy barze, ale nie daje sobie postawić drinka.

– Wykonuje ten pierwszy ruch, Marto. Zwiększa szanse do pięćdziesięciu pięciu procent.

– Czy ja wyglądam, jakbym czytała w twoich myślach?

– Wyglądasz, jak... – Brodzki spojrzał jeszcze raz na kostki przy gumce do włosów. – Jak Caissa.

– Kto to?

– Mityczna bogini szachów.

Marta ruszyła z piskiem spod Polmosu. Przemknęli wiaduktem Kościuszki, placem Skarbka i po chwili skręcili w Drogę Trzeposką.

– Dalej pójdę sam. Dziękuję ci. Wprowadziłaś ład do mojej głowy. – Brodzki patrzył szczerze w oczy Marty.

– Ja też dziękuję, że wprowadziłeś... – Marta przerwała. – Nawet o tym nie myśl. Nie dokończę tego zdania. Po prostu idź i rób swoje.

– Najwyższa pora. – I wyszedł.

6

Ulica Droga Trzeposka nie zmieniła swojego wyrazu – dalej była brzydka, nijaka i ślepa. Choć leżała w środku miasta, mało kto zwracał na nią uwagę. Czyli zupełnie jak na trzecioplanową bohaterkę którejś z powieści Emila Zoli.

Mimo upływu raptem kilku dni od brutalnego morderstwa, jakiego dokonano na mieszkającej na końcu alejki Izabeli Otwinowskiej, miejsce zupełnie nie zmieniło swojego charakteru. Domy dalej przyklejone były do fabrycznych murów, a ścieżka – wciśnięta między ogrodzenia – dalej prowadziła donikąd. Tylko fragmenty taśmy policyjnej, walające się w kałużach, przypominały o wydarzeniu, które zburzyło panujący w tym bezbarwnym zakątku spokój.

Leon Brodzki doszedł do końca alejki i stanął przed jednopiętrowym domem, w którym niedawno doszło do zbrodni. Na ziemi wciąż widniały ślady kół pojazdu, który omal go nie przejechał. Dom porastała bujna trawa, gdzieś na zapleczu słychać było miauczenie kota.

„W sobotę wydarzyło się tyle rzeczy, że sam z trudem mogę ułożyć je chronologicznie. Nie zdążyliśmy przesłuchać sąsiadów. Jakie to miało znaczenie, skoro Otwinowska, wdowa po mordercy, się zawinęła? Jakie to miało znaczenie, skoro zamordował ją własny syn? Przeprowadziła się tu, kiedy Stanisława Szabańskiego skazywano na śmierć. Uciekła z dawnego domu na Wiślanej,

zmieniła nazwisko. Cichy zakątek na uboczu, nowa tożsamość, nowe życie... Ale ktoś musiał wiedzieć, co się dzieje w ich domu. Dwójka tak porąbanych dzieci jak Daniel i Kosma musiała zostać w czyjejs pamięci.”

I z tą myślą detektyw nacisnął przycisk dzwonka sąsiedniego domu. Wejście składało się z dwóch par drzwi – przezroczystych z plastiku i grubszych, drewnianych.

Otworzył mu siwy, ale słusznie zbudowany, dziarski pan. Pierwsze, co Brodzkiemu rzuciło się w oczy, to kolor. Wnętrze mieszkania i ubranie człowieka były utrzymane w tej samej tonacji, zielonkawej. Był to klasyczny przykład na to, jak człowiek, będący dostatecznie długo w jakimś miejscu, zrasta się z nim. Jak kameleon. Miał nos boksera, który skończył karierę po pierwszej rundzie, przylizany, gęsty pukiel grubych włosów. Z domu bił zapach naftaliny i waleriany, którą ktoś niewątpliwie dawkował w ilościach grubo przekraczających zalecenia z etykiety.

Widok tego zestawu barw i woni od razu wprowadził Leona w szyderczy nastrój.

– Dzień dobry, Gminny Urząd Statystyczny. Jak pożycie? – rzucił kąśliwie.

Na widok Brodzkiego zielony człowiek otworzył plastikowe drzwi, przymknął cicho drewniane i zaciągnął detektywa na trawnik przy bocznej ścianie.

– Pan w sprawie kredytu? – spytał.

Wolta była tak komiczna, że Brodzki w pierwszym odruchu się

zapowietrzył.

– Owszem, muszę sprawdzić pana historię.

– Świetnie. Otóż ja przemyślałem i biorę. Wszystko biorę. Tak między nami to żona mi podżyruje, a ja potem, uważasz pan, sam na Hawaje, bez tej ropuchy, polecę.

– Z tym, że niekoniecznie.

– Jak to?

– Najpierw musimy zrobić wywiad środowiskowy.

– A, rozumiem, rozumiem, taki quiz, żeby sprawdzić, oczywiście.

Brodzki sam nie mógł uwierzyć w naiwność człowieka, który ostatnie trzydzieści lat życia spędził prawdopodobnie między kanałami TV Mango i Polonia 1.

– Znał pan sąsiadów?

– Nieboszczki nie widziałem wieki całe.

– A synów?

– Niezbyt często.

– A pamięta pan ich, kiedy byli mali?

– A czemu pan pyta?

– Hawaje?

– Krnąbrne gnojki – zdenerwował się mężczyzna.

Brodzki zmarszczył brwi.

– Proszę opowiedzieć coś więcej.

– Ciągłe znikwały zwierzęta z ulicy. Psy, koty. Nikt za rękę nie złapał, ale ja wiem, że oni coś z nimi robili. Sami byli jak zwierzęta.

– Jak by pan ich opisał?

– Na pierwszym rzut oka – podobni.

– Bystry pan jest. W końcu to byli bliźniacy.

– Naprawdę? Ale jeden... – Zielony człowiek się zamyślił. –

Jeden był silniejszy i tego drugiego za uszy ciągle brał, rozkazywał.

Była kiedyś taka sytuacja, nieprzyjemna.

– Proszę uściślić.

– Dzieciaki podglądały moją starą.

– Żonę czy matkę?

– No żonę, gdzie matkę.

– Bo moja stara mówi się na... – Detektyw sam nie wierzył, że w tym miejscu i o tej porze bierze udział w olimpiadzie szaradziarskiej.

– Wiem, jak mówię na moją żonę, proszę nie obrażać mojej matki.

– Oczywiście. Proszę kontynuować.

– To musiało być ze dwadzieścia lat temu, jak przyłapałem gnoja. Stał za gankiem, patrzył na moją starą, co się przebierała w chałupie, i się brandzlował szczeniak jeden.

– Jeden?

– Drugi stał przy ich domu i go instruował.

– Ohyda.

– No pewno, że ohyda. A jaka to trauma.

– Pana ż... pana stara musiała być wstrząśnięta ich zachowaniem.

– Ale ja nie o niej. Dla dziecka trauma. Na taką ropuchę

patrzeć? Można skrzywić dziecko na całe życie.

– Chyba jest pan zbyt surowy.

– Co pan powiesz? – Zielony człowiek wyciągnął zdjęcie z portfela. – Patrz pan. No patrz pan.

– Nie mnie oceniać... – migał się Brodzki, ale twarz na zdjęciu wyglądała jak fotografia *post mortem*.

– Przecież od razu widać, że to to musiało wypaść z chrzcielnicy. Gdzie ja miałem oczy, jak się do żeniaczki brałem.

– No gdzie?

– Powiem panu! – Zbliżył się do Brodzkiego. – W dupie! I dlatego chcę ten kredyt i spierdalać stąd gdzie pieprz rośnie. Zobaczyć cycki Murzynki, wypić napój z kokosa.

– Obawiam się, że spędzi pan z tą kobietą resztę życia. Nie mogę panu przyznać kredytu.

– Słucham?! Ale jak to?

– Co pan przysięgał na ślubie?

– Że nie opuszczę aż do śmierci.

– No więc ma pan odpowiedź – rzucił detektyw na odchodne i ruszył w kierunku radiowozu, który nadjechał od Żółkiewskiego. Jacek Nowak miał podrzucić Brodzkiego na komendę do archiwisty Maksa.

– W sumie to jest jakaś myśl.

– Jaka myśl? – Brodzki się zatrzymał.

– Żeby ją zabić. – Mężczyzna zamyślił się, wykrzywiając twarz w bólu istnienia.

– Proszę pana, na każdą ulicę przysługuje limit jednego morderstwa. Tu niestety został wyczerpany.

Zielony człowiek wybałuszył oczy. Brodzki westchnął i wytłumaczył szczegółowo:

– Proszę pana. Na pewno pan słyszał o *Koszmarze z ulicy Wiązów*, „młotkarzu z Torunia” czy o „wampirze z Zagłębia”. O tym ostatnim nawet była książka, jakiś Semczuk pisał. No więc, jak pan myślisz, co by to było, gdyby tak nagle było dwóch morderców z Zagłębia albo dwóch Freddych Kruegerów?

– Konkurencja?

– Otóż to. Wzięliby zabawki i przenieśli się gdzie indziej. Piorun przecież też nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Z tej prostej przyczyny nie może pan zamordować swojej żony.

– No to kaplica.

– Chyba że się pan przeprowadzisz na ulicę z czystą kartą – zaśmiał się detektyw i odszedł do auta.

7

– Jacek, nie mieliśmy okazji dłużej rozmawiać, ale teraz jest konieczność. – Brodzki zapiął pasy i wyjął z kieszeni świeżą paczkę cameli. Odpalił. – Ale najpierw mów, jak nasz prokurator?

– Zimny jak dobre piwko. Uduszenie, dość brutalne. – Nowak nie przywykł do poważnych śledztw i poważnej roboty. Trochę na własne życzenie traktowany był zawsze jako tak zwany „fizyczny”.

Wychował się na Przedmieściu Bydgoskim, gdzie szacunek i zdrowie trzeba było wyszarpać parą w łapach. To dlatego on i jemu podobni od wczesnych lat ćwiczyli sporty siłowe i sztuki walki. Dla dzieciaków z pogranicza społecznej patologii to po pierwsze, często jedyna droga, po drugie – szansa na zbudowanie pewności siebie i szacunku dla siebie, których nie wynieśli z domu, po trzecie – zapewnienie, że siłą mięśni, refleksem i szybkimi nogami można zapewnić sobie i swojej rodzinie przetrwanie. W pewnych sytuacjach nie dadzą tego nawet najmądrzejsze książki.

Mimo to Jacek Nowak od zawsze chciał zostać policjantem. Była to dobra praca i pewny byt dla rodziny, a zatroszczyć musiał się o matkę oraz młodszego brata Chyżego.

Tak też został policjantem. Nie miał najwyższych ocen z testów psychologicznych, ale nadrabiał bieganiem.

Kiedy w piątek, 2 września, przydzielono go do patrolu ze świeżakiem, aspirantem Tomaszem Żółtko, obaj patrzyli na siebie spod byka. Żółtko był typem kujona, Nowak – fizola. Pierwszym, na

co Żółtko zwrócił uwagę, był orli nos Nowaka. Mylący, bo policjant orłem nigdy nie był. Nowaka w Żółtce drażniła inteligencka maniera i poczucie wyższości, którym emanował, choć się nie wywyższał. Może to Nowak po prostu czuł się mniej bystry. Następne dni zbliżyły ich jednak do siebie, a przełomowa była sobotnia gonitwa po osiedlu Dębowa Góra. To nie Nowak, ale Żółtko poszedł w przebraniu w teren i odnalazł niejakiego Dżokera, podejrzanego o kontakty z zamordowaną Laurą Mostowicz. Gdyby nie Nowak, Żółtkę zakatowaliby miejscowi. Ostatecznie policjanci złapali Dżokera, mając przy tym niezły ubaw.

Nowak wiedział, że to Żółtce przydzielono rozpracowywanie sprawy z Brodzkim, ale nie był zazdrosny. Nie wyrywał się do tej roboty i znał swoje miejsce w szeregu.

Wszystko się zmieniło po niedzielnym pożarze na stadionie Elany. W wyniku podmienienia płynów w policyjnej polewaczce zamieniła się ona na chwilę w miotacz ognia, w efekcie czego kilkunastu kibiców doznało poparzeń. Wśród ofiar był młodszy brat Jacka.

To właśnie wtedy policjant zdał sobie sprawę, że nie jest anonimowym funkcjonariuszem. Oto bowiem jego spokojne dotąd życie rodzinne zostało zburzone przez przestępcę. Działania zbrodniarza dotknęły go osobiście i wtedy też postanowił, że tak sprawy nie zostawi.

Zgrali się z Żółtkiem, jak nazywał partnera. To oni pierwsi zobaczyli pościg na Szosie Lubickiej, to oni ruszyli w pogoń za

Heraklitem i Brodzkim.

Zbrodniarza wkrótce ujęto, a w mieście – jak Nowak sądził – przywrócono spokój.

Niestety mylił się. W poniedziałek na moście drogowym imienia Józefa Piłsudskiego znaleziono zwłoki mężczyzny powieszzonego na sznurze. Było to ciało Tomasza Żółtki.

Od tej pory sierżant Jacek Nowak nie był tym samym człowiekiem. Z dwóch powodów.

Po pierwsze, nie był w stanie pojąć skali okrucieństwa, do jakiego posunął się zbrodniarz. Po drugie, wiedział, że już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem i tym samym gliną. Z podrzędnego krawężnika został rasowym policjantem, który osobiście poznał, co to śmierć partnera na służbie. Choć był wysportowany i postawny, to tak naprawdę dopiero teraz zmężniał.

I wiedział, że chce wiedzieć więcej i chce uczyć się dalej. Dla Tomka, dla mamy, dla brata. Dla zasad, które przysiągł wyznawać, gdy składał policyjne ślubowanie.

Dlatego właśnie, kiedy poczuł, że detektyw Leon Brodzki na niego liczy, nie wahał się.

– Jacek, ta rozmowa zostanie między nami. Jesteś młody, zależny od drabiny zawodowej na komendzie, zależny od Halickiego. Wiem, co to wilczy bilet w służbach mundurowych. Jedna zła opinia przełożonego i wypierdalają cię bez blachy. Uważaj z tym trupem prokuratora Bojarskiego. Ta sprawa śmierdzi na kilometr.

Nowak skinął. Auto wyjechało z Drogi Trzeposkiej na Żółkiewskiego w lewo, w stronę wiaduktu Kościuszki.

Brodzki zaciągnął się papierosem i dmuchnął przez szybę.

– Poczekaj chwilę, tylko zadzwonię.

Detektyw wybrał numer do Dagmary, zadzwonił. Nie odbierała.

– Słuchasz, Nowak?

Sierżant skinął.

– Wydaje mi się, że Żółtko żyje – rzekł Brodzki.

Nowak, nie patrząc na innych uczestników ruchu, dał po hamulcach. Pasażerowie czekający na autobusy linii numer 15, 19, 22, 26 i 29 spojrzeli odruchowo w stronę skrzyżowania ze Wschodnią. Spod kół srebrno-niebieskiego radiowozu unosił się dym opon, które zostawiły kilkumetrowy ślad hamowania.

Jacek spojrzał wybałuszonymi oczami na Leona. Wyglądał tym dziwniej, że oczy z natury miał dość szeroko rozstawione. Przez wyraz, jaki przyjęła teraz jego twarz, był przerażający i komiczny zarazem.

– Co?!

– Co „co”? – Brodzki spojrzał przez szybę. – To, że jeśli nie chcesz wylądować w szpitalu obok brata, ruszaj, zanim ktoś nam wjedzie w dupę.

Za szybą kierowcy zadzwonił sygnał tramwaju linii 4, który zjeżdżał z wiaduktu. Nowak skrzywił kierownicę w lewo i ruszył w dół ulicą Sobieskiego.

– Wydaje mi się, że Żółtko żyje – kontynuował Brodzki.

– Ale jak! Przecież...

– Nie wszystko jest tym, czym się wydaje.

– Przecież widziałem, cholera! – Nowak walnął dłonią w obręcz kierownicy.

– Widziałeś. Ale czy patrzyłeś uważnie? – spytał zagadkowo detektyw. – Bo ja patrzyłem. Dziś w nocy, w kostnicy. Zdjąłem mu twarz.

Nowak znów dał po heblach.

– Co?! – spytał zdziwiony.

– Powiem ci tak, Nowak. Gdybym był instruktorem z WORD-u, nie zdałbyś. Nie można tak hamować bez ostrzeżenia. – Brodzki wypuścił dym przez szybę.

– Ja po prostu... Jak? – Sierżant spojrzał na Brodzkiego, a potem przeniósł wzrok na widok za oknem. Stali na wysokości Krowiego Mostku. – To tu znaleziono zwłoki Dziewczyny w Czerwonym Płaszczu, prawda?

Detektyw spojrzał w stronę wąwozu.

– Szybko się uczysz. Tak, tutaj zaczął się ten horror, trzydzieści lat temu. Byłem wtedy młodszy niż ty.

Auto ruszyło.

– Z tego, co rozumiem, detektywie, w kostnicy jest ciało, które nie należy do Tomka Żółtki... Czyje to więc ciało, czyja twarz, w jaki sposób ktoś spreparował tę jakby maskę i gdzie jest Tomek?

– Kolejność tych pytań jest dowolna, podobnie jak odpowiedzi. – Brodzki wyrzucił peta przez okno i zamknął elektryczną szybę. –

Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Ale się dowiem. A ty uważaj.

8

– Moja hipoteza jest taka, komendancie – zaczął sierżant Nowak, gdy z Halickim byli na oględzinach w wieżowcu na Rubinkowie. – Ma ślady na przegubach, prawdopodobnie założono mu trytki. Na korytarzu znaleziono ślady rozsypanych warzyw, które ktoś potem skrętnie zebrał do torby. A więc musiało być tak, że wychodził jak co dzień na swój straganik. Ktoś go napadł, skrępował. Następnie założono mu na szyję metalową linę. Z jej drugim końcem zabójca wsiadł do windy. Winda ruszyła na jedno piętro w dół, lina ma cztery metry. To w ogóle solidna lina, używa się takich przy cumowaniu większych statków.

– A więc znowu ktoś bawi się w duszenie, wieszanie. – Halicki w splecionych za sobą dłoniach trzymał dzisiejszą gazetę i rozglądał się po siódmym piętrze bloku. – I co potem, Nowak? Chciałbym mieć jasną wersję, nim przyklepie to prokurator. Wczoraj mówiłeś mi to samo?

– Tak, komendancie.

– No to zamieniam się w słuch.

– Winda zjeżdża, szyja się miażdży. Morderca wraca na wyższe piętro. Ma problem z odwiązaniem liny. Jej fragmenty wbijają się w drzwi kabiny, dlatego je znajdę potem na posadzce. Ślady na szyi zgadzają się ze strukturą liny.

– A jak Pan Zieleniak trafia na stragan? – Halicki otworzył gazetę. Na pierwszej stronie dziennika widniała fotografia tłumu

zgromadzonego wczoraj przy straganie. Nagłówek brzmiał: „Morderca znów uderzył”.

– Nie jest stąd daleko. Obstawiałbym wózek inwalidzki, nie rzuca się w oczy. Podjeżdża, rozstawia warzywa, zostawia starszego pana, znika...

– Znałem Bojarskiego. – Halicki nie wychylał się z za gazety. – Znałem chujka. Czuł się na prokuratorskim stołku jak szeryf. Nie pochwalałem tego, co robi. Ale nie znaczy to, że zasłużył na taką śmierć. – Halicki zorientował się, że Nowak przestał się krzątać. Opuścił więc gazetę i spostrzegł sierżanta wpatrującego się w niego zagadkowym wzrokiem. – Masz zamiar wymiotować?

– Gazeta. – Nowak sięgnął po dziennik i zabrał go Halickiemu z rąk. Wyprostował pierwszą stronę numeru i przytknął palec do fotografii. A dokładniej, do jednej postaci, stojącej w tłumie. – Ja już widziałem gdzieś tego człowieka. Na moście, na monitoringu. Człowieka w kapeluszu.

Halicki spojrzał bez wiary na zdjęcie. Istotnie, w tłumie gapiów można było rozpoznać nieco oddzieloną od grupy sylwetkę człowieka z nakryciem głowy. Na dłonie naciągnięte miał ciemne rękawiczki, twarz pozostawała w cieniu.

– Czuję, że ten człowiek zna odpowiedzi na niektóre pytania – rzekł Nowak głosem niepodobnym do siebie.

– A ja czuję, że zgłodniałem, Nowak. Zjem cokolwiek, byle nie duszone mięso.

Maks ani myślał wychylać swojego nosa zza dokumentów, które od spotkania z Brodzkim przeglądał w swojej pracowni. Jego krecie oczy przyzwyczyły się do szybkiego czytania i odcyfrowywania każdego rodzaju pisma i pieczęci. Nie był dyplomowanym grafologiem, ale lata praktyki wyrobiły w nim umiejętności znane chociażby aptekarzom, w lot odczytującym nawet najfinezyjniej wypisane recepty.

Był najosobliwszym pracownikiem komendy. Nie jeździł na zdarzenia, nie brał udziału w dochodzeniach. Nie zapraszano go nawet na odprawy. Cichy, przemykający bokami, wynurzał się od czasu do czasu ze swojej zakurzonej pieczary, by zaparzyć sobie w kuchni. Bo ze skromnej pensji na taką tylko dietę było go stać.

Pracował zawsze skrupulatnie i cierpliwie. Postawą przypominał wówczas tych dawnych bibliotekarzy czy skrybów, którzy gotowi byli nadwyreżyć zdrowie, a czasem i poświęcić życie, by jakiś zwój czy księga ujrzały światło dzienne. Lub też – by go nie ujrzały. Dlatego tak bardzo cenił sobie dawną kulturę skrupulatności. Począwszy od najnowszych, jak ta niemiecka czy pruska, cofając się do średniowiecza, aż po antyk. Jego skromnym marzeniem było udanie się któregoś dnia nad Morze Śródziemne, do kolebki filozofii i europejskiej cywilizacji. Plan mógł się nawet powieść –

nad biurkiem przyczepione było kolorowe zdjęcie Aten, wycięte z

jakiejś gazety oraz bilet na samolot. Kupił go niemal rok temu, najtaniej, jak się dało. Do terminu wyjazdu na wyprawę pozostawało kilka dni.

Maks nie był tak „drobny” jak taksówkarz Heniek, ale mieli w sobie podobne oddanie sprawom, którymi się w danej chwili zajmowali. Tak cenne i tak charakterystyczne dla ludzi, którzy formowali swoją dojrzałość w czasach, kiedy nie trzeba było się ciągle spieszyć. I tak jak Heniek zawsze był gotów jechać swoim fiatem z punktu A do punktu B, tak Maks zawsze był przygotowany na rozpoczęcie żmudnych poszukiwaniach w kilometrach tomów akt.

Archiwistą został z przypadku. W dzieciństwie był chłopcem wyjątkowo wrażliwym i sentymentalnym. Całymi dniami przesiadywał przy radiu lub gramofonie, nie rozstawał się też ze starymi wydaniem książek, słowników czy atlasów, jak ten Westermanna z 1937 roku. Pochodził z Gdańska, gdzie dorastał przed wojną. Przestronny dom i inteligencka atmosfera sprzyjały rozwojowi intelektualnemu Maksymiliana. Podziwiał niemiecką architekturę, styl, muzykę. Jako nastolatek fascynował się *Cierpieniami młodego Wertera*, co odbijało się nawet na charakterystycznym sposobie ubioru – niebieski frak i żółta kamizelka.

Gdy wybuchła wojna, rodzice trafili do obozu. Nie przeżyli.

Po 1945 roku piękny dom zajęli Polacy wypędzeni ze Lwowa przez Rosjan. Całymi latami będzie się potem tłumaczyć i

opowiadać, że także niemieckie rodziny doświadczyły tragicznej historii życia na wygnaniu. Rodziny, które nigdy nie miały nic wspólnego z totalitaryzmami.

Maks przeżył. Chciał zostać historykiem, zbadać tragedię, która po 1939 roku wstrząsnęła światem. Ale trafiwszy pod dziekanat uniwersytetu, zobaczył obwieszczenie dotyczące naboru na kierunek archiwistyczny. Zaciekawilo go to. Jak się okazało, pracy na studiach nie było wiele, wiele za to udało się wypić wódki. Ale i w niej nie był w stanie zatopić smutnego doświadczenia wojennej pożogi. Plany zawodowe miał niezbyt ambitne i pozbawione wiary w etos pracy. Wojna skutecznie wybiła mu z głowy literaturę, atlasy i mapy, skoro ich układ i tak stracił sens.

Wszystko się zmieniło, kiedy przeczytał przedruk akt sprawy pewnego wieśniaka z Francji, który w 1835 roku zaszlachtował swoją rodzinę, ponieważ, jak twierdził, „szatan mu kazał”. Mający wówczas dwadzieścia lat Maksymilian pojął, że natrafił na dokument będący świadectwem narodzin współczesnej psychologii kryminalnej. Ów wieśniak w areszcie spisał swój pamiętnik zbrodni, co wzbudziło zainteresowanie biegłych i sędziów. Zaczęli się zastanawiać nad sprawą niepoczytalności – cech, które często przypisywano zbrodniarzom z klucza, separując ich od społeczeństwa za murami więzienia, lub po prostu z miejsca wysyłano ich na szafot. O ile wcześniej nie rozerwano czyjegoś ciała na cztery strony świata końmi. To wtedy, czytał Maks, pierwszy raz w historii włączono do sprawy opinie medyków. Książka

nazywała się *Ja, Pierre Rivière, skorom już zaszlachtował swoją matkę, siostrę i brata mojego...* Tak oto Maks w latach pięćdziesiątych natrafił na historię narodzin współczesnego systemu penitencjarnego. Z wypiekami na twarzy czytał o mierzeniu psychiki, tabelaryzowaniu człowieka w aktach, władzy totalnej. Pozostało zdobyć certyfikat poufności i zacząć pracę w milicyjnym archiwum.

Kilkadziesiąt lat doświadczenia nadpisało jego młodzińcze marzenia, tworząc jakby palimpsest. Styczność ze sprawami milicji, ZOMO czy Służby Bezpieczeństwa wyrobiła w Maksie duży dystans do spraw. Chyba jeszcze większy niż wojna. Doskonale przy tym wiedział, że współczesne numery PESEL czy ID mają swoje korzenie właśnie w narodzinach więziennictwa. Wiedział też, że przeszłość skrywała swoje tajemnice.

Dlatego prośba Leona Brodzkiego i moralna postawa detektywa stały się dla Maksa wyzwaniem, pierwszą od dawna iskrą zdolną rozpałić w jego głowie pochodnię, z której pomocą rozświetli mroki historii.

Maks znał sprawy prokuratora Bojarskiego. Większość z nich dotyczyła tajemniczych zaginięć. We wszystkie sprawy zamieszany był słynny toruński gangster o pseudonimie „Elf”. Jeśli trafiał do więzienia, to zawsze po to, by prędzej czy później z niego wyjść. Zupełnie jak gdyby miały w tym interes jakieś wyższe grupy nacisku. Kto do tych grup należał? To należało ustalić.

Na blacie leżało kilka tekturowych teczek. Pierwsza, z

czerwonym paskiem, pokryta była następującymi informacjami: „Sygn. akt VI K 143, zakończono dnia 21.04.1988. AKTA W SPRAWIE KARNEJ: Stanisław Szabański”. Szabański, podobnie jak Pierre Rivière, motywacji do popełnienia przestępstwa także upatrywał w zakusach sił diabelskich. Przed poddaniem się wyrokowi śmierci, wytatuował sobie napis: „Urodziłem się po to, by na ziemi stworzyć piekło 666”. Zaraz potem, 21 kwietnia 1988 roku, zgodnie z obowiązującym Kodeksem Karnym PRL z roku 1969, zawisł.

Maks przyjrzał się uważnie teczce. Nie była pokryta kurzem jak inne – to Tomasz Żółtko przeglądał ją kilka dni temu. U dołu znajdował się odręczny napis: „zakończone wyrokiem śmierci”.

Kolejne dokumenty, jakie odłożył do sprawdzenia, dotyczyły trzech zabójstw z lat osiemdziesiątych. Odręczny dopisek „Leszek Pękalski” nie przesądzał jednak o winie tego zbrodniarza.

„Doskonale pamiętam tę sprawę – pomyślał Maks. – Przez lata próbowano udowodnić Pękalskiemu sprawstwo siedemnastu morderstw, jakie miał popełnić między 1984 a 1992 rokiem, a podejrzany był o ponad sześćdziesiąt zbrodni. Sam mówił o większej liczbie. W ogóle wyrósł na gwiazdkę, jeśli tak można powiedzieć o antybohaterze zbiorowej wyobraźni. Pamiętam taki jeden wywiad. Mówił, że najbardziej w ofiarach podniecało go, że nie odmawiały seksu – bo nie żyły. Ostatecznie udowodniono mu dokonanie tylko jednego mordu – na siedemnastoletniej Sylwii z Darskowa. Nie potwierdziły się też doniesienia, jakoby Pękalski był

słynnym młotkarzem z Torunia. Nie zgadzały się ślady na ciałach ofiar.

Pękalski miał więcej szczęścia niż Szabański. Dzięki obowiązującemu już moratorium, a przed wprowadzeniem do kodeksu karnego dożywocia, w 1996 roku otrzymał karę 25 lat więzienia. Odsiadyuje ją do dziś, bezskutecznie odwołując się do organów sprawiedliwości o złagodzenie wyroku”.

Maks spojrział do środka teczki. Akta dotyczyły trzech osób, które straciły życie między 14 lutego 1984 roku a 7 listopada 1985 roku.

„Trzy kobiety, wracające wieczorem do domu, torunianki. Ewa P. została uderzona młotkiem w głowę nieopodal hotelu robotniczego na ulicy Włocławskiej. Teresa L. wysiadła z autobusu u zbiegu Polnej i Grudziądzkiej. Morderca kobietę zgwałcił, a ciało zmasakrował. W Dolinie Marzeń przy Placu Rapackiego ktoś ogłuszył Annę J. Po zgwałceniu ciało wrzucił do stawu... Co ciekawe, Pękalski do zbrodni się nawet przyznał, ale nigdy mu ich nie udowodniono. Z tego, co widzę, do zgłoszeń jeździło wówczas siedmioro różnych funkcjonariuszy. W każdym z tych trzech przypadków w radiowozie jechał... – Maks przyjrzał się jeszcze raz aktom. – Franciszek Brodzki”.

Dojechał do ostatnich kartek w aktach. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zorientował się, że brakowało istotnego dokumentu – tego, na którym byłby widoczny podpis komendanta i prokuratora. Zaniepokoił się.

– Dziwne – mruknął do siebie. Przewertował dokumenty w teczce trzeci raz. – Zupełnie jak gdyby ktoś mi tu grzebał.

Niepocieszony tym faktem, odłożył teczkę na bok i zabrał się za ostatnią. Odnalazł ją dziś rano.

„Zabójstwo nastolatka, podejrzani dwaj nieletni. Data sprawy – 1996, prokurator Bojarski, komendant Halicki. Raport ze zdarzenia: Franciszek Brodzki”.

– Bingo! – krzyknął Maks. – Albo i nie...?

Nie lubił tego uczucia nieporządku, kiedy spostrzegał, że w ciągu informacji istnieje jakaś luka. Nie żeby był służbistą, jak chociażby ochroniarze z uniwersytetu czy miejskiego szpitala. Problematyczne nie były bowiem aspiracje Maksa, ale imperatyw ładu i porządku, bez których żadne archiwum by nie przetrwało.

Dlatego zirytował się, widząc częściowo zniszczone akta.

– Miejsca, w których wymienia się oskarżonych... – mówił na głos, przejeżdżając palcami po papierze. – Wycięte! Co za brutalność! – obruszał się. – Podany jest wiek sprawcy... sprawców. Sprawców? – Maks zawahał się. – Lat osiem? Dwoje dzieci? Matko Boska...

Brakowało nazwisk, adresów. Wycięto też nazwisko przesłuchiwanego świadka. Ale został adres.

Maks wykręcił na starej tarczy numer do Nowaka, a później do Brodzkiego. Ani jeden, ani drugi nie odbierali.

Heraklit milczał, a jego niczym niezmacone oblicze odbijało się w tafli fenickiego lustra.

Leon Brodzki siedział z nim w pokoju przesłuchań Aresztu Śledczego w Toruniu i jak dotąd nie dowiedział się absolutnie niczego.

Było to ich pierwsze spotkanie od feralnej niedzieli, kiedy detektyw zrzucił Kosmę Góreckiego – byłego glinę – z wieży Ratusza Staromiejskiego. Mimo wydarzeń następnego dnia Leon nie odwiedził mordercy powtórnie. Sprawę trzymała w garści prokuratura, nie miał do aresztu wstępu. Wszystko zmieniło się po nocnej wizycie u komendanta Halickiego.

„Halicki miał w ręku mocne dowody i musiał pozwolić mi działać. Ale dowód ten nie mógł ujrzeć światła dziennego. Ponieważ, jak zostało powiedziane, groźba jest silniejsza od wykonania. Chodzi o ruch do przodu. Kiedy Żółtko wciąż oficjalnie nie żyje, policja trzyma Daniela w szachu. Co o sprawie wie Kosma...?”

Kosma siedział w kajdankach przeciągniętych pod metalowym uchwytem stołu. Trzy ściany pokrywały te same grafitowe kafle co w czasie poniedziałkowej rozmowy z Martą Gradowską. Czwarta ściana była lustrem, za którym siedzieli Jacek Nowak i wspomniana psycholog policyjna.

– Podobno lubiłeś patrzeć na swojego brata, gdy się

masturbował – rzekł chłodno Brodzki. – Tak między nami mężczyznami, powiedz, jarało cię to? Lubisz chłopców?

Heraklit zmienił wyraz twarzy. Oblizał usta i poruszył nozdrzami.

– Denerwuje się – powiedziała cicho Marta. Schowana za zwierciadłem bacznie przyglądała się zachowaniu więźnia.

– Skąd wiesz? – spytał Nowak.

– Mowa ciała. Ciekawe, co jeszcze Brodzki ma w rękawie.

– Może jakiegoś konkretnego asa – zastanawiał się sierżant.

– A może dzokera, którym grasz w ciemno, kiedy blefujesz – Marta znów coś zanotowała i spojrzała na Leona. – Zastanawia się, jak go podejść. Ale myślę, że już wie. Inaczej nie wchodziłby na ten ring. Wie, jakie ma karty. Wie, które są znaczone. Wie, jakie wygrywają.

– No to czemu nie gra? – wypalił Nowak.

– Ciii! – zrugła go Marta i wskazała palcem na szybę i to, jak jest cienka. Podeszła do Jacka bliżej. – Gra toczy się wtedy, kiedy nic nie widać. Kiedy gracze patrzą sobie w oczy. Matematycznie rzecz biorąc, taka gra to ruletka. Oczywiście jest więc, że wszystko rozgrywa się na płaszczyźnie psychiki. Jeśli się zagotujesz, po tobie. Cała rzecz rozbija się o napięcie, spojrzenie, blef i pewność. W szachach, w kartach, w podrywie. Na przesłuchaniu.

Nowak pokiwał głową z uznaniem. Musiał przyznać, że przez ostatnie dni przechodził przyspieszony kurs psychologii. Podobało się mu to, co słyszał, i to, że coraz więcej zaczynał rozumieć. Miał

nawet dość głupie wrażenie, jakby rosła mu głowa, a kurczyły się mięśnie. Szybko tę myśl jednak porzucił, wydawało mu się to mało prawdopodobne.

Tymczasem na sali milczał Heraklit i milczał także Leon.

„Wiem, że czeka, aż będę pytał o córkę, groził mu, ewentualnie proponował układ. To byłoby najoczywistsze. Po to się kogoś porywa, żeby ktoś go szukał i żeby taki zrozpaczony tatuś jak ja działał pod wpływem emocji. Rozgryzał entymemat... Pojawia się negocjator, porywacz podaje sumę, potem miejsce. Dochodzi do wymiany. Czasem do schwytania. Tu mam jednak do czynienia nie z jednym, a dwoma zawodnikami. I dwiema, jak sędzę, ofiarami. Boże, mam nadzieję, że mam rację... A więc grając na ich zasadach, mam tylko czterdzieści pięć procent szans. A biorąc pod uwagę, że jest ich dwóch, moje szanse zmniejszają się jeszcze o połowę. Bo im chodzi o zemstę, nauczkę. Nie o pieniądze. Żeby im chodziło, kurwa, o pieniądze... Więc muszę wszystko postawić na jedną kartę. Na kartę, która jest dzokerem. Muszę zagrać mu na emocjach, jak Wielki Szu”.

– Kosma, mam nadzieję, że nie chowasz urazy za ten skok z wieży. W Toruniu normalnie nie ma takich atrakcji turystycznych, a tu proszę. – Brodzki wyjął papierosa i zapalił. – Nie proponuję ci, bo mam mało.

Kącik ust Kosmy drgnął. Ten mikrouśmiech nie uszedł uwadze Marty.

– Muszę przyznać, że ciekawe z was chłopaki. Nie, nie mam

zamiaru łechtać twojego ego ani deptać cię jak robaka. Pytam z czystej ciekawości – ciągnął Leon. –

Jesteśmy na tej samej szachownicy. Ty jesteś czarnym charakterem, a ja... Cóż. Moja biel też się trochę ubrudziła, głównie krwią. Zastanawiam się po prostu, jak to jest dorastać, wiedząc, że coś jest nie tak z twoim siurkiem. Że nie staje ci jak innym chłopcom. Zupełnie rozumiem, że brat cię dotykał, co rodzina to rodzina.

Szyja Kosmy się naprężyła.

– O to mu chodzi. Odwołuje się do jego najgłębszych lęków – mówiła z uznaniem Marta. – Skubaniec, rozgryź go.

– Atawizmy – przytaknął Nowak.

Marta spojrzała na niego pytająco, więc dodał, pokazując na telefon komórkowy:

– Wikipedia.

Kosma napiął kark. Tętnica szyjna zaczęła intensywnie pracować.

– A najlepsze jest to, że chociaż ty miałeś słabość, swój defekt, przez który nie mogłeś pociupciać, to tak manipulowałeś bratem, że robił to za ciebie, zgadłem? Musiałeś czuć się zajebiście, wiedząc, że tak kogoś kontrolujesz, kogoś podobnego z wyglądu do ciebie. Więc kiedy on coś robił, na twoje polecenie, szefie, to tak, jakbyś ty to robił. Cudowne uczucie, prawda?

Heraklit patrzył w dal i się uśmiechał.

– Widzę uśmiech, Kosma.

Ten spojrział w lustro i natychmiast spoważniał.

– A może to Daniel rządził tobą?

– Bzdura – powiedział cicho Kosma.

– Co powiedziałaś?

– Że bzdura. Ja rządziłem. Ale jesteśmy braćmi. Jesteśmy tacy sami. Nierozłączni...

– Ale, ale, no do kogo ta mowa. – Brodzki zaciągnął się camelem i długo nie wypuszczał dymu. Wstał, odwrócił się, przeszedł przed lustrem i spojrział w nie wymownie. Wiedział, że Marta i Jacek wszystkim się przypatrują. – Nie tacy równi chyba jednak. Nie drażni cię, że Daniel przypisuje teraz wszystko sobie?

Heraklit pokiwał głową i uśmiechnął się jak ktoś, kto nie przyjmuje najoczywistszych prawd.

– No pomyśl. Ty siedzisz tu, a on sobie kica na zewnątrz, kręci filmy, wszyscy o nim mówią. A ty? Pamiętasz, co ci mówiłem? Zgnijesz na śmietniku historii. Takich jak ty od razu się utylizuje.

– Przestań pierdolić, Brodzki. Gadasz tak, bo żal ci tej pizdy, Sary, która utonęła.

Brodzki zerwał się na równe nogi, podszedł do Kosmy i chwycił go za włosy.

– Zamorduję cię. Przysięgam, że cię zamorduję!

Nowak zerwał się również, gotów wkroczyć na salę, ale Marta powstrzymała go i pokazała dwoma palcami, żeby patrzył uważnie.

– Ja już nie daję rady... Coś ty mi zrobił? – melodramatyzował Leon. – Ja dłużej tak nie wytrzymam!

– Wytrzymasz dłużej, niż ci się wydaje. Ja też wytrzymałem, niemal pół życia, nim nadszedł moment zemsty.

– Przykro mi, że ktoś cię w niej wyręcza!

– Nie! Daniel zrobił to za moją zgodą, za moją zgodą zamordował i jego, i ją, ha ha!

Leon udał, że mu uwierzył, i wpadł w furję.

– Nie rozumiem ani jednego słowa, które do mnie mówisz, gnoju! Zamordowaliście mi córkę i partnera. Straże! Wyprowadzić tego gnoja!

Po chwili na sali pojawił się Jacek Nowak i strażnik więzienny.

– Zamorduję cię! – warknął Brodzki.

Kosma, stojąc w drzwiach, odwrócił się i cicho wypowiedział tylko jedno słowo w stronę policjanta:

– Salomea.

Leona kompletnie wybiło to z rytmu. Tak miała na imię jego matka.

Do sali weszła Marta.

– O co chodziło z tą Salomeą?

– Nic... Nieważne, nie wiem. – Brodzki próbował ochłonać.

– Udało ci się go wyprowadzić z równowagi, ale nie powiedział za wiele. Zabieg z zazdrością o sukcesy brata chyba nie do końca się powiódł.

– Przeciwnie.

Marta zdziwiła się.

– Oświeć mnie, Leon.

– Wydaje mi się, że oni naprawdę mieli zamordować Tomka i Sarę. I Kosma naprawdę w to wierzy – mówił, łapiąc się za ucho Brodzki. – Wydaje mi się, że to Daniel zmienił zasady gry. Pod nieobecność Kosmy wyszedł z jego cienia i zaczął swoje przedstawienie.

– Czyli już nie chodzi o zemstę za winy Brodzkich?

– Chodzi. Ale dochodzi element zmienny.

– Jaki mianowicie?

– O reakcje emocjonalne. Mam je nie tylko ja. Ma je także porywacz.

Marta otworzyła szeroko oczy. Musiała się z Brodzkim zgodzić.

Wyszli na korytarz aresztu śledczego. Żółta farba na ścianach sprawiała nieprzyjemne wrażenie. Jak wszystko w budynku, które z założenia służy do więzienia w środku ludzi.

Gdy Leon odebrał w dyżurce oddany w depozyt telefon komórkowy – jako że sprzętów elektronicznych do środka wносить nie wolno – i włączył go, na wyświetlaczu pojawiła się lista nieodebranych połączeń. Siedemnaście było od Dagmary.

Oddzwonił do niej natychmiast.

– Wiem, gdzie jest porywacz, Leon – powiedziała zdecydowanym tonem.

Maks minął plac Pokoju Tysiąclecia i skręcił w ścieżkę parkową przy ulicy Waryńskiego, gdy zauważył ciemne auto sunące wolno ulicą. Nie był pewien, czy myśl, jaka przeszła jego umysł, była jedynie literacką fikcją podstarzałego człowieka, czy też jak najbardziej prawdziwym przebłyskiem rzeczywistości.

Przyspieszył kroku, od domu dzieliło go jeszcze dobre trzysta metrów. Szum kół robił się coraz głośniejszy – czarny pojazd się zbliżał. Archiwista niespodziewanie przystanął, odwrócił się i podszedł do skraju chodnika. Zmierzył wzrokiem ciemną szybę pojazdu, za którą najpewniej musiał siedzieć kierowca, po czym wskazał palcem w sam środek.

– Po czarnych wołgach człowiek przynajmniej wiedział, że będzie źle! – krzyknął. – Przyjechaliście po mnie? Czekalem na was!

Pojazd niespodziewanie przyspieszył z piskiem opon i oddalił się, odbijając w najbliższą alejkę.

– Towarzysze czuwają – mruknął pod nosem archiwista.

Gdy zniknął za drzwiami kamienicy, wiatr poderwał do tańca liście jak pozółkłe kartki.

12

– Wiem, gdzie jest porywacz, Leon. – Brodzki znów usłyszał głos Dagmary i dźwięk ten był jak balsam. Siedział przy swoim biurku na komendzie, wypełniając protokół przesłuchania.

– Co się dzieje? Jesteś bezpieczna? Właśnie przesłuchiwałem...

– Porywacz jest w Darłowie.

Leon zerwał się na równe nogi.

– Jak to?! Skąd wiesz? – Jego głos poniósł się po całej kondygnacji budynku. Usiadł na powrót, zwarł się w sobie i ściszył głos: – Słyszałaś, co wczoraj ci mówiłem? To nie jest Sara...

– Obejrzałam jeszcze raz to nagranie. Z internetu... – Dagmara zawiesiła głos, mówienie przychodziło jej z trudem. – Mój rozum wariuje, ale serce podpowiada, że to nie nasza córka. Nie wiem. Po prostu tak czuję.

– Czemu w Darłowie? – spytał Brodzki, rozglądając się po komendzie.

– Te barierki... To dość nowy most. Nie widać wiele, bo zrobiono to nocą, ale rozmawiałam z tatą i nie miał wątpliwości. Ignacy twierdzi, że to kładka kutrowska w Darłowie.

– Kładka?

– Tak się nazywała kiedyś. Teraz to po prostu most przez Wieprzę, łączący Darłówko Zachodnie i Wschodnie. Leon...

– Słucham cię.

– On tu jest. Tu, w Darłowie. – Dagmara oddychała ciężko.

– Natychmiast skontaktuj się z miejscową policją, ale niech nie wykonują żadnych ruchów, słyszysz? Żadnych gwałtownych ruchów, żadnych poszukiwań. Małomiasteczkowi gliniarze mogą spieprzyć najprostszą sprawę.

– Leon, jest tu z nami szef komisariatu Roland Bryk. Dam ci go teraz do telefonu. I Leon, bądź dla niego miły. – W słuchawce zapadła cisza. Leon nasłuchiwał. Dagmara szeptała coś Brykowi, ale Brodzki nie rozumiał szmeru.

– Halo, Dagmara?!

– Tu Roland Bryk, komenda Darłowo – powiedział niski, aktorski głos.

– Leon Brodzki, Toruń Śródmieście. Jaka sytuacja?

– Przekazałem informację woprowcom ze stacji Darłowo-Sławno. Rozumiem, że sprawa jest delikatna i nie chcecie wywoływać wilka z lasu. Robimy lekki rekonesans.

– Dokładnie. – Leon był pod wrażeniem rzeczowego podejścia darłowskiego gliniarza. – Nie chcemy wystraszyć ptaszka, a jednocześnie musimy go dopaść.

– Spokojnie, znajdziemy ptaśka. Kondolencje z powodu śmierci ojca. Czekamy na pana. Pozdrawiam. – Mężczyzna się rozłączył.

Brodzki główkował chwilę, bębniąc palcami w blat. Przelatywały mu przez głowę różne myśli jednocześnie.

„Czy to możliwe, że trzyma ich w Darłowie? A może tylko ją? Co to za gliniarz, można mu ufać? I co to za podśmiechujki? Czy to nie typ, o którym mówiła Sara, że Dagmara się z kimś umawia? Czy

ma aż taką słabość do policjantów?”

Brodzki zgarnął ze stołu papierosy, pistolet. W kieszeni kurtki wymacał zdjęcie rodzinne, zabrane z mieszkania Sary. Popatrzył chwilę na młodą twarz córki. Rzucił okiem przez salę – za przysłoniętą żaluzjami szybą Halicki gromił archiwistę Maksa. Ten spojrzał porozumiewawczo na Leona i pokazał mu charakterystyczny gest ręką oznaczający figę z makiem. Brodzki uśmiechnął się i ruszył do kuchni.

– Marto – rzekł do zaparzającej sobie kawę pani psycholog. – Oto klucze do mojego mieszkania.

Zdanie to wybiło ją z rytmu. Cała maska, konsekwentnie budowana od świtu, runęła.

– Ale przecież...

– Zajmiesz się moim psem? – spytał z rozbijającą szczerością. – Przy okazji rzuciłabyś okiem, czy ta szyba się jakoś trzyma. Zakleiliśmy ją w nocy taśmą, ale cholera wie...

– Jasne, a co się dzieje?

– Jadę do Dagmary...

Martę to zabolalo i zaraz pożałowała, że się zgodziła. Po ostatniej nocy, pełnej seksu i przemyśleń, nawet jeśli bez jakichkolwiek oczekiwań... „Znów jako ta druga” – pomyślała.

– Nie w tym sensie do Dagmary! – Brodzki wziął ją pod rękę i stanęli pod oknem. – Na nagraniu Heraklita jest most. To most w Darłowie. Dlatego muszę tam jechać!

Marta zrobiła wielkie oczy i przytknęła palec do ust. Zapomniała

o ukłuciu w serce. Sara była ważniejsza.

– O mój Boże, to pewne?

– Tak. Muszę tam jechać.

– Bierzesz kogoś stąd? Nowaka?

– Muszę zrobić to sam. Ostatni młody, który się kręcił ze mną po rewirze, zniknął. – Brodzki miał na myśli Żółtkę. Nie przyznał tego nikomu, ale czuł wyrzuty sumienia. Jak każdy glina, którego partner zostaje skrzywdzony. – Nie chcę robić szumu. Nie ufam też do końca komendantowi. Mam tylko ciebie, Maksa i Nowaka.

– Możesz na mnie liczyć, Leon.

– Dziękuję – rzekł i spojrzał na nią z wielkim szacunkiem. – Cieszę się, że cię znam. Jesteś wspaniałą kobietą. – I wyszedł.

Marta została przy kuchennym oknie na komendzie, z kluczami w jednej dłoni i kubkiem kawy w drugiej. Zorientowała się po chwili, że ręce się jej trzęsą.

Droga do Darłowa zajęła Leonowi trzy godziny – wybrał trasę przez Kościerzynę i Sławno. Pożyczony od Heńka fiat 125p mimo wyraźnych ubytków pruć, ile wlezie, i Leon zameldował się na miejscu późnym popołudniem.

W każdej mijanej po drodze wsi napotykał przy jezdni przyozdobione w oczy, nos i usta baloty słomy. Ustawiono je w sierpniu, przy okazji żniw.

Pierwsza sponad pól wyłoniła się wieża Zamku Książąt Pomorskich. Za nią – zabudowania miasta.

Wjechał ulicą Wojska Polskiego, odbił na rondzie w prawo, przeciął mostkiem Wieprzę, zostawiając po lewej stronie Wyspę Łososiową, nazywaną wciąż „tajwanem”, potem na rondzie w lewo, w Morską, zostawił po lewej widziany przy wjeździe zamek, po czym w kilka minut dotarł na komisariat policji przy ulicy Rzemieślniczej.

Na jezdni pod komendą namalowane były cztery koperty, radiowóz stał na jednej z nich.

– Z końcem wakacji odesłali większość młodych do Sławna. Dają nam posiłki na lato, a potem zabierają. – Roland Bryk, bo taka tabliczka widniała na drzwiach, zaczął mówić, zanim Leon postawił w pokoju obie stopy. Był średniego wzrostu. Miał łysinę i siwe włosy okalające środek czaszki. Rzymski nos i grube brwi dawały mu wygląd Juliusza Cezara. – Zresztą z tym Sławnem to w ogóle

mamy boje o wszystko.

Bryk próbował ułożyć na stoliku stertę ulotek informacyjnych, ale te zjeżdżały mu co chwila i kopczyk się rozsypywał.

– Leon Brodzki, podkomisarz z komendy Toruń Śródmieście. Wydział Kryminalny.

– Roland Bryk, policja z Darłowa.

Brodzki uścisnął mu rękę, ale zirytował się w myślach.

„Facet nie przedstawił ani stopnia, ani stanowiska. Jest tu sam i układa ulotki. To policja czy informacja turystyczna?”

– A pozostałe radiowozy... – próbował zagaić Leon.

– Pozostałe radiowozy pozostają w sferze naszych marzeń i wiecznie niedopiętego budżetu gminy. Mamy jeden.

– I jednego policjanta?

– We własnej osobie. – Bryk zaparł się pod boki, niczym gospodarz dumny ze swojego obrobionego ogródka, po czym wrócił do porządkowania papierów.

Leon rozglądał się po komendzie. Było w niej bardzo ciemno. Kilka ławek, biurko, parę dyplomów. Przypominała bardziej budynek poczty w Sejnach niż poważny komisariat.

– Porządek jest ważny. – Bryk wyrwał Leona z rozmyślań i wskazał na szyby. – Ale prywatność też.

Dopiero teraz Leon zauważył, że to nie ciemne rolety zasłaniały widok, a brud.

– Jeśli umyję, wszyscy będą mi zaglądać – rzekł Bryk z rozbijającą szczerością. – Tu jest tak zwarta zabudowa, że

wszyscy mieszkają okno w okno. Niskie, poniemieckie budynki, przyklejone jeden do drugiego na siateczce ulic. Tylko że w tych poniemieckich budynkach mieszkają Polacy. A ci lubią zaglądać w okna.

– Czy miasteczko było zburzone podczas wojny? Jadąc, widziałem z daleka wieżę kościoła i chyba jakiś zamek...

– Nie. Wszystko za sprawą pierwszego burmistrza Darłowa, Stanisława Dulewicza. Przekonał Niemców, żeby nie palili miasta, kiedy się wycofywali. Jego pomnik stoi na deptaku. Gdy wyjdiesz stąd i pójdiesz w prawo, to miniesz bazylikę z sarkofagiem króla Eryka, a potem...

Brodzki początkowo go nie słuchał i patrzył tylko na usta Bryka, mielące słowa jak wał korbowy. Ale w końcu miarka się przebrała.

– Kolego! Nie planuję pisać przewodnika turystycznego. Prędzej wypiszę akt zgonu.

– Dobrze już, nie ciśnieniu tak, panie z Torunia – rzucił z humorem.

– Jakie tu u was nastroje społeczne? Opowiedz mi coś o Darłowie, nie byłem tu od lat...

– Darłowo to powiat Sławno, na trasie Gdańsk-Szczecin. Sławno jest powiatowe, położone centralnie na naszym obszarze, no... tak wyszło. – Po sposobie, w jaki Bryk mówił, widać było, że między miastami istnieją jakieś zaszłości. – Sławno było zburzone podczas wojny, Darłowo – nie. Zawsze miało ambicje, było ładniejsze, ciekawsze, a i czas też swoje zrobił. Darłowo było jakby nie nasze,

poniemieckie. Pamiętam, za dzieciaka, jak jechaliśmy z Darłowa gdzieś do Warszawy, to się mówiło, że jedzie się do Polski. A na mnie mówili wtedy „chłopak z Zachodu”. Do Darłowa często przyjeżdżali ludzie, którzy mieli tajemnice. Jacyś bigamiści albo kapo. Jest taka historia...

– Kapo?

– A co, masz jakieś tajemnice, Brodzki?

– Nawet nie chcesz wiedzieć. – Uśmiechnął się tajemniczo.

– Było grubo po wojnie, kiedy moja narzeczona przyjechała z dziadkami do Darłowa. Szli ulicą i spotkali faceta, którego staruszkowie pamiętali jako kapo z obozu. A tu facet był zasłużonym w sporcie działaczem, dożył prawie setki. Dziadkowie poszli na milicję, ale gdy się dowiedzieli, że gość ma dziewięcioro dzieci... Rozumiesz, ojciec, mąż... Opuścili mu. Bo facet cieszył się tu uznaniem. Miał tu inne życie.

– Nieźle.

– Tutaj ludzie nie chcieli mówić o swoich historiach...

– Od wjazdu do miasta czułem jakiś taki dziwny zapach. Jakby ryby, ale...

– Ryby? – zaśmiał się Bryk. – To mączka rybna. A ryby? No cóż. Łowi się dorsza, śledzia, flądrę. Kiedyś ryba była tańsza od mięsa, kolejki. A dziś? Sklepu rybnego w Darłowie nie ma. Można kupić w budkach, w sezonie. Ktoś sprzedaje u siebie w domu. Jeśli pójdziesz w stronę Terminala Pasażerskiego, to kupisz.

– Miasto rybackie bez sklepu z rybami. Dobrze. Już widzę, jak w

Toruniu zamykają sklepy z piernikami. Przez pensjonaty i hotele dla turystów przetoczyłaby się fala samobójstw.

Brodzki uśmiechnął się z przymusu. Ruszył przez komendę, oglądając przypięte do ścian artykuły prasowe. W większości dotyczyły utonięć.

– To standard u nas – mówił Bryk, nie odrywając się od papierów. – Raz chłopak wpadł do kanału, to pół roku potem morze go oddało, ale bez ręki. Jakieś ryby zjadły ponoć. Z mostka kilku chłopaków się rzuciło.

– Z jakiego mostka?

– Z tej dawnej kładki kutrowskiej, o której mówiła ci Dagmara, kiedy u niej byłem. Chociaż teraz mówimy na to po prostu: nowy most.

Leona zmroziło.

– Jak to „u niej”?

– W mieszkaniu. Zadzwoiła, to przyjechałem...

Brodzki zmierzył go wzrokiem. Bryk kontynuował:

– Nowy most otworzyli rok temu, kasa z Unii, bo na zachodzie Polski głównie platformersi, to wiadomo, do Brukseli bliżej. Mówiliśmy dawniej na to miejsce „kładka kutrowska”. Firma „Kuter” miała w pobliżu swoje elewatory zbożowe.

– Jaka firma? – Był to ten moment, kiedy Brodzki chciał zadać pytanie o dwie rzeczy jednocześnie. Zdekoncentrował się jednak, spoglądając na zdjęcia na tablicy informacyjnej. I padło na pytanie o „Kuter”.

– Państwowe Przedsiębiorstwo Połowu „Kuter”. Tysiąc dwieście par rąk tam robiło.

– Pewnie w każdej rodzinie ktoś stamtąd był?

– Otóż to. A rybakom w rybackim mieście... – Bryk spojrzał wymownie. – ...wiodło się! Było elegancko: stocznia remontowa, fabryka sieci, bloki kutrowskie, jak je nazywaliśmy, dla pracowników. I pensjonaty, co dziś stoją, to były kiedyś biurowce. Była praca dla ludzi, ale i było pilnowane, ogrodzone, zamknięte. A dziś odwrotnie. Fabryki poupadały, ale za to wszystko otwarte i sobie możesz, bratku, chodzić po nabrzeżach i wpadać do kanału, kiedy cię najdzie ochota...

– Czyżbym wyczuwał nutkę sentymentu za poprzednim ustrojem? To niebezpieczne.

– Sentyment za komuną to zawsze sentyment za wódką, którą się piło – zauważył przytomnie Roland Bryk.

Podszedł do wiszącej na ścianie mapy, sąsiadującej z artykułem o zaginionym mężczyźnie. Brodzki spojrzał na zdjęcie kilka razy i zamrugał oczami. Tymczasem Bryk ciągnął opowieść dalej, przytykając palec do mapy:

– Ten basen, tu, był kiedyś portem rybackim, teraz jest tutaj marina, po drugiej stronie Terminal Pasażerski. Widzisz?

Brodzki skinął.

– Wcześniej były tu odprawy na Bornholm i wypływały kutry. Wojska Ochrony Pogranicza przetrzepywały wszystko. Czasem zatrzymywali statki przy bosmanacie, w punkcie kontroli, przy

strażnicy. Niektórych zawracali, na przykład jakiegoś pijanego rybaka...

– Czekaj, a co z tymi elewatorami? – Brodzkiemu przypomniało się drugie pytanie.

– Niedługo będą rozebrane. Obok nich był port handlowy, zatoczka, różne budowle. Były budowane w czasie wojny przez jeńców, więc to jednak historia jakaś. Ale cóż, dziś niby zagrażają...

– U nas odwrotnie, zabytki ważniejsze od czegokolwiek. Hasło reklamowe „gotyk na dotyk” ludzie przerabiają na „gotyk na potyk”.

– Macie farta z tym UNESCO. U nas nie da się tych elewatorów uratować. Na jednym jest nadajnik jakiejś sieci telekomunikacyjnej i różne talerze satelitarne, na drugim mural przedstawiający rybaka. Namalował go chłopak od nas. Dostał na to kasę z budżetu obywatelskiego.

– A gdzie stoją kutry, Bryk?

– W zachodnim Darłówku albo tu, na kanale, Brodzki. – Darłowski gliniarz podkreślił nazwisko rozmówcy, dając mu jakby pstryczka w nos. – Nie ma ich wiele i nie są za duże. To było z pięć, może sześć lat temu, kiedy kutry były większe. Ale rybacy dostawali od Unii olbrzymie odszkodowanie za złomowanie swoich kutrów! A złomować mieli, bo niby łowiska dorsza, że ryba, wiesz: normy, to i nie można łowić aż tyle. Pobudowali się, poszli na emeryturę.

– Co z ciałem? Jeśli spadnie z mostu, to gdzie wypłynie?

– Dobre pytanie... – Bryk przejechał palcem po Wieprzy na mapie. – Niezbadane są prądy wodne. Mieliśmy ostatnio kilku umrzyków, tajemnicze samobójstwa. List, butelka wódki i mokry „hop!” do wody...

Brodzki go nie słuchał. Znów spojrzał na tablicę, na zdjęcie poszukiwanego mężczyzny.

– Ja znam tego chłopaka. – Brodzki wskazał na jeden z wycinków przyklejonych do ściany. Znalezisko było dla niego zaskakujące. – Dwudziestojednoletni Adrian Tomasik, kelner z popularnego baru, zaginął cztery dni temu...

– To niemożliwe, żebyś go widział. Po pierwsze, to chłopak stąd. Po drugie, sprawa jest podobna do kilku innych i szczerze mówiąc, obstawiam, że on nie żyje. Więc jak?

– Widzę zmarłych ludzi – rzucił prześmiewczo Brodzki. Po czym zaraz dodał już całkiem serio. – Dzieciak leży w chłodni w Toruniu.

Bryk podskoczył z krzesła. Zamrugał, jak ktoś wybudzony z nierealnego snu.

– Zaraz, chwila. Przewiń, kolego, bo chyba mi kanał przeskoczył i ominąłem... Czy ty właśnie rozwiązałeś zagadkę zaginięcia, którym żyje całe Darłowo od soboty?

Na słowa Bryka Brodzki wyciągnął telefon i pokazał mu zrobione w kostnicy zdjęcie chłopaka, któremu wczorajszej nocy zdejmował maskę Tomka Żółtki.

– O w mordę! Dobry jesteś, kolego piernik.

– Kiedy mnie te wasze tutejsze ryby zjedzą, to je spytam, czy

dobry. Możemy tam pojechać?

Ale Bryk nie odpowiedział, bo przestrzeń komendy wypełniła dziwna melodia dzwonka telefonu. Narastała stopniowo, nadając sytuacji komicznej wymowy. Nic dziwnego – dwóch dopiero co poznanych policjantów w ciemnym pokoju o brudnych szybach słuchało nagle *Walkirii*. Człowiek o aparycji Juliusza Cezara w połączeniu z muzyką Ryszarda Wagnera był mieszanką osobliwą.

Odebrał telefon.

– Gdzie? Rozumiem. – Rozłączył się. Wstał, obszedł biurko i stanął koło wyraźnie wyższego torunianina. –

Jeszcze chwila i naprawdę uwierzę, że masz jakieś zdolności paranormalne.

– Co jest grane? – Brodzki spojrzał pytająco.

– Wezwanie do trupa. Wypłynął w kanale.

– Co mamy? – Bryk założył gumowe rękawiczki i skierował się ku nabrzeżu.

Brodzki ruszył krok za nim i rozejrzał się po okolicy. Próbował nanieść na mapę w głowie budynki i infrastrukturę, które widział. Terminal, marinę, przystań.

Znajdowali się w kanale portowym, leżącym dokładnie pomiędzy Darłówkiem Zachodnim i Wschodnim. Cumowały tu kutry, łodzie do wędkarstwa morskiego, a także jachty.

– Woprowcy wzięli suchy skafander i skoczyli na bombę. Mnie przysłali z posiłkami ze Sławna. Ktoś przysłał wiadomość do Urzędu Miasta, MMS-a, że coś pływa po kanale. Dziewczyna. Wygląda jak córka tego gliny z Torunia... – zauważył chudy policjant z blond grzywką.

– Tego gliny? – Roland wskazał na Leona.

Wszyscy zrobili szybką siatkę spojrzeń. Chudy zorientował się w personaliach jako ostatni.

– O kurwa, przepraszam, ja...

– Mów do ręki – uciszył go Brodzki, zbliżając się do wyciągniętego na brzeg ciała.

Zwłoki zaplątane były w linki sieci rybackich. Na czerwonym płaszczu pełno było szlamu i skorupiaków. Leon dał znać woprowcom, by odwrócili ciało na plecy.

– Proszę mnie natychmiast przepuścić! – Przy taśmie stała

Dagmara, chudy policjant ją powstrzymywał.

Leon spojrział w jej kierunku.

Wiedział, że ważą się w tym momencie losy wszystkiego. Jeśli będzie to Sara, historia się zakończy, podobnie jak życie jego i Dagmary. Jeśli to nie będzie Sara, historia będzie trwać dalej.

Rozejrzał się po okolicy.

– Czy patrzysz teraz na mnie? – spytał pod nosem, rozglądając się po nabrzeżu. Wokół kanału zgromadzonych było około dwudziestu osób. Kolejne zapełniały pokłady łodzi. Inni wypatrywali z budynków portowych.

Brodzki nabrał powietrza, zamknął oczy i odwrócił się w stronę ciała.

To, co zobaczył po otwarciu oczu, przeraziło go. Odskoczył jak oparzony.

– Nie!!! – krzyknął, podrywając dziesiątki mew do lotu. – Nie!!! – Upadł na kolana i przytulił ciało do siebie, całując je w mokre, śmierdzące mułem włosy.

Dagmara odepchnęła policjanta i pobięła w kierunku detektywa. Dopadła do niego i dziewczyny. Szlochali tak długo, że policja musiała kilkakrotnie odciągać ich od zwłok dziewczyny w czerwonym płaszczu.

– Szanowni państwo, potwierdzamy, że są to zwłoki poszukiwanej studentki z Torunia, Sary Brodzkiej, lat dwadzieścia – powiedział w lakonicznym komunikacie Roland Bryk. Lokalne media wkrótce opublikowały tę informację na stronach swoich

serwisów i na oficjalnej stronie miasta.

Dagmara długo krzyczała, nie chciała się rozstawać z córką. Leon potrząsnął nią w końcu i powoli się uspokoiła.

Ciało zabrała karetka. Do radiowozu Bryka wsiedli Dagmara i Leon, po czym również odjechali z miejsca zdarzenia.

15

– Dokąd wozicie zwłoki? – spytał Bryka Leon.

– Szpital powiatowy Sławno, to najbliższe prosektorium.

– No tak, ukochane Sławno – westchnął Brodzki. – Szkoda czasu, zatrzymajmy się gdzieś po drodze.

– Nie rozumiem...

– Możesz to dla nas zrobić? – poprosiła Dagmara.

Bryk niechętnie, ale wybrał częstotliwość służb i skontaktował się z jadącą przed nimi karetką. Leona zastanowiła zażyłość, którą dało się wyczuć w sposobie, w jaki jego była żona zwróciła się do Bryka.

Chwilę później oba auta zjechały z drogi wojewódzkiej numer dwieście pięć na boczną ścieżkę z płyt, odbijającą kilkaset metrów za tabliczką z przekreślonym napisem „Darłowo”.

– Czy ktoś mi wyjaśni, o co tu chodzi? – spytał misiowaty ratownik medyczny.

– Otwórz tył – rozkazał Bryk.

– Kurwa, co jest? Chcecie ją tu zakopać czy co? – zżymał się ratownik. Otworzył tylne drzwi erki i wyjechał z noszami, na których był czarny worek.

– Idź sobie zapal albo łyknij tramal – zaproponował Brodzki.

Ratownik splunął i odszedł z kierowcą karetki na kilkanaście metrów. Dagmara została w radiowozie.

– Mów, Brodzki. – Bryk czekał w napięciu.

– Czy ten skurwysyn odmówiłby sobie przyjemności popatrzenia na nas, tam? Zabójca chce, żeby go złapano, a zabójstwo ma elementy seksualnej dewiacji i nadzabijania. Momentem szczytowania takiego świra jest odnalezienie przez nas zwłok. Dlatego mówi się, że morderca wraca na miejsce zbrodni: bo chce zobaczyć, czy zagrano w grę według jego zasad, czy odkryto ślady, sztuczki, czy wypełniono entymemat.

– Rozumiem – Bryk skinął. Brodzki spojrzał na niego niepewnie.

– Przesłanka schematu argumentacyjnego, która została opuszczona...

Brodzki wybałuszył oczy, ale nic nie powiedział. Wiedza darłowskiego gliniarza go irytowała.

– A więc założmy, że patrzysz, skurwysynu... Mówię do Daniela – zauważył Brodzki i zaczął powoli otwierać worek z ciałem. Ze środka zaczął wydobywać się nieprzyjemny fetor trupa. – Spuszczasz się w majtki na widok cierpiącego ojca i matki, płaczących nad zgniłym ciałem dziewczyny. Jeśli odkryję, że nie jest to moja córka – czy mam ci o tym powiedzieć? Na pewno przewidziałeś to w swojej narracji, w swoim scenariuszu...

Brodzki złapał za twarz dziewczyny.

– Panie Bryk. Jak to możliwe, że twarz topielca nie jest sina?

Detektyw nie czekał na odpowiedź. Zanurzył palce w kołnierzu czerwonego kaptura, siłował się z czymś chwilę, po czym zaczął zdierać z denatki skórę.

– Co pan robi?! – Bryk złapał go za rękę. – To beczeszczenie

zwłok! I to własnej córki.

– Przeciwnie. To lekcja anatomii, jak u doktora Tulpa. Nie jestem może biegły w tanatopraksji, ale umiem odróżnić trupa od fantoma. Patrz i ucz się.

Nie zdarzyło się jeszcze w Darłowie i okolicach, by na otwartej przestrzeni zdzierano twarz człowiekowi... Musiał być ten pierwszy raz.

Ciągliwe, imitujące skórę tworzywo zaczęło odchodzić najpierw od szyi, a potem od twarzy. Mimo dużej pieczołowitości, niektóre fragmenty odchodziły razem z tkanką.

– Detektyw zdejmuj maskę. A kuku! – Brodzki dodawał sobie żartami rezonu.

„A co, jeśli nie zdejmę? Jeśli uwierzę w to, co widzę? Czy nie wywołam wtedy wilka z lasu? Czy zaburzenie logiki mordercy nie wprawi go w reakcję emocjonalną, który zburzy tok gry? Jestem gotów podjąć to wyzwanie”.

Po kilku minutach siłowania się z silikonem oczom policjantów ukazała się zmasakrowana, napuchnięta i sina twarz młodej kobiety.

– Wiesz, kto to jest, Leon? – spytał Bryk.

– Tak.

Roland czekał w napięciu na odpowiedź.

– Czerwony kapturek. Z Włocławka.

Ratownicy nie byli zniesmaczeni tym, co zobaczyli, bo widzieli dotąd różne rzeczy. Ich zdziwienie wywołała natomiast zupełna

obojętność policjanta z Torunia, który beznamiętnie, niczym zaprawiony preparator zwłok, oddzielał maskę od tkanki.

– Pan już to robił wcześniej? – spytał misiwaty, wskakując do erki.

– Bywało się w kostnicy, ale tylko na gościnnych występach. Panowie, z tym NN-em morda na kłódkę. Sara Brodzka, jakby co.

– Się wie. Nie takie pawulony się wiozło.

Karetka odjechała w stronę Sławna, radiowóz zawrócił do Darłowa.

– Od początku wiedzieliście? – spytał Roland Bryk. Nie wiedział, czy bardziej jest zszokowany, czy podekscytowany tym, co przed chwilą zobaczył.

– Wiedziałałam, że to nie ona. Poznałabym swoją córkę.

Leon spojrzał na Dagmarę w odbiciu bocznego lusterka. Ich pełne bólu spojrzenia spotkały się na tafli zwierciadła i zastygły w grymasie.

Według pewnych naukowców z Kanady długie przebywanie w ciemności sprawia, iż pewna część systemu wzrokowego wraca do wcześniejszej fazy rozwoju, fazy większej elastyczności. Pozwala to niejako uczyć się widzenia na nowo. Eksperyment taki wykonano na cierpiących na amblyopię kotach. Zdaniem badaczy podobny efekt będzie można uzyskać u ludzi.

Nie wiedziała jednak o tym inna dwójka ludzi w innym miejscu, również skrywająca się w objęciach mroku. Być może gdyby świadomie zgodzili się na udział w eksperymencie, byłiby w innych nastrojach. Świadomość określonych ram czasowych czy przestrzennych zawsze pozwala człowiekowi odnaleźć się w sytuacji i znieść nawet najcięższe warunki. Dużo gorsze jest czekanie i niewiadoma – ile, gdzie, jak, do kiedy i za jaką cenę.

Trudno było dostrzec w mroku ich sylwetki. Na głowy naciągnięte mieli worki. Oddychali z trudem – warstwa materiału poruszała się wraz z ich oddechami. W pomieszczeniu panowała duchota – powietrze stało tu od dłuższego czasu. Unosiło się w nim mnóstwo pyłu. Nozdrza dwójki ludzi dawno się nim zapchały. Teraz były wysuszone do krwi, przez co trudno było im rozpoznać zapach w pomieszczeniu.

Siedzieli oparci o siebie. Przebywanie w jednej pozycji przez dłuższy czas prowadzi do odleżyn i drętwienia kończyn. Tak też stało się w ich przypadku. Ból nadgarstków unieruchomionych

opaskami zaciskowymi, ból kostek obwiązanych taśmą izolacyjną, zakneblowane starym, grubym sznurem usta i zasznutowane na głowie worki sprawiały, że ciała te niewiele różniły się od ciał niewolników przewożonych niegdyś z miejsca na miejsca niczym bydło.

Pomieszczenie wydawało dziwny, dudniący dźwięk, podłoga drgała. Całość sprawiała upiorne i klaustrofobiczne wrażenie.

Kanadyjscy naukowcy nie przeprowadzali badań na ludziach. Gdyby to zrobili, wiedzieliby, że podobno kiedy człowiek długo wpatruje się w ciemność, to ciemność zaczyna patrzeć na niego. Przerazenie, jakie człowieka wówczas ogarnia, może doprowadzić go do zawału serca.

Czy dwójka ludzi z workami na głowie wciąż oddychała...?

Z uchylonego okna Komendy Policji w Darłowie widać było wieżę kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej.

– Dzięki. – Brodzki skinął, kiedy Bryk przyniósł mu popielniczkę. – Nie macie tu czujki?

– Tak... – zaśmiał się Bryk. – Czujki mamy w oknach dookoła komendy. Gdyby coś nam się działo, gapie z domów wezwą posiłki ze Sławna.

– Co wy z tym Sławnem?

– A wy nie macie tam, pierniki, lokalnych antagonizmów?

– No jo... – zaśmiał się Brodzki. – Bydgoszcz. Miasto „tyfusów”.

– No dobra. Jesteście bardziej popaprani. Gdybyś mnie potrzebował, będę... – Bryk omiótł wzrokiem przestrzeń, która nie była podzielona na żadne biura. –

Będę tu. – Wskazał na krzesło i usiadł.

Leon odpalił camela i wybrał numer na telefonie.

– Siostra Klementyna? – spytał, a Roland Bryk spojrzał na niego z zaciekawieniem. – Halo?

– Tak, panie policjancie, przy telefonie, dobrze, że pan dzwoni.

– Mam informacje o Patrycji.

Bryk znów spojrzał na Brodzkiego podejrzliwie. Brodzki kontynuował:

– Znaleźliśmy ją.

– Mario Przenajświętsza, co się z nią dzieje?

– Patrycja zdaje kurs nurka głębinowego – mruknął pod nosem, wypuścił dym i powiedział tym razem głośniej, do słuchawki: – Wydaje mi się, że ma problemy, ale powoli odbija się od dna.

– Modłę się za nią codziennie. A swoją drogą, wie pan, dziwna sprawa, ale znalazłam na biurku piękny wazon. A w wazonie były kwiaty nagietka. Czy sądzi pan, że... – Rozmowa się urwała.

– Halo?... Halo?! Kurwa mać – syknął Leon, zaciągając się camelem.

– Co się stało? – spytał Bryk, wstając od biurka.

– Rozmawiałem z siostrą zakonną.

– I co?

– Obawiam się, że właśnie dostała się do nieba. A w każdym razie jest w drodze.

Bryk nie do końca odnajdywał się w świecie ciętych ripost Leona Brodzkiego. Blżej było mu jednak do ksiąg Plutarcha czy Sun Zi. Mimo to skinął ze zrozumieniem.

Brodzki wybrał numer do Jacka Nowaka.

– Nowak, dzwoń na komendę Włocławek, niech jadą na Michelin. Pędem!

– Co się dzieje?

– Chyba ktoś spacyfikował pingwina w ośrodku wychowawczym.

– Już daję na radio. A, detektywie – zagał na koniec rozmowy. – Powiększyła się obsada na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej.

– Kto?

– Dziennikarka z kablówki. W poniedziałek grożono jej na antenie. Dostała teraz kosę w plecy, do tego brutalny gwałt. W kontakcie! – I rozłączył się.

Brodzki zgasił papierosa i usiadł przy biurku.

– Dobra, nawiń mi, Bryk, o tym topielcu. Mówiłeś, że było tego więcej.

– Tak, plaga samobójstw. – Bryk odgiął się na krześle i wskazał na tablicę z wycinkami. – Czterech kelnerów, wszyscy podobno ciepli. List pożegnalny, butelka wódki.

– Gdzie?

– Na kładce kutrowskiej... To znaczy, na tym nowym moście. Mówię ciągle o kładce z przyzwyczajenia.

– Stary, ludzie wam skaczą do wody jak na olimpiadzie w Atlancie, a wy ciągle nie macie tam monitoringu?

– A kto by go obsługiwał? – Bryk irytował się, pokazując pytająco na puste biuro. Wstał, podszedł do okna, uchylił je szerzej i wskazał na pobliski blok. – Może ci ludzie z okien? Rozumiem, że u was w Toruniu kamery są na każdej brukowej kostce i na każdym zjadanym pierniku, ale u nas nie jest tak różowo.

– Nie ciśnieniuj, Roland. Jeśli padniesz trupem, to kto będzie pilnował ojczyzny Gryfitów?

– Śledztwo mi utknęło. – Bryk wsadził ręce w kieszenie. – Miałem jednego podejrzanego, ale był czysty.

– Czysty?

– Żadnych zeznań, tylko pomówienia. Z takim materiałem

dowodowym nie posłałbyś kogoś do więzienia, nawet grając w Monopoly.

– Jak wyglądał?

– Taki napakowany ochroniarz. Miał śmieszne uszy.

Brodzki poderwał się z krzesła.

– Co, kurwa?

– A ty co, fetyszysta? – zadrwił Bryk. Zdziwiła go reakcja detektywa na tak, zdawać by się mogło, nieistotny detal fizjonomii.

– Bryk, co to znaczy „śmieszne uszy”?

– Takie zawinięte, zgrubiałe. Coś jakby... – Bryk zawiesił głos.

– Różyczki! – odpowiedział bez namysłu detektyw.

Bryk zauważył zmianę w spojrzeniu toruńskiego gliniarza.

– Gdzie pracował? – spytał Leon.

– W barze... W barze w DarłóWKu Zachodnim.

– Pracował?

– Tak, zwolnili go, był niemiły dla klientów.

– Gdzie dostał robotę? – Brodzki zapalił się do podążenia tym tropem.

– Tego nie ustaliłem.

– No tak, Bryk.

– Co „no tak, Bryk”?

– Jak się ma bryki, to się nie odrabia pracy domowej...

– Jakiej pracy domowej, o czym ty pieprzysz?

– Musimy jutro wybrać się do tych barów i znaleźć typa. On tu gdzieś jest, czuję to.

Na komisariacie znów rozległa się *Walkiria* Wagnera. Brodzki przewrócił oczami i podszedł do okna. Tarcza zegara na wieży wskazywała prawie godzinę dwudziestą trzecią. Brykowi było nieswojo z powodu docinków wielkiego policjanta z Torunia. Być może dlatego rozmawiał przez telefon na tyle głośno, by Leon słyszał każde słowo.

– Oczywiście. Nie martw się... Ja ciebie też. Przekażę. – Bryk rozłączył się. – Masz pozdrowienia, Leon.

– Od kogo? Nikogo nie znam w tym mieście.

– Od Dagmary.

Tego było za wiele dla detektywa. Położył camela w popielniczkę, wypuścił dym za okno i podszedł do Bryka.

– Taki jesteś cwaniak z pekaesów? – spytał, szukając zaczepki.

– Czy mi się zdaje, czy się właśnie do mnie przypierdalasz, Brodzki? – odpowiedział drwiąco Bryk.

– A czy mi się zdaje, czy ty się przypierdalasz do mojej żony, przyjacielu?

– Dla niej jestem przyjacielem. Dla ciebie nie.

– Rozumiem – odparł Brodzki, po czym uderzył go pięścią w żebra. I dodał: – Skoro nie jesteśmy przyjaciółmi, to nie będziesz mieć mi za złe.

Po czym rzucił się na Bryka i ze scysji wywiązała się szamotanina. Brodzki rzucił go na stół, z którego na ziemię posypały się misternie ułożone ulotki.

– Kto ci nasrał do mózgu, wielki panie policjancie z Torunia? –

spytał, dysząc Bryk. – Pojechało cię?

– Raczej ciebie, że próbowałeś dobierać się do Dagmary.

– Tak ci powiedziała?

Na słowa Bryka Brodzki jeszcze raz się zamachnął. Szarpali się tak chwilę, jak szczeniaki ze szkolnej ławki.

– Może jeszcze za chwilę powiesz, że martwisz się o moją córkę równie mocno jak ja? – krzyczał Leon, miotając Rolandem. – Chociaż to na twoim podwórku grasuje porywacz! Ale ty przecież nic nie możesz zrobić, bo masz tylko jeden radiowóz! Odpierdol się od Dagmary!

– Nic między nami nie było! – krzyczał Bryk, ale Brodzki nie odpuszczał. – Kurwa mać! Dzwoniła do mnie, bo ty miałaś zajęte! Martwiła się!

– A od kiedy to jesteście w takich konszachtach, że dzwonicie do siebie w różnych sprawach? Słyszałem kiedyś wasze śmiechy w słuchawce!

– Nic nas nie łączy i nie łączyło. Ona zawsze kochała tylko ciebie. A szkoda...

Brodzki zatrzymał się w pół ruchu. Zastygli na chwilę w swoich pozach: Roland powalony na biurko, z nogą zadartą do góry, trzymający Leona za gardło i Leon ściskający Bryka za poły koszuli.

Usiedli zdyszani między oknem a lodówką.

Spocili się. Właściwie cała przepychanka była pozbawiona sensu. Zwykły pojedynek egocentryków.

– Bytka albo ne bytka, to je zapytka – rzucił Roland i łyknął z piersiówki, którą chował dotąd w kurtce. – To z Szekspira, po czesku. Masz, dziabnij.

– Szekspira miałem dość na dziś. Wystarczy mi zgniła Ofelia. – I pociągnął zdrowy łyk pigwówki.

– A teraz spróbuj czegoś ode mnie na zagrychę. – Bryk sięgnął do lodówki i uchylił drzwiczki.

– Nie wiem, co mnie bardziej dziwi, Roland. To, że masz na komendzie taki zapas kielbasy, czy to, że w lodówce trzymasz... książki?

– Istotnie, jestem zapalonym czytelnikiem. Widzisz tu na komendzie jakieś półki?

– No... nie – Brodzki zawahał się. Pomyślał: „To był długi dzień. Właśnie to zrozumiałem”.

– Jedyne półki mam w lodówce. Na co masz ochotę? Juliusz Cezar? Pisma Platona?

– To chyba odgrzewanie starych kotletów, nie sądzisz?

– Czuję, że masz jakiś uraz do klasyków. Albo do mnie... – Bryk przyłożył palec do wydatnego nosa i stuknął w niego kilka razy. – Mam coś dla ciebie. Na dobry sen i na motywację do poszukiwań. Bo musisz wiedzieć, że bez względu na nasze anse...

– Anse?

– Waśnie. – poprawił się Bryk. – Bez względu na różnice zdań bardzo chcę, żebyś odnalazł Sarę. I zrobię wszystko, żeby tak się stało. Może nie jesteśmy tandemem z *Zabójczej broni*, ale myślę, że

to początek pięknej przyjaźni. – Po czym sięgnął po książkę z dolnej półki. – Masz, samuraju.

– Co to? – spytał Leon, biorąc zimny wolumin do ręki. – *Sztuka wojny...*

– Taka tam chińszczyzna. À propos, zanim się pożegnamy, skosztuj tego. – Podał mu kawałek niepozornie wyglądającej kiełbasy.

– A to co?

– Teewurst. Nasza darłowska kiełbasa z Berlina.

– Żebym dobrze zrozumiał... – Leon próbował się nie śmiać. – Jest darłowska, ale... Gdzie ją robią?

– Receptura jest nasza. Darłowska. Ale produkcję przeniesiono do Niemiec. W Rajchu to jedna z najbardziej rozpoznawalnych marek, zaraz po Mercedesie. Przywożą ją do jednego hotelu z Niemiec, mam od nich.

Brodzki skosztował kęs.

– Taka... Metka? – spytał, żując wyrób.

– Nie bluźnij! – rzucił Bryk i chciał mu zabrać kiełbasę, ale Brodzki cofnął rękę.

– Właśnie się zorientowałem, że znowu nie jadłem nic od rana. Kurwa, ile można wpierdalać adrenalinę.

– Dopóki nie siądzie ci pikawa.

– Ja już dawno straciłem puls, kolego.

Brodzki dźwignął się, otrzepał spodnie, wziął książkę i ruszył do wyjścia.

– Rano szukamy naszego misia uszatka – rzucił jeszcze w drzwiach, po czym wyszedł.

Leon ruszył spacerem przez pogrążone w nocy miasto. Minął bazylikę, przeszedł plac Kościuszki i, skręciwszy w uliczkę Powstańców Śląskich, wpadł na figurę pierwszego powojennego burmistrza miasta. Wtedy też usłyszał dźwięk aparatu fotograficznego.

Kiedy odwrócił się, nie zobaczył nikogo. Jego uszu dobiegł tylko dźwięk szybko oddalających się kroków.

Rozejrzył się na wszystkie strony. Nie pamiętał dobrze topografii miasta, ale bardzo chciał się dowiedzieć, kto urządza sobie atelier na ulicy i to w jego towarzystwie.

Skręcił w Rynkową, z Rynkowej w Wałową, wszędzie mijając rzędy niskich domów. Gdy dobiegał do Podzamcza, jego oczom ukazał się Zamek Książąt Pomorskich, a u jego podnóża – plac zabaw. Dobiegał z niego odgłos źle naoliwionej huśtawki. Leon rozejrzył się na boki i powoli ruszył w tę stronę.

Kolejny dźwięk – szybkie kroki po piasku. Rzut okiem w prawo, jakiś cień przemknął za piaskownicą i schował się. Po chwili był po lewej stronie. Leon ruszył zdecydowanym krokiem w stronę niewyraźnego kształtu i gdy już był pewien, że dopadnie delikwenta, oślepił go błysk aparatu fotograficznego.

– Uśmiech! – rzucił dziecięcy głos.

Plamy migające przed oczami powoli ustępowały plamom wynikłym z ciemności, w jakiej się znajdował. Po kilku sekundach

wzrok przyzwyczaił się do mroku i wówczas Brodzki dostrzegł małą dziewczynkę. Miała na głowie góralski kapelusik, spod którego wystawały dwa warkocze. W uszach kolczyki w róże, na szyi – czerwone korale i pasek aparatu marki Polaroid, który trzymała w rękach. Ubrana była w dzinsowa kurtkę. Z kieszonki na przedzie wystawał niewyraźny malunek.

– A ja wiem, o jakie ucho chodzi.

Brodzkiemu stanęły przed oczami sceny sprzed kilku dni. Wtedy ofiara pozbawiona była palca i miejscowi też mieli swoje teorie na ten temat. Jedna dotyczyła lokalnego sklepu o nazwie „Paluszek”.

– O czym ty mówisz? Kim jesteś?

– Formą białka.

Na słowa dziewczynki Brodzki zbaraniał.

– Słyszałam, jak mówiliście na komendzie o uchu. Na ulicy wszystko słyhać – rzuciła mała fotografka.

– No tak, zapomniałem o monitoringu.

– Jest taki bysior, widziałam go w pomarańczowym stroju...

– Co ty opowiadasz?

– No, taki zjeb genetyczny.

– Jak ty mówisz, dzieciaku.

– A jak ty słuchasz, staruchu?

Brodzki zdębiał.

– Widziałam takiego łepka raz, nie, kręcił się. Zjeb nie dlatego, że brzydki, tylko dlatego, że głupi. Niech pan złapie tego pokemona.

– Że jak?

– No mi się nie udało. O, mam tu zdjęcie. Ale widać tylko nogę. – Dziewczynka pokazała zdjęcie, na którym istotnie widać było nogę w pomarańczowych spodniach.

– Masz tu piątkę i wracaj do domu.

– Dziena.

– Dzie...?

– ...na. Zwrot grzecznościowy, używany jako odpowiedź na czyjś miły gest. Nie uczą was w Toruniu takich słów? – Dziecko zdawało się zupełnie nie mieć respektu przed kilka razy starszym i większym od niej człowiekiem.

– U nas mówią tylko „jo”.

– „Jo”?

– No jo...

Oboje się zaśmiali. Leon rozejrzał się. Było naprawdę późno, mgła wdzierała się powoli między budynki.

– A ty nie powinnaś chodzić od września do szkoły i odrabiać teraz w domu lekcje? Czytać lektury, bo ja wiem, *W pustyni i w puszczy*?

– Mówi się „na”.

– Co „na”?

– „Na pustyni”, nie „w”. Tak jak „na wydmach”. Chyba że cię w Łebie zakopią, to wtedy jesteś „w”.

Brodzkiemu mignęło przed oczami wspomnienie snu, w którym schodził piaszczystym zboczem ku prostokątnemu dołowi w ziemi i

w dole tym zobaczył swoją twarz.

– Jak ci na imię? – spytał.

– Jurek. Od nazwiska to. Ale wszyscy mówią Jurek, choć na imię mi Zuza.

– Lubisz Darłowo?

– Bardzo lubię morze.

– A czemu nosisz góralski kapelusik, skoro lubisz morze?

– No... Bo tak mam.

– A co masz w kieszonce kurtki?

– To Pani Wiosna. Wyrwałam tę kartkę w czytelnicy, z takiej książki *Baśń o czarnym chlebie*. Na jednej ze stron była ilustracja Pani Wiosny, tak mi się podobała, że noszę ją teraz w kieszonce.

– A czemu to robisz, Jurek?

– Żeby mogła na nią kukać, jak będę chciała zobaczyć, jaka jest piękna. – Dziewczynka podeszła do Leona i wręczyła mu dwa zdjęcia. – Proszę, na pamiątkę.

I odeszła pospiesznie ulicą Przedzamcze.

Brodzkiemu nie dawały spokoju myśli związane z miejscem, w którym przebywał. Wiedział, że ktoś przetrzymuje tu Sarę. Wiedział, że może być obserwowany. Wiedział, że ma czterdzieści pięć procent, ponieważ to Daniel wykonał pierwszy ruch, a nie on.

Po kwadransie stał na kładce kutrowskiej. Tej samej, z której na nagraniu Daniel zrzucił do rzeki dziewczynę w czerwonym płaszczu.

I wtedy, w tej jednej chwili, zobaczył w lustrze wody mgnienie.

„Wszystko wynika z napięcia, jakie rodzi się między przeciwieństwami, przeciwnymi wektorami. Nazywają to «teorią zmienności». Czy faktycznie nigdy nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki? Nie. Bo wszystko, co się zdarzy, nawet jeśli to samo i w samym miejscu, nigdy nie zdarzy się w tym czasie i miejscu drugi raz. W zasadzie można nawet powiedzieć, że wejść do tej samej rzeki nie da się nawet raz. Prawda, Saro? Gdzie jesteś? Jak cię znaleźć? Czy wiesz, że cię kocham i zrobię wszystko, byś wróciła do domu?”

Brodzki zadarł głowę ku niebu. Wypełniały je tysiące gwiazd, nieboskłon był czysty. Pomiędzy odległymi punktami galaktyk, pulsarów i mgławic migały czerwone punkty. Były to światła samolotów, które – lecąc z Gdańska – obierają korytarz do zachodnich krajów właśnie nad wybrzeżem.

Ale detektyw o tym nie wiedział. Samotność i noc, wilgoć

powietrza i smród kanału, posmak pigwówki i berlińskiej kiełbasy, wspomnienie trupa w masce... Wszystko to sprawiło, że zadzierając głowę w niebo, bardzo chciał znaleźć w nim odpowiedź. Tak samo jak podczas przeglądania się w tafli kanału.

Nie mógł wiedzieć, iż już dawno temu Tadeusz Konwicky pisał, że choć wszyscy wycierają sobie gęby patosem nieba, to w rzeczywistości gwiazdy – na które romantycznie spoglądamy – to zamrożone na kość odchody kosmonautów.

Detektyw nie znał *Matej Apokalipsy* Konwickyego. Ale znał swoją.

Brodzki przyszedł do domu późno. Sądził, że wszyscy już spali. Mylił się jednak.

Był to rodzinny dom państwa Kulwickich, jego byłych teściów. To tu spędzali kiedyś z Dagmarą wakacje, tu przyjeżdżali z Sarą, która zawsze uwielbiała brać stary koc babci i zwijać się w kulkę na kanapie pośrodku salonu. Ignacy Kulwicki zwykł zasypiać na bujanym fotelu, Wanda – nestorka – do późna przesiadywała w kuchni i oczy potrafiła zmrużyć dopiero wtedy, kiedy cały dom spał. Nie inaczej było teraz.

Drzwi były otwarte. Przywitali się w korytarzu wyściskali.

– Tak mi przykro, synu...

– Znajdziemy ją, są pewne tropy. Jak Dagmara?

– Bierze silne leki. Śpi... I tobie też to radzę, synu.

Ucałowała go w czoło, zatrzymała się w pół kroku.

– W kuchni są świeże rogaliki i kakao.

Po czym zniknęła w pokoju.

Brodzki znalazł gniazdko i podłączył telefon. Zobaczywszy połączenie z numeru stacjonarnego w Toruniu, oddzwonił.

– Znalazłem coś – powiedział głos w słuchawce.

Telefonował archiwista Maks. Na linii sprzęgało, bo rozmowa szła z numeru stacjonarnego, ze starego widełkowego aparatu.

– Ale najpierw ty mów, Leon. W TV mówią o śmierci Sary Brodzkiej.

– Nie wierz we wszystko, co mówią w telewizji, Maks.

– Na szczęście ja wierzę tylko aktom.

– Co nowego?

– Te sprawy nie dają mi spokoju. Sprawa Pękalskiego z lat 1984–1985 i sprawa zabójstwa z 1996. Krąży gdzieś między tymi datami duch Elfa, który siedział wtedy w pace.

– Czy Franek brał udział w postępowaniu?

– Za każdym razem był na miejscu zbrodni.

– Rozumiem...

– Leon...

– Tak, Maks?

– Znajdziesz ją. Nawet jeśli szanse są nikłe, nie ustawaj w poszukiwaniach. Wspinając się długo na masyw górski, jego szczyt zobaczysz ostatniego dnia wędrówki. Wcześniej będzie zawsze daleko. Łatwo się wtedy zniechęcić, podczas gdy dotrzesz tam tylko, jeśli się nie zatrzymasz... Nie zatrzymuj się więc, samuraju.

– Nowak mówił, że akta są niepełne. – Na linii sprzęgało. – Halo, Maks? Halo?

– Jestem. Ktoś pobawił się w wycinankę. A ja nie lubię, gdy mi się grzebie w papierach.

– Jak myślisz, czyja to sprawka?

– Wszystkiego za ciebie nie zrobię, Leon. Ty tu jesteś detektywem!

– Nawet nie wiesz, jak ci dziękuję za to, co robisz. Ty i Jacek.

– Będziesz dziękował jeszcze bardziej, gdy się dowiesz, że

komendant codziennie żąda raportu z prac w archiwum.

– To coś dziwnego?

– Dziwnego? Jeśli można nazwać dziwnym fakt, że nie proszono mnie o takie raporty przez ostatnie piętnaście lat, to tak, jest to coś dziwnego.

– Miej oczy i uszy dookoła głowy, Maks.

– A czego tobie życzyć, Leonie? Mogę dać ci radę, jako archiwista. Nasze prace są poniekąd podobne. Obaj żyjemy nieco przeszłością, śladami, odtwarzaniem tego, co było, na podstawie tego, co istnieje tylko w części.

– Mianowicie?

– *Ad fontes*, Leonie. Do źródeł. – I odłożył słuchawkę.

Kiedy Maks się rozłączył, usłyszał pisk opon samochodowych za oknem. Wyjrzał przez okno swojego mieszkania na ulicy Antczaka.

Ulica była nieprzeniknienie pusta. Jak nigdy.

Detektyw nakrył kocem Dagmarę. Spała w dawnym pokoju swoich dziadków. Nad łóżkiem wisiało stare monidło ślubne – realistycznie odmalowane zdjęcie z kilkoma retuszami. Brodzki zawsze miał słabość do takich reliktyw przeszłości.

Usiadł w salonie w fotelu teścia i włączył telewizor. Media donosiły o odnalezieniu zwłok Sary Brodzkiej. Wiedział, że nie jest to prawda, ale mimo to czuł niepokój, słuchając słów reportera. Czy prawidłowo rozwiązuje entymemat? Czy jego zaangażowanie emocjonalne jest zgodne z planem Daniela? Kim jest człowiek z „uchem zapaśnika”? Czy Brodzki zdąży na czas?

Myślał o Sarze. O tym, gdzie jest i co czuje. Czy jest jej ciepło i czy coś jadła. Czy wierzy w swojego ojca tak mocno, jak Leon wierzy w siłę przetrwania w Sarze...

Zasypiając jednym okiem, zajrzał do książki pożyczonej od Bryka. Otworzył na przypadkowej stronie.

– Zatem kiedy możesz działać, udawaj niezdolność do działania. Kiedy rozwijasz wojska w szyk, udawaj beczynność. Kiedy jesteś blisko, udawaj, że jesteś daleko. Kiedy jesteś daleko, udawaj, że jesteś blisko... Kiedy jest silny, unikaj go. Kiedy jest gniewny, tym bardziej go prowokuj... W ten sposób przekonasz się, że w wojnie kluczem do zwycięstwa jest zaskoczenie. Zwycięski wódz przygotowuje przed bitwą plany na wszelkie ewentualności. Wódz pokonany tylko na kilka. Wiele możliwości działania prowadzi

zwycięstwo, niewiele możliwości sprowadza klęskę, brak możliwości sprowadza katastrofę...³ – Leon zamyślił się.

Jego działanie zdawało się potwierdzać twierdzenia Sun Zi. Nie ujawnił światu prawdy o zwłokach Żółtki, nie ujawnił też prawdy o Patrycji i Sarze. Pokornie odgrywał rolę skrzywdzonego ojca. Którym, tak czy inaczej, się czuł.

Wyszedł na dach budynku. Po południowej stronie zobaczył konstelację czerwonych świateł, migających na rozlokowanych wokół Darłowa wiatrakach elektrycznych. Setki punktorów to zapalały się, to gasły.

– Jak światła wesołego miasteczka – rzekł do siebie. –

Lunapark z jedną atrakcją: tunelem strachu w oddali.

Horyzont spowijała ciemność – nieprzenikniony mrok żywiołu natury, której Brodzki przestał ufać.

Teraz spojrzał na północ. Wiatr wiał od morza nierównymi zrywami. Ponad dachami willi i nielicznych chat rybackich migały światła awanportu, zielone i czerwone. Dalej, za wieżą kościelną, błyskało światło latarni morskiej. Brodzki wiedział, że przydałby mu się taki drogowskaz na wzburzonych wodach ostatnich dni. Ratunek przed roztrzaskaniem się o skały.

Wodę często opisuje się jako słabą i miękką. W Darłowie uważano jednak inaczej. Potomkowie rybaków i ci, którzy do dziś wypływali w morze, wiedzieli, że żywioł, który unosi na sobie zarówno zwłoki topielców, jak i kadłuby ciężkich statków, nie może być słaby. W Darłowie wiedziano bowiem, że ta miękka i słaba

woda potrafi siać olbrzymie spustoszenie.

– I nie da się jej zatrzymać – wyszeptał Leon. – Tak jak mnie...

Saro, gdzie jesteś?

Po czym wrócił do wnętrza do domu i wkrótce odpłynął w sen.

³ Sun Zi, *Sztuka wojenna*, w przekładzie Moniki Wyrwas-Wiśniewskiej.

8 WRZEŚNIA 2016

– Skóra praczki – rzekł łysy, dwumetrowy patomorfolog o wyłupiastych oczach.

Prosektorium w Sławnie różniło się od tego w Toruniu rozmiarami, a także zapachami, wśród których dominowała woń starego, pocziwego spirytusu. Komór chłodniczych było sześć. Ciemne, granatowe kafle na ścianach, czarne na podłodze, dwa stoły sekcyjne, lufcik, popielniczki. I jedna reprodukcja malarska zawieszona przy wejściu – *Lekcja anatomii doktora Tulpa*. Zwłaszcza ten ostatni przedmiot był ważny z punktu widzenia detektywa Brodzkiego, wprawiającego się w ostatnich dniach w sekcjach zwłok.

Leon stał teraz w towarzystwie Rolanda Bryka oraz doktora Sergiusza Iwana, który przeprowadzał badanie wyłowionego w Darłówku ciała Patrycji.

– Denatka przebywała w wodzie mniej więcej dwie doby. Ma sfałdowany, matowy, biały naskórek, który nazywamy skórą praczki – mówił patomorfolog, naciskając brzuch dziewczyny. Na dłonie założone miał silikonowe rękawiczki. Dotknął nimi klatki piersiowej ofiary. – Jeszcze dzień i skóra by zupełnie zaczęła z niej schodzić. Dalej. Skutkiem tonięcia są zmiany w płucach, ma rozedmę wodną. No i płyn topliwny we flaczkach...

– Skąd plamy na szyi i barkach? – spytał Brodzki, odpalając papierosa. Jeszcze do niedawna nie palił wiele. Wszystko zmieniło

się w poniedziałek, kiedy został poczęstowany: to życie dało mu popalić. – Widziałem popielniczkę, rozumiem, że...

– Daj pan pojarę i cześć – zażartował Iwan.

Detektyw poczęstował go. Sergiusz wskazał, że nie ma, jak złapać papierosa. Leon potrząsnął żółtą paczką, wysunął się z niej jeden camel, a Sergiusz chwycił go w zęby. Brodzki podpalił mu. Patomorfolog kontynuował wykład, nie wyjmując papierosa z ust, niczym gitarzysta Guns N' Roses:

– Zwłoki zwrócone były twarzą do dna, dlatego plamy opadowe są na twarzy, szyi i barkach. – Wypuścił dym.

– Na nogach też? – spytał Leon.

– Nareszcie przechodzimy do drugiej rundy pytań – zaśmiał się doktor i zakaszłał.

Brodzki zaproponował gestem, że wyjmie mu papierosa, żeby odsapnął, ale lekarz się wzbronił.

– E, e! Przyzwyczaiałem się do walki ze śmiercią. A w tej robocie czacha często dymi.

– Nogi mają inny kolor. Dlaczego? – dopytywał detektyw.

– A no dlatego – odparł lekarz i chwyciwszy obie kończyny w kolanach, niespodziewanie zgiął je do przodu.

Bryk odskoczył zniesmaczony. Brodzkiego to nie ruszyło.

– Złamane?

– Tak jest, panie Leonie. A nawet pogruchotane – mówił Sergiusz Iwan, wyginając nogi jak wajchy ręcznego napędu drezyny. – Spadła z dużej wysokości.

– Na przykład z mostku? – dopytywał Brodzki.

– Chyba w Alpach – zaśmiał się doktor. – To musiało być dużo wyżej. Podłoże było dość miękkie, stąd brak śladów na głowie, ale stawy kolanowe poszły na wiór.

„To coś nowego. Pastwił się nad nią? A może uciekała i zmusił ją do decydującego skoku?”

– Były złamane prawdopodobnie jeszcze tego samego dnia, może kilkanaście godzin wcześniej, niż nastąpił zgon.

– Są ślady obcowania płciowego? – Brodzki jeszcze dwa dni temu był przekonany, że ta utopiona dziewczyna to jego córka.

– Niestety tak. Zgwałcona analnie, dość brutalnie. Ale śladów nasienia brak.

– Ja pierdolę... – Bryk zatkał usta.

– Panowie, nadużywam ostatnio tego słowa, ale to niejako powtórka. Czerwony płaszcz przeciwdeszczowy, młoda dziewczyna z problemami... Tydzień temu Laura Mostowicz. Teraz... dziewczyna na mostku.

– A co z tym morderstwem z lat osiemdziesiątych? Stanisław Szabański został powieszony, ale jego współnik, Szary, poszedł za kraty. Czy Szary może mieć z tym związek? – spytał Bryk.

– Nie. Kilka dni temu ścielił łóżko i nieopatrznie powiesił się na prześcieradle.

– Mógł chodzić do harcerstwa, by się nauczył – zadrwił Iwan.

– A więc kopiści, Brodzki? – dopytywał darłowski glina.

– I tak, i nie. Zbrodnie są luźnym nawiązaniem. Powiedziałbym,

że to zbrodnie na kanwie...

– To ja może sobie herbatkę zaparzę? – przerwał im Sergiusz Iwan.

– My już pójdziemy. Dziękujemy za tę lekcję anatomii. – Brodzki skinął, wskazując na obraz na ścianie...

– Widzę, że też fan Rembrandta – zazartował lekarz. – Idźcie panowie, my tu z Patrycją mamy jeszcze do pogadania.

– Zostawiamy więc was samych. Poznajcie się lepiej – uciał Brodzki.

Gdy wyszli, za ich plecami rozległy się dźwięki *Strangers in the night* Franka Sinatry.

2

Światło w celi więziennej niewiele różniło się za dnia i w nocy. Grube kraty i spadzisty daszek za oknem dawały widok jedynie na wąski pasek spacerniaka w dole.

Kosma był niespokojny. Od dwóch dni nie otrzymywał żadnych wiadomości z ulicy. Spodziewał się meldunku, ale ten – nie nadszedł.

Był to pierwszy raz, kiedy pomyślał, że Daniel może działać inaczej, niż zaplanowali. Że jego brat może mieć swój własny plan, w którym sam chce odegrać główną rolę. Musiał natychmiast dowiedzieć się, jak jest naprawdę.

Próba wymuszenia na strażnikach wywiezienia go do ambulatorium nie poskutkowała. Przesłuchanie go przez Brodzkiego wprowadziło w lekki niepokój.

Był tylko jeden sposób na wydostanie się z celi.

Gdy strażnik pół godziny później zajrzał przez wizjer do Kosmy Góreckiego, natychmiast podniósł alarm.

– Wisielec w celi!

3

– Głodny to nawet swojego cienia nie znajdziesz – rzekła Wanda Kulwicka, nakładając detektywowi jajecznicę. Była teściowa nic się nie zmieniła, wciąż ciepła, uczynna i kochająca. – Dla nas zawsze będziesz synem.

Istotnie, Leon Brodzki jadł śniadanie z rodzicami, choć był sierotą. Było coś ludzko przejmującego w obecności dwójki ludzi ze starszego pokolenia, którzy poczuli się do rodzicielskiej opieki nad nim, mimo iż był już przecież niemłodym mężczyzną.

– Doceniam wszystko, naprawdę. Próbuję zachować w tym wszystkim spokój, chociaż to niemożliwe – odparł, kończąc posiłek.

– Po nas tego nie widać, ale jesteśmy śmiertelnie przerażeni – dodał Ignacy Kulwicki. Stał twarzą do okna, opierając koniuszki palców dłoni o biały parapet. – Lata życia, pogrzeby w rodzinie, choroby. Wszystko to pogruba skórę.

– Jak długo już jesteście małżeństwem? – spytał Leon.

– Sto – zaśmiali się oboje przez łzy.

– Dajcie znać, gdy Daga się obudzi. – I wyszedł.

Sytuacja była tragiczna: dwójka byłych małżonków poszukuje swojej córki, którą uprowadził seryjny morderca. Jednocześnie pierwszy raz od wielu lat spędzają czas pod jednym dachem. Teatrowi śmierci przypatruje się dwójka seniorów ze starszego pokolenia, których życie opiera się na sile wynikającej z trwania,

tego samego, o jakim myślał Heniu. Siła ta objawiała się w pogodzeniu się ze śmiertelnością i aprobachie liczby lat, jakie już wspólnie przeżyli na darłowskiej ziemi. Licznik ten dochodził powoli do cyfr granicznych.

Ignacy i Wanda poznali się w czasach, kiedy słowa, gesty i obietnice miały magiczną moc. Byli dla siebie jak woda, wchodząca w każdą szczelinę życia. Łagodni, ale konsekwentni. Ulegli, ale niepowstrzymani. Wypracowali w sobie wolę walki o życie, o zdrowie, o rodzinę i o szczęście. Pytani o to, czego im życzyć, od lat powtarzali, że już wszystko mają – dziecko, wnuczkę.

– Niech im się wiedzie, a wtedy dziadkowie będę szczęśliwi – mawiali.

Teraz szczęśliwi jednak nie byli.

Kiedy Leon wyszedł, Wanda podeszła do Ignacego i położyła swoją starą, pomarszczoną dłoń na jego dłoni. I stali tak w oknie, patrząc w dal. Tak jak wtedy, kiedy wypatrywano pocztyliona, gońca czy łącznika niosącego wieści. Patrząc na dom z oddali, można było dostrzec rzędy okiennic, a w nich – pojedyncze okno z białą firaną, w którym para pięknych, starych ludzi wyczekiwała z niepokojem efektów poszukiwań ukochanej wnuczki.

– Żeby tylko nie było za późno, Igi.

– Wierzę w niego.

4

W pracowni kapeluszniczej „Modena” pachniało klejem, skórą i bawełną. Pomimo upływu lat, nowych mód i rewolucji w ubiorze zakład przy ulicy Szewskiej 10 w Toruniu działał nieprzerwanie od 1947 roku.

We wciśniętej między pracownię witraży a bar witrynie prezentowały się eleganckie nakrycia głowy dla pań i panów: meloniki, cylindry, słomkowe panamy, a nawet napoleoński pieróg. Szklane drzwi przywitały Nowaka odgłosem dzwonka zawieszonego przy futrynie. Przeszedł skrzypiącą podłogą ciasnego korytarza, z końca którego dobiegał go terkot krawieckiej maszyny. Za koralikową zasłonką przy szerokim, zawalonym skrawkami materiałów stołem siedziała zgarbiona i zasuszona kobieta w chustce na głowie.

Policjant wylegitymował się i wyjaśnił, w jakiej sprawie przychodzi, pokazując zdjęcie z gazety. Kapeluszniczka założyła wiszące na łańcuszku okulary. Przechyliła papier pod światło.

– Wygląda na taki z lat osiemdziesiątych. Ale wymyślono ten krój ponad sto lat temu. To fedora.

– Jak? – spytał niepewnie sierżant Jacek Nowak. Można wybaczyć mu te lapsusy i potknięcia. Nigdy nie był mistrzem konwersacji. Chyba że na siłowni.

– To od imienia głównej bohaterki sztuki *Fédora*, księżniczki Fedory Romanowej – zauważyła kobieta i spojrzała pytająco na

Nowaka. Zawiesiła wzrok na jego nosie, po czym skonstatowała, że jej rozmówca o sztuce *Fédora* nie słyszał. – Nosił taki. A po niej Michael Jackson, Indiana Jones i miliony ludzi na świecie. – Kobieta opowiadała o kapeluszach z taką pasją i pewnością, jakby były one oczywistą częścią garderoby każdego człowieka w XXI wieku.

– Wygląda tak jakoś znajomo, co nie? – Nowak spojrzał jej przez ramię.

– Bo to zwykły, filcowy kapelusik, z wklęsłą fałdą wzdłuż główki – rzekła, zwieszając okulary na szyi.

– Myślałem, że może jest cień szansy, że ktoś go nabył tu, u pani.

– Młody człowieku, takich kapeluszy są tysiące.

– Czyli nie kojarzy pani tego człowieka?

Nowak nie odpuszczał. Kobieta jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu.

– Nie jestem pewna. Jeśli tu był, to musiało to być bardzo dawno temu. Co by się zgadzało, bo kapelusz wygląda na zużyty.

– W jakim sensie?

– Ma bardzo wygięte rondo. Ktoś, kto go nosi, musi być człowiekiem o dobrych manierach. Często się kłania. Czy to nie wspaniałe, że nadal istnieją prawdziwi mężczyźni?

Nowak nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć na tę dygresję dotyczącą manier i obyczajów. Skinął głową, zasalutował i ruszył do wyjścia. Podłoga zaskrzypiała, kobieta zdjęła okulary i zasiadła na powrót do maszyny.

Wtedy sierżant niespodziewanie cofnął się i – uśmiechając się szeroko – ukłonił się kobiecie, uchylając lekko policyjną czapkę.

– Prawdziwy mężczyzna! – rzekła z podziwem kapeluszniczka i pomachała mu zalotnie.

5

– Jaka jest różnica między Darłowem a Darłówkiem? – spytał Brodzki, kiedy przecięli z Brykiem nowy most nad Wieprzą, przejechali rondo i ulicą Lotników Morskich ruszyli do Darłówka Zachodniego.

Plan był następujący: znaleźć kogoś, kto wie, kim jest człowiek z „uchem zapaśnika”. Tropy wiodły do jednego z klubów przy ulicy Plażowej.

– Są anse – odpowiedział kierujący radiowozem Bryk.

Auto pędziło wzdłuż torów, zostawiając w tyle wysokie punkty na horyzoncie: elewatory, wieżę kościoła i wieżę zamku.

– Ludzie z Darłówka mówią, że pracują na Darłowo – kontynuował miejscowy policjant. – Mają inne możliwości zarobkowania, bo raz – pobudowali pensjonaty, dwa – cały handel, knajpki, smażalnie, tyle ludzi, że nie można przejść. A Darłowo jest...

– Puste. Spacerowałem w nocy. Spotkałem dziecko i pomnik burmistrza. Patrzył na mnie dziwnie.

– Bo tu można co... Pozwiedzać zamek, iść do Biedronki. Ale w Darłówku jest ogrom. Wszyscy chcą być bliżej morza. Tak było od zawsze.

– Rybackie miasto bez sklepu rybnego? – zaśmiał się Leon.

– Port Darłowo w obecnym kształcie zaczął powstawać pod koniec XIX wieku: latarnia, falochrony, nabrzeża, awanport,

otoczone falochronami pierwsze wejście do portu ze światłami ostrzegawczymi na tak zwanym „łebkach”. Zbudowano go z myślą o statkach, które...

– Bryk, ja nie piszę *Czarodziejskiej góry*, tylko próbuję ustalić fakty. Specyfikę miejsca i mieszkańców, żeby pożenić to ze sprawą, która – tak się składa – jest dla mnie cholernie ważna.

– W DarłóWKu Zachodnim z kolei kiedyś był niemiecki poligon, budowali tu słynną Dorę, miejsce wizytował Hitler...

– Czy ta wiedza nam się do czegoś przyda? Czy może chcesz po prostu powiedzieć, co wiesz, Bryk?

– Wszystkie zgony i wypadki śmiertelne, do jakich ostatnio doszło, to DarłóWko. Trupy w kanale – DarłóWko. Z powodu tych wszystkich antagonizmów, sprawy nie są aż tak bliskie ludziom. A skoro w samym Darłowie nie ma presji społecznej i głośnej dyskusji, to co dopiero w Sławnie, gdzie mogliby zdecydować o przysłaniu wsparcia. A co dopiero w komendzie wojewódzkiej... Jestem z tym wszystkim, kurwa, sam. Pamiętasz *Tańczącego z wilkami*? Jak Kevin Costner mieszkał sam na prerii?

– A co, masz tu wilki?

– Tak, kurwa. Morskie.

6

Bar GAGA był zamknięty, ale ze środka dochodziły odgłosy. Lokal ten stanowił największą dyskotekę w zachodniej części kurortu. Mieścił się w budynku będącym typową, dziką zabudową o nie do końca sprecyzowanym charakterze. Chociaż przypominał dom mieszkalny, w jego głównej części mieścił się klub. Na górnym, później dobudowanym piętrze widać było jednak okna mieszkania. Nie brakowało kiczowatej palmy przed wejściem i białego bmw na podjeździe.

Walenie w drzwi wejściowe nic nie dało, więc policjanci spróbowali wejść od kuchni i nie pomylili się. Zastali tam właściciela i kobietę, która równie dobrze mogła być jego nałożnicą, co i córką, oraz czytającego czasopismo kulturystyczne ochroniarza w różowej koszulce polo. Na widok mundurowych właściciel zrzucił dziewczynę z kolan.

– Spierdalaj, młoda. Idź zobacz, czy nie ma cię w sypialni.

– Chwila, chwila. – Bryk złapał dziewczynę za przegub lewej ręki. – A dowodzik jest?

Ochroniarz poderwał się na nogi i sięgnął za siebie. Wyglądał, jakby chciał chwycić broń.

– Ty do mnie startujesz? – Brodzki w ułamku sekundy przeładował pistolet i celował nim teraz w chłopaka. – Idź nakarm kota.

– Ale tu nie ma kota przecież – odpowiedział i w głosie jego

pobrzmiwało echo lat edukacji, która go ominęła.

– To, kurwa, pożycz.

Ochroniarz niechętnie wstał i wyszedł. Brodzki zwrócił się do właściciela:

– Kolega pytał o dowód dziewczyny. A może chociaż książeczkę SKO?

– Właśnie po niego szła – odburknął właściciel. Niski, obły, o krótkiej szyi i obfitym owłosieniu na rękach. – Ale panowie chyba z biznesem do mnie?

Bryk puścił dziewczynę.

– Wydział Kryminalny, Toruń Śródmieście – przedstawił się Leon. – Co z Adrianem, kelnerem, który zaginął?

– A co z księżną Dianą? – zadrwił właściciel. – Nie jestem wróżbita Maciej. Wyszedł z roboty i nie wrócił. W branży kelnerskiej to norma. Zmieniają miejsce co tydzień. Skoro żyją z przyrządzania alkoholu, to sami muszą go często próbować. I im odpierdala.

Brodzkiemu przypomniał się od razu barman z Torunia, Łukasz Grotowski. Twierdził on, że barman jest tylko posłańcem, a bar – sceną, na której występuje niczym performer.

– Ilu mordoklepów masz w lokalu? – kontynuował detektyw.

– Zależy, jak sezon.

– A kafara z wywiniętymi uszami pamiętasz? – Teraz to Bryk przejął inicjatywę. – Już raz cię o niego wypytywałem. Może tym razem sobie przypomnisz.

– A co z tego będę miał? – spytał właściciel rozbieganym wzrokiem.

– Nie zrobię ci teraz badań toksyko, które wykazałyby, ile pierwiastków z tablicy Mendelejewa masz w sobie, i nie przeschukam ci piwnicy w poszukiwaniu lewych płyt CD.

– CD? Czy ty wiesz, że lata dziewięćdziesiąte nie były dziesięć, tylko dwadzieścia lat temu? – zaśmiał się facet. – Nic na mnie nie masz, jestem czysty.

– Idę o zakład, że przeschukanie wykaże co innego. Wiesz, jak to bywa. Czasem zapomina się, co się miało w domu. – Brodzki zagrał po swojemu, pokerowo.

– Zapaśnik już tu nie pracuje. Obrażał klientów.

– Zapaśnik? – dopytywał Leon.

– Tak na niego mówią. Ma te uszy jak balony, bo mu je nadrywali parę razy.

– Masz po nim jakieś dokumenty, historię zatrudnienia?

– Przecież to nie ja go zatrudniałem, tylko przyszła grupa nacisku i mi go zatrudnili.

– I co jeszcze będziesz tu wciskać? – Bryk włączył się do dwójkowego obstrzału pytań. Obaj policjanci stali nad właścicielem, który coraz bardziej zapadał się w swoim białym fotelu.

– No przychodzą i mówią, że będą cię chronić.

– Przed kim? – dopytywał Brodzki.

– Przed sobą. To rynek haraczowy. Klasyka polskiej dyskoteki.

– Gdzie go znajdziemy?

– Zniknął latem z branży. Wywaliłem go. Ponoć przeniósł się do śmieciarzy.

– Do śmieciarzy? – Leon chciał się upewnić, czy skojarzenie, które pojawiło się w jego głowie, ma sens. W Toruniu pewna kobieta mówiła mu o człowieku w pomarańczowym stroju.

– No tak. W branży był spalony nawet u swoich.

– Bryk, gdzie tu masz miejskie przedsiębiorstwo oczyszczania?

– W Darłowie, to na Pierwszego Maja.

– Idziemy. – Brodzki skierował się do wyjścia, ale zatrzymał się.

– Jeszcze jedno. Co dokładnie robił?

– Kto?

– Zapaśnik. Co robił złego?

– Bił gejów.

– A barman, który zaginął, był ciepły?

– W majtki nikomu nie zaglądam.

– Czyżby? – Brodzki nie odpuszczał.

– Nie facetom...

– Od piątku się nie pojawił? – dopytał Leon.

– Nie – uciął właściciel.

– Możesz kupić mu kwiaty – zasugerował Bryk.

– Na przeprosiny? – zaśmiał się właściciel.

– Nie. Na pogrzeb.

Kiedy wychodzili, w holu minęli dziewczynę. Cała się trzęsła, ale trzymała w ręku dowód. Niedawno skończyła osiemnaście lat.

– Trzymaj się od niego z daleka, dziecko. – Brodzki spojrzał jej

głęboko w oczy. – Nigdy nie wiesz, kiedy ostatni raz tańczysz na rurce.

Wsiadli do radiowozu i odjechali. Na wysokości Biedronki przy skrzyżowaniu z Władysława IV Brodzki zobaczył ochroniarza w różowej koszulce.

– Nie wierzę – mruknął pod nosem.

Ochroniarz szedł z kotem na rękach.

Daniel nie mógł zrozumieć, dlaczego media w całej Polsce trąbią o śmierci dwójki ludzi, o których z całą pewnością wiedział, że ich nie zamordował.

Stał na dachu budynku, poprawiając instalację elektryczną i kłął pod nosem.

Całość była planem, którym chciał zaskoczyć Kosmę, zaimponować mu, wyjść z jego cienia. Przełamaniem, jak powiedzieliby komentatorzy tenisowych pojedynków. Wychodziło jednak na to, że transmisja, jaka szła w świat, mocno zakłamywała przebieg spotkania.

Daniel wszedł do środka. Zeskoczył ze stopni i spojrzał w dół. Splunął. Po kilkunastu sekundach usłyszał cichy dźwięk dna, o które uderzyły krople.

Wykręcił znajomy numer telefonu swojego pomocnika, ale ten nie odbierał. Poirytowany podkręcił manometry, których wskaźniki powoli dochodziły do czerwonego rejestru.

Wreszcie, pod wpływem impulsu, włączył kamerę w smartfonie i uruchomił transmisję live na Facebooku.

– Leonie Brodzki, czas tyka. Będę zabijał, dopóki mnie nie złapiesz. Myślicie państwo, że bójka kiboli na autostradzie to przypadek? Nie. Drodzy państwo, to wszystko moja sprawa. Policja nie potrafi zadbać nawet o swoje bezpieczeństwo, skoro ktoś z zewnątrz może wejść na ich fale radiowe i wydawać im polecenia.

Tak, proszę państwa, ja to zrobiłem. A jeśli policja nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa sobie, to co dopiero nam? Grażyna Sędzimir, dziennikarka z telewizji, która śmiała mnie obrażać, przeżyła tylko cudem. Leonie Brodzki, czas tyka. Mam dla ciebie następującą zagadkę: zadanie, ciąg geometryczny. Wyobraź sobie pole szachowe, bo wydaje mi się, że lubisz porównania do szachów... Na pierwsze pole szachownicy połóż jedno ziarno pszenicy, na drugie dwa ziarna, na trzecie cztery i na każde następne pole dwa razy więcej niż na pole poprzednie... Masz czas do północy. Rozwiązanie jest prostsze, niż ci się wydaje. Właściwie to wskazówkę zostawiłem ci na samym początku. Wiecie państwo, że bezpodstawnie zrobiono ze mnie mordercę? Nie zabiłem ani Tomasza Żółtki, ani Sary Brodzkiej. Ale teraz to zrobię. Zrobię to z zimną krwią. Bo Brodzki jest winny.

Daniel zastopował kamerę.

8

Po kilkunastu sekundach w celi Kosmy było trzech strażników. Dwóch trzymało ciało, trzeci odcinał prześcieradło.

– Jak ja, kurwa, nie cierpię breloków. Bo wyglądają jak te jebane breloczki!

– Oddycha?

– Płytko.

– Płytki koleś, to i oddech płytki.

– Dobra, na dół z nim, karetka zaraz będzie.

Kilka minut później Kosma, zapięty w pasy, jechał w karetce pogotowia z maską tlenową na twarzy. Między głosami ratowników a wyciem syreny słyszał strzępki informacji z radia w kabinie.

– Heraklit znów uderzył. Na jego stronie internetowej pojawił się już drugi film. Jak wynika z jego treści, morderca twierdzi, że Sara Brodzka i Tomasz Żółtko żyją.

Na dźwięk tych słów tętno Kosmy Góreckiego się podniosło.

9

– Ilu chłopaków się tu zabiło, Bryk? – spytał Brodzki.

– Czterech. Wszystko samobóje.

– No, jak widać nie.

– Leon, teoria o samobójstwach jest logiczna. Ta historia o zapaśniku... Sam nie wiem. Tutaj nigdy nie dochodziło do morderstw. Brak motywu. Ja nie dokończyłem ci chyba o specyficie Darłówka.

– Kurwa, kto ty, Tony Halik? Będziesz mnie tu obwoził na safari i opowiadał o każdym płotku?

– Nie ciśnieniuj, pierniku. Mówię o tym w kontekście poszukiwań. Też mi zależy na znalezieniu Sary.

Brodzki położył głowę na szybie auta.

– Mów, Roland.

– W lato masz tu kurort. Po sezonie jest dramat. Kiedy wigwamy się zwijają, zostaje tylko wypalone pole.

– I „tańczący z wilkami”? – zadrwił niewinnie Brodzki.

– Ludzie zapierdalają w sezonie, żeby potem przeżyć, kiedy jest zimno i wszystko zamknięte na cztery spusty.

– Depresja kelnerska?

– Coś w tym rodzaju. Tamta trójka skakała zimą i wiosną, Brodzki.

– Tak, Bryk. Ale czwarty do brydza wybrał wrzesień. Nie wierzę, że w tydzień przejechał wszystkie typy, jakie zgarnął w lato, i z żalu

strzelił sobie kąpiel w kanale. No i pozwól, że ci przypomnę, ktoś przewiózł jego ciało do Torunia, przebrał, powiesił. Niezłe tournée, jak na mistrza finezyjnych drinków.

– Skąd wiesz Brodzki, że ten, kto zabrał je do Torunia, miał coś wspólnego ze śmiercią chłopaka? – rzekł, gdy zatrzymali się dwa domy przed budynkiem Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. – Może znalazł trupa.

– Trupy znajdujesz zawsze wtedy, kiedy nie chcesz ich znaleźć. Za dużo przypadków. Zapaśnik maczał w tym palce. Nie zdziwię się, jeśli to owładnięty homofobią narodowiec albo „kryptogej”.

– Zaraz się dowiemy.

Było ciepło. W powietrzu unosił się wymieszany zapach śmieci wszelkiego rodzaju, a z pobliskiego targowiska dochodziły żywe głosy kramarzy i klientów.

– Nie było go już parę dni – zauważył szef przedsiębiorstwa o aparycji człowieka, który całe życie spędził w kolekturze totolotka. Sącył przez słomkę sprite’a z butelki. – A silny byk, przydałby się nam. Turyści potrafią wywalić tony śmieci. Czasem, powiem panu, mam wrażenie, że ludzie kupują rzeczy i wrzucają do śmietnika za jednym zamachem. W kurortach wszystko do konsumpcji jest jednorazowe, a rykoszetem dostają śmieciarze.

– Jego nazwisko? – spytał oschle Bryk.

– Wie pan, że nie wiem? Mówiliśmy na niego „Zapaśnik”. Ma chyba takie pseudo.

– Sprawiał problemy? – dopytywał Brodzki.

Sprawność, z jaką obaj policjanci wymieniali się rolami w dyskusjach, była nad wyraz wysoka. Obaj mieli duże doświadczenie, obaj też mieli specyficzne charaktery. Mimo to z jakiegoś powodu zachowywali się jak wieloletni partnerzy, którzy zjedli zęby na jednej zbrodni.

– A gdzie tam. U nas w robocie potrzeba prawdziwych mężczyzn. Co im nie przeszkadza smród i pot. Którzy mają parę w łapach i za dużo nie myślą.

– Świetna rekomendacja do biura pośrednictwa pracy... –

mruknął Brodzki.

– Niestety więcej nie powiem, tajemnica służbowa...

– O ile wiem, to publiczna spółka za publiczne pieniądze. Mów pan! – pogroził Bryk.

– No więc powiedzmy, że wziął samochód i nie oddał. Mówił, że potrzebuje do przewozu czegoś. No czasem robimy takie myki między nami w pracy, wiadomo, sprzęt nie sprzęt. Ale to już prawie tydzień będzie.

– Duże macie te auta? – ciągnął detektyw.

– Przeróżne. Są nowe, unijne śmieciarki, są i stare ily i kamazy. Wie pan, za komuny to wszystko podlegało pod Trans-Bud. Wszystko, co jeździło i przewoziło po kraju, było państwowe. A gdzie państwowe, tam przydziały. Więc jak się tu w nocy weszło niegdyś, to słychać było takie pykanie... Pyk, Pyk! – Mężczyzna zaśmiał się, ale policjanci najwyraźniej nie podzielali jego entuzjazmu dla wyrażeń dźwiękonaśladowczych. Więc kontynuował: – A to były elektryczne silniczki, które pracowały całą noc i przekręcały w ciężarówkach liczniki. Stan kilometrów się zgadzał, a paliwo znikало. Sprzedawało się je potem taksówkarzom, bo tylko oni mieli samochody. Stare czasy. Dziś ze sprzętu rozliczam się w komputerze i przez tego gnojka mam na czerwono.

– Czy możemy zobaczyć? – spytał Leon.

– I czego jeszcze? – Mężczyzna gwałtownie zmienił ton. Widać, że bronił swojego terytorium i ani myślał ustępować bez odpowiedniej zachęty.

– Chyba nie wiesz, z kim tańczysz – syknął Brodzki.

Jednym ruchem przeskoczył biurko, przycisnął człowieka ciężarem swojego ciała, a ręką chwycił butelkę z napojem. Wstrząsnął nią, zatkał szyjkę palcami, zostawiając tylko wystającą z niej słomkę, i odwróciwszy szklane opakowanie do góry dnem, wepchnął facetowi słomkę do nosa. Siła dwutlenku węgla była piorunująca: napój poszedł ustami, a człowiek omal się nie zadławił, kaszląc jak cudem ocalony topielec.

Brodzki stanął obok Bryka.

– Spytam jeszcze raz. Czy możemy zobaczyć mapę pojazdów? – Leon udawał, że scena z podtapianiem napojem gazowanym nie miała miejsca.

– A proszę... – odparł innym tonem zaczerwieniony mężczyzna i z wymuszonym uśmiechem wpuścił policjantów za biurko. Na ekranie widoczna była cała siatka pojazdów firmowych.

– Co oznaczają te kropki? – dopytywał detektyw.

– To GPS.

– Czy jest tu pojazd, który wziął chłopak?

– Tak, gdzieś tu powinien być... – Mężczyzna grzebał chwilę przy klawiaturze, wciskając klawisze z trudem charakterystycznym u ludzi, którzy zbyt późno i zbyt opornie weszli w epokę komputerów. Widać, że nie miał w tym wprawy. – Dziwne.

– Co dziwne? – spytał Bryk.

– Wychodzi na to, że stoi przed budynkiem.

Brodzki z Brykiem spojrzeli po sobie i natychmiast wybiegli z gabinetu.

– Co to miało być z tą słomką?! – spytał poirytowany Bryk.

– Polecam, puszczanie bańki nosem zawsze działa.

– Ja się pytam, co to miało być, co ty sobie wyobrażałeś, odstawiając taką szopkę w moim mieście?!

– Szczerze? – spytał Brodzki, kiedy przebiegli przez korytarz z paprotkami. – Wyobrażałem sobie, że ja jestem Sprite, a on pragnienie.

Przesadzili patio i po chwili byli na ulicy. Przy wjeździe do bramy istotnie stała ciężarówka – pomarańczowa wywrotka z kogutem na dachu. Ale człowieka o dziwnych uszach nie było.

Leon spojrział w lewo, w prawo. Nie miał dobrego rozeznania w terenie w Darłowie, ale wiedział, które kierunki prowadzą do podstawowych dla niego miejsc. Rzut w lewo, jeszcze raz w prawo. W lewo!

– Patrz! – krzyknął Brodzki.

– Co on robi?! – spytał nerwowo Bryk.

– Właśnie próbuje pozbawić gminę Darłowo jedynego w okolicy radiowozu, kolego.

Maks kończył właśnie zupę pomidorową z kubka, kiedy niezdarnym ruchem upuścił naczynie na blat. Kubek pękł, rozlewając zawartość na biurku.

– Psia kość! – zmartwił się archiwista, usuwając pośpiesznie papiery.

Kiedy przełożywszy je w bezpieczne miejsce, wytarł powierzchnię, wziął z powrotem teczkę. Przypatrywał się jej chwilę, po czym skrzywił twarz w zdziwieniu. Nie lubił nieporządku i luk w materiale, zawsze wywoływało to u niego irytację. Na drugim biegunie archiwistycznego imperatywu było jednak uczucie znane najdawniejszym filozofom. A uczuciem tym było zdziwienie.

Archiwista bardzo lubił się dziwić. Wręcz życzył sobie, by świat podsuwał mu elementy, które mogą go w taki stan poznawczy wpędzić.

I tak oto w stan zdziwienia wpędziła Maksa rozlana chińska zupka. Nie sama w sobie. Nie ulega wątpliwości, że ani jej struktura, ani zapach, ani smak – innymi słowy: żaden z jej atrybutów – nie skłaniały ku refleksjom natury egzystencjalnej.

Co innego jednak dokumenty, które zetknęły się z gorącą cieczą. Pod wpływem temperatury i wilgoci niektóre kartki się wygięły. Dopiero teraz Maks spostrzegł, że w jednym ze skoroszytów pewien dokument miał większą gramaturę papieru niż inne. Kiedy spojrzał na niego pod światło, podskoczył jak oparzony. Były to bowiem

dwie kartki sklezione w jedną.

Nie namyślając się wiele, pobiegł do schodów, by wrócić po pięciu minutach z garnuszkiem zaparzonego w kuchni wrzątku. Nachylił się z dokumentem nad parą i zaczął powoli oddzielać od siebie kartki.

Kiedy mu się to udało, papiery odkryły kolejną tajemnicę. Pomędzy kartkami umieszczone było zdjęcie.

Maks od razu rozpoznał znajdujące się na nim osoby.

W odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów od policjantów postawny mężczyzna w czarnych ogrodniczkach i granatowym, wywinętym golfie podpalał wetkniętą w bak paliwa szmatę. Na widok gliniarzy rzucił się do ucieczki.

– Za nim! – wrzasnął Leon i ruszył pędem. Już po kilkudziesięciu metrach poczuł, że w ostatnich dniach palił zdecydowanie za dużo.

– Mój radiowóz, kurwa!!! – wrzeszczał Bryk. Był już trzydzieści metrów od auta, kiedy – w wyniku wysokiej temperatury, która podziałała na benzynę – samochód wybuchł. Siła eksplozji była tak duża, że szyby w okolicznych budynkach poszły w drobny mak, a sam pojazd wzbił się na kilka metrów w powietrze, wydając w tym ognistym tańcu pojedyncze odgłosy syreny policyjnej, która włączyła się resztkami sił.

Brodzki skręcił w lewo, w ulicę Powstańców Warszawskich, i przebiegł mostkiem nad rzeką. Biegł ile sił w nogach. Przez ramię zauważył, że Bryk dołączył do niego i biegł zaskakująco szybko. Już po kilkudziesięciu metrach policjanci zrównali się ze sobą.

Zapaśnik był monstrualnych rozmiarów człowiekiem, ale widać było, że masa mięśniowa przeszkadza mu w sprincie. Skręcił w lewo, w ulicę Kowalską. Minął rząd kamienic, niskie przybudówki. Kiedy Leon wbiegł w ulicę, zauważył, jak Zapaśnik znika za rozwieszonym na jednym z podwórzy praniem. Dobiegli z Brykiem

do ulicy Pocztowej.

– Gdzie poleciał? – spytał zdyszany detektyw. – Chyba tu...

– Przebiegł przez podwórze! – krzyknął ktoś zza pleców. Policjanci odwrócili się. Był to znany Rolandowi Brykowi pan Janek, lokalny księgarz.

– Rozdzielmy się! Leć przez zaułki, lepiej znasz okolicę. Ja spróbuję odciąć drogę tam! – I rozdzielili się.

„Co za bezczelny gnojek! Czy Daniel przygarnął go ze względu na siłę fizyczną? Bo na pewno nie z powodu sprytu. Czyżby pod nieobecność Kosmy braciszek stawał się hersztem grupy przestępczej, takiej, jaką widział na własne oczy, gdy był dzieckiem? Grupy Elfa?”

Brodzki dobiegł do budynku poczty, gdy w lustrze wiszącym na skrzyżowaniu z ulicą Morską zobaczył postać Zapaśnika. Wybiegł z jakiegoś podwórza i skręcił w lewo. Leon odbezpieczył broń i przywarł do ściany.

Ulice były opustoszałe, zaczynała się na nie wdzierać mgła. Zupełnie jak w finałowej scenie westernu, w której szeryf pojedynkuje się ze zbirem.

Leon skradał się na palcach, patrząc w wypukłą powierzchnię lustra. Podobne wisiały na większości skrzyżowań w tym mieście – wąskie uliczki pociągnięte były jak od linijki. Rogi budynków i wąskie chodniki uniemożliwiały bezpieczne wychylenie się pojazdem zza winkla, bez ryzyka uszkodzenia przedniego zderzaka przez nieoczekiwane nadjeżdżające auto. Stąd lustra.

Był już kilka metrów od Zapaśnika, który powoli wynurzył się z ulicy Morskiej. Drab nie widział policjanta – jednak w tym właśnie momencie trzy metry od siebie usłyszał dźwięk przeładowywanej broni. Odwrócił się w lewo. Leon trzymał go na muszce.

– Gdzie jest Sara, parchu? – wycedził Brodzki.

Zapaśnik zerwał się do ucieczki, ale detektyw wystrzelił dwa pociski pod jego nogi. Mężczyzna podskoczył z przestraszeniem.

– Potańczysz sobie na spacerniku. Gdzie jest Sara, śmieciu? – Leon nie opuszczał broni.

– Za późno...

– Wiem o twoich grzeszkach, skrytojebco. Coś mi się wydaje, że im człowiek bardziej się przed czymś wzbrania, tym bardziej projektuje to na zewnątrz. Skoro mordujesz gejów, to sam musisz lubić chłopców. To dlatego te gwałty analne? Wylewasz sobie ciepły kefir na plecy? Gdzie jest Sara?!

– Już za późno. Daniel wszystko zaplanował.

– Gdzie? Mów! – Brodzki znów strzelił, tym razem muskając kulą o ucho Zapaśnika. – O, wybacz, było takie ładne. Jak różyczka. Gdzie ich trzymacie?

– Pokażę ci – powiedział niskim głosem Zapaśnik i zrobił krok, ale Brodzki znów strzelił w ziemię.

– Nie ruszysz się stąd, dopóki ci nie powiem.

– Są w... – W tym momencie Brodzki zobaczył błysk reflektorów. Wszystko działo się w ułamku sekundy, ale mózg nawet w tak krótkim czasie jest w stanie wyłapać wiele informacji. Jak ta, że w

lustrze zawieszonym nad drogą pojawiają się światła ciężarówki, którą Leon kilka minut temu widział koło radiowozu.

Detektyw trzymał Zapaśnika na muszce i nie widział, co jest za rogiem ulicy. A Zapaśnik tak jak stał przed nim, tak niespodziewanie, został zmieciony przez rozpędzony pojazd, który nadjechał z prawej strony. Siła pędu wielotonowej, pomarańczowej ciężarówki była tak potężna, że ciało wessało się w maskę auta. Gdy pojazd zniknął za lewym rogiem, po kolejnej sekundzie dał się słyszeć szczęk blachy i huk metalu.

Brodzki dobiegł do ulicy Morskiej. Zobaczył pojazd ciężarowy, spowity kłębamii dymu. Pomarańczowy kogut na dachu wywrotki migał cały czas, odbijając się po coraz ciemniejszych ścianach budynków, z okien których wychyliły się głowy gapiów. Mgła rozpuszczała światło w swojej mlecznej zawieszinie.

Leon obiegł ciężarówkę i spojrzał na jej przód.

– Kurwa mać... – wycedził.

Cofnął się dwa kroki, wszedł po stopniach do kabiny pojazdu. Ale kierowcy nie było. Odruchowo zaciągnął się specyficznym zapachem kabiny pojazdu i wyskoczył na jezdnię. Dobiegł sprintem do najbliższego skrzyżowania, spojrzał w każdą stronę, ale siatkę uliczek wypełniała absolutna cisza, którą teraz przeszyło wymowne chrząknięcie. Brodzki spojrzał w górę, w oknach budynku siedziało kilka starszych kobiet.

– Gdzie pobiegł kierowca?! – spytał.

Odpowiedź, jaką usłyszał, była bardzo precyzyjna.

– Tam! – krzyknęły jednym głosem, wskazując każda w przeciwną stronę. Pograżone we mgle uliczki były nieprzeniknione.

– Kurwa mać... – syknął Leon i oparł ręce na udach. Odpalił camela i ruszył w stronę rozbitego auta.

W tej chwili dobiegł Roland Bryk. Był zdyszany. Widok rozbitej ciężarówki go oszołomił. Dość dużo zniszczonych pojazdów jak na cztery minuty z życia małego miasteczka.

– Gdzie Zapaśnik?! – spytał Bryk.

Brodzki odchylił się i spojrzał za zabryzganą krwią maskę wywrotki, która zmiażdżyła ciało chłopaka.

– Miał spotkanie z prasą. – Wypuścił powoli dym.

Mgła coraz bardziej wciskała się między budynki. Zawisła metr nad jezdnią i mlecznym kozuchem przesuwała się nad zmasakrowanymi zwłokami Zapaśnika.

– No to teraz będzie wachał kwiatki nagietka od spodu. Musimy podążyć za ich opadającymi płatkami.

– A gdzie one opadają, policjancie? – spytała mała Jurek. Wyrosła jak spod ziemi. Jej niewielka sylwetka ledwo mieściła się pod mgłą. Wyjęła z wiszącego na szyi polaroidu zdjęcie i wręczyła je Brodzkiemu. – Podczas pościgu zdążyłam zrobić zdjęcie temu kierowcy ciężarówki, co wybiegł...

– Marsz do domu, natychmiast! – Brodzki oburzył się. – Bryk, co to za dzieciak, nie macie tu MOPS-u?

– Wszyscy ją tu znają. Jurek to Jurek. Co nie?

Dziewczynka przybiła Rolandowi żółwika.

Brodzki chwycił wywołane zdjęcie.

– Co to ma być?! Żartujesz sobie ze mnie?

– Ależ nie. Stałam o tam, kiedy przebiegł. Też się zdziwiłam, że ma twoją twarz, policjancie... – Dziecko zdawało się być szczerze. Mówiąc te słowa, kiwała się na boki, jak podczas odpowiedzi przed szkolną tablicą.

– To nie jest śmieszne! – Brodzki z papierosem w ustach schylił się i potrząsnął dzieckiem. – To ja jestem na tym zdjęciu, tak?!

– Piernik, odpuść młodej – przekonywał Bryk, wykonując telefon. – Znalaziono zwłoki, tak. Zgon na miejscu...

„Tracę chyba zmysły. Przecież oczywiste, że to ja. A może to ta cholerna maska? Nie, to nie możliwe, to...”

– Oczywiście, że to ty. – Dziewczynka zrobiła smutną minkę i wzruszyła ramionami.

– Nie rób sobie takich żartów ze mnie, słyszysz?! – Potrząsał nią.
– Nie rób!

– Jurek, nie widzisz, że piernik jest wykończony? Jeszcze chwila i sam się nam tu zawinie.

– Chciałam zrobić tamtemu zdjęcie, ale był za szybki, a ty za wolny, policjancie...

Bryk spojrział na Jurka. Dziewczynka stała, zasłaniając dłońmi oczy.

– Dzieciak, idź stąd, w tej chwili! – Na słowa Leona Jurek niechętnie, ale ruszyła powoli w przeciwną stronę, kopiąc kamyki na ziemi. Brodzki miał kiepski humor, ale nie była to złość, a

nerwy i zmęczenie. Złapał się za obolały kark i spojrzał na papierosa. Dawno zgasł.

– Dzwonił Sergiusz z pato. – Bryk podszedł bliżej Leona. – Pogmerał jeszcze przy tej z Włocławka...

– Patrycji.

– Tak. I znalazł w niej płatki kwiatu nagietka. Nie zgadniesz gdzie...

– W piździe? – Leon odpowiedział w tym samym momencie, w którym padło pytanie.

– Kurwa, naprawdę masz zdolności paranormalne. Najpierw medium, teraz telepatia. Co dalej?

– Najbardziej chciałbym się teleportować do córki, gdziekolwiek jest. Skoro Janka miała kwiat w ustach, a tego trupa widzieliśmy i usta były czyste, musiał być jakiś inny otwór. Nagietek był dość głęboko.

– Nadzabijanie? – odparł od razu Bryk.

Brodzki otworzył oczy szeroko jak dach roadstera.

– Myślisz, że taki glina jak ja nie ogląda seriali kryminalnych? – rzekł darłowski policjant. – Podwójna śmierć, zabieg wywołujący w mordercy dodatkowe bodźce, będący spełnieniem jego seksualnych fantazji. Odcięcie czegoś, wsadzenie czegoś. Taka zabawa w małego modelarza.

– Daj mi chwilę pomyśleć. Nie cierpię robić w trupach. – Brodzki schował twarz w dłoniach i westchnął.

Bryk podszedł do zmiażdżonych zwłok i zaczął grzebać w

ubraniach czegoś, co jeszcze przed chwilą przypominało muskularnego człowieka.

– Wiesz, że powiedzenia „robić w trupach” nie należy brać dosłownie, Roland? – rzucił kpiarsko Leon.

– Wezwałem posiłki ze Sławna. A do wypadku zaraz dojadą strażacy.

– Spokojnie jak na wojnie. Przecież tu po sezonie nic się nie dzieje, jeden sprasowany facet w tę czy tamtą... Bryk?

Miejscowy detektyw go nie słuchał. Dostawszy powiadomienie w telefonie, otworzył aplikację i chwilę przy niej majstrował. Zaraz potem spojrzał wymownie na Brodzkiego.

– Co? No co? – dopytywał Leon. – Wykorzystałeś pakiet minut, że masz minę zbitego psa?

– Leon... – Bryk pobladł. – Jest nowy film Heraklita. Daje ci czas do północy.

Brodzki obejrzał nagranie, z którego wynikało, że Tomek i Sara mogą żyć, i stanął jak wryty.

– A więc kości zostały rzucone. A więc żyją! – Uczucia, jakie targały detektywem Leonem Brodzkim, sytuowały się dokładnie na linii demarkacyjnej radości i strachu. Innymi słowy: sytuacja była przerażająca. – Nie zostało nam wiele czasu. Czuję, że jesteśmy blisko. Byliśmy w zasadzie jeszcze bliżej, ale Zapaśnika zmiotło z powierzchni ziemi. Jeśli autem kierował Daniel, to musi być niedaleko. Nie wytrzymał. Nie doczekał się mojej reakcji emocjonalnej, jego entymemat nie wypalił.

– Gubię się, Leon!

– Przecież mówiłeś, że wiesz, co to entymemat.

– Mówiłem, że znam definicję...

– Kiedy wyeliminujesz przeciwnika, robi się pustka, którą musisz zapełnić. Na miejsce dawnego powstanie nowy wróg, który jednak będzie nierozpoznany, a przez to znacznie niebezpieczniejszy. Przejściowy stan braku przeciwnieństw stwarza rządzącym złudzenie wszechmocy. To prowadzi do szaleństwa i upadku, gdyż nie liczą się oni wtedy z rzeczywistością.

– Przecież to szaleniec, który więzi dwie osoby.

– I właśnie to szaleństwo jest jego słabością. On nie spocznie, póki jego ego nie zostanie połamane. Przy tym miejscu zbrodni kryje się odpowiedź na pytanie, gdzie jest moja córka.

– Brodzki, to nie czasy Agaty Christie.

– Dzięki Bogu. Inaczej dawno mielibyśmy skorbut.

– W dzisiejszych czasach stara szkoła się nie sprawdza. To nie te czasy, że posadysz ludzi w pokoju, zgasisz światło i zapalisz, a potem ustalisz, kto zabił. Zaczekajmy na posiłki i wymyślimy, co dalej.

– Mylisz się. Metodą dedukcji dojdziemy, gdzie jest moja córka. Daniel nie bez powodu to wszystko tak zaaranżował. Zegar tyka, sam słyszałeś. W tym miejscu ukryta jest odpowiedź. Musi być. Musi być!

– Leon, daj spokój...

Ale Brodzki nie słuchał. Z jego oczu biło jakieś dziwne

przeczucie.

Roland Bryk patrzył na toruńskiego glinę trochę z podziwem, a trochę ze współczuciem. Widział, jak jego nowy kompan miota się, próbując znaleźć genialne rozwiązanie w starym stylu.

„Ale czemu się dziwić – myślał Bryk. – skoro przyjechał tutaj sam jak palec jakimś starym gruchotem. Nie przysłano mu żadnego wsparcia. Nie przypominam sobie, żeby dzwonił do niego jego komendant. Rozmawiał tylko z policjantami, którzy chyba mu pomagają na miejscu. Facet jest zrozpaczony, w ciągu kilku dni stracił najważniejsze osoby w swoim życiu. Mam nadzieję, że ma we mnie pomoc, ale to nie są *Kryminalne zagadki Las Vegas*, tylko Darłowo... Tutaj żyje się spokojnym życiem i nie rozwiązuje zagadek morderstw, tak jak nie strzela się z łuków i nie używa miotaczy ognia. Małe miasteczko, małe problemy. Czy naprawdę właśnie tutaj zadekował się ten szaleniec z Torunia? Ilu takich w ogóle się przytrafia w skali kraju, w skali roku? Morderców seryjnych czy wielokrotnych, takich o jasnym planie działania, chytrych i przebiegłych? Ani nie mamy tu techników, ani sprzętu geolokacyjnego. Tak naprawdę sprawę prowadzi prokuratura w Toruniu, tu z Koszalina nikt nie dzwonił. Więc właściwie to bawimy się w podchody jak harcerze. Zupełnie jakby ciągle był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty, a sprawy rozwiązywało się z notesem w jednej ręce i zaciśniętą, boksującą pięścią drugiej. Skończyły się czasy samotnych szeryfów. Nawet ja porzuciłem takie marzenie. Z dawnych marzeń pozostały mi te o wyprawach

na miarę Juliusza Cezara. Za kilka dni o sprawie wszyscy zapomną. Wyjdzie słońce, ludzie wystawią parawany na plaży, Darłówko spowije zapach zapiekaneek i tyle zostanie z mrocznego śledztwa... Biedny Leon. Myśli, że bierze udział w jakiejś genialnej, kryminalnej grze. Tymczasem moim skromnym zdaniem można to porównać do zwykłej gry w chowanego”.

– Leon, myślę, że powinniśmy... – Bryk próbował zacząć rozmowę o nowym planie działania.

– Nie! – odparł Leon i rozłożył ręce na boki z wyciągniętymi palcami wskazującymi ku górze. Tak jak Nicolas Cage w każdym filmie. Znow zaciągnął się zapachem. – Co to za woń?

– Masz na myśli mączkę rybną? To zapach Darłowa.

– Nie. Mam na myśli... – Brodzki pobiegł do kabiny pojazdu, po czym wrócił. – Rozwiązanie mieliśmy cały czas przed nosem.

– Naprawdę? – spytał niedowierzającym tonem Bryk.

– Naprawdę to powinieneś poczytać stare kryminały.

Po chwili szybko ruszyli Morską. I nie było już nikogo.

13

Biegli Morską do ronda, na którym odbili w lewo.

– Nie, tędy chodź. – Brodzki poruszał się teraz po terenie jak stary wyga.

Zakradli się za blok mieszkalny i – nie wychylając się z cienia – dotarli do nabrzeża kanału.

– Daj dłoń. – Leon wyciągnął w stronę Bryka zaciśniętą pięść. Roland podsunął rękę, a Brodzki położył na niej to, co zaciskał w pięści.

– Co to jest, Leon?

– A ty co, nigdy chleba nie jadłeś? Wskazówka.

– Gdzie ją miałeś?

– Cały czas przed nosem, Rolandzie.

Bryk przyjrzał się ziarnu pszenicy na swojej dłoni.

– Znalazłem to na fotelu w kabinie ciężarówki. A teraz spójrz na to. – Leon wyciągnął z kieszeni zdjęcie. Fotografia przedstawiała trójkę ludzi. Bryk od razu poznał na niej Leona i Dagmarę oraz, jak sądził, małą Sarę.

– A patrzemy na nią, ponieważ...? – Brykowi coś już świtało w głowie. Policjanci spojrzeli sobie głęboko w oczy. Leon wiedział, że jego partner za chwilę zrozumie.

Bryk kiwnął w końcu głową i obaj skierowali swój wzrok na drugą stronę kanału. Roland podniósł zdjęcie i porównał je z widokiem.

– Jak brzmi ostatnia zagadka Heraklita? – spytał Brodzki.

– „Na pierwsze pole szachownicy połóż jedno ziarno pszenicy, na drugie dwa ziarna, na trzecie cztery...”

– Znam tę zagadkę. Wymyślił ją człowiek, który zaciekał pewnego króla grą planszową. W zamian mógł zażyczyć sobie, czego chce. Zagadka z pozoru była banalna, ale kiedy rachmistrze obliczyli, ile zboża będzie potrzeba, kiedy wymnoży się kolejne szachowe pola, okazało się, że trzeba by było dwa razy obsiać Ziemię, by uzyskać tyle ziaren, ile chciał ten wynalazca.

– Potężny zapas zboża, Leon.

– A gdzie się trzyma zboże, Rolandzie?

– W elewatorach...

– Oni tam są. Zobacz, mieliśmy to cały czas przed nosem. A ta fotografia... – Brodzki przypomniał sobie wizytę w mieszkaniu Sary i dziwny układ przedmiotów, ze zdjęciem wyeksponowanym na środku biurka. – On mi dał wskazówkę na samym początku. Dał mi znać, gdzie będzie...

– Ale te elewatory to ruina. Idą pod młotek. Jest tam jakieś wyrobisko. Na jednym z elewatorów jest nadajnik... – Bryk, rozmawiając z Brodzkim, chwycił komórkę i próbował się dokądś dodzwonić.

– Nadajnik! Bingo. Afera z konwojem na autostradzie i wejście na policyjną częstotliwość.

– Sławno się nie odzywa. Czekamy na wsparcie? Czy przekraczamy Rubikon jak Juliusz Cezar?

– Idziemy.

– Tak po prostu?

– Nie „tak po prostu”, Bryk. Idziemy uratować komuś życie.

Sprawdzili zapasowe magazynki – mieli po dwa. Każdy po szesnaście nabojów. Bryk miał kolejne szesnaście w pistolecie. Brodzki – mniej o cztery, które wystrzelał w stronę Zapaśnika.

Leon przeładował broń.

Daniel wiedział, że z powodu wypadki Zapaśnika, pewne działania trzeba zintensyfikować. Przejść do planu B.

Zszedł z dachu budynku, przeskoczył czarne schody i spojrzał w głąb elewatora.

Na samym dnie silosu spoczywały nieruchomo dwa ciała z workami na głowie. Oba pogrążone od trzech dni w ciemnościach, mętym powietrzu i ekskrementach. Ciała Sary Brodzkiej i Tomka Żółtki. Choć leżały nieruchomo, ich małe palce stykały się przez cały czas. Nie wiadomo, w której z rąk puls był słabszy.

Manometry wskazywały odpowiednie ciśnienie w pompach podajnika. Nie namyślając się wiele, Daniel wcisnął czerwony przycisk. W pomieszczeniu rozległy się dźwięki załączanej maszynerii. Na samym dole zrzucone z wywrotki zboże zostało podebrane podajnikiem do turbiny, która przenosiła je na górę budynku. Stąd miało być zrzucone do silosu. Grzebiąc na dnie dwójkę ludzi.

Zapaśnika właściwie nie było mu żal. Nie był z niego ani kompan, ani rozmówca. Wykonywał tylko polecenia, nie omieszkując załatwiać po drodze swoich „ciepłych” interesów. Kiedy policjanci wpadli na jego trop, Daniel musiał go zdjąć. Zdjąć, jak zdejmuje się zużyty, śmierdzący but.

Po kilku minutach byli po drugiej stronie kanału. Przesadzili ogrodzenie, minęli żwirownię i dotarli pod czerwony budynek, na którego szczycie migały diody.

Teren pokryty był piaskiem i błotem. W wielu miejscach widoczne były koleiny, w tym jedna dość świeża, pozostawiona przez wielokrotnie krążącą wywrotkę. Bezpośrednio pod budynkiem stała terenowa dacia.

– Co ty robisz? – spytał Brodzki. Bryk chodził wokół auta i dotykał go z różnych stron. – A macasz ten pojazd, bo...

– Zostawiam na nim odciski palców.

– No tyle, kurwa, zauważyłem.

– Widziałem kiedyś taki film o policjantach patrolujących Drogę 66 w Ameryce. I oni, kiedy zatrzymują kogoś do kontroli na międzystanowej, to idąc do pojazdu, dotykają jego tylnego reflektora. Zostawiają odciski na wypadek, gdyby zostali zabici.

– Zabawne. Właśnie coś mi się skojarzyło – powiedział Brodzki, gdy podeszli do rozsuwanych na boki zielonych drzwi. – Darłowo.

– Cieszę się, że się dobrze bawisz. A gdzie w tym żart?

– Darłowo. Dar łowu.

– No to zapolujmy, Brodzki.

– Nie wiem, czy to wyzwanie, czy głupota.

– Czasem jedno żeni się z drugim.

– I wiesz co? Dobrze mi w tym małżeństwie.

Brodzki skinął głową. W oczach Bryka zobaczył rasowy, policyjny błysk.

– Przeczytałem tę *Sztukę wojny*. Mam nadzieję, że jej prawa są ciągle aktualne. Wchodzimy.

Mieli już ruszyć, gdy z telefonu Bryka dobiegł dzwonek. Znów Wagner. *Walkiria*.

– Sorry.

– To mi się akurat podobało tym razem. Jak dobre intro.

– Dlatego mam ten dzwonek. Żeby codziennie mieć dobre intro.

– Boisz się?

– Trochę, a ty?

– Też zawsze trochę się boję. To wyostrza zmysły.

I obaj pojęli w tym momencie, że są do siebie bardziej podobni, niż myśleli.

– Wiesz, co mówił Heraklit? – spytał Brodzki, gdy wspinali się z wycelowaną przed siebie bronią schodami.

– Filozof czy pozeb?

– Filozof. Mówił, mniej więcej, że skoro się urodziliśmy, to chcemy żyć. Jeśli chcemy żyć, to znaczy, że świadomie narażamy się na śmierć. A więc godzimy się z tym, że zostawiamy po sobie dzieci, które też są narażone na śmierć. Cała historia wszechświata. Cała historia ludzkiego życia. Masz dzieci?

Bryk się zatrzymał.

– Bryk?

– Miałem nadzieję, że nigdy nie spytasz. Miałem, syna.

– Miałeś...?

– Zmarł w wieku siedmiu lat.

– Cholera, Roland, przepraszam.

– Widzisz, u mnie filozofia Heraklita działa na opak. Stworzyć dziecko, a potem patrzeć na jego śmierć to największa katorga dla człowieka. Dlatego nie pozwolę, by coś stało się twojej córce.

Brodzki nic nie powiedział, ale słowa Bryka przyjął z uznaniem.

– Spójrz – rzucił detektyw. – Światło na górze!

Sierżant Jacek Nowak pił właśnie kawę, przeglądając stare artykuły prasowe poświęcone gangom Elfa i Banana oraz aferze węglowej, kiedy na telefonie wyskoczyło mu powiadomienie o transmisji live, jaką prowadzi na Facebooku strona o nazwie „Heraklit”. Takie samo powiadomienie widziało siedemset dwanaście tysięcy innych użytkowników, którzy obserwowali tę stronę.

Oczom Nowaka ukazała się na ekranie głęboka wnęka. Odstawił energicznie kubek i przypatrzył się z bliska telefonowi. W środku ekranu dostrzec można było dwa punkciki, kiedy nagle zasłoniła je znana mu twarz Daniela.

– Pora rozpocząć przestawienie. Akt ostatni – wyszeptał morderca i zniknął z kadru. Po chwili zza kamery zaczęły sypać się w dół tysiące ziaren zboża. Wprost na dwójkę uwięzionych daleko w dole ofiar. Była to transmisja live na Facebooku, na stronie „Heraklit”. Oglądających cały czas przybywało, podobnie jak komentarzy: „ale odpał”, „gdzie jest policja!”, „śmierć wrogom ojczyzny!”, „niech ktoś im pomoże!”, „efekt działań PO!”, „no i macie działania ministra Ziobro”...

Nowak zerwał się z krzesła.

– Komendancie! – krzyknął Nowak i pobiegł korytarzem. – Komendancie!

Dobiegł do gabinetu i wparował do pomieszczenia bez pukania.

Wylądowawszy w środku, zapomniał jednak, co chciał powiedzieć. Wszystko to na widok osoby, która siedziała w fotelu i była podejmowana przez Halickiego jako gość.

– Nowak, wyjdź. Mam ważne spotkanie. – Halicki zrugął sierżanta jak sztubaka.

– Ale chodzi o Brodzkiego! – uniósł się zaaferowany Nowak.

– Tym bardziej! – warknął komendant, wymachując rękoma i eksponując plamy potu na błękitnej koszuli.

Chwilę potem Nowak był u Maksa.

– Brodzki ma kłopoty.

– Widziałem, transmitują to wszystkie stacje, ale nikt nie wie, gdzie to jest, Nowak – odpowiedział zasuszony archiwista.

– Nie wiem, czy Daniel to jego jedyne zmartwienie. Byłem przed chwilą u Halickiego. Nie zgadniesz, z kim rozmawiał, co nie...

– No z kim?

– Mogę się mylić, bo to sprawa sprzed lat i widziałem stare zdjęcia...

– Z kim, Nowak?!

– Z takim człowiekiem... w kapeluszu.

– Mało to ludzi nosi kapelusze? – spytał podchwytliwie Maks. – Radzę ci uważać, Jacku. Czuję, że wkrótce wszystko się zmieni.

Nowak nic już nie odpowiedział, tylko wykręcił numer do Brodzkiego. Ten jednak nie odpowiadał.

Na policjantów czekała pułapka. Maksyma Juliusza Cezara, znana jako *veni, vidi, vici*, miała znaleźć zastosowanie tylko w stosunku do dwóch pierwszych członów. Bez zwycięstwa.

Bryk po nastąpieniu na metalowy schodek wpadł do kabiny metalowej windy, która zamknęła się z hukiem. Na Brodzkiego czekała zapadnia, ale uskoczył, chwytając się grubej liny. Wciągnął się po niej na wyższe piętro. Gdy stanął na nogi, w ostatniej chwili uskoczył przed wystrzelonym w jego stronę pociskiem. Huk wystrzału wstrząsnął posadami przeznaczonego do rozbiórki budynku.

Leon oddał strzał zza ściany i utorował sobie drogę do przebiegnięcia kilku metrów w stronę Daniela.

– Musisz być szybki jak wiatr, spokojny jak las – wyszeptał i skoczył na brzuch z pistoletem wyciągniętym przed siebie. Oddał strzał i płynnie przetoczył się na plecach za kolejną ścianę. – Zapalczywy niczym ogień, niewzruszony jak góra, niepoznany jak ciemność, gwałtowny niczym piorun – szeptał, przypominając sobie *Sztukę wojny* Sun Zi.

Przywarł do ściany, nasłuchując odgłosów pomieszczenia. Stał w półcieniu. Wiedział, że Daniel zna teren lepiej. Wiedział, że Daniel jest nieprzewidywalny. A jednak role się poniekąd odwróciły.

„Przełamałem jego entymemat. Maski nałożone na ofiary przyniosły inny efekt od zamierzonego. Opinia publiczna dostała –

nieprawdziwą oczywiście – informację, że są to ciała Sary i Tomka. Choć to porywacz trzymał mnie w szachu, to jego cel nie został osiągnięty. Musiał zmienić działanie. Oszukał własnego brata, zaczął gwiazdorzyć w internecie. Skąd przyszły mu do głowy te ziarenka zboża? Że niby co, miałem mu je, kurwa, policzyć? Na co mu to? Chciał zyskać na czasie i uciec? Nie, na pewno nie. Myślę, że rację ma Marta – chciał zostać złapanym, ale wcześniej, kto wie, zabić mnie? Może to jego największa fantazja seksualna? Nigdy nie zrozumieć, co się kryje w mózgach takich ludzi. Oprócz gówna oczywiście”.

– Witaj w świecie Heraklita! – rzucił z głośników głos.

„Cholera. Zmultiplikowane źródło. Chce mnie wyprowadzić w pole. Głos może być nagrany wcześniej”.

– Myślisz pewnie, czy głos był nagrany wcześniej? To słuchaj tego. – Przez kondygnację przeszedł huk wystrzału z broni. W głośnikach dało się słyszeć sprzęgające się dźwięki.

Na całej kondygnacji porozstawiane były lustra. Kiedy Leon im się przyjrzał, spostrzegł przyklejone do ich zwierciadeł czarno-białe zdjęcia. Były to zdjęcia kobiecych zwłok.

– Ewa P., Teresa L., Anna J. Nic z tego nie rozumiem – bąknął pod nosem Brodzki i skupił się na analizie terenu.

„Brakuje ci pokory, Daniel – myślał Leon – a przed potyczką dobrze jest użyć skromności, by wzbudzić we wrogu pychę. Zmęczyć go wymykaniem się. Gdy będzie nieprzygotowany, zaatakować go i być tam, gdzie się nie spodziewa. Bo gdy prędkość rwącego nurtu

staje się tak wielka, iż woda może przenosić kamienie, wtedy widać siłę impetu. Gdy szybkość lotu sokoła jest taka, że może on uderzyć i zabić ofiarę, widać potęgę dokładności. Podobnie jest z dobrymi wojownikami”.

Poddasze elewatora miało śmierć wypisaną na każdej cegle – zbudowali go w końcu jeńcy wojenni. Pełna niedopowiedzeń przestrzeń specjalnego użytku teraz straszyla niezliczoną ilością wnęk, załamań, wyciągów i zapadni.

W ilu tego typu zaułkach Leon już walczył? Nie policzyłby. Ile razy wchodził w ciemność, w której czaiła się śmierć? Nie opisałby wszystkich przypadków. Ile podejmował prób wyjścia cało z opresji, kiedy szanse na to były marne? Bywało tak niemal zawsze. I niemal zawsze wygrywał tę walkę. Dlaczego? Z powodu tempa. Jak bowiem Leon wiedział, pięćdziesiąt pięć procent szans mają w szachach białe. Te pięć procent ponad równy podział szans w rozgrywce bogini Fortuny to kolejność posunięć. Jeśli dwa równie silne ciosy nie spadną jednocześnie, ten, kogo szczęka zostanie muśnięta pierwsza, upada.

I z tą myślą, z tą świadomością występowania na nieswoim obszarze działań, z gotowością na wszelkie niespodzianki Brodzki ruszył przed siebie.

Nie było to zachowanie łatwe do przewidzenia przez przeciwnika. Daniel mógł sądzić, że Brodzki dłużej wstrzyma się z decyzją, co zrobić. Był na obcym terenie, miał mniej atutów w ręku. Logicznym byłoby wyczekanie, gra na czas. Wystarczy spojrzeć na

pierwszą lepszą walkę bokserów, by spostrzec, że zdecydowaną większość czasu spędzają oni na przygotowaniu ciosu i pracy nóg, a nie na wyprowadzaniu ciosów. Z bokserów robił tak może Jake LaMotta. Z szachistów – Michaił Tal i Robert Fischer.

Zderzenie rękawic było nieuniknione.

W szachach przyjmuje to różne nazwy. W początkowej fazie jest to gambit – krótki, forsowny manewr, zawsze połączony z ofiarą, mający na celu osiągnięcie przewagi materialnej bądź pozycyjnej. Gambity stosują zarówno białe, jak i czarne. Używają ich tylko najodważniejsi gracze. Tacy, którzy mają świadomość, że strata kilku punktów w pierwszej fazie partii jeszcze nic nie znaczy. Liczy się efekt: zdobycie dogodnej pozycji lub przewaga mentalna – miażdżenie przeciwnika presją porażki.

Tak właśnie zrobił Brodzki. Chcąc odzyskać córkę i uratować Tomka, wiedział, że idąc po nich, musi iść jak po swoje. Zaryzykować bez kalkulacji, ruszyć siłą impetu – jak w gambicie.

Ruszył, strzelając po kolei do głośników, z których sączył się trujący głos Heraklita. Jedna kula, druga, piąta. Wcześniej zużył dwie. W magazynku było dwanaście. Zostało pięć.

Daniel pojawił się niespodziewanie za drugim słupem z lewej.

Brodzki strzelił. Cztery kule w magazynku.

Daniel oddał dwa strzały, Brodzki nie zwolnił.

Leon sądził, że ma do przeciwnika około pięciu metrów, ale pomylił się. Na końcu korytarza stało bowiem lustro. Daniel rzucił się na niego z boku, próbując przycelować bronią. Nie miał chyba

jednak w tym wprawu. Detektyw strzelał dużo celniej, poza tym spodziewał się ataku, gdyż rozpoznał wcześniej kierunek, z którego nadleciały kule. Upadli na ziemię. Brodzki złapał go za głowę i przerzucił nad sobą. Daniel był jednak bardzo lekki. Odwinął się szybko i stanął butem na twarzy Leona.

– Ty skur... wy... sy... nu... – cedził Brodzki.

Złapał przeciwnika za stopę i wykręcił z taką siłą, że w nodze aż chrupnęło. Daniel boksował, ale na detektywie kompletnie nie robiło to wrażenia. Przy nim bowiem zbrodniarz był drobny. Wykonywał jednak więcej ruchów od policjanta.

– Chętnie ci coś pokażę, gnojku – wysyczał Brodzki, sprzedając mu prosty podbródkowy.

– Cóż takiego? – Daniel odgiął się, jakby miał korpus z gumy.

– Wnętrze karetki. – I jeszcze raz detektyw natarł na chłopaka.

– Ja też ci chętnie coś pokażę. – Daniel znów się dość niespodziewanie uchylił.

– Niby co?! – Brodzki złapał go za rękę i próbował ją wykręcić.

– Wnętrze trumny! – I na te słowa Daniel wbił mu stalowy pręt w udo.

Adrenalina uderzyła Brodzkiego ze zdwojoną mocą. Przenikliwy ból rany klutej przeszył układ nerwowy zupełnie bez ostrzeżenia, jej siła zamiast pobudzić detektywa, otepiła go na kilka sekund. To wystarczyło, by Daniel go dopadł, złapał pręt i próbował wbić go jeszcze głębiej. Leon złapał jego rękę w ostatniej chwili. Chłopak miał cienkie, ale bardzo silne palce. Mimo to twarde jak kowadło

ręce Brodzkiego odgięły Danielowi palce, a po chwili jego dłoń chrupnęła – detektyw pogruchotał mu kości śródrezcza i w dwóch palcach. Zbrodniarz zawył z bólu. Leon kopnął go z całej siły w twarz – tak że ten poleciał na schody i spadł piętro niżej.

Teraz Brodzki miał chwilę, by wyjąć ciało obce.

„Na szczęście ominęło arterię, ale boli, jak ja pierdolę. Policzę do trzech. Raz, dwa”. Po czym wyrwał pręt. Nie wszedł na szczęście głęboko, rana wyglądała paskudnie, ale nie była groźna.

Leon skoczył do schodów. Daniel zniknął. Detektyw przeładował magazynek w pistolecie. Sprawdził wszystkie kąty, po czym zszedł powoli na dół. To wtedy ręka złapała go za kostkę i runął w dół. W ostatniej chwili zdążył się złapać słupka i uchronić się przed upadkiem na większy tym razem pręt, wystający dokładnie pośrodku najniższego stopnia. Gdyby Brodzki na niego spadł, raczej by tego nie przeżył. Wylądował na obu nogach i wystrzelił dwa pociski w ciemność. Mrok przeszyły iskry – kule trafiły w żelastwo.

– Człowiek bez strategii, który lekceważy sobie przeciwnika, nieuchronnie skończy jako jeniec – krzyknął w przestrzeń. – Tak właśnie skończysz, Danielu. Tatuś na stryczku, mamusia w trumnie, synowie w więzieniu. Rodzina, której nie było. Jak to jest, panie filozofie od istnienia, skonstatować, że się nie istniało?

– Nieee! Heraklit tak nie skończy. Jego filozofia zwycięży! – krzyknął Daniel i wyskoczył z ciemności, z furią atakując Brodzkiego. Uderzył go w rękę metalowym prętem, wytrącając mu

z rąk pistolet. Pozostała im walka wręcz.

„Jak z Kosmą na wieży. Powtórki prześladować mnie będą chyba do końca życia!”

– Nie wiesz o jednej rzeczy, staruszk. Kiedy mówiłem ci, że jesteś winny, nie rzucałem słów na wiatr. Wina to jedno, drugie to kara. Karą jest śmierć Franka, śmierć twojej córki i na końcu twoja. Bo o ile wiem, Sara powinna już leżeć zagrzebana żywcem pod toną zboża.

– Nie wierzę ci, skurwysynu.

– Tu żeś nie trafił. Kurwiarzem był ojciec, ale mamusia była święta.

– Też ją posuwaliście? Ty posuwałeś, a Kosma patrzył? – I rąbnął go w głowę.

– Nie mów tak! – Daniel uniósł wysoko głos, niemal pisnął.

„A więc jednak narcyz. Nie umie oddzielać emocji. Trzeba więc go rozstroić”.

– Bo ja na twoim miejscu bym chyba się zabił. Z takimi problemami w głowie. Głosami. Wizjami. Z tak pojebanymi genami jak możesz być normalny?

– Skończ! – Daniel piszczał jak rozkapryszone dziecko.

Brodzki widział coś takiego pierwszy raz.

– A wiesz, jaka jest wina?! – krzyczał cienkim głosem chłopak.

Leon kopnął go tak mocno, że Danielowi chrupnęło w miednicy. Zachwiał się na stopniu i wyleciał przez okno na zarwany podest.

– Chcesz wiedzieć, co robił twój stary? Myślisz, że robilibyśmy

taki plan, żeby mścić się tylko za starego? Albo za jakiegoś kibica? Ty nic nie rozumiesz, co, Leoś? Nie wiesz, jak zginęła twoja mamusia. Nie zastanowiły cię daty?

Brodzkiemu stanęły przed oczami daty z nagrobka. Obie wskazywały czwarty września.

– Gównu wiesz.

– Ależ wiesz, że chcesz wiedzieć. Teraz ty zagłuszasz swoje geny. A genu nie wydlubiesz, ha ha! Nie wiesz, dlaczego Salomea Brodzka męczyła się w szpitalu? Nie pamiętasz kwiatów? Wskazówką są kwiaty. A Franek? Do rozwiązania zaprowadzą cię fotografie z luster... Jaki ojciec, taki syn.

Brodzki wpadł w furję i go nie słuchał. Doskoczył do platformy i kopnął go w szczękę. Daniel poleciał na plecy.

– Przykro mi, ale Chińczycy wykluczali istnienie filozofii, która nie jest przydatna społecznie. A ty nie jesteś przydatny społecznie, tak samo jak nie jest twój brat.

– Skoro już porównujemy, zrzuciłeś go z wieży, prawda? – spytał Daniel, patrząc w ciemną przestrzeń w dole.

– Sam się prosił.

– Ja się prosić nie będę. Spadnę do wody, a potem ucieknę, by dalej cię straszyć, jak najgorszy koszmar. – Daniel stanął na brzegu gzymsu.

– Nie rób tego.

– No to jak, powtórka? – I chłopak puścił gzyms.

Jeśli w tym momencie spojrzeć na elewator z zewnątrz, można

by dostrzec, jak od szczytu odkleja się niewyraźna plamka i leci coraz szybciej w dół.

Brodzki spodziewał się usłyszeć głośny plusk, ale to nie nastąpiło. Zamiast tego jego uszu dobiegł tępy dźwięk upadku na twardą powierzchnię.

Darłowo nie stało nad taflą gładką jak pamięć lustra. W wielu miejscach tajemnicza sieć kanałów skrywała takie pułapki jak ta – tuż pod powierzchnią wody rozciągała się gładka tafla betonu.

Daniel twierdził, że nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki, ale można do niej wpaść.

Tak też uczynił, ale po tym upadku już się nie podniósł. Zwrócone twarzą do dna ciało broczyło krwią, zupełnie jak we śnie Brodzkiego.

Nie był to jednak koniec pojedynku, bo jego decydująca faza zaczynała się dopiero teraz. Brodzki zeskoczył schodkami na najwyższe piętro wewnątrz budynku. Panował tam olbrzymi huk. Pompa tłocząca z podajnika zboże nie chciała się zatrzymać. Gdzieś w połowie wysokości elewatora w starej windzie utknął Bryk.

Leon spojrzał w głąb silosu.

– Jest tam kto?! – krzyknął, a głos zadudnił kilkakrotnie. – Jest tam kto?!

Maszyna nie dawała się wyłączyć. Ktoś tak przebudował jej tłoczki, że nie było jak przerwać transmisji zboża, które sypało się w głąb walcowatego tunelu. Szukał na oślep przycisków obok manometrów, ale żaden nie wpływał na działanie maszyny.

Wreszcie ostatni z nich niespodziewanie wyłączył oświetlenie wewnątrz elewatora. Gdy Leon spojrział w głąb, zamarł z przerażenia.

Konstrukcja była naprawdę olbrzymia, a jej klaustrofobiczna przestrzeń napawała przerażeniem.

Najgorsze było to co na dnie silosu. Spoczywały tam dwa ciała z workami na głowie.

– Halo!!! Odezwijcie się!!! – krzyczał rozpaczliwie Leon. – Błagam!!!

Ale żaden dźwięk już do niego nie dochodził.

„Czy to tutaj spadła dziewczyna z kanału, łamiąc sobie nogi?” – Mimowolnie przemknęła mu gdzieś przez rozgorączkowaną głowę myśl.

– Nie, kurwa, nie spóźniłem się! Nie zgadzam się!

Rozejrzał się jeszcze raz po piętrze. Wreszcie sięgnął po gruby łańcuch na wielokrążku. Szybko zmiarkował, że jest to dźwig łańcuchowy z hakiem, który – teoretycznie – wisząc nad elewatozem, powinien służyć jako wciągarka sięgająca aż do dna. Łańcuch był masywny, o grubości równej łańcuchom kotwicznym.

Brodzki nie wiedział już, czy patrzy w elewator, czy w studnię przeszłości, czy w dół wykopany w piachu. Nie wiedział, czy to mrok wydm, ciemna toń wody czy czarna otchłań jego własnej duszy. Wszystko kwestią rzędu wielkości... Wiedział natomiast, że tutaj kończy się cała historia. Tutaj styka się południk z równoleżnikiem. Że jest to ten jeden moment, to jedno mgnienie,

które zaważy na tym, że jego rodzina zniknie, tak jak zniknęła rodzina Szabańskich, a może przeciwnie – uratuje ją, nadając wszystkiemu nowy bieg.

Leon policzył do trzech i skoczył w dół, trzymając łańcuch obiema rękoma.

Lecąc w przepaść nie czuł się jak superbohater, a raczej wobec ogromu konstrukcji sprawiał wrażenie nadnaturalnie małej drobiny. Byłaby z tego świetna ramka w komiksie. Tak przynajmniej twierdzili internauci, jacy w liczbie blisko dwustu tysięcy śledzili wciąż na Facebooku transmisję live ze strony Heraklita. Umieszczona nad wnętrzem silosu kamera dawała obraz olbrzymiej wnęki, w którą nieustraszony policjant skoczył niczym kaskader. Stacje telewizyjne prześcigały się w analizowaniu nadawanego obrazu. Próbowano go rozjaśnić, powiększyć, wydobyć kolory. Dla widzów jednak nie były ważne efekty, ale bohater. Ojciec walczący o córkę. Policjant walczący o dobro: Leon Brodzki.

Roland Bryk mocował się właśnie z mechanizmem starej windy, kiedy zobaczył podłużny kształt, który leci na dno silosu niczym kamień rzucony do studni. Z wrażenia głos ugrzął mu w gardle. Była to dla niego scena tak heroiczna i tak nieprawdopodobna, jak skok w przepaść czy wspinaczka po lodowcu bez zabezpieczeń. Ile człowiek zrobi, by nakarmić nadzieję? Ile zrobi, by kogoś uratować? Ile poświęci?

Dla Brodzkiego to była chwila, ale podzielona na tysiące milisekund. Tak jak to dzisiaj się robi na filmach. Kto powiedział,

że dopiero od niedawna świat da się podzielić na pięćdziesiąt, sto albo trzysta klatek na sekundę? Czas zawsze był podzielny tak samo. Po prostu liczyć zaczęliśmy nieco szybciej. A zatem skok Leona był jednym mgnieniem. Trwanie w powietrzu – wiecznością. Momentem, w którym ma uratować Sarę z objęć koszmaru. Jak wtedy, kiedy tonęła, a on biegł nabrzeżem rzeki. „Jakie to profetyczne i jakie to smutne” – myślał.

Kilkanaście metrów ponad dnem mechanizm zaczął automatycznie zwalniać. Był jednak na tyle zaśniedziały, że łańcuchem zaczęło szarpać. Przechyliło Brodzkiego na lewo, odbił się od ściany, ale łańcucha nie puścił. Gdy mechanizm zatrzymał się na dobre, wstrząs szarpnął detektywem tak, że ten runął na ziemię z wysokości pięciu metrów.

Upadek był bolesny. W jednej chwili Leon poczuł wszystkie niezaleczone kontuzje z ostatnich dni.

Dno silosu wypełniło się już kilkudziesięcioma centymetrami zboża.

Brodzki podniósł się i natychmiast doskoczył do pierwszego ciała.

– Sara! – krzyczał, próbując zdjąć jej worek z głowy. Gdy się to w końcu udało, oczom jego ukazała się blada twarz nieprzytomnej dziewczyny z ustami zaklejonymi taśmą. Zdarł ją jednym ruchem.
– Kochanie, ocknij się!

Ale Sara nie reagowała. Przyłożył dwa palce do jej szyi, próbując sprawdzić puls. Czekał kilka sekund. I nic. Jeszcze kilka sekund i

nic. Zamachnął się i spoliczkował ją. Tylko drastyczny ruch miał szansę wybudzić dziewczynę.

Podziałało. Sara zajęczała.

– Jestem, już jestem, skarbie!

Rzucił się do drugiego ciała. Zdjął worek. To był Tomek Żółtko.

– Tomek? Tomek?! – krzyczał. – Żyjesz?

Żółtko krwawił z niedoleczonej rany postrzałowej, którą odniósł w niedzielę. Kula przeszła wtedy na wylot.

– Leon... – wymamrotał Żółtko. – Sara... Czy ona...

– Tak. Jest tu. Muszę was stąd szybko wydostać!

Deszcz zboża nie ustawał, a potok u podstawy silosu gęstniał i gęstniał, utrudniając ruchy nóg. Ciała Sary i Tomka pokryły się już do wysokości korpusu. Pył z sypiących się tysiący ziaren był nie do zniesienia. Dostawał się do oczu i uszu.

– Roland!! Gdzie jesteś?! – krzyknął Brodzki i rzucił się do lufcika, który widoczny był z boku pomieszczenia. Po kilku kopnięciach udało się go wyważyć, ale okazało się, że coś blokuje drzwiczki na zewnątrz.

– Kurwa, Roland, przydaj się na coś!! Gdzie jesteś?! Zginiemy tu!

– Po czym na powrót doskoczył do córki. Siłując się chwilę, wydostał ją spod stosu ziaren, które błyskawicznie przybierały na wadze.

W tym samym czasie sześć pięter wyżej Roland Bryk usiłował wydostać się z szybu windy. Nie mogąc uruchomić mechanizmu, wyszedł przez sufit, przeskoczył na suwnicę i spróbował wdrapać

się na półpiętro.

Bezskutecznie. Wypukłości w ścianie były tak niewielkie, że niepodobna było postawić na nich buty.

Spróbował drugą stroną. Zszedł po kabinie windy i szybko ocenił możliwość zejścia po żeliwnej konstrukcji. Tak, było to możliwe. Zaczął schodzić powoli, uważając na podłoże. Przy trzecim kroku metalowa żerdź złamała się z hukiem. Bryk zawisł na jednej ręce, w ostatniej chwili salwując się upadkiem na wystający kamienny bloczek.

Schodził coraz szybciej.

– Bryk!!! – słyszał z dołu.

– Już idę! Wytrzymajcie! – krzyczał.

Widząc pochylnię, nie namyślał się wiele, zjechał po niej w dół. Widzowie przed ekranami telefonów, komputerów i telewizorów w całej Polsce zamarli.

Bryk dopadł do drzwiczek silosu, którymi przedzierały się na zewnątrz kilogramy zboża. Ich pełne otwarcie uniemożliwiało budowlane rusztowanie. Wbiegł po schodach piętro wyżej, naparł ciałem na rusztowanie, to jednak nie ruszyło.

Nie dał za wygraną.

– Jak to było? Dajcie mi punkt podparcia, a... – mówił pod nosem, szukając odpowiedniego pałaka. W końcu znalazł. Wsadził metalową żerdź w szczelinę między silosem a rusztowaniem i zaparł się z całej siły. Rusztowanie zaczęło się przechylać.

– Aaaa!!! – krzyczał Bryk na skraju wysiłku. – Aaaa!!! – I w

końcu, z wielkim wysiłkiem i wielkim jękiem, przesunął rusztowanie na tyle, że runęło ono w bok.

Zbiegł na dół, otworzył drzwiczki. Ale z przerażeniem zauważył, że zboża jest tak wiele, iż nie może się przez nie przekopać. Doskoczył do opartej pod ścianą łopaty i zaczął nią odgarniać zboże.

– Leon!!! Jesteś?!!! Leon!!!

Nie ustawał w odgarnianiu. Zboże zdawało się nie kończyć.

– Roland!!

W zwałach ziaren udało się wykopać małą szczelinę, przez którą policjanci zobaczyli siebie nawzajem.

– Miło, że wpadłeś, ale chyba jesteśmy w pułapce – krzyczał Leon.

– Niemożliwe!

– Drzwi zasypane!

– Po co wsypuje się tu to zboże? Co się z nim potem robi? Musi być jakieś ujście.

– Podłoga! – wrzasnął Leon. – Nie dokopię się!

– Biegnę na dół. Odsuńcie się na boki. Będę strzelał w zamki, czy co tam jest.

Leon odciągnął Sarę na bok. Jedną ręką złapał ją, a drugą – końcówki drzwiczek, które czuł koniuszkami palców. Jego drugiej ręki trzymał się Tomek.

Huk zboża był nie do wytrzymania. Cała trójka dusiła się pyłem.

Wtedy rozległy się wystrzały i podłoga zadrgała. Wreszcie zawiasy puściły z łoskotem i tony ziaren zaczęły się zasysać do

otworu w podłodze, tworząc wielki lej.

– Trzymaj się mocno, Tomek! – Siła, z jaką zboże zaczęło wypadać z silosu, była olbrzymia. – Nie puszcze was! Aaaa!!! Nie puszcze!!!

Podłoga zapadała się, a cała konstrukcja drgała od wibracji.

Ręka Leona nie wytrzymała. Zdrętwiałe palce, wznając się w drzwiczki, ześlizgnęły się w końcu. Leon zjechał po ziarnach jak po górze śniegu. W ostatniej chwili zaparł się nogą o zawias w podłodze. Dziura w ziemi sięgała blisko dziesięciu metrów.

– Jestem! – krzyknął z drzwi Bryk i złapał Sarę, która osuwała się za Leonem. Poziom zboża obniżył się na tyle, że można było spróbować precyzyjnie się przez drzwiczki. Bryk jednym ruchem wciągnął Sarę i ułożył na ziemi. Dziewczyna zajęczała. Następnie wszedł w otwór i podał rękę Żółtce.

– Gdzie Brodzki?! – krzyknął Roland.

Wtedy dostrzegł w pyle rękę Leona, kurczowo trzymającą się Tomka. Żółtko podał mu dłoń, ten podciągnął się z jękiem. Po chwili cała czwórka wydostała się ze śmiertelnej pułapki.

– Kochanie, kochanie! – Leon doparł do córki. Zdjął kurtkę, otulił ją. – Sara, słońce! – Całował ją po czole i tarł po plecach.

– Tato...

– Jestem!

– Tomek, żyjesz? – Bryk lekko potrząsnął jego ramionami.

– Tak... Tylko nic nie widzę. – Roland dopiero teraz zauważył, że chudy chłopak o aparycji Harry'ego Pottera mrużył oczy. Sara

nie otwierała swoich wcale.

– Skarbie, nic ci nie jest? – szepnął Leon, wtulając się w drżące ciało córki.

Na widok Tomka, nie namyślając się wiele, jego również przytulił.

– Już po wszystkim, dzieciaki. Smok pokonany. Już wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze.

Zaalarmowane przed media służby szybko ustaliły miejsce akcji z nagrania. Kamera Heraklita puściła w świat transmisję z bohaterkiej akcji policjantów. Film z miejsca stał się tak zwanym viralem, udostępnianym i przekazywanym dalej bez końca. Skok Brodzkiego w przepaść miał się stać jednym z popularniejszych nagrań w internecie, osiągając liczbę ponad trzech milionów wyświetleń.

Od strony nabrzeża na miejsce zdarzenia przybyło sześć zastępów straży pożarnej, cztery karetki i połowa sił policji ze Sławna.

Dzięki Bogu, że niektórzy policjanci potrafili sobie radzić bez wsparcia.

Tomka i Sarę opatrzone w karetkach. Jeszcze na miejscu otrzymali wzmacniające kroplówki. Nie odnieśli poważniejszych ran. Dostali nowe ubrania, koce grzewcze i ciepłą herbatę.

W drodze na miejsce był prokurator.

– Gdzie Daniel? – spytał Roland Bryk.

– Jest takie stare chińskie powiedzenie, które mówi, że jak usiądziesz na brzegu, to w końcu zobaczysz, jak ciało twojego wroga wypływa.

– Nie słyszałem tego.

– Wiem, grzebiesz raczej w Plutarchu niż w Konfucjuszu.

– Panie detektywie! – krzyknął młody policjant z drugiej strony kanału. – Coś tu jest!

– Ciekawe co – mruknął do siebie Brodzki i odpalił camela. Trzymał papierosa między drugim i trzecim palcem, masując sobie jednocześnie czoło. Nie trwało długo, gdy poczuł na sobie ciepły wzrok. Spojrzał w stronę karetki. Przykryta kocem grzewczym Sara wtulała się w Tomka Żółtko i patrzyła wzrokiem pełnym miłości w stronę Leona. Pomachał jej, ale linię wzroku przesłonił lekarz, który podszedł zmierzyć dziewczynie puls.

– Brodzki! – krzyknął Roland i pokazał ręką, by ten przyszedł.

Detektyw wstał niechętnie. Strzyknęło mu w lewym kolanie, potem prawym.

„Topielcy, pościgi, a teraz jeszcze maź stawowa. Przydałoby mi się trochę nadmorskiego jodu”.

– Mamy naszego typka. – Roland wskazał na ciało Daniela, unoszące się na wodzie.

– Zdaje się być w swoim naturalnym środowisku. Zawsze był

specjalistą od rzek – uciął Brodzki.

Młody policjant ubrany w wysokie wodery obrócił denata twarzą do wody. Na widok roztrzaskanej potylicy Daniela zwymiotował.

– Mama wie, że bawisz się w policjanta? – zaszydził Brodzki.

– Jak to się stało? – spytał Roland. – Chciał skoczyć do wody i uciec, prawda?

Brodzki nie odpowiedział.

– Skoczył do wody, prawda?! – powtórzył Roland.

– Ktoś mu nie zabezpieczał tyłów – syknął Brodzki, wpatrując się w czerwoną maź wypływającą z czaszki chłopaka. – A ty pomyśl, Roland, o karierze w większym mieście. Myślałem, że z ciebie ni pies, ni wydra. Teraz wiem, że pies.

Roland skinął z szacunkiem.

„Nie poznaję siebie. Od kiedy śmierć jest mi tak obojętna? Chyba od kiedy moi bliscy przestali mi być obojętnymi. Widzę zależność między stanem zagrożenia, miłością i troską a konsekwencją w pokonywaniu przeciwników, by uchronić tych, których kocham. Mój charakter zaczął przejawiać się w działaniu. Problem polega na tym, że szlachetność nie istnieje w próżni. Kochamy, ponieważ mamy emocje. To dlatego po otrzymaniu informacji o porwaniu Sary czułem, jak mi serce pękło. Ta myśl była nie dość precyzyjna. Przez to pęknięcie w ogóle czułem, że to serce mam. Tak jakby świat istniał tylko przez negację. Tęsknota za ojcem – gdy odszedł. Miłość do żony – po rozwodzie. Chyba pora przyzwyczaić się do zbyt późnych refleksji... Emocje popychają nas do uniesień i do zbrodni.

Wujek Szekspir już o tym pisał. To dlatego czułem ulgę, kiedy Kosma leciał ku ziemi. Pamiętam, że zadałem sobie wtedy pytanie: czy gdyby nie było skokochronu na ziemi, też bym go puścił? A czy gdyby chodziło nie o ojca, ale o Sarę, nie zabiłbym go na miejscu? Chyba właśnie odpowiedziałem sobie na to pytanie. Daniel... Nie zmiażdżyłem mu krtani jak czereśni. Nie przebiłem samurajską kataną. Po prostu był w tym pojedynku słabszy, a pojedynek był na śmierć i życie. To morderca, psychopatyczny, seryjny szajbus, który zamordował własną matkę. Albo on, albo ja. I to jest chyba tak, że jego imperatyw wpłynął na mój. W tej scenie, w tym momencie zogniskowała się podstawa naszego życia, a więc wieczne zmaganie ze śmiertelnością. Według badań wielu morderców w ten sposób godzi się ze śmiercią. Tak jak krnąbrni gimnazjaliści, którzy zamykają młodszych kolegów w szkolnej toalecie i każą robić im złe rzeczy, by pokazać im to zło, a potem w oczach swych ofiar to zło – w pewnym sensie – pokonać. Do czego więc zmusiła mnie ta pogoń? Do wyrzeczenia się humanitaryzmu, do zapomnienia o cywilizacji życia. Zmusiła mnie do stanięcia w szranki ze śmiercią. Bez półcieni i półprawd. Śmierć albo życie. Moje lub jego. Wybrałem życie własne i życie bliskich. Nigdy nie wszedłbym na tak wysoką kondygnację elewatora, gdyby ktoś mnie do tego nie zmusił... Gadam do siebie w myślach, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia. Znów zabiłem człowieka. Będę musiał z tym żyć”.

– Tu jest dużo betonu pod lustrem wody. Źle spadniesz i miazga – skwitował Roland.

Zdaje się, że mówił od kilku minut, jednak Brodzki, pogrążony w zmaganiach ze śmiertelnością, nie słyszał go.

– No. – Brodzki wrzucił niedopałek do wody. – Czyli drugi raz do rzeki już nie wejdzie.

Roland zaśmiał się pod nosem, gdy młody policjant w woderach zwymiotował do wody. Widok trupa był nieznośny, woda cuchnęła rybami i mułem.

– Wybaczcie, panowie – krzyknął Brodzki, oddalając się. – Muszę zająć się dla odmiany kimś żywym.

Od ulicy Morskiej jechała mostem stara toyota RAW-4. Auto skręciło na plac przy elewatorach i pognało nabrzeżem Wieprzy. Gdy zatrzymało się z piskiem opon, z wnętrza wyskoczyła Dagmara, trzymając telefon przy uchu.

– Mamo! – krzyknęła Sara z karetki.

– Sara! Mamo, ona żyje! Sara! – Dagmara biegła w stronę córki, krzycząc do telefonu. Po drugiej stronie słuchawki na informacje o wnuczce czekali Wanda i Ignacy Kulwiczcy.

– Proszę się nie ruszać, ma pani kroplówkę... – próbował instruować dziewczynę ratownik. Ale ta go nie słuchała. Jednym ruchem wyrwała przewód z wenflonu, zrzuciła koc z pleców i już, już chciała biec, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zakręciło się jej w głowie i osunęła się na ziemię. Żółtko rzucił się do niej, łapiąc ją tuż przed upadkiem. Sara zamrugała oczami i powoli wstała.

– Sara! – krzyknęła przez łązy Dagmara, kiedy rzuciły się w siebie w objęcia. – Boże, jesteś, jesteś cała! – Dagmara całowała ją po

głowie, a rękami dotykała pleców i ramion, jakby chcąc sprawdzić, czy na pewno stoi przed nią jej córka, cała i zdrowa. – O Boże, Sara, kochanie! Czy jesteś cała? Czy nic ci nie jest? Tak się bałam, tak się bałam!

– Ja też się bałam, mamó. – Sara płakała, wtulając się w szyję Dagmary. – Tata mnie uratował. I Tomek.

– Mamó, ona żyje – szeptała do słuchawki Dagmara. W słuchawce słychać było okrzyki i płacz.

– Babciu, dziadku, nic mi nie jest! – śmiała się przez łyzy Sara.

– Tomek! – Dagmara spojrzała szklanymi oczami na Żółtkę, który pomachał przyjacielsko. Pocałowała córkę w czoło. – Jak dobrze, że nic wam nie jest, dzieciaki. Wiedziałam, że tata cię znajdzie. Mamó, oddzwonię. – I schowała telefon do kieszeni.

Dagmara wtulała Sarę w siebie, jej ręce ani myślały puszczać córki. Sara czuła gorące serce bijące w piersi swojej matki. Tej, która dała jej życie.

– Moja głowa, moje uszka, nosek – szeptała Dagmara, całując córkę po twarzy.

Po chwili dołączył do nich Leon.

– Już dobrze. Już jest dobrze. – Leon objął obie.

Wszyscy zacisnęli mocno oczy, jakby sprawdzając, czy to się im nie śni.

– Wiedziałam, że ją znajdziesz, Leo. – Dagmara pocałowała go w skroń.

– Wiedziałam, że mnie znajdziesz, tato. – Sara przytuliła się do

ojca.

Dagmara obejrzała Leona i dostrzegła opatrunek niedbale założony na udo. Drugą część – bandaż uciskowy – Brodzki trzymał w ręku.

– Na Boga, Leo, przyłóż to! – gorączkowała się Dagmara.

– Tyle to pomoże, co umarłemu kadzidło – zaśmiał się. – Ominęło tętnicę.

– Bez dyskusji!

– Słuchaj mamy – dodała Sara.

Obie pomogły zawiązać mu opatrunek.

– Nie wierzę, że tu jesteśmy, że... – Dagmara próbowała zebrać słowa, ale głos grzązł jej w gardle. – Boże, jak ja was Kocham.

Zza pleców dobiegł ich głos małej dziewczynki:

– Można prosić o uśmiech?

– Cześć, Jurek... Poznajcie się. – Leon pomachał dziewczynce, która uśmiechnęła się do Sary i Dagmary.

– Kto to, tato?

– Przyszła komendantka policji w Darłowie.

– Uśmiech proszę! – krzyknęło dziecko w góralskim kapelusiku.

Sytuacja była dość kuriozalna. Tyle emocji buzowało we wszystkich, tyle łez i śmiechu przez te łzy, że fotografia robiona w tej scenerii przez małe dziecko była ostatnią rzeczą, jakiej można było oczekiwać. Mimo to błysk flesza aparatu polaroid wizję tę urzeczywistnił.

– Żebyście zawsze byli razem, jak na zdjęciu – rzekła

dziewczynka, wyciągając świeżą fotografię z przodu urządzenia. Pomachała nią chwilę w powietrzu, po czym wręczyła Sarze i zasalutowała Brodzkiemu.

Dagmara pogłaskała ją po buzi.

– Odmaszerować, sierzancie Jurek. Prosto do domu! – rozkazał Brodzki.

Jurek zasalutowała i pognała swoimi drobnymi, ale szybszymi od wiatru nogami, po czym zniknęła za zakretem.

– Hej, zobaczcie... – Sara pociągnęła rodziców za ręce.

Zdjęcie powoli się wywoływało. Ciemny kwadrat otoczony białą papieru fotograficznego zaczął nabierać kształtów.

– To zdjęcie... Przecież to... Jesteśmy w tym samym miejscu, co...

– Co na tej fotografii? – Leon przypomniał sobie o zawartości wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej podniszczone zdjęcie i podał córce.

Sara wzięła obie fotografie do ręki i porównała je. Pierwszym zdjęciem było to zrobione przez dziewczynkę. Drugim – to samo, które stało na biurku w mieszkaniu Sary, przedstawiające ją i rodziców nad kanałem w Darłowie.

– Przecież jesteśmy... – zawahała się Sara, jak przed decydującą odpowiedzią w *Familiadzie*.

– Jesteśmy na obu razem – zauważyła Dagmara.

– I w tym samym miejscu! – krzyknęła Sara głosem dziesięciolatki. – Tato, czy to przypadek?

– Nie, to nie przypadek.

– A co, tato, a co? Niesamowite. – Sara nie mogła uwierzyć. – Kręci mi się w głowie... Za dużo emocji.

– To... – Brodzki spojrzał w niebo. – To po prostu powtórka.

– Ostatnia rodzina – bąknęła Sara. – Jak ten film.

– Z tą różnicą, że my żyjemy i aż tak potrzaskani jak Beksińscy nie byliśmy. Nie planuję tego stanu zmieniać. – Leon spojrzał na Dagmarę. – Aż do śmierci.

Byli małżonkowie spojrzeli na siebie. Było w słowach Leona coś z przysięgi małżeńskiej, tak to przynajmniej zabrzmiało Dagmarze.

Znów byli razem. Ostatni raz przytulili się we trójkę po maturze Sary. Był to jej wielki dzień. Ale wtedy Leon i Dagmara na siebie nie patrzyli. Jakże inaczej było teraz. Fala szczęścia, która zalała dopiero co wykopany lej pełen strachu, wpompowywała w krwiobieg Brodzkich dużo endorfin i oksytocyn. Trójka dorosłych ludzi, przecież sobie najbliższych, a jednak przez ostatnie lata jakby obcych, cała trójka stała teraz obok siebie. Rzecz, zdawałoby się, naturalna dla rodzin, a jednak nie tak oczywista w praktyce.

– Musimy panią zabrać do szpitala – zasugerował ratownik, podchodząc do Brodzkich.

– Nigdzie nie jadę! – Sara tupnęła nogą i wtuliła się w rodziców. – Ja chcę do dziadków.

– Jak ona się czuje? – spytała Dagmara. – Jak ty się czujesz, córuś?

– Mówiłam ci, że Curuś to Bachle da jest...

– Państwa córka jest w dobrym stanie. Kilka obtarć. Trzeba uzupełnić elektrolity, zrobić standardowe badania.

– Czy to może poczekać? Te badania? – Sara spojrzała pytająco na rodziców. – Mamo, tato? Zjem u dziadków rosół, wypiję kompot. A jutro obiecuję, że zrobię wszystkie badania, jakie trzeba. Nawet test na inteligencję. Ale dzisiaj chcę być z wami. I z dziadkami. I z Tomkiem.

Dagmara i Leon spojrzeli na Żółtkę. Siedział pod kocem, przepytывał go Roland Bryk.

– To się da załatwić. – Brodzki podszedł do ratownika i wyciągnął paczkę papierosów. – Prawda?

Na nabrzeżu panował coraz większy tłok. Zjeżdżały się pojazdy Żandarmerii Wojskowej i policji ze Sławna. Światła kogutów tworzyły teatr świetlny, odbijając się na wodzie i ścianach pobliskich budynków. Tłumy gapiów gromadziły się na dawnej kładce kutrowskiej, patrząc ze wzruszeniem na Leona, Dagmarę i Sarę Brodzkich. Gdy na nabrzeże próbował przedostać się telewizyjny wóz transmisyjny, to nie policja, ale właśnie darłowianie zatrzymali reporterów.

– Nigdzie nie wjedziecie – zakomenderował niski mężczyzna o wielkich dłoniach. – Jak chcecie łowić, to proszę bardzo w porcie kupić karnet i na Bałtyk. Dorsze, łososie, belony, co dusza pragnie. Tu łowić sensacji nie będziecie. My w Darłowie mamy szacunek do prywatności.

Za mężczyzną murem stanęli kolejni mieszkańcy, którzy zeszli

się z bloków przy Morskiej.

– Chcecie sensacji, to poszukajcie skarbu króla Eryka.

– Jakiego skarbu?! – zapalił się reporter, a oczy mu zabłyśły żądzą sensacji.

– On tak na serio? – spytała mieszkanka pobliskiego bloku.

Tłum spojrział po sobie i wszyscy wybuchli śmiechem.

– Jakiego skarbu?? – powtórzył dziennikarz, a darłowanie jeszcze bardziej się roześmiali. Ich śmiech poniósł się taflą Wieprzy aż do Bałtyku.

Dyplom Leona Brodzkiego za wzorową służbę na rzecz mieszkańców Torunia wciąż leżał na pełnej roztrzaskanego szkła podłodze. Rogi kartki lekko zagięły się od wilgoci.

W miejscu, gdzie – wykazując się przy tym olbrzymią złośliwością – podpisał się niedawno Heraklit, teraz widniała granatowa plama. Atrament rozpląnął się w rozlanej na podłodze przez Brodzkiego wodzie, tak jak krew autora podpisu zasiliła rubinowym barwnikiem wody kanału portowego w Darłowie. A ponieważ według Heraklita filozofa wszystko płynie, to dlatego i sygnatura mordercy rozmyła się w zupełności. Bowiem woda zawsze pokonuje przez ustępowanie. I choć jest miękka, bywa bronią obosieczną.

– Wstępne ustalenia dały ogólny obraz minionych dni – rzekł Leon.

W ciemnym pomieszczeniu z jedną lampką siedział naprzeciwko prokuratora, którego twarz nie wyrażała wiele ponad przenikliwość i bezbarwność.

– Proszę powiedzieć, jak pana zdaniem doszło do zawiązania współpracy między Zapaśnikiem a Danielem.

– Daniel wszedł we współpracę z Zapaśnikiem bez wiedzy Kosmy. Z mojego przesłuchania Kosmy wynika, że ten nie wiedział o planach Daniela. Pomysł z zabawą w maski i zamiany ciał to była tylko jego fantazja. W relacji z bratem zawsze to Daniel był osobą bierną i słabszą. Po aresztowaniu Kosmy role się odwróciły. Zapaśnik działał do tej pory na własną rękę, mordując trzy osoby z pobudek homofobicznych, choć według ustaleń sam był homoseksualistą. Czemu wybór padł na Darłowo? Mogę domniemywać, że miało mieć to związek z historią mojej rodziny. To stąd pochodzi moja żona.

– Żona?

– Była żona. W Toruniu Kosma i Daniel działali podobnie. Moim zdaniem to właśnie Zapaśnik odpowiadał za powieszenie ciała kelnera z maską Żółtki na moście, on zamordował siostrę Klementynę, on zgwałcił dziennikarkę Grażynę Sędzimir, on kursował wywrotką ze zbożem. Tak mogę tylko przypuszczać, bo jest problem z ramami czasowymi.

– Do ram zaraz wrócimy. Jakie było *modus operandi*?

– Daniel nie miał planu. Początkowym *modus operandi* była chęć zemsty na mnie i ojcu. Zostało to poniekąd spełnione wraz ze śmiercią Franka. Dalsze jego działanie było charakterystyczną dla tego typu sprawców chęcią nękania i okrucieństwem, będącymi realizacją fantazji seksualnych. Przykładem na to są jego artystyczne zabiegi z maskami, archetyp czerwonego kapturka i czerwonego koloru, kneblowanie ust, mutylacja, zaczerpnięty z literatury motyw kwiatów.

– Jak pańskim zdaniem przebiegały zdarzenia z udziałem Sary i Tomka?

– Jak ujawnił monitoring, zostali uprowadzeni ze szpitala jeszcze w poniedziałek. Tomka zwabił przebrany za lekarza Daniel, który tuż przed porwaniem wyznał, że jest ojcem noworodka, syna Laury Mostowicz. Dziecko przebywa w tym samym szpitalu. Nie wiadomo, dlaczego Daniel go nie zabrał. Prawdopodobnie nie czuł z nim żadnej więzi emocjonalnej. Ma na tyle niski poziom serotoniny i tak infantylną osobowość, że odruchy ojcowskie w jego głowie nigdy nie istniały. Sama ciąża była zaaranżowana i nastawiona na efekt: poród miał nastąpić pierwszego września, w dniu przejścia przeze mnie na emeryturę. Wreszcie: Daniel uwiódł również Patrycję, przyjaciółkę Laury Mostowicz.

– Proszę wrócić do wątku Sary i Tomka.

– Tomek próbował uratować Sarę, ale został znokautowany przez Zapaśnika. Zostali uprowadzeni i prawdopodobnie

przewiezieni do Darłowa jeszcze tego samego dnia. Problematyczne pozostają ramy czasowe.

– Możemy teraz do nich wrócić. Dlaczego są problematyczne?

– Musieli powiesić ciało kelnera na moście drogowym, podjechać tam ciężarówką. Jest też wątek z poprzedniej niedzieli, śmierć Janki, kobiety, która wykrwawiła się na pręgierzu. W tym czasie trwał pościg za Danielem. Pręgierz był w sąsiedztwie wieży, pod którą porzucono auto, i wkrótce doszło tam do mojej konfrontacji z Kosmą. Pozostaje pytanie, kiedy Daniel zniknął z miejsca zbrodni. A może był trzeci człowiek? Sprawcy musieli również pojawić się w mieszkaniu Sary. Tam na pewno był Zapaśnik, widział go świadek, przebranego w pomarańczowy strój. W mieszkaniu zostawiono w widocznym miejscu fotografię, która – jak się miało okazać – prezentowała miejsce zbrodni.

– Elewator.

– Dokładnie. Tak jak mówiłem, Daniel działał chaotycznie. Angażował się emocjonalnie, zmieniał plan. Chciał grać, być może chciał nawet zostać złapanym lub zginąć.

– Inne szczegóły odnośnie do przetrzymywania Sary i Tomka?

– Dostali jeden posiłek. Daniel nie rozmawiał z nimi, ale masturbował się, patrząc na unieruchomione ciała.

– Czy poczuwa się pan do śmierci Zapaśnika lub Daniela Góreckiego? Czy był pan poczytalny podczas obu zdarzeń?

– Należy rozpatrywać je oddzielnie. Zapaśnik został potrącony przez auto, kierowane prawdopodobnie przez Daniela. Wykaże to

analiza odcisków palców, które prokuratura na miejscu, mam nadzieję, zabezpieczyła...

– A Daniel Górecki?

– Nie został przeze mnie zrzucony. Sam się wyswobodził. Liczył na miękkie lądowanie w wodzie.

– Jest duże podobieństwo między tym, jak pan potraktował obu braci. Obaj spadli z wysokości.

– Jak to mówią: jak spadać, to...

– Proszę odpowiadać na temat.

– Nie ma związku. Z Kosmą była walka wręcz, zakończona upadkiem na skokochron. Daniel spadł na własne życzenie. Chciałbym przypomnieć, że omal nie pozbawił życia dwójki ludzi.

– Nie to jest przedmiotem tej rozmowy. Miga się pan od odpowiedzi. Na szczęście szczegółowe wyjaśnienia złożył Roland Bryk. Jest pan wolny.

– Mogę wracać do Torunia?

– Tak. Sprawę przejmie tamtejsza prokuratura.

– Dziękuję.

Na korytarzu czekali na Leona Dagmara i Roland.

– I jak, kochanie? – Dagmara odruchowo złapała go za rękę.

– Jedźmy do Sary. Są w domu?

– Tak, dziadkowie się nimi zajęli. Roland załatwił patrol policji, który pilnuje domu. Jutro przyjedzie ktoś z Torunia.

Leon przytulił Dagmarę. Ta powoli wypuściła powietrze. Pierwszy raz od kilku dni widział ją w normalnym stanie. Gotową

do działania, empatyczną, skupioną.

– Dzięki, Rolandzie. Napiszę na twoją cześć pieśń.

– Daj spokój... Dobrze, że dzieciaki całe. To był emocjonujący dzień

– Jak miał na imię twój syn? – spytał Leon.

Dagmara spojrzała pytająco.

– Michał. Miał na imię Michał – odrzekł Bryk.

– Byłby z ciebie dumny. Na pewno jest. Jesteś dobrym człowiekiem i świetnym policjantem.

Leon wyciągnął w jego stronę rękę. Choć obaj mężczyźni bardzo próbowali grać twardzieli, ich oczy zaszkliły się szacunkiem, sympatią i całym ładunkiem emocji minionych dni.

– Dziękuję za uratowanie życia mojemu dziecku – powiedział Leon.

– Zrobiłbyś to samo na moim miejscu – odpowiedział Roland, choć wiedział, że w odpowiedzi tej tkwi retoryczny zgrzyt. Bo ojcem już nie był...

Mimo to Brodzki pojął w lot intencję Bryka i skinął głową.

– Naprawdę powinieneś spróbować sił w dużym mieście. Masz nosa, wkułają teorię, nie boisz się. Jesteś prawdziwym psem tropiącym. Przyjedź do nas.

– Pomyślę. Póki co ktoś musi pilnować brezentowych straganów.

– I skarbu króla Eryka? – spytała Dagmara.

– Dokładnie. Jedźcie do domu. Ja muszę załatwić trochę formalności.

– Dobrze, Juliuszu Cezarze. Mówił ci ktoś, że jesteś do niego podobny? – zażartował Leon.

– A mówił ci ktoś, że nazywasz się jak ten rosyjski poeta?

– Z literatury lubię tylko akty zgonu. Chociaż... coraz mniej – poprawił się.

Roland Bryk rozejrzał się po pustej komendzie w Darłowie. Wyglądała tak samo jak dwa dni temu. Pusto, spokojnie i samotnie.

Zgarnął jednym ruchem ulotki, które od wielu tygodni z mozołem układał na stole i wszystkie wrzucił do kosza. Otworzył lodówkę, jej światło omiotło jego sylwetkę. Schylił się, wchodząc twarzą w jego promień. Chwilę się zastanawiał, w końcu sięgnął z dolnej półki książkę.

Była to *Pochwała nudy* Josifa Brodskiego.

Domknął okna, zgasił światło i wyszedł z budynku. Zakłuczył zamek, zszedł po schodkach i nacisnął pilota otwierającego drzwi auta.

Dopiero po chwili zorientował się, że przed komisariatem są namalowane na jezdni cztery koperty przeznaczone na pojazdy policji, ale radiowozu nie ma ani jednego. Ostatni wybuchł dzisiaj w południe na ulicy Pierwszego Maja.

– Czy ja tu komuś w ogóle jestem potrzebny? – zaśmiał się do siebie.

Bryk rozejrzał się na boki. Przerzucił kurtkę przez ramię, trzymając ją palcem za szlufkę, i odszedł w głąb ulicy Rzemieślniczej, podrzucając kluczyki. Nocną ciszę śpiących uliczek Darłowa przerwała przytłumiona muzyka, sącząca się z telefonu policjanta. Była to *Walkiria* Richarda Wagnera.

Leon cicho przekręcił klucz w zamku. Jak wtedy, kiedy wracali z Dagmarą z plaży, na której czekali świtu. Były to te same drzwi i ten sam klucz. I tak samo jak dwadzieścia pięć lat temu w kuchni paliło się światło.

Dagmara i Leon zdjęli buty i ruszyli przez pogrążony w ciszy dom. Podłoga od czasów szalonej młodości została wygłuszona miękką wykładziną. Taka drobnostka świadcząca o upływającym czasie i zmieniających się potrzebach starzejących się ludzi, typu ciepła posadzka i brak szmerów, które z wiekiem przeszkadzają coraz bardziej.

W kuchni, przy piekarniku Wanda Kulwicka bujała się w wiklinowym fotelu. Miała na sobie fartuch, w dłoniach trzymała rękawicę kuchenną.

– Śpi? – spytał Leon.

– Nie. Czuwa. Jak Westa – odparła Dagmara.

Znów czuli się, jakby mieli o połowę lat mniej. Ten sam dom, te same linie papilarne, te same spojrzenia i uśmiechy. Tylko życie trochę bardziej zaawansowane.

Po Dagmarze nie było jednak widać upływu lat. Była tym typem kobiety, która między dwudziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia nabiera jedynie blasku, piękniejąc z każdym rokiem. To dlatego Leon znów czuł się przy niej jak uczeń, a zapach jej włosów i delikatna skóra na szyi onieśmiały go. Tak, Leona

onieśmielała jego była żona.

Sara spała na ramieniu Tomka. Usnęli na kanapie w salonie, podobnie jak dziadek Ignacy, który drzemał w najlepszym w bujanym fotelu. Obrazek można byłoby uznać za sielski, a jego sielskość intensyfikował palący się kominek. Był to jednak kominek elektryczny, płonący trójwymiarowym blaskiem imitowanych iskier.

A jednak kiedy Leon i Dagmara stanęli w drzwiach salonu, wzruszenie i przejęcie podeszły im do gardeł.

Leon poczuł skurcz w okolicach oczu. Taki, jaki idzie prosto od serca. Jaki zdarza się od porywu miłości. Dagmarę ścisnęło w krtani.

Nawet nie zauważyli, że stali, trzymając się za ręce. Patrzyli na cichy i spokojny obraz domu, który właśnie tak miał wyglądać w przyszłości, zaplanowanej dawno temu. Miał to być wielopokoleniowy dom, w którym każda generacja ma swoje prawa, obowiązki i rozterki. Dom, w którym dziadkowie zostawiają protezę w szklance na pralce, a wnuki szczękiem zamka budzą o piątej rano. Dom rodzicielskich sprzeczek, dziecięcych naiwności, dom spokoju jego nestorów.

– Gdzie popełniliśmy błąd? – spytała cicho Dagmara. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Każdy dom ma burzliwą przeszłość. Jakąś w każdym razie przeszłość – zawsze. Kto nie ma przeszłości? – spytał Leon głosem, jakiego Dagmara nie słyszała od lat.

– Ludzie z alzheimerem? – spytała równie serio i dopiero po kilku sekundach oboje zorientowali się z absurdu tej odpowiedzi. Wybuchli cichym śmiechem, który urwał się nagle jak za ostrym cięciem. Dagmara wtuliła się w ramiona byłego męża, a on przytulił ją tak zdecydowanym gestem, jak ci z ludzi, którzy umieli kochać kogoś najprawdziwszą, dojrzałą miłością.

Jej usta drżały, łzy spływały po nosie. Próbowwała uspokoić oddech, ale łomoczące serce nie dawało jej wielkiego pola manewru.

Leon nie zamierzał jej puszczać. Widok śpiącej Sary i bliskość Dagmary przepełniały go szczęściem, którego nie zaznał od bardzo dawna.

– Jaki ja byłem głupi. Jaki ja byłem głupi, kochanie. Jaki ja byłem głupi... – powtarzał, patrząc na córkę.

– Już dobrze.

– Co „dobrze”?

– Dobrze, że jesteś głupi. Ja też czasem jestem głupia. To takie prawdziwe.

Trudno opisać uczucie, jakie towarzyszy człowiekowi w momencie, kiedy ponownie trzyma w ręku coś, co kiedyś z rąk wypuścił. Zwłaszcza jeśli jest to coś najcenniejszego, najbardziej kruchego, najlepszego.

– Jaki ja byłem głupi.

Dagmara podniosła głowę i spojrzała na Leona.

Wiele razy patrzyła w jego oczy, ale po raz pierwszy wyglądały właśnie w ten sposób. Były to oczy człowieka przepełnionego

dobrem.

Dagmara przytknęła dłoń do ust ze wzruszenia. Gdyby spytać ich, jak długo tam stali, mieliby problem z oszacowaniem. Mogło to być pięć minut. Mogła to być godzina. A mogło to być mgnienie.

– Wiesz, że kiedy przychodziła czasem do nas w nocy i nas budziła...

– Pamiętam.

– To przysiągłem sobie wtedy, że gdy dorosnie, obudzę ją właśnie w samym środku nocy i też spytam, czy wie, gdzie jest moja skarpetka.

Dagmara zaczęła chichotać przez łzy. Brodzki przycisnął ją do siebie.

– Ciii... bo ich obudzisz. – Sam również próbował się opanować. – Naprawdę, zrobię to. Taka mała zemsta.

Śmiali się jak nastolatkwie. Ich systemy nerwowe, jak po wyładowaniu elektrycznym, manewrowały diodami po wszystkich rejestrach emocji.

Dagmara pocałowała słoną łzę na nosie Leona i ruszyła schodami do góry.

Sara zamruczała przez sen i jeszcze bardziej wtuliła się w Tomka. Ten otworzył lekko oczy. Poprawił jej włosy, wtedy też spostrzegł Leona patrzącego na niego z drzwi. Ich spojrzenie zawiesiło się w cichej przestrzeni nocnego domu. Spojrzenie dwóch mężczyzn, którzy uratowali życie tej samej kobiecie. Obaj ją kochali i dla obu była najważniejsza.

Przez chwilę było w tym spojrzeniu coś z pojedyńku, ale Leon wiedział, że Tomek nie musi mu już nigdy nic udowadniać. Teraz bowiem i jego kochał, jak własnego syna. Żółtko próbował utrzymać podniesione powieki, ale zmęczenie wzięło górę. Po sześciu sekundach spał, podobnie jak dziewczyna na jego ramieniu.

Brodzki odwrócił się w stronę schodów. Na ich szczyt padało blade, mandarynkowe światło dochodzące z uchylonych drzwi sypialni.

Wszedł cicho po obitych miękkim materiałem stopniach. W szparze między drzwiami a futryną dostrzegł Dagmarę, zdejmującą przed lusterkim kolczyki.

Odwróciła się w jego stronę. Patrzyli na siebie bardzo długo. W spojrzeniu tym zakłęte były ich wszystkie dotychczasowe pocałunki. I wtedy zapragnęli kolejnego.

9 WRZEŚNIA 2016

Leon i Dagmara długo patrzyli na horyzont, gdzie morze i niebo spotykały się na błękitnym szyciu. Pirackich korwet ani dzieci kapitana Granta – nie zaobserwowano. Wygnanego z Mediolanu Prospera także nie. Tylko spokojny błękit falujący jak w lustrzanym odbiciu migotał niepewnym jutrem.

Po wejściu na plażę w Darłównku Wschodnim i spojrzeniu w prawo dostrzec można było ich dwie sylwetki. Z oddali wyglądały zupełnie jak Beata Tyszkiewicz i Andrzej Łapicki na fotosie z filmu *Naprawdę wczoraj*, który wisi w darłowskim Kinie „Bajka”.

– Dziwne to miejsce, w którym żyjesz. Z tym królem Erykiem, mgłą, kanałami, zamkiem. – Brodzki spojrzał wymownie na Dagmarę. – W Toruniu byłoby ci lepiej.

– Każdy z horyzontu wyczytuje coś innego, Leo.

– Ja wyczytuję głównie z ludzi. Niektórych można czytać jak otwarte księgi – mówił, nie odrywając wzroku od byłej żony. Słońce ogrzewało promieniami jej twarz o drobnym nosie i skrzących się piegach. Brodzki powoli wybaczał naturze, z którą od kilku dni miał na pieńku. – Ale tu jest inaczej. Darłowo to miasto sekretów.

– A co z twoim?

– Zabieram go z powrotem do Torunia. Tak jak ciebie.

Dagmara nie odpowiedziała, pozwalając wiatrowi omiatać jej twarz.

– I wyjeżdżam stąd mądrzejszy o kilka rzeczy – kontynuował. –

Spokojniejszy.

– Być może odkryłeś tu prawdę znaną od antyku.

– Jaką, Dagmaro?

– Że uprawianie cnót kształtuje charakter i pozwala nam rozkwitać, nam jako ludziom. I dostałeś zapłatę w postaci dobrego samopoczucia. Bo dobrze się czujesz?

– Po uratowaniu Sary? Nad wyraz dobrze. – Brodzki pierwszy raz od dawna uśmiechnął się szczerze. – Po ostatniej nocy też.

– Prawda daje spokój, którego zawsze ci brakowało, Leo. Uwalnia od wyrzutów sumienia, od neurotycznych gier...

– Entymematów.

– Coś w tym rodzaju. Kiedy byłeś ostatnio na plaży?

– Ostatnio? Tylko we śnie. Z dwojga złego wolę jednak koszmary po tamtej stronie.

– Tęsknota uderza w oczy jak piasek, wiesz, Leo?

– Wiem, Daga – odparł, łapiąc ją za dłoń. – Wiem.

Dagmara odwróciła się przez ramię i spojrzała w kierunku auta. Snop światła z reflektorów przecinały podrywane przez wiatr drobiny piasku.

2

Na placu przed Hotelem Apollo stała policyjna kia i taksówka należąca do Henryka, oba auta były na toruńskich tablicach.

Dmący od morza wiatr wdzierał się w szczeliny blachy fiata 125p z milionami ziarenek piasku, ale wewnątrz pojazdu panowała cisza. Sara leżała przykryta wełnianym kocem na tylnej kanapie i przyglądała się stojącemu na zewnątrz Tomkowi. Czuła, że chce na niego patrzeć bezustannie. Być przy nim, nie opuszczać go ani na krok.

Aspirant Żółtko i sierżant Jacek Nowak, który przejechał o świcie, by ich eskortować w drodze powrotnej, rozmawiali jak starzy przyjaciele, opierając się o maskę wozu.

– Jeśli wcześniej byłeś pogrobowcem, bo urodziłeś się po śmierci ojca... to jak nazwać cię teraz? Przedgrobowcem? Żółtek, myśmy myśleli, że już po tobie, rozumiesz?! – gorączkował się Nowak.

– Przyznaję, że miałem podobne myśli. Takie życie. Ale jesteśmy tu. – W słowach chłopaka nie było wiele entuzjazmu. Zdołał jednak wykrzesać z siebie lekki uśmiech na widok partnera z komendy. – Jak na froncie?

– Stary, ja tego nie ogarniam. Mam po prostu takie, jakby to nazwać...

– Przeczucie?

– O właśnie, tego słowa szukałem, co nie. Intuicję taką. Poszukałem przez ostatnie parę dni. Nie mogę jeszcze tego

poskładać do kupy. Ty byś wiedział lepiej, dobry jesteś w te klocki.

– Wiem, że jesteś w stanie poskładać wszystko. W końcu kto, jak nie mój partner, nie?

Klepnął Nowaka w ramię. Obaj zaśmiali się serdecznie.

– Co z Halickim? Myślałem, że tu przyjedzie – kontynuował Żółtko.

– Coś mu się w dupie poprzewracało. – Nowak odruchowo ściszył głos, jak to bywa w momentach wypowiedzania opinii na temat osób trzecich. – Miał iść na emeryturę, teraz go pchają na wojewódzkiego. A najgorsze, że on coś kombinuje.

– Co? – spytał Żółtko, na co Nowak pokazał palcem na swoją skroń. – A, rozumiem. Twoja intuicja.

– Wróć szybko do zdrowia, Żółtek, potrzebujemy ciebie. Ja, Leon, Maks.

– Gotowi do drogi? – spytał Leon, kiedy nadeszli z Dagmarą od plaży. Tomek zauważył kątem oka, że szli trzymając się za ręce, ale puścili je tuż przed budynkiem hotelu.

Wsiadli do pojazdu. Dagmara z przodu, a Żółtko na szerokiej, tylnej kanapie. Sara przebudziła się na chwilę, po czym położyła głowę na jego ramieniu i znów zamknęła powieki.

– Będziesz naszymi oczami? – spytał Leon Nowaka, stojącego przy aucie.

– *Follow me.* – Nowak zasalutował z werwą.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy zjeżdżać z konwojem na jakieś parkingi pełne kibiców – zaśmiał się Brodzki.

– Plan wycieczki przewiduje tylko punkty widokowe. Ostatni przystanek: maszt nadajnika Radia Maryja – żartował Nowak. – Co nie, Żółtek?

Tomek uśmiechnął się z grymasem i kiwnął głową.

Dagmara cały czas patrzyła na Leona z uwagą. Widziała na jego twarzy te same cechy, za które pokochała go dawno temu. Dobro, odwagę, ciepło. Widziała jego siłę, którą zawsze emanował na wszystko dookoła. Siłę, która kilka lat temu przygasła, by wrócić w decydującym momencie, gdy zagrożone zostało życie Sary. Znów miał ten błysk w oku, tę pewność w pociągnięciach ruchów, tę uwagę i ten luz. Znów był tym człowiekiem, którego wybrała kiedyś na męża. Magnetycznym Leonem Brodzkim.

– Jedźmy już stąd. Jedźmy. Do Torunia. – Brodzki po raz ostatni omiótł wzrokiem morski horyzont i odpalił silnik. Po chwili auta wykręciły na promenadzie i ruszyły, znikając w tumanach piasku za Hotelem Apollo.

Czerwono-zielone sygnalizatory awanportu dawały znać chowającym się przed sztormem statkom. Nadciągała burza, a wszyscy w Darłowie wiedzieli, że przy takiej pogodzie deszcz pada tutaj poziomo. Jak w *Burzy* Szekspira.

3

Sara i Tomek nie usiedzieli długo na obserwacji w szpitalu na toruńskich Bielanach, dokąd odwiózł ich Leon prosto z trasy z Darłowa. Musiał wcześniej jednak sforsować szlaban, który ochroniarz podniósł niechętnie. Trwała rozbudowa placówki, wszędzie walały się materiały budowlane, a władze szpitala najwyraźniej bardziej dbały o zapasy cegieł niż zdrowie przybywających pacjentów. Gdy fiat i eskortujący ich radiowóz odjechały, młodych skierowano na badania.

– Czy... – Leon zawahał się.

– Nie, Leo. Jedź, załatwiał swoje sprawy. Ja pokręcę się przy dzieciakach, wezmę hotel. – Dagmara uśmiechnęła się tajemniczo, ale Leon nie znalazł w tym uśmiechu tego, czego szukał. Bezgranicznej miłości i oddania. Czuł, że Dagmara się boi.

4

Do ochrony sali, w której położono Tomka i Sarę, przydzielono młodego policjanta, oddelegowanego do Torunia z Bydgoszczy. Był prosto po akademii. Gdy Tomek na niego spojrział, zdał sobie sprawę, jak długą drogę sam pokonał przez ostatnie dni. Jak daleko było mu od tego, kim jest dziś, do siebie samego z pierwszego dnia służby w Toruniu, wypisującego mandat na skrzyżowaniu przy hotelu Merkury. Dziś miał na koncie uratowanie życia dziecka, pogoń przez osiedle Dębowa Góra, rozpracowanie monitoringu, odkrycie powiązań w sprawie, policyjny pościg, ranę postrzałową. A nawet własną śmierć. Zwłaszcza to ostatnie było solidną kartą przetargową w każdej rozmowie na temat zdobytego doświadczenia.

Gdy pilnujący sali policjant poszedł po kawę, Sara i Tomek wymknęli się na oddział noworodkowy. Za szybą zobaczyli niepozorne dzieciątko, Żółtko rozpoznał je od razu. Czy to małe i bezbronne dziecko mogło wiedzieć, że jego narodziny stały się początkiem koszmaru, któremu ono nie było winne?

– Mój bliźniak, Tomasz Pogrobowiec Pierwszy – zaśmiał się Żółtko.

Był to pierwszy raz, kiedy Tomek odetchnął. Porwanie nie należy do najprzyjemniejszych wydarzeń. Nawet policjantowi, nawet komuś, kto widział śmierć i krew, takie zdarzenie musi wryć się w pamięć. Do tego jeszcze wisielec, wnętrzności, odcinanie

pępowiny od żyjącego dziecka...

Dramatyczne i drastyczne sceny zawsze zapadają w pamięć.

Niewiele rozmawiał o wczorajszym dniu z Leonem. Brodzki w każdym goście wobec niego wyrażał szacunek, troskę i podziw. On z kolei myślał o Sarze, o ile do głosu nie dochodziły bóle ciała. Dziura po ranie goiła się szybko, ale kilkudniowe „wakacje” w elewatorze regeneracji nie przyspieszyły.

Dla Sary był oparciem. To jego obecność pomogła jej przetrwać i – choć w małym stopniu – oszczędzić traumy i wszystkich faz stresogennej sytuacji.

Zdziwił się, jak dobrze to zniosła. Jak na dziewczynę, jak na młodą dziewczynę. Może coś z surowego wychowania Leona Brodzkiego przydało się w tej ekstremalnej sytuacji...?

W szpitalu niewiele osób wiedziało, kim są – i to im odpowiadało. Ta cisza. Podobnie jak Sara, także on przez krótki czas był oficjalnie uznany za zmarłego, teraz nie spieszyło im się do powrotu z zaświatów. Przez tę krótką chwilę Sara i Tomek pozostawali zawieszani między życiem a śmiercią i ta perspektywa w tym momencie im nie przeszkadzała. A jedno, co wiedzieli, to to, że im większe brzemie człowieka, tym jego życie prawdziwsze i bliższe ziemi. Wiedzieli też, że wspólne przeżycia połączyły ich na zawsze. Harry’ego Pottera i Hermionę.

Tomek chciał się przygotować. Wrócić, gdy będzie w formie. A czy był tym samym Tomkiem, który gonił Dżokera, i tym, który uratował Brodzkiego spod kół pojazdu? Tak. Wciąż był

Cyrenejczykiem, jak nazwał go Leon. Żółtkiem, jak nazwał go Nowak.

Wrócili do sali, kiedy policjant gorączkowo sprawdzał pomieszczenie.

– Gdzie byliście?! Nie możecie opuszczać pokoju! – wykrzykiwał, jakby uczestniczył w pierwszej w życiu grze w podchody.

– Myśleliśmy, że chcesz kawę, poszliśmy do automatu... – śmiała się Sara.

– To nie jest zabawne!

– W porządku. – Żółtko położył mu rękę na ramieniu. – Wracaj na korytarz i zapomnij o wszystkim. Gdybyś się zgubił, będziemy tutaj.

– Gdzie jest obstawa?! – zagrzmiało na korytarzu.

Słychać było narastający odgłos kroków. Do sali energicznie weszli komendant Halicki z prezydentem miasta Michałem Nalewskim. Za nimi drobiła rzeczniczka prasowa, zasłonięta wielkim bukietem hortensji i koszem wiktuałów.

– Gdzie jest obstawa?! – powtórzył Halicki.

– Tutaj, komendancie – odparł Żółtko, kładąc się na łóżku. – Próbowaliśmy wyjść z sali, ale ten policjant wytłumaczył nam, że nie możemy się nigdzie oddalać. Pod jego okiem nawet mysz się nie prześlizgnie.

– Już mi stąd – zrugął policjanta Halicki.

Chłopak posłusznie wybiegł z sali.

– Cześć, Tomek, jak się czujesz? – spytał troskliwie komendant,

klepiąc Żółtkę po ramieniu. Ten spojrzał wymownie na Sarę.

Halicki zwykł raczej rugać Żółtkę jak sztubaka, a ich ostatnie spotkania nie należały do miłych. Zwłaszcza kiedy Tomek z Brodzkim odwiedzili komendanta pod osłoną nocy, by oznajmić mu, że wiedzą, iż znał Laurę Mostowicz – ofiarę, od której śmierci zaczęła się cała „powtórka Brodzkiego”, a która była spokrewniona z Halickim, ale ten nie puścił pary z ust. Gdy Żółtko trafił na trop, Halicki mydlił mu oczy nagrodą za uratowanie życia noworodkowi. Wreszcie to sam Halicki nie wezwał prokuratora, kiedy znaleziono ciało rzekomo należące do Tomka i to on sam stwierdził, że ciało to faktycznie należy do Żółtki. Mimo że w rzeczywistości miało na twarz nałożoną silikonową maskę.

Tak, ani Żółtko, ani Sara nie mieli dobrego zdania o Halickim, więc tym większe zdziwienie wzbudziło w nich jego przejęcie.

– Dziękuję. Żyję, jeśli pan zauważył – dociął mu Tomek. – Można powiedzieć: zmartwychwstałem.

– Błyskotliwy jak zawsze – odparł z przyklejonym uśmiechem komendant. – Panie prezydencie, to jest ten dzielny policjant wyznaczony do nagrody.

– Następca Brodzkiego, co? Jesteś wzorem dla młodzieży i godnym naśladowania przykładem wzorowej służby na rzecz mieszkańców tego miasta – powiedział na jednym oddechu sternik miasta. Obdarzony był solidnym wzrostem, więc jego sylwetka górowała tak nad Halickim, jak i nad leżącym na łóżku hospitalizowanym Tomkiem Żółtką.

– Dałabym głowę, że tak samo napisane jest na dyplomie, jaki otrzymał mój tata – wycedziła Sara. – Czy jego też spotka nagroda? Panie prezydencie, to on uratował nam życie.

– Tak, słyszałem, słyszałem... – Prezydent nie był zachwycony wątkiem Leona Brodzkiego. – Niemniej to w młodzieży widzimy przyszłość tego kraju. Chciałem wam osobiście pogratulować w imieniu mieszkańców Torunia. – Tu spojrział karcąco na rzeczniczkę, która podskoczyła jak oparzona i podbiegła z kwiatami i koszem słodczy. Prezydent przejął od niej pakunki. – Proszę bardzo, na osłodę kosz toruńskich pierników.

– Panie prezydencie... – zaczął Żółtko, ale Sara przerwała mu. Spojrzała na niego wymownie, jak żona, po czym wstała i uścisnęła rękę prezydenta.

– Dziękujemy w imieniu naszym i mojego taty.

– To jemu powinien wręczyć pan te kwiaty – rzucił Żółtko. – Gdyby nie Leon Brodzki, wieźliby dziś państwo nie bukiet, tylko całą ciężarówkę wieńców.

5

Na biurku Brodzkiego pojawiła się przeszłość. Zmaterializowała się pod postacią przedmiotów, na które czekał od kilku dni.

Były to rzeczy po ojcu, przesłane z ośrodka, w którym Franek spędził ostatnie miesiące swojego życia. Notes, ubrania, zardzewiałe żyletki.

Ale Leon nie miał już w głowie tyłu reminiscencji i powtórek, co jeszcze niedawno. Ze śmiercią się pogodził, podobnie jak ze śmiertelnością. Ze swoim miejscem w sztafecie pokoleń. Problematyczne było co innego: zbrodnia i kara. Czy mógł wierzyć słowom Daniela? I co wspólnego miała z tym jego matka, Salomea Brodzka?

– Leżą tu już jakiś czas – rzucił archiwista Maks.

– Maks! Boże, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! – Przywitali się, a starszy człowiek rzucił okiem na rzeczy na stole.

– Mam coś jeszcze. Archiwa przekopałem na wszystkie strony. Aż znalazłem – rzekł, ścisząc głos.

– Stary ci nie odpuścił? – odpowiedział równie cicho Leon.

– Nie wiem, czy nie kosztowało mnie to utraty pracy.

Rozmawiałeś z Halickim?

– Tak, dzwonił, gratulował, wszystko w dość sztywnej atmosferze.

– Podobno zrobiłeś mu w domu halloween i przyszedłeś w masce Żółtki.

– Jak mogłem przyjść w jego masce, jeśli sam Halicki stwierdził, że na moście zginął Żółtko, a nie ktoś w jego masce... – Obaj zaśmiali się cicho. – Co to jest? Gdzie to masz?

– Pierwszą część masz wklejoną pod szufladą w biurku.

– Czyli jest więcej części?

– Idź do domu. Tam znajdziesz klucz. – Maks odszedł niespiesznie do kuchni. – Tu nie jest bezpiecznie.

– Mówiłeś, że archiwa nie płoną – rzucił Brodzki przez korytarz i przystanął, czekając na odpowiedź.

Maks nadszedł z kubkiem parującej zupki w proszku.

– Nie płoną – rzekł cicho. Rozejrzał się, zamieszał łyżeczką, po czym dodał: – Ale bywa, że znikają.

6

Leon przyszedł do swojej kamienicy pod wieczór. Wcześniej odwiedził Sarę i Tomka, zjadł obiad z Dagmarą, zwrócił wóz Heniowi, który zdjął już rękę z temblaka.

Żarówka na jego piętrze nie była zbita, a dywanik na schodach wyglądał jak wcześniej. Przed wejściem do mieszkania zastukał do sąsiada, który pomógł mu przegonić którejs nocy Zapaśnika. Ale nikt nie otworzył. Żaden szmer nie dobiegał też ze środka.

– Wiadomo, sami swoi – mruknął Leon pod nosem.

Spojrzał na swoje drzwi, po czym przejechał powoli palcami po szybie – była cała. Najwidoczniej Marta musiała zamówić szklarza, który wstawił nowe okienko, choć jego odcień niczym nie różnił się od pozostałych, wyglądało równie staro jak całe szklane drzwi.

Zmarszczył brwi i schylił się powoli do wycieraczki, gdy uczył, że ktoś spogląda przez sąsiednie drzwi.

– Tak? – spytał Leon, a jego głos poniósł się po klatce. – Nie no, to już jakaś bzdura – mruknął do siebie. – Straż nocna czy co...

Brodzki uśmiechnął się do siebie tak, jak robią ludzie, którzy próbują rozgrzeszyć samych siebie z nieporadnych i irracjonalnych myśli, jakie przeszły ich umysł. Jedną z tych myśli była teraz taka, że ktoś Leona śledzi, obserwuje.

W dole pionu klatki rozległ się szcęk zamka, a żarówka na piętrze zgasła. Leon powinien teraz wstać, wymacać przycisk światła na ścianie, na powrót się schylić, sięgnąć po klucz, otworzyć

drzwi i wejść do swojego mieszkania – tak jak robią ludzie od czasów, kiedy wymyślono drzwi, rygle, w końcu zamki i klucze... Ale jakaś przemożna siła, władana mocami ciekawości i przestachu, zatrzymała go w pozycji dyskobola.

Na dolnym piętrze dały się posłyszeć ciche kroki. Ktoś wspinał się niespiesznie po schodach, wspierając się na poręczy. Metalowa żerdź dudniła, przenosząc drgania na całej swojej długości. Kroki ustały. Człowiek wyjął klucz, a raczej pęk kluczy, sądząc po dźwięczeniu, wsadził jeden z nich do zamka i przekręcił. Musiał być to stary, żeliwny zamek, bo szczęk mechanizmu rozniósł się echem po wszystkich piętrach.

Brodzki nie wiedział do końca, dlaczego przywiera do ziemi w pozycji zawodowego grzybiarza, ale zdał sobie właśnie sprawę, że nie tylko nie wie, dlaczego tak dziwnie się zachowuje, lecz że również nie orientuje się, kto pod nim mieszka.

„Wtopa, detektywie – pomyślał. – Zwłaszcza że na twoje życie nie raz ostatnio dybano”.

Policjant poczekał, aż drzwi się zamknęły i kroki wewnątrz mieszkania oddaliły się poza zasięg jego słuchu, po czym wstał, wymacał na ścianie przycisk światła, włączył je i schylił się do wycieraczki. Zabrał spod niej klucz, zostawiony zgodnie z obietnicą przez Martę, i położył wycieraczkę z powrotem na posadzce. Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i zrobił krok na przód, po czym się zatrzymał. Coś przykuło jego uwagę.

Był to dźwięk owej wycieraczki, która pod ciężarem stopy

wykroczonej przesunęła się nieznacznie na podłozu.

Brodzki sięgnął pod nią. Była tam przyklejona koperta. Z wnętrza kurtki wyjął drugą, obie były identyczne. Przyglądał im się przez chwilę, a kiedy światło zgasło, wszedł do swojego mieszkania i nacisnął włącznik oświetlenia.

„Klucz”. – Brodzki przypomniał sobie wskazówkę Maksa.

Pośrodku korytarza siedział Szarik. Brodzki aż podskoczył.

– Aleś mnie wystraszył, chłopie! – Leon powoli wypuścił powietrze. – Dziwne rzeczy się dziś tutaj dzieją... Przywitasz się czy mam wysłać najpierw maila? Przecież ja nawet nie mam maila. Jesteś na mnie zły, że cię zostawiłem? Przepraszam.

Na te słowa pies podniósł się z tylnych łap i podbiegł do Brodzkiego. Miał nową obrozę, sierść mu lśniła.

– Widzę, że ciocia Marta zadbała o ciebie lepiej niż ja? Chyba nie chcesz mi o czymś powiedzieć? – I pogłaskał go.

Szarik zamerdał ogonem, ale wyczuł niepokój w twarzy i zapachu swojego pana.

– No co? – spytał Leon. – Żałujesz, że nie pojechałeś ze mną? Że nie jesteś jak ten pies ze Śląska? Jak on się wabił... Gucio? Co to rozwiązuje zagadki z tym byłym gliną, Szymonem Solańskim? Może i na ciebie przyjdzie pora. Najpierw musisz nauczyć się robić zakupy...

Leon odpalił na gramofonie ostatnią płytę. Było to wciąż *Samurai* zespołu Grand Prix. Z urządzenia popłynęły słowa utworu.

*In a country where there were no wars, no castles to defend.
The king in all his wisdom was so loyal to the end. But peace
would never reign for long, to paint the story grey. The mighty
son of Genghis-Khan was planning to invade...*

Usiadł na kanapie. Podniósł głowę – w pokoju znowu wisiały lampki od Marty, które dopiero co zdejmował. Otworzył pierwszą kopertę.

W niej znajdowało się zdjęcie, o którym Maks mówił przez telefon. Słynny Elf i dwójka dzieci, młodocianych gangsterów, bliźniaków. Przetrwało przez przypadek, sklepiło się z innym dokumentem.

Jeśli jednak ta fotografia nie miała ujrzeć światła dziennego, to druga, którą Leon miał za chwilę zobaczyć, nigdy nie powinna było nawet powstać. Miał już sięgnąć po kopertę, kiedy mieszkanie Brodzkiego przeszył dźwięk telefonu. Dzwonił nieznany, stacjonarny numer z Torunia.

– Nie wszyscy są temi, za których się podają – powiedział w słuchawce głos starej kobiety.

– Kto mówi?

– Już nie pamiętasz? Oczy.

– Oczy?

– Boga. Oczy Boga.

– To pani... Kobieta w czerni.

– Dopóki nie rozwiążesz do końca sprawy, będziesz pachniał trupem. Tak jak całe to miasto. Toruń stoi nad złą, zatrutą wodą.

Dźwięk w słuchawce się urwał. Rozmawiał z tą kobietą kilka dni temu. Twierdziła, że знаła Franka Brodzkiego.

Gdy Leon otworzył drugą kopertę, długo patrzył na zdjęcie. Tak długo, że igła zdążyła unieść się nad stroną A płyty, która dograła do końca, za oknem było dawno ciemno, a Szarik, który długo siedział z przechyloną w zaciekawieniu głową, w końcu usnął.

Brodzki zrozumiał wszystko.

– On wie – wymamrotał komendant Gromosław Halicki i opadł na skórzany fotel w swoim domu. Siedział przy sekretarzyku w eklektycznym salonie, zapełnionym sztukaterią i kiczowatymi dziełami sztuki, gdy do pokoju weszła jego małżonka Zofia. Uroczą kobietą przed pięćdziesiątką. Od progu zobaczyła, że jej mąż ma nietęgą minę.

– Co się stało? – spytała i usiadła na poręczy mebla.

Halicki bez koszuli i płaszcza zupełnie tracił swoją powagę, którą straszył zza biurka w komisariacie. W tym ubraniu, z roztrzepanymi włosami okalającymi łysinę, ze spuszczoneym, zakatarzonym nosem i zastygłą w nerwowym skurczu twarzą wyglądał na człowieka przegranego i zastraszonego.

– On wie – powtórzył i wstał.

Podszedł do okna. Na grubej szybie spływająca woda wydawała się gęstsza niż w rzeczywistości.

– Słyszałam jakiś hałas. Czy ktoś tu był? – niepokoiliła się kobieta. – Za czym wypatrujesz?

– Za przeszłością, Zosiu. Za przeszłością.

Na oświetlonym lampką biurku przy sekretarzyku stała fotografia w ramce. Czarno-białe zdjęcie z lat pięćdziesiątych, sklezione z dwóch, z urwanym brzegiem.

Zrobiono je w jednej ze starych kawiarni na Bydgoskim Przedmieściu. Takiej, w której była okafelkowana szatnia, bufet,

palarnia i sala taneczna. Przy stoliku siedziała piątka osób.

Po prawej stronie siedział mężczyzna w kapeluszu oraz dwójka dzieci. Po lewej stał mężczyzna – był to Franciszek Brodzki. Obok niego zdjęcie było oderwane.

Halicki stał teraz w półmroku, spoglądając w smagane deszczem okno. Wiedział, czyjego wizerunku na zdjęciu brakuje. Bo fotografię skleiono taśmą tak, że połączyła swym wybrzuszeniem terażniejszość i przeszłość. Powtórka przeszłości sprawiła, że terażniejszość stała się mgnieniem.

10 WRZEŚNIA 2016

Na ulicach pachniało nagrzanym powietrzem i parującą z gleby wodą, miasto jakby przybrało jeszcze raz wakacyjny strój w tych ostatnich dniach lata. Tego przedpołudnia chmury nie ciągnęły nisko po niebie, a wiatr nie wciskał się między budynki jak w ostatnio. Przestrzeń miasta wypełniał niepokojący spokój.auta sunęły bezgłośnie ulicami Grudziądzką i Odrodzenia, sygnalizatory posłusznie zmieniały swoje barwy na Placu Towarzystwa Miłośników Torunia. Piesi bezszelestnie przemykali chodnikami, a bicykle przelatywały bezdźwięcznie siatką rowerowych ścieżek. Było w tej idylli coś niepokojącego.

Gdy Brodzki wyjrzał przez okno komendy, zobaczył jedynie pojedyncze, podłużne obłoki malujące na błękitnie zygzaki. Ciszę tego wrześnieowego poranka przerywały niewyraźne głosy dobiegające z dziedzińca. Detektyw spojrzał w dół. Pomiędzy błyszczącymi, ustawionymi na planie półkola radiowozami komendant Halicki przemawiał do zgromadzonych dziennikarzy. Tłumaczył im coś, gestykulował niby dyrygent, a jego ruchy były płynne i zamaszyste.

Ani razu nie zerknął w stronę Brodzkiego. Nie musiał. Dziś o świcie zadzwonił do niego z informacją, że mają się spotkać na osobności. Nie w komendzie, w terenie. Tylko we dwóch.

Leon zamknął okno i ruszył w głąb głównej sali na pierwszym piętrze. Szybki rzut oka wystarczył, by zauważyć, że komenda

wyraźnie opustoszała. Niewygaszone monitory, niedopite kubki kawy, rozłożone na biurkach gazety – wszystko to wyglądało na porzucone w pośpiechu.

Pod jego biurkiem Szarik leżał, nie wydając żadnego dźwięku. Jego pierś unosiła się i opadała szybko, a mądre oczy patrzyły badawczo na jedyne go człowieka w pomieszczeniu. Brodzki podszedł do niego, nachylił się i pogłaskał po głowie. Sierść była miła w dotyku.

– Marta zadbała o ciebie. Lśniesz, jakbyś miał lada chwila iść na paradę z okazji święta policji. – Szarik przechylił głowę i spojrzał pytająco. – Wiesz, co się dzieje, prawda? Od początku wiedziałeś. Od momentu, kiedy przybiegłeś mnie uratować w parku. W sumie nie pomyślałem nawet, żeby sprawdzić, czy ktoś cię nie szuka... Ale nie wyglądasz, jakbyś chciał albo miał dokąd pójść. Chciałbyś być gdzie indziej?

Szarik wtulił się w Leona.

– Tak myślałem, piesku. A teraz muszę iść. – Złapał go za pysk i pocałował w nos. – Wiem, że wiesz. Po prostu muszę.

Brodzki westchnął i ruszył w stronę schodów, czując cały czas, że Szarikowe oczy śledzą każdy jego ruch.

Na klatce spotkał Nowaka. Ostatnie dni wyraźnie odmieniły sierżanta. Jego ruchy były sprężyste, a wzrok bystry. Mijali się właśnie, gdy Brodzki zatrzymał policjanta, łapiąc go za przegub ręki.

– Cokolwiek by się stało, zawsze walcz o prawdę, sierżancie –

rzekł cicho Brodzki.

Nowak rozejrzał się niepewnie.

– Detektywie Brodzki, mówisz, jakbyś miał raka – odparł Nowak, dorzucając do wypowiedzi szczyptę poufałości, na którą wcześniej sobie nie pozwalał. – Ale tak między nami, to coś mi tu śmierdzi. A nikt nie lubi, jak szambo wywala. Chociaż czasem może lepiej, żeby jebnęło, co nie?

– Z rakiem łączy mnie tylko to, że ciągle mam wrażenie, jakbym się cofał. – Brodzki puścił Nowaka i przygryzł wargi.

Sierżant zauważył, że umysł detektywa pracuje intensywnie. Jego oblicze wskazywało na niepokój i rozdrażnienie.

– Szukam tego w kapeluszu. A ty ciągle drążysz temat Franka?
– spytał Nowak.

– Cokolwiek ma się stać, bądź na to gotowy. – Brodzki ruszył na dół.

– Na co, Leon?

– Na burzę. Jak u Szekspira – krzyknął już z półpiętra.

– Czuję, że robisz coś, czego nie powinienes, Leon!

Ale detektyw nic nie odpowiedział, tylko zniknął za zakrętem.

Chwilę później Nowak zobaczył go przez okno, jak wsiada do taksówki Henryka i odjeżdża.

– Czyli coś pierdolnie – rzucił pod nosem i wyszedł.

Idąc po schodach, minął podążającego w przeciwną stronę człowieka. Nie zauważył, że człowiek ten miał pod ręką kapelusz.

2

Archiwista Maks wybiegł na policyjny parking. Był to bodaj pierwszy raz od czasów transformacji, kiedy człowiek ten tak bardzo przyspieszył kroku. Biegł, zasłaniając się dłonią od słońca, które bardzo go raziło, człowieka spędzającego większość życia w objęciach piwnicznego półmroku. Jego ruchy były nieporadne – wiosłował rękami, a nogi wyrzucał przed siebie jak niezgrabny tancerz, który zgubił rytm.

– Gdzie Brodzki? – spytał zasapany, gdy dopadł przed szlabanem Nowaka. Próbując złapać oddech, wywinął dolną wargę jak ryba.

– Pojechał – odparł sierżant i zmierzył Maksa od dołu do góry.

– Mówił coś? Psia kość... Czy tylko mi się wydaje, że dzieje się coś niedobrego, Nowak? – spytał Maks. Powoli łapał oddech. – Czemu tu jest tak cicho?

Z okien komisariatu, tych zamkniętych i tych uchylonych, nie dobiegały żadne dźwięki. Policyjny parking przepełniała absolutna cisza, przerywana jedynie szumem klimatyzatorów z boku budynku. W tym bezruchu materii ujawniał się cały bezkres czasu i przestrzeni, wszystkich znanych człowiekowi wymiarów. W żadnym innym momencie nie ukazywała się tak właśnie jak w tym w całej istocie tkanka dnia i faktura historii. Majestatyczny, ośmiopiętrowy, niebieski budynek komendy Toruń Śródmieście tym bardziej wyrastał na rogu ulic Grudziądzkiej i Polskiego

Czerwonego Krzyża, im mniej coś zakłócało jego widok. Tym bardziej górował nad okolicą, im mniej ptaków przecinało wokół niebo. Tym bardziej straszył swoją mocą, im wolniej płynęły ciemne chmury nad miastem. A płynęły coraz wolniej i niżej. Tak nisko, że w mieście zaczynało brakować tlenu. Złowrogość tego momentu czuli i siwowłosy Maksymilian, i muskularny Jacek Nowak. Pierwszy partycypował w chwili swoimi krecimi oczami, drugi – orlim nosem.

– Wszyscy nawiali z cyrku, Maks.

– Nie wszyscy, Jacku. Co tu robisz?

– Próbowałem przekonać Brodzkiego, żeby uważał, ale gdzieś się spieszył.

– Powiedział, dokąd jedzie? – spytał Maks.

Nowak zaprzeczył i dodał:

– Nie było dziś odprawy, nie było rozkazu...

– Nie było dla ciebie – odparł Maks, a Nowaka zmroziło.

– A wy co tu robicie? – krzyknął z okienka dyżurki Dżony, posterunkowy. Cała trójka spojrzała na siebie pytająco. Dżony zdjął nogi z biurka, zamknął szybkę i po chwili wyskoczył ze szklanych drzwi. Poprawił opadający na czoło lok i przylizął bokobrody. – Nie słyszeliście? Halicki z prokuratorem posłali wszystkich na nowy most. Robią obławę.

– Na kogo? Przecież wszyscy zostali złapani.

– Ja tu tylko sprzątam – wybełkotał Dżony.

– Na kogo? – Nowak złapał go za fraki. – Mów, laluuś.

– Na naszą gwiazdę.

– Co? – Sierżant zaśmiał się niepewnie. – Maks, rozumiesz coś z tego?

Archiwista Maks podniósł do światła szary karteluszek, który cały czas trzymał w prawej dłoni. Przytrzymał dokument trzęsącą się, delikatną ręką. Choć niebo było zachmurzone, przebijające się gdzieniegdzie promienie docierały na policyjny parking. Właśnie w tej chwili jedna z chmur czmychnęła z nieboskłonu, ustępując miejsce snopowi światła, który niby laser padł dokładnie na trzymaną przez starego człowieka kartkę. W pozółklej strukturze podniszczonego papieru odznaczały się ślady po dwóch odbitych podpisach. Śladach, które nigdy nie powinny były zostać odkryte. Były echem, powidokiem czyichś decyzji, które wiele lat temu zadecydowały o podziale na śmierć i życie, niczym w grze mitycznej bogini Fortuny. Choć oryginał dokumentu był pocięty i brakowało w nim nazwisk oskarżonych i świadków, to ta niepozorna kartka odnaleziona przez archiwistę Maksa, ta właśnie kartka łopotą teraz na dziedzińcu niczym sądowy dekret.

– Co tam masz? – spytał podejrzliwie Nowak.

– Pamiętasz te zabawy z dzieciństwa, kiedy odrysowywało się ołówkiem jakiś wzór, odbity czyimś pismem?

– Ja kładłem kartkę na monetach i bazgrałem, odwzorowując orzełka i reszkę.

– Tak zrobiłem z naszymi podniszczonymi aktami. Sprawa zabójstwa z 1996 roku. Pismo odbiło się na kartce pod spodem.

– I co tam odkryłeś? – Nowak chciał jak najszybciej poznać szczegóły. – Maks!

– Obawiam się, że nasz przyjaciel padnie dziś ofiarą *recens crimen*.

– Maks, po naszymu mów, co nie?

– Gorące prawo – odparł tajemniczo człowiek o krecich oczach. – Jak to mawiano: „na gorącym prawie starosta każdego pojmać zawsze może”.

– Maks, po ludzku. Coś grozi Brodzkiemu? – Nowak spojrzał na kartkę. – Co tam jest napisane?

– Rzecz w tym... – zawiesił głos Maks. – Rzecz w tym, co nie jest tu napisane. Pozostały tylko ślady podpisów. Dwóch sygnatur, które dawno ustaliły porządek rzeczy w tym mieście.

– Czyje to podpisy? Czyje to nazwiska? – dopytywał Nowak.

– Gorące prawo, czyli takie, które pozwalało niegdyś szybko i doraźnie karać przestępców. Taka instytucja skróconego procesu karnego...

– Wciąż nie rozumiem. Czyje to podpisy?

– Prokuratora Bojarskiego i Franciszka Brodzkiego.

– Obaj nie żyją... Bojarskiego uduszono. Brodzki... martwy – zauważył przytomnie Nowak. – Czego dotyczą dokumenty?

– W 1996 roku o morderstwo podejrzani byli Kosma i Daniel Górecki. Oraz Mikołaj R., pseudonim „Elf”. Nie zgadniesz, kto ich wybronił.

– Kto, Maks?

– Halicki i Brodzki.

– Nie wierzę...

– Natomiast jest jeszcze drugi dokument, a właściwie fotografia.

– Fotografia? – zdziwił się Nowak.

– Zdaje się, że jest na niej twój człowiek w kapeluszu.

– Mówiłeś, że kapelusz o niczym nie świadczy, Maks.

– Chyba się myliłem.

– Więc co jest na zdjęciu?

– Cała rodzina. Franek Brodzki, komendant Halicki, młody Kosma i młody Daniel, a także twój ulubieniec, człowiek w kapeluszu, czyli...

– Elf! – krzyknął Nowak, a jego krzyk poniósł się po ścianach budynku komisariatu. – O ja pierdołę... Jak rozumiem, Halicki bardzo nie chce, żeby się o tym dowiedziano. Nasz komendant i nieboszczyk Franek? I dwaj mordercy? Matko Boska! Czy Brodzki o tym wie?

– O fotografii tak. Najwyraźniej Halicki też się już o jej istnieniu dowiedział, stąd ten cały ambaras.

– Myślisz, że Halicki chce się z Brodzkim targować o przeszłość? Uwalając Franka Brodzkiego, Leon uwali samego siebie.

– Obawiam się, że Halicki ma jakiegoś asa w rękawie.

– Jakiego asa?

– Sprawa Pękalskiego. Coś jest z tą sprawą nie tak. Boję się, że Leon oberwie za coś, czemu nie jest winien. Za to, że „Brodzki jest winny”.

– Musimy go ratować! Co mu grozi?

– W najlepszym wypadku? Infamia. Ponizenie, pozbawienie praw.

– A w najgorszym...? – spytał z przestrochem Nowak, ale Maks nie odpowiedział.

Stali tak chwilę w milczeniu, gdy z okna komisariatu dało się słyszeć szczekanie psa.

Nowak spojrział odruchowo w kierunku okna. Zwierzę zaskamlało i dźwięk ustał. Sierżant zmarszczył brwi.

– Przecież nikogo nie ma w środku, prawda? – Spojrział pytająco na archiwistę i dyżurnego. – Zaczekaj tu, Maks. Zaraz wrócę. – I ruszył w kierunku budynku.

Sierżant Jacek Nowak zmienił się przez ostatnie dni. Gdyby miał opisać czy opowiedzieć swoją przemianę – choć do mistrzów opowieści nie należał – stwierdziłby, że spędza wszystkie chwile bardziej „tu i teraz”. Stał się uważny. Nie przekładało się to na hipotetyczny wynik w teście Mensy, o którego istnieniu zresztą nawet nie słyszał, ale sprawiało to, że był baczny obserwatorem i rzeczowym rozmówcą. Nie stał się błyskotliwym oratorem ani komisarzem Alekssem, ale to, co natura mu dała, zaczął wykorzystywać z maksymalną intensywnością.

Nie był więc szybki jak wiatr, ale miał dobry refleks. Nie był twardy jak skała, ale umiał bić. Nie miał sokolego wzroku, ale potrafił rozpoznać złodzieja. Nie potrafił także przewidywać pogody, ale potrafił rozpoznać zagrożenie. A jego zwiastun,

niewinne preludium stanowiło właśnie skomlenie psa.

Kiedy zniknął za drzwiami, przed szlabanem zatrzymało się ciemne auto z przyciemnianymi szybami, z którego wysypało się czterech rosłych mężczyzn w dobrych, ale mało stylowych garniturach. Wyglądali na pracowników służb. Maks nie był pewien, czy było to CBA, czy ABW. Fryzurami i sylwetkami przypominali starych, solidnych kamratów z Wojskowych Służb Informacyjnych. Ruchy mieli wyćwiczone, sprężyste i automatyczne.

– Pan pójdzie z nami – zwrócił się do Maksa wysoki, obcięty na krótko mężczyzna ze słuchawką w uchu i okularach przeciwsłonecznych na nosie. Archiwista przycisnął do piersi papiery.

– Nigdzie nie idę – odparł cicho Maks i spojrzał na Dzonego. – Dzony...? – spytał, błagając o pomoc. Ale ten, na polecenie innego z mężczyzn, posłusznie odwrócił się na pięcie i wrócił do portierni.

Maks, człowiek o krecich oczach i delikatnych dłoniach, stał otoczony przez czterech ludzi o niejasnych intencjach.

– Nigdzie nie idę – powtórzył nieco głośniejszym głosem. Jego stare płuca nie nadały jednak temu zdaniu metalicznego rezonu. Przeciwnie, zabrzmiało ono matowo i bojaźliwie.

– W porządku, nie musi pan iść – rzekł uprzejmie człowiek ze słuchawką. – Podwieziemy pana.

– Archiwa nie płoną – zdążył powiedzieć Maks. Choć zaraz zawahał się w myślach, przypominając sobie o Bibliotece

Aleksandryjskiej, której przepastne zbiory strawił pożar. I zląkł się na myśl, że to samo może spotkać jego archiwa, nad którymi poprzysiągł trzymać pieczę. Zaraz potem przed oczami stanęły mu antyczne zabytki i bilet lotniczy. Bo wiedział, że jego fotel na pokładzie samolotu do Aten prawdopodobnie pozostanie pusty,

– Pan jest, zdaje się, z pochodzenia Niemcem, prawda?

Chwilę potem auto odjechało ulicą Polskiego Czerwonego Krzyża i zniknęło, skręcając w Młodzieżową. Gdy Dżony dobiegł z portierni, na chodniku zobaczył stróżkę krwi.

3

Leon Brodzki stał niewzruszony pod dwiema estakadami mostu drogowego. Światło wdzierające się spomiędzy pręseł padało prosto na niego, wykreślając w powietrzu linię niby napięty, świetlisty łuk. Trzymał ręce w kieszeniach, nasłuchując szumu wiatru i wody. Dzisiejszego dnia ubrał się w zadumę, spokój... oraz trencz.

„Mgnienie. Woda. Córka bezpieczna. Dwóch morderców, jeden nie żyje. Pamięć i tożsamość. Wisła płynie, jak płynęła. Ani jej, ani historii się nie cofnie. Z obu można jednak wyczytać wiele prawdy. Koryto jednej i drugiej zostawia swój wyrazisty ślad, który jakby snuł opowieść o swoim biegu i jego zakrętach. Znamcy i badacze spierać się będą o drobinki, przechodnie rzucą okiem, przystaną i ruszą dalej. I o to chodzi. Żeby pamiętać. Nic więcej, bo tylko pamięć zostaje. Dla jednych będzie pustym gestem. Dla drugich – wydmuszką, której nie rozumieją, ale która wzrusza. Wywoła złość i żal lub pogardę dla przeszłości. Nie zatrzyma, nie zastanowi, rozśmieszy. Dzięki temu, jak zapamiętamy historię, złączymy się w niewidzialne kręgi z ludźmi, którzy pamiętają podobnie. Kto zabił, kto zawinił, kto pierwszy podniósł kamień. Jak było naprawdę, a jak pisano. Oczywiście część z tego to takie symulakrum i fikcja. Wspomnienia są zawsze na tyle odległe, że pozwalają pomyśleć, powartościować, poodnosić się, popodróżować w myślach tam i z powrotem, docenić, zdemaskować, zatęsknić. To tworzy naszą

tożsamość. Bez względu na prawdę o Franku, chcę ją poznać. W żadnej rodzinie nie powinno się zapominać katastrofy, która przytrafiła się przodkom. To tworzy tożsamość. Naszą własną. Pamięć o niej jest bliższa złotym dyskom z Voyagera niż szumiącym pamięciom przenośnym. Kiedyś, być może, dzięki niej ktoś coś zrozumie”.

Brodzki wyglądał na spokojnego i pogodzonego z tym, co się wydarzy. Czekala go najtrudniejsza rozmowa w życiu. Zdziwił się więc, kiedy usłyszał w oddali odgłosy helikoptera. Burzyło to trochę założenie spotkania na osobności, jakie zapowiadał Halicki.

„Co on kombinuje – zastanawiał się Leon – dlaczego chce mieć świadków? Chyba nie chce, żeby wszyscy dowiedzieli się o fotografii”.

Tymczasem od Szosy Lubickiej zajechał w tumanach kurzu citroen. Brodzki od razu poznał auto komendanta. Zjechało szutrową drogą pod most, zatrzymało się na płytach przed szlabanem. W aucie był ktoś jeszcze, ale Leon nie mógł dostrzec kto.

Komendant wysiadł i ruszył w stronę stojącego pod kolumnami detektywa. Dzieliło ich dobre kilkaset metrów, wypełnione zapachami płatków czekoladowych i przypraw korzennych – to pobliskie fabryki płatków śniadaniowych i ciastek wpuszczały do nozdrzy słodką woń.

Brodzki celował swoim podejrzliwym wzrokiem z daleka i Halicki czuł to. Dobrze wiedział, że Leon nie spodziewał się ani

helikoptera, ani innych niespodzianek. Minął szlaban, zszedł podjazdem z płyt, zostawiając po lewej stronie staw, w którym kilka dni temu znaleziono zwłoki policyjnego technika Karola Daktyłowicza. Nieopodal swoją kryjówkę mieli Kosma i Daniel.

Starzy policjanci byli coraz bliżej siebie. Potężna konstrukcja górowała nad nimi, głównie przez najdłuższe w Polsce przęsła łukowe o wadze pięciu i pół tysiąca ton, które teraz stwarzały monstrualne wrażenie. Z kolei podtrzymujące most betonowe słupy, ustawione w szeregu, przypominały wyglądem filary gotyckich katedr, jakich w Toruniu przecież nie brakowało. W połączeniu z ledwo przebijającym się słońcem, mozaiką światłocieni szelfowych chmur i zieloną tonią mrocznej Wisły wszystko to składało się na zagadkowy obraz przedstawiający zmaganie człowieka z naturą.

W tych okolicznościach przyrody Halicki zbliżył się do Brodzkiego, zwalniając kroku na ostatnich metrach.

– Witaj, detektywie.

– Witaj, komendancie. Mam dla ciebie niespodziankę. Niespodziankę-wycinankę.

– Zabawne. Bo ja też pomyślałem o prezentach. Będą też goście. Jak impreza, to impreza.

Z górującej nad nimi estakady wychyliły się lufy policyjnych karabinów.

4

Mężczyzna w kapeluszu przeszedł spokojnie po piętrze opustoszałej komendy. Minął biurka, wreszcie przysiadł na odginanym, teleskopowym krześle, wyciągnął nogi na blat i przejrzał rozłożoną obok gazetę. Drugą ręką chwycił pilota telewizyjnego i włączył kanał informacyjny. Nadawano właśnie transmisję z okolic nowego mostu drogowego w Toruniu.

Jeśliby spojrzeć na tego tajemniczego człowieka od frontu, zza szerokiej płachty papieru wystawał tylko kapelusz. Niżej, na pierwszej stronie gazety, widniało zdjęcie garstki gapiów, w której jedna postać wyróżniona była czerwonym kolorem. Nagłówek brzmiał: „Kim jest ten człowiek?”.

A człowiek na zdjęciu miał kapelusz, a także wiele innych cech, które wskazywać mogły na zbieżność z wizerunkiem mężczyzny, który egzemplarz tej gazety teraz czytał. Można wręcz powiedzieć, że był to ten sam człowiek. Trzeci człowiek.

Mężczyzna zagwizdał, tak jak gwizdże się na psa, ale przestrzeni komisariatu nie zagłuszył żaden szmer. Wstał, zrobił kilka kroków, cofnął się. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się przy biurku Leona Brodzkiego. Leżał pod nim Szarik. Miał zjeżoną sierść i wielkie, wystraszone oczy.

Mężczyzna złapał psa za głowę i skierował ją w stronę telewizora.

– Poznajesz? Poznajesz tego złego człowieka? – Pies skomlał i

wyrywał się, ale mężczyzna nie rozluźnił uścisku. Przeciwnie, wbił mu palce w sierść tak, że pies zaczął charczeć i dusić się, ślina toczyła mu się z pyska. – Nie udawaj, że nie widzisz. To plazmowy telewizor, ma taką częstotliwość obrazu, że spokojnie zobaczysz na ekranie ruch.

Istotnie, gałki oczne Szarika się poruszały. Na widok znajomej twarzy zaszczekał i zaczął się wyrywać.

Mężczyzna jednym ruchem rzucił go na ziemię i przygniółł jego pysk kolanem. Zdjął kapelusz, położył go na blacie. Rozpiął ekspres kurtki ze skaju i z wypchanej, wewnętrznej kieszeni wyjął obrozę z kagańcem. Pies szamotał się, ale siła nacisku była olbrzymia.

Po chwili pysk Szarika przyobleczony był w nabity ćwiekami kaganiec i obrozę z medalikiem. Był na nim wygrawerowany napis: Bundy.

– Przypomniało ci się, skąd jesteś? – Mężczyzna pogłaskał go po głowie. – A pamiętasz, co robiliśmy razem? Pamiętasz, jak zagryzłeś raz człowieka?

Pies przestał się szamotać. Przez chwilę wyrzucał pysk do góry jak koń, ale w końcu dał za wygraną. Obwąchał znajomy zapach rzemyków, aż w końcu położył się na ziemi i zapiszczał cicho.

5

Szpitalny korytarz na oddziale obserwacyjnym wypełniał szelest otwieranych opakowań pierników, którymi zajadali się młody policjant, pielęgniarka oraz szpitalny technik.

W drugiej od końca beżowego korytarza sali, po lewej Tomek Żółtko przełączał beznamiętnie kanały w szpitalnym telewizorze na monety. W śmietnik w rogu wciśnięte były kwiaty, na stoliku leżała świeża prasa z artykułem o tajemniczym człowieku na pierwszej stronie.

Sara spała w sąsiednim łóżku. Tomek spoglądał na nią co chwilę, gdy mamrotała przez sen. Wiedział, że choć dziewczyna udaje twardą, porwanie i walka o życie mocno wryły się w jej pamięć. Słyszał to dzisiejszej nocy, kiedy kilka razy budziła się z krzykiem.

I właśnie kiedy odwrócił od niej wzrok i spojrzał na telewizor, obraz przykuł jego uwagę. Poderwał się z łóżka jak oparzony.

– Co jest... – zająknął się. Na te słowa Sara przekreśliła się w jego stronę. Spojrzała na ekran.

– To... – zawiesiła głos.

– To twój ojciec.

Telewizja nadawała relację na żywo znad mostu drogowego. Nie było żadnej informacji w pasku. Widniała tylko belka z napisem: *breaking news*. Tak jakby wiedziano, że coś za chwilę się wydarzy.

– Mam złe przeczucia. Dzwonię do mamy, Tomek. – Sara

chwyciła telefon i podeszła do Tomka.

– A ja do Heńka – przytaknął Żółtko. Złapali się za ręce.

– Mama nie odbiera – odpowiedziała po chwili Sara.

– Rozumiem, Heniu. – Tomek odłożył telefon. – Mówi, że Leon kazał zawieźć się na spotkanie z Halickim. I że policjanci odcięli Rubinkowo, Lubicką, Żółkiewskiego i wjazd na most od Rudaka.

– Na co ci to wygląda?

– Na polowanie.

Sara spojrzała na Tomka tak, jak patrzą ludzie, którzy od strachu i braku nadziei mogli lada chwila postradać zmysły.

– Nie daj się, Leon – wyszeptał Żółtko i zaczął szukać ubrań.

Poruszał się powoli, rana postrzałowa wciąż dawała się we znaki.

– Co robisz? – spytała zdezorientowana Sara.

– Szykuję plan B.

– Plan B? A jaki był plan A?

– Taki, że grzejemy się w łózkach, a Leon ma święty spokój. Coś jednak musiało pójść nie tak. Czuję, że nadciągają czarne chmury. Nowak mówił mi, że muszę szybko wracać na komendę. Nie pomylił się.

6

– Szarik? – zawołał Nowak, mijając kolejne biurka na pierwszym piętrze komendy.

Gdzieś za rogiem słyhać było stłumiony pisk zwierzęcia. Sierżant ruszył powoli w kierunku dźwięku. Był już niedaleko zakrętu, kiedy na blacie pobliskiego biurka spostrzegł osobliwy przedmiot.

– Kapelusz...? – wymamrotał do siebie i w tej samej sekundzie pewna myśl, niczym błyskawica, przeszła jego umysł. Orli nos Nowaka, teraz idealnie zespolony ze zmarszczonym czołem i wybałuszonymi oczami, cała jego fizis wizualizowała zdziwienie, jakie stało się jego udziałem. Nowak w lot pojął, gdzie widział owe nakrycie głowy i do kogo ono należy.

Na odgłos przyspieszonych kroków za winklem zareagował błyskawicznie. Przyłgął do ściany, wyjął pistolet z kabury, przeładował broń.

Był to ten moment, na który młodzi gliniarze czekają od chwili przekroczeniu progu akademii policyjnej. Moment konfrontacji ze złem. Moment próby.

Sierżant zaczął liczyć do trzech. Znał rozkład komendy, wiedział, ile metrów ma wnętrza za zakrętem. Była obok kuchni, nie więcej jak trzy metry.

– Raz... – szeptał. Już zamierzał wychylić się zza ściany i wycelować broń w tego, kto naruszył przestrzeń komisariatu. Był

gotów na to spotkanie. – Dwa...

– Trzy – wyszeptał mężczyzna za rogiem.

Nowak zobaczył tylko błysk. Wszystko trwało ułamek sekundy. Precyzyjne pociągnięcie ostrza przecięło jego tętnicę szyjną, która teraz strzeliła strugą krwi. Wypuścił broń i osunął się na ziemię, zostawiając na ścianie rozmazany, rubinowy ślad.

– Nigdy nie licz na głos, chłopcze – rzekł miły, miękki głos mężczyzny.

Jacek Nowak broczył krwią. Jego oczy były olbrzymie, nie wiadomo, czy ze strachu, czy z powodu reakcji ciała na nagły spadek ciśnienia spowodowany ubytkiem krwi. Sierżant czuł smak krwi w ustach. Słodki i gorzki jednocześnie. Najgorszy był puls. Szalony puls w tętnicy, która – ugodzona ostrzem – wyrzucała z siebie dziesiątki mililitrów czerwonej cieczy, niczym przerwana tama na Wiśle. Wiśle czerwonej od krwi.

– No to się znaleźliśmy. Muszę przyznać, deptałeś mi po piętach – rzucił miłym głosem człowiek. Przetarł wojskowy nóż o kurtkę i schował go do ukrytej, wewnętrznej kieszeni. – Gra w podchody modna była w latach osiemdziesiątych, wiesz? A w latach osiemdziesiątych niestety to ja rządziłem tym miastem. *Game over*.

Dopiero wtedy Nowak usłyszał pisk Szarika. Pies skomlał i próbował go obwąchać, ale ciasno założony kaganiec i krótko uwiązana smycz nie pozwalały mu zbliżyć się do znajomego policjanta.

Mężczyzna wybrał na tarczy telefonu numer 112 i położył

słuchawkę w plamie krwi, tuż przy głowie coraz bledszego chłopaka.

– Masz, wezwij pomoc. Za grzebanie w przeszłości powinna spotkać cię kara, ale... Mam miękkie serce – rzekł uprzejmie człowiek, po czym nałożył kapelusz, zapiął kurtkę, ściągnął smycz i wyszedł.

Cień jego sylwetki przemknął niewyraźnie w odbiciu kałuży krwi.

– Tu numer alarmowy sto dwanaście, co się stało? – zadzwęczał w słuchawce znany głos dyspozytora Filipa. – Halo...?

Pomoc była na wyciągnięcie ręki. Niestety z powodu podciętego gardła sierżant Jacek Nowak nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Dyspozytor usłyszał w słuchawce tylko charczenie.

7

– Chcesz udowodniać przeszłość, która nie istnieje – zaczął Halicki. Był zimny i obojętny, jego skóra sprawiała wrażenie grubszej. Jak w tych filmach, w których młodzi aktorzy grają role dużo starszych od siebie. Sztuczne zmarszczki i sztuczna skóra nigdy nie poruszają się wtedy tak jak prawdziwe. Ich twarze są wówczas zastygłe, niewiele różniąc się od popiersi z gipsu, choćby takich, jakie Leon widział w półmroku uniwersyteckiej pracowni.

Te wrażenia estetyczne miały bardzo racjonalny powód. Twarz Halickiego była po prostu obca i obojętna. Zawsze na widok takiego oblicza człowiek ma wrażenie, że rozmawia ze skałą.

– Doprawdy, nie istnieje? To najpierw musimy ustalić. Ale czuję, że są rzeczy, których faktycznie wolałbyś nie pamiętać. Jak jest? Jak było? Kim są te osoby? – Brodzki pokazał mu plik starych, czarno-białych fotografii portretowych. – Kto prowadził te sprawy? Kto odpowiada za śmierć tych ludzi? Kto krył morderców?

– Nie brnij, Leon. Możesz jeszcze się z tego wycofać.

– Za późno.

Helikopter telewizyjny krążył nad osiedlem Winnica, w okolicach nowego mostu drogowego imienia Elżbiety Zawackiej.

– Dostałem twoją przesyłkę – zaczął Halicki, nawiązując do fotografii, jaką podrzucono mu w nocy. – A potem długo myślałem, co mam z nią zrobić. Postawiłeś mnie w trudnej sytuacji.

– Ja ciebie? Halicki, moja córka omal nie zginęła. Tomek Żółtko

omal nie zginął. Co robiłeś w tym czasie? Co próbowałeś przykryć?

– Sprawa była wielowątkowa.

– Co robisz na zdjęciu z tymi gnojkami, Halicki? Co robisz na zdjęciu z Elfem?

– Nie zrozumiesz tych czasów. Afera węglowa, bomby w kawiarniach, śmierć Marka Papiły, ministra Dębskiego. Pruszków, Wołomin. Chyba nie myślisz, że w Toruniu mieliśmy gwardię szwajcarską? Gówno wiesz.

– Co się stało z moją matką?

– No... Żyła. A potem przestała. Musiałbyś spytać Franka.

– Jak ci jebnę...! – Brodzki skoczył mu do gardła.

– Jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, to ci ją upierdolę, słowo daję. Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Salomei. W przeciwieństwie do twojego ojca i Hanny Krosny.

– Hanny Krosny?! – Brodzki był zdziwiony nazwiskiem Dziewczyny w Czerwonym Płaszczu, ofiary z 1988 roku. To od znalezienia jej oprawców Leon zaczął wspinaczkę po szczeblach policyjnej kariery. – Gdzie jest Halicki, z którym rozmawiałem przy zupie o potrzebach tego świata? Gdzie jest przyjaciel, który obiecywał pomoc?

– Tam, gdzie Brodzki, który wolał wódkę i dupeczki, a nie walkę z wiatrakami. Co z ciebie nagle taki mroczny rycerz?

– Bo to miasto stoi nad zepsutą wodą. Czuję to.

– Może więc pora stąd wyjechać? Daję ci szansę.

– O czym ty, kurwa, mówisz? Jak można dawać szansę komuś,

kto nic złego nie zrobił?

– Jesteś pewien, że nie chcesz szansy? – Halicki miał minę karcianego szulera. – „Brodzki jest winny” – to hasło było aktualne od chwili, kiedy ktoś je spisał na ciele dzieciaka.

Brodzki pierwszy raz zobaczył takie oblicze komendanta, wykrzywione w przedziwnym, aroganckim grymasie.

– To ty jesteś czarnym charakterem w tej historii. Po moim trupie... – rzucił do Halickiego.

– Raczej twój stary. Sprawa „młotkarza z Torunia”, mówi ci to coś? Połowa lat osiemdziesiątych.

– Nie wrobisz go w sprawę Pękalskiego. Ani ty, ani ja nie byliśmy jeszcze wtedy w milicji.

– Zgadza się. A czy mówią ci coś personalia Ewa P., Teresa L., Anna J.?

Brodzkiego zmroziło. Widział te imiona, widział je razem ze zdjęciami na lustrach w elewatorze.

– Widzę, że główkujesz, Leon. Pomogę ci. Sprawa Pękalskiego. Trzy trupy. Przy wszystkich trupach dziwnym trafem jako pierwszy był Franek...

– Nie wrobisz mojego ojca w te stare sprawy.

– Sam się wrobił. Tak jak w sprawę Szabańskiego i Hani Krosny. Ale o tym dowiesz się w swoim czasie.

– To jest jakieś pierdolenie, Halicki. W przeciwieństwie do ciebie ja nie boję się prawdy. Ani o mnie, ani o moim ojcu. Ty za to boisz się strasznie. Jesteś tym obślizgłym typem ludzkim, tym

postkomunistycznym cwaniakiem na stołku. A naczelną zasadą takich jak ty to nie szukać, nie grzebać, nie odkopywać, nie dać się ruszyć! I wiesz co? To jest pierdolenie w bambus. Przez takich jak ty ten kraj ciągle tonie w gównie. Tacy jak ty, ci wszyscy dyrektorzy i pajace na stołkach zamiast patrzeć na ludzi dookoła, spoglądają tylko na tych, co nimi rządzą. A ci najczęściej, kolejne aparatczyki, patrzą na innych nad nimi. Jakby spojrzeć z boku, to by się okazało, że jest taka drabina i każdy temu nad nim zagląda w dupę. Nic dziwnego, że nikt nie chce przyznać się do takiej prawdy, bo to gówniana prawda. I zamiast zmieniać ten piękny kraj, zamiast oczyszczać ulice i instytucje ze złodziejstwa i kurewstwa, utrzymujecie to kurewstwo, pierdolony *status quo*. Jak swój folwark, najlepiej do usranej śmierci. Ale coś ci powiem, Halicki, powiem ci coś, czego nauczyłem się przez ostatnie dni. Życie i prawda składają się z czegoś więcej niż doczesnego, ciepłego kurwidołka. Historia nas ocenia, że o Bogu nie wspomnę, żeby sobie jeszcze bardziej nie nagrabić u góry. Też nie byłem nigdy święty i pogodziłem się z tym, że walczę ze złem, będąc mniejszym złem. Nie jestem pierdolonym bohaterem, nawet jeśli tak sądzi te ileś milionów ludzi, co obejrżeli ten filmik. Jestem zwykłym człowiekiem, ojcem, gliną. Tak samo jak wszyscy płacę podatki, tak samo napierdala mnie wątroba i tak samo nie wiem, za ile lat będę srał do worka albo spał w pampersach. Ale zanim to się stanie, chcę patrzeć sobie w lustro. Jak człowiek, jak Polak, jak gliniarz. Żeby już nigdy nie było powtórki... z powtórki.

Brodzki zmęczył się tym monologiem, ale był z siebie niesłychanie dumny. Nawet sam po sobie nie spodziewał się takiego talentu oratorskiego, a tym bardziej tak jasnego osądu sytuacji, który w tym – decydującym – momencie mógłby Halickiemu wyłożyć.

– Rozumiem... – rzekł powoli i tajemniczo Halicki. Wyglądał, jakby nie był przygotowany na taką rozmowę, ale mimo to zachowywał jakiś dziwny spokój. Stali tak chwilę w zawieszynie wypowiedzianych słów.

Leon sięgnął do poły płaszcza. Reakcja mundurowych była błyskawiczna. W jednej sekundzie na przesłach mostu dało się posłyszeć szczęk odbezpieczania broni. Na klatce piersiowej Brodzki zobaczył czerwoną plamkę lasera. Patrzył na nią chwilę. Naprężył szyję, sięgnął do kieszeni i długo nie wyciągał z niej ręki.

Przyglądający się w oddali prokurator widział dwie małe postacie – Halickiego i Brodzkiego. Z tej perspektywy wyglądały jak dwaj rewolwerowcy, którzy gdzieś w wąwozie kanionu, przy szerokim strumieniu spotkali się, by wyrównać rachunki.

Brodzki wyjął z kieszeni miękką paczkę żółtych cameli i benzynowe zippo. Wsadził do ust papierosa prosto z paczki, schował opakowanie. Zarzucił zapalniczką, zębatka zaskoczyła bezbłędnie. Trzymając wciąż głowę opuszczoną, z laserem broni wycelowanej na wysokości serca, zaciągnął się papierosem.

– Idee są kuloodporne, Halicki – powiedział spokojnym głosem Leon Brodzki i wypuścił dym. – Nie wiem, co zrobił Franek, ale

teraz nie żyje. Byłeś jedynym, który nie chciał potraktować go z szacunkiem.

– Kule są bardzo szybkie, Brodzki – zripostował komendant. – A na szacunek trzeba zasłużyć.

– Wszystko jest kwestią rzędu wielkości. Albo małości. Takiej jak twoja. – I spojrzał wymownie na komendanta.

– Rozwiń swą myśl, póki jeszcze masz prawo wypowiedzi. – Impertynencja Halickiego nie miała granic.

– Pocisk z takiego karabinku jak ten, którym mierzą we mnie, leci około ośmiuset metrów na sekundę. Oznacza to, że dostałbym strzał, zanim wypowiedziałbym pierwszą literę słowa „pocisk”.

– Zgadza się, matematyku.

– A teraz odpowiedz mi na pytanie, Halicki. Ile z perspektywy dziejów, z perspektywy lat i dekad, ile z tego punktu widzenia trwać będzie dojście do prawdy na temat matactw, układów, morderstw i przekrętów, które otaczałeś parasolem ochronnym?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ależ dobrze wiesz. No więc jak? Ile trwa taki proces? Skup się. Kiedy myślisz o takim Juliuszu Cezarze, o tym, jak go Brutus i Kasjusz zaszlachtowali w idy marcowe, to ile to trwało? Ile trwało, nim Brutus popełnił samobójstwo? Odpowiem ci. To była chwila. Jedno mgnienie.

– Twoje filozoficzne mądrości nie wepchną mnie na stryczek.

– Pamiętasz, jak przyjechałeś po mnie tydzień temu, żebym zajął się tą sprawą? Chwilę wcześniej usłyszałem zabawne zdanie

od chłystków w parku.

– A jak ono brzmiało?

– Że psy idą do piachu tak samo jak ludzie.

– Pierdolenie kotka za pomocą młotka. Chyba ci się do reszty we łbie poprzestawiało, Brodzki. Może za dużo książek? – Halicki najwyraźniej drwił z detektywa.

– Przeciwnie. Książki są bardzo pouczające. Czy wiesz, skąd wzięło się określenie „wieszać na kimś psy”? Dasz wiarę, że były czasy, kiedy psy sądzono jak ludzi? Bywało, że je aresztowano, torturowano. Jeśli któremuś udowodniono winę, a bronić się raczej nie mógł, skazywany był na ścięcie albo powieszenie.

– Tak, Brodzki. I o ile wiem, czasem wieszano i ludzi, i psy razem. Z nas dwóch to ty miałeś kundla. Powieszenie z kundlem było symboliczne, chodziło o pokazanie zezwierżenia człowieka. Potem wisiał biedak z głową w dół, a pies zżerał go żywcem... Mnie to raczej nie czeka. Ale na twoim miejscu sprawdziłbym, gdzie jest twój pies. – Halicki uśmiechnął się pogardliwie.

Brodzkiemu drgnął policzek.

– Skurwysynu, zawiśniesz. Jak ten pies. Do celi wepchną cię dowody.

– Jakie? Masz na myśli staruszka Maksa? O ile wiem, magluje go właśnie „abwehra”. Zostanie wkrótce wydalony z komendy za złamanie przepisów o informacjach jawnych i tajnych. Archiwa, które opracowywał, zostały przejęte przez prokuratora.

– Który siedzi w tym tak samo jak ty? – Na te słowa Halicki nie

odpowiedział. – Tak jak ten prokurator Bojarski, uduszony liną, którego znalazł Nowak? Zamknę teraz oczy. Na chwilę. Na tyle, że zdążę odbyć podróż w czasie. Zaciągnąć się papierosem. Ktoś w tym czasie zdąży przewrócić stronę książki. To będzie jedno mgnienie.

Halicki jednak go nie słuchał. Wyciągnął zamiast tego smartfon i włączył na nim nagranie.

– W porządku. Dałem ci szansę, żebyś zamknął dziób. Nie skorzystałeś. Więc teraz patrz – rzucił Halicki, pokazując Brodzkiemu ekran. – Przypatrz się uważnie i jeszcze raz powiedz, kto robi krecią robotę.

Brodzki stanął jak wryty. Nie wiedział, że to, co pokazał mu komendant, oglądali właśnie widzowie w całej Polsce. Było to nagranie z monitoringu zainstalowanego w areszcie śledczym w Toruniu.

8

Szczyty tui na cmentarzu przy ulicy Grudziądzkiej poruszały się miarowo na wietrze, smagając zawieszony w górze akwarele nieba.

Przypatrujący im się grabarz podrapał się krótkimi palcami po swojej czerwonej twarzy i przeniósł wzrok na rozpościerające się aż po horyzont pole nagrobków. Chwile filozoficznej zadumy nie zdarzały mu się często, jednak przez ostatni tydzień pochował więcej ludzi niż w ciągu całego kwartału. Choć żniwa na polskich wsiach dobiegły końca wraz z sierpniem, to te krwawe zebrały plony dopiero w pierwszych dniach września. I były to plony obfite.

– Trup na trupie, tatku – rzekł do swojego sędziwego ojca, opierającego się z trudem o trzonek łopaty. Mężczyzna o zapadniętych policzkach i nierównej linii siwych brwi spoglądał w płytki dół świeżo wykopanego grobu.

– Pora wykopać ostatni dół, synek – odparł starzec, oddychając ciężko.

– Dziś jeszcze dwie rundki w chowanego, tatku. Ale z takim przebiegiem w ostatnim tygodniu, to mozem tera i miesiąc nikogo nie grzebać. To i odpoczniesz z wędką w Kamionkach. Co?

Stary człowiek nic nie odpowiedział. Spojrzał tylko na szczyty kołyszących się drzew. Ich rytmiczny taniec zestrajał się z jego pulsem, coraz to wolniejszym.

– Pierwszy człowiek, którego chował, to był mój ojciec, a twój dziad, Zbigniew. – Senior mówił wolno, jego zuchwa drgała.

Wskazał ręką w kierunku wejścia nekropolii. – Leży gdzieś tam, przy bramie. To były pierwsze kwatery na tym cmentarzu. Miły człowiek był, serdeczny. Żaden tam kozak. Zbych, po prostu, syn krawca, mojego dziada, a twego pradziada. Jak mijaliśmy powstańców styczniowych w latach trzydziestych, to mi kazał w pas się kłaniać. To dopiero byli autorytety. Nie to co dzisiaj. Zawsze ześmy z ojcem wieszali flagę w oknie i zawsze mówił mi, żeby nie ufać w to, co Ruskie mówią o wojnie. – Starzec śmiał się do siebie, ale jego wzrok był nieobecny.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś – rzucił niepewnie syn, przypatrując się ojcu. Obaj byli dziś dziwnie zestrojeni z pogodą, ale rozmowa tego typu dawno nie miała między nimi miejsca.

– Wpadł pod tramwaj – kontynuował starszy człowiek. – Wóz ciągnął go przez dwa przystanki! – Pogroził palcem w powietrzu i pokiwał głową, jak ludzie niegodzący się na bieg historii. – Zanim motorniczy się zorientował, biegłem, krzychałem... – Człowiek robił długie pauzy między słowami, nadając każdemu z nich siłę oddzielnego, wyrazistego obrazu. – Spod kół wystawała tylko wędka. Bośmy na ryby jechali, twój dziadek lubił, jak ja, zanęcić, złowić, podebrać... I beret leżał. Taki wypchany gazetą. Na rękach mi umarł, a potem go chowałem. Obiecałem, że będę mu palił znicze.

Starzec pobladł i stracił równowagę. Zaparł się jeszcze resztkami sił. Każdy promień słońca wkuwał się w jego rozpalone skronie tysiącami igieł.

– Tatku! – zdołał krzyknąć grabarz, kiedy starzec runął w objęcia grobu. – Tatku! – I skoczył za nim.

Starzec padł twarzą w piach, a sztafeta pokoleń zatoczyło koło na arenie zmagania.

Żadne z ziarenek przy ustach starca się nie poruszyło. Ruszały się tylko szczyty drzew.

Sierżant Jacek Nowak nie dał za wygraną. Szalejący puls zwalniał obroty, ale umysł wciąż zachował świadomość.

Policjant powolnym ruchem wyjął z kieszeni telefon i przesunął go po wykładzinie ku swojej twarzy.

Wzrok zaczął odmawiać już posłuszeństwa, rozmazywała się ostrość widzenia, ale Nowak zwarł się w sobie. Powolnymi ruchami wskazującego palca wklepał na telefonie krótką wiadomość, po czym nacisnął ikonkę mikrofonu w aplikacji tekstowej. Wbudowany w urządzenie syntezytor mowy natychmiast odczytał wiadomość:

komenda srodmiecie ranny policjant pomocy

– Proszę powtórzyć, halo?! – krzyczał głos w słuchawce.

Nowak mlasnął cicho, po czym zwarł się w sobie i jeszcze raz przesunął palec w kierunku wyświetlacza. Nacisnął ikonkę.

Tym razem dyspozytor zrozumiał komunikat.

– Już wysyłam. Czy jest puls? Halo, czy jest puls?

Jackowi starczyło sił tylko na wciśnięcie przycisku mikrofonu, który wydał pojedynczy dźwięk.

Oddychał coraz ciężiej. Zakrztusił się, plując krwią, której plamy rysowały nowe, fantastyczne wzory na wykładzinie komisariatu.

Gdzieś nad nim, z podwieszonego pod sufitem telewizora,

dudniły komunikaty prasowe. Nowak otworzył jedno oko i spojrzał w górę. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że na ekranie widzi Kosmę Góreckiego, w nagraniu z monitoringu. Kosma czekał w pokoju przesłuchań, kiedy nagle do pomieszczenia wszedł jakiś człowiek i poderżnął Góreckiemu gardło. Nowak zamrugał niepewnie.

Bo znał twarz mordercy.

Kiedy człowiek na nagraniu odwrócił się do kamery, Brodzki rozpoznał jego twarz. Mroczną. Trupioblada.

Swoją własną.

– Przecież wiesz, że to nie ja!

– Czyżby, Brodzki?

– Czyżby co?

– Zrzuciłeś Heraklita z wieży ratusza w Toruniu, a Daniela z elewatora w Darłowie. Drugi zginął na miejscu, pierwszego udało się uratować. Więc nie dałeś za wygraną...

– Dobrze wiesz, że to nieprawda. Co ty pieprzysz?

– Zemsta przybiera różne oblicza. Zaślepienie, pragnienie sprawiedliwości...

Do Halickiego ewidentnie nie pasowała rola przenikliwego śledczego. Ilekroć otwierał usta, Leonowi przypominało się mlaskanie komendanta, który wkładając do ust potrawy, składał swoje obślizgłe wargi w kształt litery „o” i wypychał do przodu język. Leon zamrugał kilka razy, by odegnać ten obraz. Halicki zaś kontynuował:

– Doświadczyłeś ostatnio wielkiego stresu. Nie chciałem ci mówić, ale rozmawiałem z Martą. Poprosiłem ją o opinię na twój temat. I... Cóż, nie była ona zbyt zachęcająca. Zdaniem naszej pani psycholog żyłeś ostatnio pod wpływem dużego stresu. Miałeś stany lękowe, halucynacje, próby samookaleczenia.

– Co ty pieprzysz, Halicki?! – Insynuacje komendanta wybiły Brodzkiego z rytmu rozmowy. Zaczął nerwowo zagryzać usta.

– A pamiętasz postać, która miała napaść cię w twoim własnym domu? Podobno był olbrzymi. Stłukł szybę, napadł cię. Wiele wskazuje na to, że nic takiego nie miało miejsca

– Mam świadków. – Brodzki nawet nie zauważył, kiedy zaczął się bronić. Cała rozmowa była dla niego absurdalna. – Wiem, co widziałem i z kim walczyłem, nie zmieniaj tematu!

– Kogo, Leon, widziałeś?

– Sąsiada z piętra. – I znów się bronił, choć wcale nie chciał. Dyskomfort z powodu posądzenia o postradanie zmysłów był jednak zbyt silny, by sprawę zostawić ot tak.

– Na twoim piętrze nikt nie mieszka – uciął Halicki.

„O czym on mówi – gorączkował się Leon – przecież tamten człowiek wybiegł wtedy ze mną, pomógł mi. Ale wczoraj...? Ta dziwna sytuacja na klatce? Gdzie popełniłem błąd? Gdzie zawiodła mnie intuicja, czego nie sprawdziłem? Nie dam z siebie zrobić wariata. I dlaczego mąci mi, wplątując w to Martę?”

– Nie oszukujmy się, Leon. Na nagraniu jest twoja twarz.

– Przy tej twarzy nawet fantom do ćwiczenia reanimacji wygląda na prawdziwszego – próbował się odgryźć, ale z jakiegoś powodu czuł, że w tej rozmowie jest w głębokiej defensywie, a przeciwnik napiera atakiem pozycyjnym.

– Świadkowie twierdzą co innego. Podobno miałeś grozić Kosmie śmiercią.

Na słowa Halickiego Brodzki jeszcze bardziej zapadł się w sobie.

– Ach, to już przesłuchałeś świadków? – spytał i dopiero po wypowiedzeniu tych słów zdał sobie sprawę z dziecinnego tonu, jakim wycedził ostatnie pytanie.

– Prokurator przesłuchał. – Tu Halicki wskazał na postać stojącą w oddali przy Citroenie.

– Obaj wiemy, że to maska – powtórzył Leon, ale czuł, że pętla na jego szyi się zaciska.

– Jaka maska?

– Jak to „jaka maska”... – Brodzki nie mógł się opanować. „Chce ze mnie zrobić debila! Po moim trupie”. – Taka sama, jaką miał trup z twarzą Tomka Żółtki. Może pamiętasz, przyniosłem ci ją w środku nocy do domu, żebyś uwierzył, że coś w tej sprawie śmierdzi. Maskę miała też wrzucona do kanału dziewczyna – wymieniał Brodzki.

– Oni nie byli podejrzani o morderstwo. Byli ofiarami.

– Motyw jest ten sam. Ktoś podrabiał twarz, żeby wyglądała znajomo, nakładał ją na jakiegoś trupa i odgrywał scenki rodzajowe.

– Dalej nie rozumiem, co to ma wspólnego, Leon. – Halicki ponownie powiedział coś, co kompletnie nie pasowało do jego ekspresji.

– Jak to „co to ma wspólnego”?! – warknął Leon. – Moją maskę również wykonał. Mówiłem ci przecież!

Halicki odebrał telefon. Rozłączył się.

– Rozumiem, Brodzki. Czy możesz mi i prokuratorowi pokazać tę maskę?

– Oczywiście, mam ją w domu.

– Sprawdziliśmy. Nie ma jej tam.

Brodzki myślał, że się przesłyszał.

– Jak to „sprawdziliście”?

– Prokurator wydał nakaz.

– Przecież nie byłem podejrzany.

– Teraz jesteś, przyjacielu. W twoim mieszkaniu nie ma żadnej maski.

– Jestem pewien, że była. Leżała na... – Brodzki w końcu zrozumiał.

Halicki patrzył na niego tym wzrokiem małych ludzi, którzy odnieśli swoje haniebne zwycięstwo.

– Maską to za mało, żeby kogoś skazać, Halicki.

– Twarz mordercy to dobry początek. Nie sądzisz? A potem znajdzie się reszta. Odciski, ślady krwi, włosy, świadkowie. W zasadzie prokurator chyba już je ma.

Halicki dał znać służbom, by weszły do akcji. Mundurowi zwarli szyki i ruszyli. Helikopter obniżył się teraz bardzo nisko, tuż nad lustrem Wisły. Operator telewizji miał dobre ujęcie.

– Dojeżdżaj, dojeżdżaj! – krzyczał niski reporter telewizji kablowej. Po wysokim czole spływał mu pot wymieszany z żelem do włosów.

– Daj mi chwilę, Mario, na co dzień kręcę ptaki i żurawie

budowlane, nie pościgi – irytował się chudy operator w kamizelce leśniczego.

– Dajemy na żywo – krzyknął Mario. – Trzy, dwa, jeden, poszło!

Widzowie telewizji w całej Polsce zobaczyli postać detektywa Leona Brodzkiego, stojącego na brzegu Wisły pod zwalistaną konstrukcją wielkiego mostu. Dagmara wspólnie z Sarą i Tomkiem oglądali transmisję w szpitalnej sali. Heniek na postoju taxi pod teatrem razem z innymi taksówkarzami dyskutował gorączkowo o przyszłości policjanta. Marta Gradowska siedziała w wykuszu w swoim mieszkaniu, ze swetrem naciągniętym na koniuszki palców i patrzyła na ekran. Ignacy i Wanda Kulwicy w swoim darłowskim domu śledzili przekaz na żywo wspólnie z Rolandem Brykiem, który kręcił głową z niedowierzaniem i poczuciem niesprawiedliwości. Łukasz Brodzki w budce strażniczej w Bieszczadach wpatrywał się uważnie w telewizor mimo zanikającego sygnału TV. Marek Bener nie odrywał wzroku od ekranu w Pubie Kotwica, w którym siedział, by napisać reportaż śledczy. Pewien mężczyzna w kapeluszu, sączący herbatę w kawiarni na Bydgoskim Przedmieściu, również oglądał ze spokojem transmisję. Podobnie jak leżący u jego nóg pies. Gdy zapiszczał, mężczyzna kopnął go. Pisk ustał.

Mundurowi byli coraz bliżej, garstka policjantów otaczała go ze wszystkich stron i nawet niezaprawiony w seansach filmów sensacyjnych widz wiedział, że człowiek w środku kadru nie ma drogi ucieczki. Operator dojeżdżał ze zbliżeniem do twarzy

ściganego policjanta. Po chwili widzowie zobaczyli jego popiersie.

Postawiony wysoko kołnierz płaszcza, mimo silnych podmuchów powietrza, nawet nie drgnął. Tylko pasek, którym przewiązany był płaszcz, dygotał niespiesznie.

Telewizjoniści czekali w napięciu na ostatni, finałowy akt. Na przemianę bohatera w antybohatera. Protagonistę w antagonistę. Policjanta w zbrodniarza. Przemianę na miarę Eugène'a François Vidocq, który przecież twierdził, że człowiek wzbudza u gliniarza tylko podejrzliwość i pogardę. Celem transmisji było przekonanie widzów, że podejrzliwość i pogardę można poczuć także względem funkcjonariusza policji. Jak za starych czasów...

Na paskach informacyjnych w telewizorach pojawiły się pierwsze doniesienia: „BREAKING NEWS: Detektyw Leon Brodzki podejrzany o morderstwo”, „Policjant zabójcą”, „Spodziewany awans Gromosława Halickiego na stanowisko komendanta wojewódzkiego”. Pokazywano sekwencje obrazów: nagrania Heraklita, sceny z monitoringu z aresztu, a nawet napis na ciele noworodka „Brodzki jest winny”. Przypomniano archiwalne nagrania dotyczące trzech zabójstw w latach 1984 i 1985, montując to ze zdjęciami Franka i Leona Brodzkich. Ostatni napis na pasku brzmiał: „Jaki ojciec, taki syn”.

I wtedy, kiedy obraz był już tak blisko, że bliżej się nie da, gdy prostokąt ekranu, zoomowany do granic możliwości kamery, drgał od podmuchów smagających helikopter, wtedy właśnie detektyw powoli uniósł głowę. Jego zmęczone oblicze, naprężona i twarda jak

stał szyja, zmarszczka przecinająca czoło i skrzące się kilkoma siwymi włosami skronie, jego mocna szczęka i metalicznoniebieskie oczy – całe oblicze detektywa uniosło się. Broda oderwała się od korpusu, przypominającego samurajską zbroję *ō-yoroi*, a twarz detektywa, zroszona bryzą wody, była teraz zwrócona *en face*, prosto w oko kamery.

Najniezwyklejsze w tym widoku były oczy. Pałące ogniem, witalne, o nieprzeniknionym spojrzeniu. Oczy człowieka, który zabił, by ocalić najbliższych.

Brodzki spojrział na drugą stronę rzeki. Krążący przy moście helikopter telewizyjny wzbijał tumany kurzu na nabrzeżu, a na tafli wody tworzył okręgi pulsujące ku brzegowi, na którym stał detektyw. Podążył wzrokiem za tymi kręgami, cofając się przez zieloną otchłań Wisły, aż do czubków swoich butów.

– Kości zostały rzucone! – krzyknął Brodzki. Były to słowa Juliusza Cezara, wypowiedziane, gdy ten przekraczał Rubikon 10 stycznia w 49 roku przed naszą erą.

– Co mówisz? – odkrzyknął Halicki.

Gwar zbliżających się oddziałów, warkot pojazdów sunących ścieżką i szum wirników helikopterów telewizyjnych wzmagały hałas.

– Kości zostały rzucone – powtórzył przez ramię Brodzki, ale nie odwracał się. Kątem oka dostrzegł postać prokuratora, który postawił wyżej kołnierz i wsiadł do auta. Leon pamiętał z rozmowy z Brykiem, że przekroczenie Rubikonu w praktyce rozpoczynało w

rzymskiej republice wojnę domową. Było to jawne przeciwstawienie się Pompejuszowi i optymatom. Brodzki wiedział już, kto jest kim w tej rozgrywce, a zasłyszane od darłowskiego gliniarza antyczne sentencje teraz nabrały właściwego sensu, więc powtórzył w myślach raz jeszcze:

„Kości zostały rzucone. Teraz trzeba je tylko znaleźć. Czy znowu będę musiał wejść w otchłań tej samej rzeki? Nie cofnę się przed niczym. By pokonać wodę, sam będę wodą. Wejdę w każdą szczelinę, wypłuczę każdy brud, jaki napotkam na swojej drodze. Nawet brud swojego nazwiska. To będzie jedno mgnienie”.

Ekran telewizorów w sali szpitalnej Tomka Żółtki, w darłowskim domu Ignacego i Wandy Kulwickich, na postoju taksówek, w lombardzie Żyda Szłomo, w gabinecie lekarskim Natalii Kaklińskiej, w budce Łukasza Grotowskiego, w tysiącach toruńskich i innych polskich domów – wszystkie te ekrany wypełniała twarz człowieka, który nie boi się śmierci, nie zamierza kapitulować w walce i który nie spocznie, póki nie wygra ze złem.

Gdy policjanci zakuli Leona Brodzkiego w kajdanki, transmisję przerwano. Nadawca umieścił po chwili napis u dołu ekranu:

EPILOG

– Ktoś do ciebie! – rzekł strażnik, otwierając drzwi celi, w której siedział detektyw Leon Brodzki.

W drzwiach stanął po chwili Tomasz Żółtko.

– Macie trzy minuty. Oficjalnie Brodzki ma zakaz odwiedzin – rzucił strażnik, wychodząc.

– Nie mamy dużo czasu – powiedział ściszym głosem aspirant, gdy zostali sami.

– Musisz dotrzeć do prawdy przed nimi, co nie będzie łatwe, skoro jestem po tej stronie krat – wyszeptał Brodzki.

– Wierz mi, że stoisz po właściwej stronie. Ale póki co, musimy cię stąd wyciągnąć.

– Niby jak? – Leon spojrzał pytająco na Tomka.

– Zaufaj mojej intuicji, detektywie – rzekł, poprawiając okulary na swojej szczupłej twarzy. – Więc jak?

– Dobrze, detektywie.

Gdy Tomek wyszedł, cela zapadła w otchłań ciemności.

CIĄG DALSZY JUŻ WKRÓTCE.

PODZIĘKOWANIA

I znów się spotkaliśmy, drodzy Czytelnicy. Ile minęło? Jedno mgnienie? Tak, uznajmy je za umowną jednostkę czasu na łamach tej powieści.

Książka to złożony twór. Gdyby ją zmierzyć, uzyskalibyśmy liczbę znaków, stron, arkuszy i ryz papieru. Specjaliści od PR dorzuciliby informacje o zasięgu, nakładzie i rekordach w wyszukiwarkach. Ale gdyby przyłożyć miarę do rozmiaru myśli ludzkiej?

Książki nie powstają tylko w głowie, ale również w programie do edycji tekstu, w programach graficznych, na spotkaniach zespołu wydawniczego, podczas długich rozmów. Wreszcie – w drukarni, magazynie, na targach książki. Z filozoficznego punktu widzenia książka raz napisana istnieje zawsze. Nawet gdyby w Bibliotece Aleksandryjskiej spłonęły wszystkie jej egzemplarze.

Książka to przedziwny twór. Powstaje wielokrotnie, a nie umiera nigdy. Żyje w głowach czytelników i w rozmowach z nimi, gdy dzielą się spostrzeżeniami i emocjami. Jedną z czytelniczek tak pochłonęła lektura *Powtórki*, że przegapiła swój przystanek tramwajowy. Ktoś inny pojechał do domu dłuższą drogą, by móc wysłuchać do końca audiobooka. Niektórzy odnaleźli w książce znane zapachy i miejsca. Inni – zanurzyli w niej swoją literacką wrażliwość i emocje. Cóż mogę powiedzieć, drodzy Czytelnicy, jeśli nie „dziękuję”?

Nie bez powodu twórcy zwykli mówić o swoich utworach jak o dzieciach, których droga na świat była krótsza lub dłuższa. A na ogół jest wyboista i pełna morderstw (mam nadzieję, że to wyznanie nie stanie się powodem wszczęcia śledztwa). Tym bardziej więc należy docenić, jak świetną robotę zrobiło Wydawnictwo Czwarta Strona. Nie mam na myśli sztamponowych zwrotów, znanych z elektronicznych pocztówek. Chodzi o pewne cienkie i kruche tworzywo, jakim jest wzajemne zaufanie i wiara w magiczną moc literatury. Patryku – dziękuję za pewną głęboką i ważną rozmowę o życiu i książkach oraz zaufanie. Bartku – jesteś dobrym duchem tej opowieści, równie ważnym jak jej bohaterowie. Wykrzesalesz ich z chropowatego kawału żelastwa, jakim bywają moje przyrdzewiałe zdania i poetyckie fikołki. Bez twojego redaktorskiego oka nie byłoby tej książki.

Mgnienia nie byłoby bez wielu osób, nie tylko bez tej, której nazwisko widnieje na okładce. Kto wie, dokąd zaprowadziłyby Leona Brodzkiego tropy, gdyby nie pewna zimowa wizyta na Zamku Książąt Pomorskich w Darłowie. To tam Arek Sip, Krysia Różańska i Alicja Balcerzak zapalili w mojej głowie pomysł wyprawy detektywa do miasta króla Eryka.

Bo nie tylko książka, ale i pisarz to dziwny twór. Nigdy nie umie odpowiedzieć na pytanie o pomysły, miota się w zeznaniach. Gdy porównują go do jego bohaterów, kategorycznie się odcina, choć tekst mówi co innego. Tak, pisarze bywają nieznośni. Wiedzą to ci, którzy uzerają się ze mną, gdy powstaje książka.

Serdecznie dziękuję Rodzicom, z którymi razem przeszliśmy trudny czas, i Siostrze. Jesteśmy jak to drzewo smagane wichrem. Agnieszko, dziękuję za inspirację i cierpliwość do pisarskich majaków. Piotrusiu – za Maksa i egzystencjalne podróże do jakby tu i jakby tam. Pat – za niewyczerpaną wiarę, mocną jak te dechy, które tak naprawdę nigdy się nie złamią, jak twój hart ducha. Arkowi i Asi oraz Miśkowi, Grzesiowi i wspomnianemu Bartkowi z Kabaretu Polefka za wszystkie rozmowy w ciepłe wieczory. Nasza droga jest długa i kręta, ale warta gimnastyki półkul. Profesorowi Maciejowi Wróblewskiemu – za rozmowy i podsuwanie tropów, oraz profesorowi Waławowi Lewandowskiemu – za wiarę w naukowe sumienie. Justynie, Pauli, Lusi, Majkelowi, Mari, Pawłowi, Robertowi, Rudej, Łukaszowi znad zupy.

Na samym końcu zaś ponownie Tobie, drogi Czytelniku. Ta pisarsko-czytelnicza podróż jest naszą wspólną drogą, którą pokonujemy w różnym miejscu i czasie. Właśnie tu, na kartach książek, spotykamy się w świecie bez ścian i zegarów. Możemy rozciągać wymiary na wszystkie strony, poznając się od nowa tyle razy, ile mamy ochotę. Nie mamy siebie w znajomych, nie jedliśmy razem obiadów, a mimo to znamy się trochę. Prawda?

Do zobaczenia w *Otchłani*, ku której zmierzamy nieuchronnie. Leon Brodzki nie może długo na nas czekać. Podobnie jak zagadka, której rozwiązania jesteśmy coraz bliżej.

Toruń, 18 września 2017 r.

POLECAMY

SMAKOWITA INTRYGA. SZYBKI MONTAŻ.
Oto mamy nowego wojownika o dobro w polskiej
literaturze kryminalnej. BRAWO MAŁECKI!

KATARZYNA BONDA

ROBERT MAŁECKI

PORZUĆ
swój STRACH



Marek Bener, właściciel i dziennikarz lokalnego tygodnika, podejmuje się odnalezienia zaginionej maturzystki. Znużony sierpniowym upałem odkrywa kolejne tajemnice rodziny Żelaznych, a im więcej wie, tym trudniej rozwikłać mu prostą z pozoru zagadkę. Przeżyje jednak wstrząs, kiedy okaże się, że dziewczyna może mieć coś, co przed laty należało do jego zaginionej żony. Nowy trop przeczołga go przez podziemia hazardu i zmusi do spojrzenia w przeszłość. To w jej cieniu kryją się najgorsze koszmary. Pytanie tylko, czy porzuci swój strach i znajdzie w sobie dość siły, by się z nimi zmierzyć.

Spisek scenarzystów



Gdy nagle **umiera** producentka serialu kryminalnego, wszyscy na planie stają się **podejrzani**.

Wojciech
NERKOWSKI



Zaskakująca i nieoczywista rozrywka, prawdziwa Superprodukcja!

Kryminalna komedia na najwyższym poziomie!

Producentka serialu kryminalnego, zwana przez współpracowników Palomą, popełnia samobójstwo. Dwójka scenarzystów nie wierzy w oficjalną wersję zdarzeń. Zbyt wiele osób z ekipy filmowej miało motyw, żeby ją zabić. Scenarzyści rozpoczynają prywatne śledztwo, w którym pomaga im znany aktor celebryta. Krok po kroku odsłaniają sieć powiązań w show-businessie, skrzętnie skrywane skandale i namiętności. Rzeczywistość miesza się bohaterom z serialową fikcją, a wszystko pół żartem, pół serio. Policja nie traktuje ich poważnie, do czasu aż w ekipie serialu dochodzi do kolejnego morderstwa.

Czy trójka detektywów amatorów okaże się skuteczniejsza od policji?

MAŁGORZATA

ROGALA

MORDERCA JUŻ WYDAŁ WYROK.
ZOSTAŁO NIEWIELE
CZASU.



ZASTRZYK ŚMIERCI



Morderca już wydał wyrok. Zostało niewiele czasu.

Ewa Frydrych znajduje szczelnie owinięte taśmą ciało męża – szefa portalu krytyki kulinarnej, którego opinie nie wszystkim przypadły do gustu. Dlaczego ktoś wstrzyknął mu truciznę i pozbawił życia? Czy chodziło tylko o zemstę, czy za zbrodnią kryje się coś jeszcze? Tym bardziej że w podobny sposób giną kolejne osoby. Sprawę prowadzą starsza aspirant Agata Górską i komisarz Sławek Tomczyk, którzy próbują rozwikłać serię zagadkowych śmierci.

Tymczasem ktoś wysłała anonimowy list do młodszej siostry komisarza Tomczyka. Czy ma to jakiś związek ze sprawą? Kim jest Zosia i dlaczego ktoś musi ją chronić? Nowe światło na sprawę rzuci niewyjaśniona tragedia sprzed lat, która nie pozwoli o sobie zapomnieć.

Małgorzata Rogala kolejny raz udowadnia, że należy jej się miejsce na kryminalnym podium.